

Bolesław Chrobry I Puszcza

Antoni Gołubiew



calibre 0.7.3

ANTONI GOŁUBIEW

Bolesław Chrobry I

Puszcza

CZEŚĆ PIERWSZA

Polana

1.

- Ludzie jakowyś od lasu!... Ludzieeee!

Kobiety dziobiące motykami grzędy podniosły się, wyprostowały bolące krzyże. Świętocha odgarnęła włosy ze spoconego czoła, pytała:

- A kądą to lecisz, Żarek?

Nie zatrzymywał się w pędzie; tylko mu pięty migały.

- Ludzieeee! - zakrzyknął.

- Do dziada to ? - głos jej drgał ze zmęczenia i nagłego przestachu.

- Do dziada! - kurz się za nim skłębził.

- Wielki otrok, a durny jak pień - jazgotała Żywula.

- ...dzieee! - doleciał z dala przerażony głos chłopca. Przysłoniły oczy od słońca, patrzyły nad polami ku puszczy.

Droga wiła się tam kreto, zboże falowało... Przed polami Gza coś ruszało się, kurzyło. Coś obcego!

- Lelum! - zaskrzypiała Żywula.

- Baby! - wrzasnęła Świętocha, oczy jej zabiegały, zmalęły, przerażone. - Zbierajcie motyki a dzieciiska... do dom... do dom... - biegła już w ślad za Żarkiem, kiwając się w biodrach, dudniąc ciężko nogami.

Za nią łomotały inne. Był upał. Ciężko dyszały, w biegu obcierały czoła. Dzieci zawiązane w chustach rozmazały się, krzyczały, udzielił się im strach matek. Bez tchu wpadały w obejście, każda obzierała się za siebie, każda wykrzykiwała:

- Ludzie! Cudzy!

Dziad siedział na przyzbie, głowę wyciągał na długiej, pomarszczonej szyi - w zmarszczkach osiadł mu czarny, wiekowy kurz. Mówił każdej:

- Głupie.

Ale Lubuszę wysłał, by zwiedził się, skąd ci goście. Lubusza dyrdał małowiele, dojrzał ich wraz za Śliźniowym dębem. Skrył się za pień, przykucnął, głowę wysunął, patrzył. Przybyszów było trzech, stanęli, uradzali. Pokazywali rękami na chaty Gza, na chaty dziada, widać - nie wiedzieli, dokąd iść. Spierali się. Za nimi dwa wozy z białkami, z dziećmi, z dobytkiem. Woły czy krowy w jarzmie skręcały z drogi, próbowały skubnąć co zielenizny. Białka z pierwszego wozu zlazła,

spędzała je witką na drogę. Dwie inne rozglądały się, coś krzyczały do chłopów. Lubusza patrzył pilnie, mruknął do siebie:

- Że przejechały przez puszcę, no! - zawrócił z powrotem w obejście. Dziad podniósł nań z przyzby milczące, blade oczy - mrukliwy był.

- Od boru... - syn kiwał szpakowatym kołtunem - widzi się, kmiecie.

- Siła?

- Trzech ich. Z wozami.

- Z wozami? - zdziwił się dziad i wstał.

Ogromny był, wyższy o głowę od Lubuszy, od Gza, suchy, kościsty. Twarz kwadratowa, usta wąskie, zacięte, nad bladymi oczyma krzaczaste kępy brwi. Grzywa długa, do karku. Nie rzekł ni słowa, wszedł do sieni.

- Ociec?

- Abo co? - nie odwrócił się do Lubuszy, tyle co przystanął.

- Co z gośćmi?

- Jeszcze nie są przyszli. Może do Gza nawrócą - zniknął w izbie. Lubusza zakłopotany kręcił się po obejściu. Baby zbiły się w ciasną gromadę, jazgotały.

- Aże mię strzęsło - żaliła się Świętocha.

- Było co lecieć?

- Wszystkie leciały, jakże? Wždyż cudzy. Co wiesz, jeszcze ją kto chyci.

- Chyciłby tam.

- A pomnisz, Dobek latoś bajął, jako woje żadnej nie puszcza.

- Kaj tam woje. Kmiecie.

- I z wozy, Lubusza pry, z dobytkiem.

- Do Gza nawrócą. Tamok bliżej.

- Abo i k'nam.

Dziad wyjrzał, srogo zatoczył oczyma, krzyknął na całe obejście:

- Białki do roboty! Co strzępić jęzory! Isto sroki na deszcz.

Bez słowa, zastrachane, pobrały motyki, dzieci, śpieszkiem ruszyły w pole. Spotkały gości w pół drogi, ciągnęli do dziada. Przodem szedł chłop niski, kanciasty, kiwał się na boki, oczyma nieufnie błyskał. Czupryna mu zwisała nisko, do brwi - nie wiedziały, że chowa pod nią wypalone na czole klejmo: strzałę przeciętą na krzyż dwiema kreskami. Dwaj inni byli to wolni kmiecie, wiedli zaprząg - wołu i krowę - krótko, przy pysku. Trzy białki dyrdały za wozami, na wozach trzech chłopców, zastrachanych, ciekawych. Śliźniowe baby zeszyły z drogi, przepuściły wozy, przyglądały się gościom. Pierwszy kmięć mijając mruknął:

- Dadźbog z wami.

- Dadźbog - odpowiedziały rozdziawione z podziwu usta.

Przejechali.

Baby nie wytrzymały w polu do zachodu. Ledwo słońce szcerwieniało, schyliło się nad puszcza, pozbierały motyki, dzieci, leciały do domu. Minęły gaj, w którym zwykle palono sobotni ogień, zeszyły między pokręcone brzozy - zapachniała im na moment zgniła wilgoć - ujrzały całe obejście: ciężki, niezdarny dom dziada, pokieroszowany przybudówkami, podle chaty Dobka i jękały Kuwacza - ród stawiał coraz dalsze budowle wzdłuż drogi - obory i stajnie, klecie na siano i zboże - wszystko porozrzucane, szare, błękitniejące na przedwieczery. Dalej migotała rzeka i szeroki kraj puszczy, czarny, obcy, straszny. Trzej przybysze przeprawiali się przez bród naprzeciw Śliźniowego osiedla, woda im bulgotała u kolan, głowy mieli wzniesione, oczy wlepione w puszcza. Wozów nie wiedli.

- Lelum - szepnęła Dobracha- a dobytek kaj? Ostał?

- Pewnikiem doma. W obejściu.

Naprzeciw szedł Dobek, całą gębę miał w dziobach, machał ostro, widać: śpieszył. Mimo to otoczyły go rozgadana cizba. Oganiał się, mało co rzekł. Opryskliwy był. Warknął:

- Dziad mię do Gza wysłał.

- A tamci?...

- Będą puszcza trzebić za rzeka.

- Dziad zwolił?

- Co mu ta, niech żyją. Polana nasza, starczy Śliźniom. A nie starczy, tu trzebić będziem - ręką machnął ku ścianie lasu, czerniejącej po tej stronie rzeki.

- A wozy? Białki? Dzieciska?-sypały gęstym dżdżem pytań, przejęte ważnością zdarzenia.

- Dziad przygarnął, póki chat nie postawią. Puszczaście - rozgniewany już był. Odpłynęły.

Rano już grały siekiery za rzeka. Trzej osadnicy cięli ostro, w pocie, bez ustanku. Nie gadali

do siebie. Prostowali' bolące plecy, opierali się na toporzyskach, zamglonym spojrzeniem ogarniali zwartą gęstwę, w którą ledwo co się wdarli. Przed nimi stała wroga knieja, mieli ją pokonać garściami, ogniem, toporem. Za nimi - kajś, daleko, wiele dni wędrowania - leżała przeszłość, od której uciekli; twardy trud, wołający ich co dnia; ciasnota na wąskiej porębie, gdzie było ich zbyt wielu, by jeść do syta; coraz większe ciężary danin a posług; u klejmowanego niewola, bicie i głód. Przed nimi była puszcza i wola. Spluwali w garść, siekli krze i młode pniaki, wszystko, czemu podoła siekiera, co położy szeroki zamach ramion. Baby szły za nimi w ślad, zgarniały pobitą puszcę w kupę, w wielgachne stosy. Pachniało więdzące liście, świeży sok drzewny, smoła, gęsty pot parującej przyodziewy. Po chwili wydechu naginali się znowu, znów rąbali, baby z suchym szelestem zgarniały wciąż gałęzie, szli głębiej w puszcę i głębiej, zostawały za nimi tylko najtęższe pnie, odwieczne olbrzymy, szumiące konarami nad pobojuwiskiem.

Po Śliźniach chodziły gadki o tej zacieklej pracy. Białki raz wraz latały nad rzekę łypać ślepiami za bród, dziad krzyczał na nie, sprął jedną, drugą. Dzieciska nie odchodziły od rzeki, przycupnięte w kucki, ciekawe. Przyszedł nawet Giez, który rzadko bywał po tej stronie polany - obie gałęzie Śliźniów wadziły się ze sobą, żyły w ustawicznej wojnie a niezgodzie. Pogwarzył małowiele z dziadem, pobobrował po obejściu - wielki, rozrośnięty, barczysty - ruszył nad rzekę, pogmerał nad wodą, podwinął gacie, przebrnął bród. Osadnicy dopiero co zwalili burego ze starości dęba, trzebili gałęzie, stukali obuchami po korze. Białki odciągały konary, raz wraz jedna z nich krzykała:

- Sułek, utnij no tu, nie poradzę.

Giez podszedł, pozdrowił z Dadźbogiem. Białki stały z daleka, lekko zastrachane. Chłopy odłożyły topory, odrzekły także z Dadźbogiem. Giez sapnął, rozejrzał się, przysiadł na starym zwalonym drzewie.

- Sielny pień - mruknął ozierając wysoko wzniesione nad wywaloną jamą korzenie.

Ten, co miał włosy do brwi, uderzył siekierą w tram, stuknęło głucho; błysnął żółtymi zębami:

- Trza ji rozszczepić - roześmiał się, wyprostował, podciągnął ramiona. Tamci kiwali głowami, paluchami wodzili po szurpatej korze.

- Żeście tutki zaczęli... Wielkie drzewa, ciężko uradzić.

- Nie chcieliśmy na odludziu. Mało nas.

- Stary Ślizień wam zwolił?

- Zwolił. Gości nas, póki chat nie postawim.

- Trza było do mnie. Łacniej tam trzebić.

- Wierę, bych był wiedział, tedyby byli poszli. Nynie roboty żal.

- Pewno- Giez burknął niechętnie i wstał. Na odchodnym obrzucił wszystkich trzech bystrym

spojrzeniem, powiedział przez zęby:

- A nie dowierzajcie ze wszystkim staremu, morwie wam. Lis. - Ruszył nie oglądając się do brodu. Patrzyli za nim przez chwilę. Któryś, spluwając w garście, mruknął:

- Trza będzie rozpytać o tego... jak mu tam? Giez? - ujął toporzysko, zamachnął się, rąbnął, pień stęknął i drgnął konarami. Nie pogwarzali więcej. Dopiero pod wieczór Sułek wciął topór w pień, siadł, obrócił ciężkie spojrzenie na towarzyszy :

- Bez tajnego pomysłu nie przyszedł tutaj.

- Bajał, bychmy się strzegli starego.

- Lado! Brateś mu? rodowy?

- To czego...?

- Trza być ostrożnym. Porąbiem do zachodu, tam spoczniem. Pogwarzym.

Dzień w dzień chodzili za rzekę. Miesiąc był ledwo na wietku, gdy ukończyli rąbanie. Liście podeschło pod oddechem upału. Na palenie puszczy zwalili się Śliźnie, jak na dożynki. Białki i dzieci wyległy wszystkie, wielu chłopów. Dziada ni Gza nie było. Osadnicy podpalili narąbany chrust. Dym siał się gęsty, biały, płaski, snuł się między stojącymi jeszcze drzewami, przebijał żółtymi jęzorami, wybuchał płomieniem, znów opadał, zaścielał brzeg; coraz częściej wybłyskał nad nim ogień; wiatr nie powiał, nad pożarem zawisł gęsty, nieruchomy upał; ruda szejoga jęła się unosić od paleniska, bury tuman owinał drzewa, wzbił się wyżej; słońce zawisło nad głowami ogromne, krągłe, bez promieni, jak chore oko nieba; zrobiło się straszno; smród spalenizny wiercił w nozdrzach; było ryczało; zza rzeki dochodził trzask i wycie pożogi; dzieci rozwrzeszczały się; białki brały je w ramiona, lulały, same przerażone; psy wyły; żar buchał przez rzekę, opalał twarze; zaczęli uciekać do domu, Żywula głośno odżegnywała się od uroku; gołe słońce wolno pełzło po niebie, spuszczało się ku zachodowi, coraz ciemniejsze, bure w końcu, palące rdzawym żarem; zaszło; całe nadrzecze osnuł rzadki, błękitnawy dym; zmierzchało; ogień przygasł, ale wyrąbane półkole puszczy żarzyło się niby potworne palenisko; popielalo z wolna; z gęstwy pozostały jeno sterczące osmalone pnie praszczurów puszczy, którym nie podołała siekiera.

Osadnicy zabrali się do nich natychmiast, od rana. Jeszcze tu i ówdzie kryło się pod szarym nalotem zarzewie; ziemia kurzyła pod stopami popiołem; cała przestrzeń leżała czarna i otwarta, gotowa do orki j siewu. Jęli się wyważania pozostałych pni. Obkopywali wkoło ziemię, przerąbywali korzenie, podkładali bierwiona, wyważali je - czerwoni, spoceni, milczący. Pnie walały się z głuchym łoskotem, wyrzucały chmury popiołu. Trzebili je z gałęzi, rozszczepiali klinami, obciosywali na belki. Oznaczywszy zręby chat, zakładali bierwiono na bierwiono w surowy prostokąt, mozolnie wznosili ściany. Białki ciągały kamienie na palenisko, pilnowały chudoby, warzyły strawę, nosiły gałęzie, gromadziły mech do utykania ścian. Ledwo stanęły chaty dla ludzi i bydła, mężczyźni wyciętą z twardego rozwidlenia sochą zruszali glebę, wyrwali z ziemi długie korzenie, przetaczali kamienie i głązy, równali grunt, znów go zdzierali sochą, by z przywiezionych pękatek worów siać ziarno. Bili zwierza w puszczy, białki wytyczyły grędy grodzone chruścianą

plecionką. Żyli. Pracowali. Zasiedli się.

Wrośli w ziemię.

2.

- Ono pło sine-sine, srogie, wkoło czarny las. Zasio w ple onym babrze się dzik, wielgi wielgachny, oczu mu nie widać, sterczą jeno dwa żółte kły, długie a zawinięte, a złe. Packa się dzik w bajorze, kąpie się w pianie, racicami tupie, parska gniewny. Drze ziemię kloma, na brzeg wyłazi, głowę w prawo, w lewo podnosi, charka i kwiczy. A pło bławieje, sinieje, bieleje ze strachu przed onym dzikiem. Bór wkoło szumi a grozi. Woje tegdy skrzykują się, chytają sulice a topory i pode gród idą.

Gęsta cisza wisi nad przerażoną gromadą. Kuternoga podciąga kulas pod ławę, oczy ma dalekie... zapatrzone...

- A gród ów zwą Radgoszcz - baje - walny gród. Broni go tęgi ostrokół, jakiego nie obaczycie indziej. Trzy wrota są w onym ostrokole, wkoło święta puszcza szumi, szumi, ludzką mową gada, święte dęby grzywą trzęsą. Oo! - zawołał dzikim głosem Kuternoga - widziałem ci ów gród i ostrokół, i wrota.

Chłopcy milczą, tylko im krągłe ślepie wyłazą z twarzy, serca stukają. Białkom strach. Oóce kiwają głowami, mruczą z dziwu.

- Dwie bramie zawždy stoją otworem dla gości - burczy Kuternoga nie patrząc na nikogo - ale biada zuchwalcu, jenz by chciał trzecią bramą wejść w gród. Ubiliby go z miejsca. Ubili. Trzecia brama na pło wiedzie, tamże święty dzik mieszka. A w grodzie żyją bogi, Swarożyc z drużyną, a strzegą ich knędze wielicy i możni. Jest tam koń święty, jenz rzuca źrebią przed wyprawą. A padną źrebią na dobro: z chąsą walą, a na zło: doma siedzą, obiaty bogom ślą, odmiany czekają.

Dech zapiera, gdy słuchają o tych cudach-cudeńkach.

- Walczy Swarożyc z Kyryi Krysti - baje zadumany Kuternoga - jenz jest mocny Bóg Niemców a Czechów, a inszych. Książdz Mieszka wwiódł ji do swego kraju, trzemy mu wielgie wystawił, obiaty składa, śpiewają mu, chlebem karmią i miodem poją, a dymią mu, a szepcą i zaklinają. Kyryi Krysti nie lubi, kiegdy mięso jedzą. Tegdy Mieszka zęby łamie, kto by mięso jadł. A w inne dni robić nie wolno nic. A świętych dębów nienawidzi Kyryi Krysti, Mieszka tnie je toporem, ogniem pali.

- Lelum - jęknął ktoś w kącie w śmiertelnej grozie.

- A na miejscu, gdzie dęby szumiały, każe Mieszka znak Kyryi Krysti stawić.

- Jaki znak?

Kuternoga złożył dwa kije na krzyż.

- Taki jest znak Kyryi Krysti.

Dziwią się. Długo milczą. Węgle z łuczywa z sykiem spadają w wodę. Ciemnieje.

Kuternoga przybył zza rzeki w tymże dniu, gdy u Śliźniów zakończyła się zwada pod dębem rosnącym w środku polany. Giez był młodszy od dziada o z górą trzydzieści lat. Młodszej gałęzi rodu,

siedzącej po tamtej stronie polany, przewodził wprzód Racibor. Kiedy zmarł łoni, starostąostał Giez. Niespokojny był człek, prędki, dufny w sobie; oszczepem trafiał w jajo z pięćdziesięciu kroków; bił zwierza w puszczy jak nikt; rwał się do przodownictwa i władzy. Wraz też powadził się z dziadem.

Poszło o łęgi nad rzeką. Giez domagał się podziału, dziad nie popuszczał wspólnoty. Ujadali się. Obie połowy polany koso patrzyły na siebie. Jazgotały:

- Dziad starosta całej gromady.
- Nie nasz.
- Cóżście? Nie Śliznie?
- Wiera, Śliznie. Ale u nas Giez starosta.
- Giez to gid! Zbój!
- A dziad umrzyk! Churlęga.
- Bacz, bo ci toporem w zęby...
- Krowim ogonem ci... ogonem, nie toporem.
- Bacz!
- Gwiazdy policzysz.
- Łajno wole.
- Smardy.

Białki darły się po opłotkach. Otroki pilnujące krów prały się kamieniami. Chłopcy patrzyli na się spode łba, byle o co mogli się wziąć za łby. Giez latał między swoimi, judził, wygrażał; szczyrzyli zęby, pogładając w stronę dziadowych zabudowań. Dziad nie wyłaził z chaty, nasepiony patrzył w ogień, kościstą łapą dorzuczał suszu; ale był zły: nie podejść. Lubusza ruszył do Gza łagodzić: wysmiali go. Dobek przepasał się, chodził ciągiem z toporem; inni brali sulice. Dojrzał ich Giez przy zbiorce owsa, obrócił się, spuścił gacie, wypiął się. Któryś nie wytrzymał, cisnął sulice, nie doniosło. Giez rozrechotał się, wciągnął gacie, ruszył do swoich. Do dziada wleciał Stanko, gęba mu się trzęsła.

- Biją się podle dębu. Kuwacz tyle co dycha- zakrzyknął. Dziad zawiesił na nim ciężkie wejrzenie. Stanko nie strzymał. Wrzasnął raz jeszcze:

- Biją się.
- Cichaj - przeciągnął dziad przyduszonym głosem. Straszonym głosem. Stanko cofnął się. Dziad wstał,

w piersi mu gulgotało. Postąpił krok, dusił z siebie urywane słowa:

- Biegaj... niech wracają... do dom... wraz. Przykazuję - szedł na Stanka, jakby go chciał przywalić - wielki, pochylony. Stanko pobiegł.

Nazajutrz zwołał dziad walny wiec Śliźniów. Lubusza poniósł nakaz do Gza, omal go tam nie ubili. Lecz sprzeciwić się nie śmieli. Zebrali się pod dębem, jak przykazał. Nie gadali nic, spode łba ozierali się na siebie. Dziad wyszedł pod dąb, żeby złożyć ofiarę przodkom. Giez nie uląkł się - ciężko stapał obok. Dziad obrócił ku niemu straszne oczy.

- Ty co?

- Składaj obiatę - warknął Giez - ja złożę od swoich. Krąg dech wstrzymał, słysząc tę śmiałość. Dziad i Giez milczeli, strach, co im w oczach świeciło, co się przelewało. Krąg patrzył na Gza - rozrosłego, potężnego, z sulicą chodzącego na niedźwiedzia: bary kiej wrota, łapy jak żarna, w ręce oszczep, za pasem topór z długim trzonkiem. Kark mu napęczniał, ramiona podeszły w górę, łeb pochylony do przodu - aż drży w złości. Dziad wyższy odeń o głowę, kościsty, z białą, zapuszczoną do szyi grzywą, o kwadratowej twarzy, zaciętych ustach, w długim, mimo upału, kozuchu. Twarz bledszą miał niż zwykle, paluchy ścisnął w pięść, rozprostowywał. Krąg wokół zamarł, szyje wyciągał, patrzył.

Dziad zrobił krok do przodu, nawalał się na Gza, spojrział nań kamiennym wzrokiem, wycharczał:

- Odstąp.

Giez zamamlał wargami, jakby pił powietrze, poczerwieniał, ręka bezwiednie odchyliła się mu do uderzenia. Śliźnie wokół zamarli, nie zrobili kroku, pochylili się. Patrzyli bez tchu.

W tej chwili ów umrzyk, gid, churlęga, starzec osiemdziesiąt wiosen liczący, skoczył by otrok, chwycił Gza szponami za bary, przygiął do ziemi, wyrwał sulicę, tylko mu kawałki drzewa w łapach trzaskały. Giez poderwał się, za topór u pasa, dziad gruchnął go pięścią w pierś, stuknęło tępo. Giez zwalił się, rzygnął krwią. Dziad patrzył chwilę na leżącego, kąty warg polazły mu w dół, obleciał wzrokiem cały krąg - kurczyli się pod tym spojrzeniem - ruszył na nich, rozepchnął gniewnie, bez słowa szedł do chaty. Był daleko od dębu, gdy go doleciał gwar.

Tegoż dnia przylazł od puszczy Kuternoga.

Mało wiele pogadał z dziadem, pokuszykał do osadników za rzeką, stanął u brodu. Trzej chłopcy zbierali na brzegu kamienie do proc. Wrony czarnym krakaniem gęsto waliły od puszczy. Ktoś stukał toporem przy chatach. Białka się wydzierała:

Da - nie pónde w las,

da nie pónde na pole...

Dymy z chat sączyły się w niebo. Pola były zebrane, rudniały już. Na skraju stał wielki chochoł w słomianym kozuchu i czapie. Wróble go obsiadły, jazgotały. Głos białki biegł nad ścierniskiem:

...da - nie dam tobie gęby,

da-swego chłopca wolę...

Da łado, łado, łado!

Da dana da!

Daaa...

Kuternoga obleciał oczyma porębę, słuchał śpiewki, niby prześmiejch przewinał mu się po krzywej gębie. Rękę zwinął koło ust, kostur podniósł, zakrzyknął:

- Tutki bród, czyli dalej?

Chłopcy poderwali się, stanęli bez ruchu, gębule otwarte, oczy wybałuszone. Nigdy nie widzieli takiego dziwa. Człek w wielkim kozuchu, na plecach węzeł, końce płachty biegły mu na ukos przez pierś. Z przodu wisiał mu duży kosz z przykrywą. Najcudaczniejsze! - na ramieniu siedział siwy sokół z przepaską na oczach. Człowiek w kozuchu krzyknął znowu:

- Nie zamoczę tu pępa?

Milczeli, stali urzeczeni. Obcy zmacał dno kosturem, ruszył w wodę. Chłopcy wzięli nogi za pas, z wrzaskiem zmykali. Zatrzymali się przy słomianym chochole, wróble pierzchnęły chmurą, obrócili się: tamten wolno kuszykał pod górę. Hej! - to Kuternoga, prawą nogę miał wykręconą w kabłąk, pociągał za sobą. Chłopcom przybyło serca, stary przywłókł się, dołazł do chochoła, nasunął mu głębiej czapę, trzasnął w kark, słomiany strażnik zatrzęsł się i pochylił do przodu. Stary zarechotał, chłopcy rozjazgotali się, wróble z nadrzecznych wierzb patrzyły setką paciorkowatych oczu, chłopcy powiedli przybysza do najbliższej chaty.

Kuternoga spodobał się osadnikom, dostał pozwolenie osiedlenia się po tej stronie rzeki. Na urwisku nadrzecznym wiatr wywalił rudą sosnę, przybysz obejrzał wykrot, pobębnił kijaszkiem po korze, zrzucił kozuch, zabrał się do roboty. Wartko mu szła robota, do nowiu miał gotową ziemiankę. Dach przyrzucił gałęziami, liśćmi, łajnem; wszystko pokrył darniną. Szczeliny poutykał, właz przesłonił plecionką zalepioną gliną, zawiesił skórą. Legowisko wymościł z mchów, na kamieniach trzaskał ogień, było wesoło. Załazili doń i sąsiedzi, czasem Śliźnie. Parę razy był Giez, siadał na obrąbkach pni, patrzył w ogień, zamyślony słuchał gadek starego. Zły był, kiedy tak słuchał, zębami zgrzytał, zuchwy mu latały. Potem kłócił się z byle kim. Kuternoga łąził po puszczy, wypatrywał barci pszczelich, zasiekał pnie drzewne - na znak, wieszał kłody przed otworem barciowym na rudego mieszkę, podkurzał pszczoły, podbierał je, sycił miód. Za syte dawali mu jadło, za syte i bajbaje, które strachem chodziły po krzyżu, łaskotaniem w gardle. Bywał Kuternoga u dziada, pogwarzał z nim małowiele, dziad lubił bartnika. Poglądał nań ołowianymi oczyma, kulawiec nie lubił tego spojrzenia, kręcił się pod nim, mruczał. Jakoś spytał go dziad:

- Gdzieżeś to przodzi bywał?

Stary zgarbił się, warga mu zwisła, oczyma niespokojnie latał.

- W świecie - odwrócił się do ognia.

- Kaj?

- Ano! - odrzekł Kuternoga i wstał.

Po odejściu dziad milczkiem patrzył mu w ślad. Burknął nie wiedzieć komu:

- Nie zawżdy był bartnikiem. To woj...

- Woj? - Lubusza pochylił się do ojca zadziwiony. Ale stary nie odwrócił głowy.

- Głupi - mruknął jak zwykle.

Szły noce i dni, słoty i pogody, wiatry i mgły. Koguty biły skrzydłami i piałły na wschód słońca. Sroka skrzeczała na płocie. Szły lata, jesienie i zimy. Kawki kołowały nad szarymi śniegami. Drzewa szumiały gałęzią. Chłopcy trzech osadników rośli w cieniu boru, dochodzącego niemal do chat. Puszcza była złowroga i zła. Korzenie drzew wżerały się w zbite gliny - czerwone i twarde - rozgałęziały się w szarych, sypkich piaskach, ssały wilgoć, bytowały na grubych warstwach próchna, na zetlałych, powalonych pniach. Po konarach wysoko chodził wiatr. Huczał czarny i porywisty, łamał gałęzie i trzaskał pnie. Głębokie wykroty rozdzierały wsiąkliwy kożuch mchów - czarne, niewidzące oczodoły ziemi.

Puszcza wołała głosami tajemnicy i lęku. Zimą do chat podchodziły wilki, zwabione zapachem bydła. Wiosną niedźwiedź wyłaził na słodkie owsy, żubry tratowały zasiewy, a od straszących ludzi odwracały się niechętnie i pogardliwie. W mgliste jesienne poranki przesuwiał się po skraju ciemny kształt łosia, w gęstwinie hukało coś, nawoływało, szeleściło - straszne, tajemnicze i złe.

Dzieciństwo biegło w cieniu puszczy, żyło jej tchnieniem, jej grozą i jej powabem. Nocą przychodziły strachy, sny dusiły, usta wrzeszczały w ciemności, w obłądnym przerażeniu. Długie opowieści szeptane przy wygasającym ogniu w czarne zimy, gdy wiatr gwizdał na zrębach, a śnieg wciskał się przez próg, przybierały nieodmiennie kształt puszczy. Okropne stwory, za dnia nie widziane, wychylały się z szumiącej ściany boru, skradały się za węglami, skrobały w ściany, chrobotwały nieustępliwie, krążyły wokół złośliwe i straszne. Strach był kosmaty, włochaty, duszący, dławiał mrozem cienkie szyje, zmuszał do nagłego krzyku. Matki odganiały go lulaniem, zamawianiem, śpiewem. Nie ustępował. Wzrok błąkał się pod poszytym dachem, gdzie na wyżce złożone było siano i gdzie tały się potwory puszczy. Porosłe burym mchem pnie drzew podkładały się pod samą chatę i głośno tupały za ścianami. Wiatr wstrząsał zrębami i wył w szparach. Włosy jeżyły się na głowach, twarze były rozpalone i oczy nie śpiące.

Puszcza szła wszędy rozległa, ciemna, zwarta, pełna trzęsawisk i zasieków ze zwalonych pni, pachnąca pleśnią i zgnilizną, rozrosła gęstwą nie do przebycia, pełna ryku żubrów, miłosnego barkania się, nocnych tupotów i trzasku łamanych gałęzi, ćwierkająca w miłosne wiosny ptasimi zalotami, tokująca w siwe poranki, gdy słońce ledwo różowi płaskie korony sosen, brzęcząca owadzimi skrzydłami, ciasna w gąszczu i złocista na zielonych polanach, gdzie ponad gęstym

kożuchem mchów chmary ważek goniły za zdobyczą.

Dokoła przez cały kraj, jak znały go stopy wędrowców i gadki długich wieczorów, szła puszcza. Jeleń wznosił koronę rogów i nasłuchiwał dalekiego wycia wilków. Dzik czochrał się o drzewo, pszczoły broniły się przed napaścią niedźwiedzia, na płowe sarny spadał z gałęzi żbik, syczące węże czatowały na leniwe ropuchy, jaskółki gnieźdzące się nad brzegami rzek zataczały szerokie kręgi w pogoni za muchami, cierpliwe pająki czyhały bez ruchu w środku siwych sieci.

Puszcza dygotała głosami miłości, walki i głodu.

Gdy w chatach nad rzeką bajał Kuternoga swe baje, gdy bajał o wielkich grodach pełnych bogactw, bronionych wałem wysokim na chłopa, ostrokołem i wieżą, lub o jeszcze cudniejszych grodach z kamienia, z których zjeżdżali obcy przywożąc na zamianę ciężkie topory i miecze, złociste szaty i czerwone podbicia pod futra, złote i srebrne kubki i misy, bisior i wonności dla białek, bransolety kute lub splatane ze złotego drutu, kabłączki i zausznicę, klamry wysadzone lśniącymi kamieniami, zawsze dokoła tego bajania - tu nad rzeką i tam w cudkrajach - szumiała czarna, wroga puszcza. Przepływały przez nią rzeki, przebiegali woje księcia Mieszki, dochodziła do morza, za którym mieszkali Duny a Swije, Psiogłowcy a Samojedź, stała wszędy zwarta; tylko tutaj rozjaśniała ją wypalona czy wyrębana polana, na której gmerał się człowiek, na którą wypadał tur, wypełzała dziwożona, nocami wyły dziady.

Puszcza szła we wszystkie strony, gdzie słońce wschodzi i gdzie zachodzi, skąd przylatuje wiatr, gdzie noc się zaczyna i gdzie blady miesiąc tonie w gęstwie drzew. Ogromne święte dęby, siedliska duchów puszczy, rzucały w tustą próchnicę gładkie, złote żołędzie. Te, jeśli ich ryj dzika nie wyżarł, leżały przez zimę pod śniegiem. Wiosną pęczniały od wody i od potężnej żywi, rozpierały skorupę, aż wytryskał z nich zielony strumień młodego pędu. Ciepłe dżdże poiły je brunatnymi smugami, promienie słońca dodawały sił, gleba nagrzana i parująca rozgrzewała i karmiła. Potężną falą życia tryskała ziemia, a za dębami, modrzewiem, ostrzęzyną i mchem parzyły się w gorącym porywie żubry i łosie, chutne dziki i płochliwe zające, ptactwo na gałęziach, wszelaki zwierz żyjący w puszczy, ryby w rzekach tarły się o siebie nad ikrą, węże zwijały się miłośnie, muchy i jętki złączone z sobą wirowały gęsto w gorących promieniach słońca; krowy i łanie chodziły po lesie ociężałe i lepkie, rogacze spoglądały na się krwawymi oczami, z łoskotem zderzały się rogami w ślepej walce o prawo do miłości. Łoś beczał przeciągle, tokował głuszec i wiwilga wabiła na gałęzi.

Coraz potężniejszą falą zalewała kraj puszcza.

Wraz z puszczą, bojąc się jej i walcząc z nią bez ustanku, pienił się człowiek. W gorącą noc, gdy ciężarna łania rozkraczała się do porodu i wrzące życie rozsadzało skorupę żołędzia, gdy ptaki zachłystywały się z żądzy w świegotliwym śpiewie, a rozparzona ziemia przyjmowała w siebie nasienie, księżę Mieszka przygarnął łapczywie Dobrawę, przywalił ją swym ciężarem, rozdygotany i żądny, namiętne zwierzę puszczy. Gałęzie szumiały pod wiatrem, lędźwia były pełne chuci i spazmów.

Puszcza dygotała miłością.

Kuternoga zamieszał wystygłą bryję owsianą, siorbnął głośno i zaczął opowiadać zasłuchanym

smardom, że księciu Mieszce urodził się syn, nazwany później Bolesławem.

3.

Chłopcy leżeli na brzuchach u skraja wysokiego urwiska, spadającego wprost w rzekę. Weszło machali nogami, słońcu wystawili pośladki. Trzy ręce trzymały naciągnięte sznury, trzy pary oczu wpatrywały się chciwie w wijące się na kościanych haczykach robaki - czerwone i tłuste. Piasek na dnie lśnił wilgotnym chłodem. Widzieli ryby - i jakie ryby! - płoć szeroką na dłoń, jazie o grubych karkach, żarłoczne okunie o zapleśniałych grzbietach. Słońce zielonawo sączyło się przez wodę. Ryby pływały sennie, stały w miejscu nosami pod prąd, śmigały nerwowym ukosem. Podpływały do przynęty, trącały ją, nie brały. Słońce paliło, czas ciekł. Chłopcy wyciągali sznury, zmieniali robaki, zdarte z haczyków rzucali w wodę: ryby zjadały je, nim robaki dosięgły dna. Żadna nie ruszała wędy, chłopcy mieli usta bądź pełne śliny, bądź suche niczym drewno. Głód skręcał kiszkę. Ryby leniwo snuły się tu i tam, nudnie, beznadziejnie. Niecierpliwość dusiła w dołku, pod żebrami, w gardle.

Roztopiony w powietrzu skwar kłonił do snu. Była cisza. Nad nurtem pływały bez szmeru ważki. Koniki polne napełniały upał jednostajnym, suchym trzaskiem. Drzewa chyliły się nad prądem zmęczone i przywiedle. Oczy chłopców coraz częściej zwracały się ku zakrętom rzeki, gdzie szerokie kępy krzewów pochylały się nad zaciemnionym tunelem - chłodnym i mrocznym. Woda zdawała się tam bardziej zimna i bardziej wilgotna, a cisza jeszcze głębsza i pełniejsza.

Z tej ciszy i tego bezruchu wysunęły się trzy łodzie, jak widma tajemnicze i nierzeczywiste. Wysoko zadarte ich dzioby lśniły pękami czerwonych piór. Błyskały miedziane okucia. Łodzie ślizgały się po wodzie cicho i szybko. W każdej stało kilku mężczyzn. Długimi drągami odpychali się od dna, schylali się w rytmicznych pchnięciach, wyprostowywali się ruchem jednostajnym i prędkim, przynosili drągi do przodu, zanurzali w wodę bez plusku. Raz wraz szereg drągów wznosił się i opadał, gęste krople błyskały w słońcu jak skry.

W tyle pierwszej łodzi stał woj z błyszczącą blachą na piersi, z nagim mieczem w ręce, wyniosły, jakby skamieniały. Na głowie miał rogatą czaszkę tura, wyglądał groźnie i obco. Nieruchomym spojrzeniem badał oba brzegi.

Chłopcy na wyniosłym urwisku znieruchomieli, przypląszczyli się, okrągłe oczy wlepili w sunące łodzie. Wciąż wisiał duszący upał. Z dala - w górze rzeki - zaczęła klepać kijanka - nie słyszeli. Patrzyli. Patrzyli, łodzie były o sto, o pięćdziesiąt kroków. Drągi unosiły się i opadały. Rogaty wojownik dojrzał trzy chaty po tej stronie rzeki, wskazał na nie mieczem. Chłopcy usłyszeli jego ochrypy szept. Wioślarze przykurczyli się, ostrym pchnięciem skierowali korabie wprost ku urwisku. Chłopcy poderwali się z wrzaskiem. Wyrwane z nagła sznury wzniosły się wysoko w powietrze, na jednym zatrzepotała ryba i, zatoczywszy łuk jak gwiazda, poczęła się rzucać w trawie. Chłopcy z krzykiem gnali ku domom. Jeden potknął się, rozkrzyżował ręce, znów potknął się, upadł; w plecach tkwił mu pierzasty bełt strzały. Przykucnięty tuż przy czerwonym pióropuszu na dziobie pierwszej łodzi wojownik wyprostował się, odgiął się do tyłu, mocnym wyrzutem ramienia puścił oszczep. Widać było, jak drzewce leciało, lekko się obniżając, trafiło drugiego chłopca w rękę, przygwoździło ją do nadbrzeżnej sosny. Otrok obwisł od razu, po rzece pobiegł ostry chłopięcy skowyt. Trzeci zatoczył się, głowa mu latała na strony, strach podciął nogi. Upadł. Podniósł głowę, rozejrzał się, usta miał szeroko otwarte, ale nie wrzeszczał. Nieprzytomny zsunął się z wyniosłości, wpadł w gęstwę sitowia. Tu przycupnął, zamarł, patrzył poprzez zielone laski.

Widział, jak łodzie szybko i sprawnie przybiły do brzegu. Wioślarze pokładli swe drągi, chwycili sterczące między nogami miecze. Jeden za drugim giętkim skokiem wydostawali się na brzeg, biegli w ślad za rogatym wodzem; wódz wskazywał im chaty osadników i ziemiankę Kuternogi. Coś krzyczał, sypali się nieporządną, lśniącą ławą. Sułkowa podle swej chaty tłukła w stępie ziarno. Dostrzegła ich, porwała się, tłuczek wypadł jej z dłoni, uniosła ręce do głowy, wrzasnęła. Zamarła z podniesionymi rękoma. Wrzask przebiegł od chaty do chaty. Ojce byli niedaleczko, przydyrdali wszyscy trzej, stanęli, stali chwilę, skoczyli do chat. Nim chwycili za broń, tamci dobiegli. Jednego zarąbał na progu rogaty przywódca. Dwaj inni wyskoczyli z toporami, padli pod ciosami gęstymi jak wiosenna ulewa. Zdobywcy runęli do chat po kobiety, zboże, bydło. Zatrzymał ich nagły krzyk wodza.

Odwrócili się, dojrzeliby osadę Ślizniów. Rozsiadła się na szerokiej polanie w gorących promieniach słońca. Szerniałe strzechy będą się palić wysokim słupem ognia. Krowy na łągach nadrzecznych spokojnie gryzły trawę. Białki muszą być tam liczne i jędrne. Mężczyźni będą umierać z krwawym charkotem przeciętych gardzieli. Zarzynane dzieci napełnią polanę wrzaskliwym jazgotem.

Stłoczoną ciżbą - zbrojną i rozdygotaną - stali. Patrzyli. Milczkiem.

- Jomsborg! - wrzasnął przywódca. Nim zawyli odzew, nim runęli ławą, dobiegł ich śpiew. Kobięcy głos był silny i śmiały. Rozpalona cisza południa dusiła ciężkim żarem. Śpiew był chłodny. Dreszcz przebiegł drużynę, oczy szukały po nadbrzeżu. Śpiewaczka stała u rzeki nad stosem mokrego płótna. Wyprostowana, ręce zarzuciła za głowę, ramiona rozchyliła, szeroka, rozłożysta. Dwie jasne kosy rzucone na przód ciała spływały do kolan, kieckę miała podchyłoną, kolana były białe. Patrzyła wprost na wyprężoną zbójcecką kupę - czarne sylwety na tle zsiwiałego od gorąca nieba. Spojrzenia dzikich wojowników otoczyły ją wirem rozpalonych pożądań.

Nie drgnęli. Nie ruszyli się z miejsca. Słuchali.

Skamieniała drużyna Wikingów. Urok? Czar?

Dziad Ślizień siedział zgarbiony z rękoma opuszczonymi między kolana. Pod podłogą skrobał skrzat, prawnuk popiskiwał w kolebce. Między kolebką a paleniskiem kręciła się Dobracha. Postukiwały garnki, dym snuł się nisko płaskimi warstwicami. Trzaskał chrust w ogniu. Izbę przepełniał żar południa. Przez jaskrawe wierzeje wpadał biały blask, pełen upału i ciszy. Na czerwonym czole Dobruchy lśniły duże krople potu, raz w raz ścierała je wierzchem dłoni.

Tę ciszę rozciął, jak nożem, ostry i silny śpiew Dziewanny. Ledwo przebrzmiały pierwsze słowa, stary zerwał się.: oczy mu się otwarły szeroko, wargę obwisła. Stał bez ruchu - jedną chwilę. Fieście zacisnął, podniósł w górę, zaczął iść ku kolebce wściekłym, obłąkanym krokiem. Dobracha zamarła, skoczyła do kołyski, zakryła ją sobą. Wyjąkała:

- Dziadu...

- Suka! - wrzasnął Ślizień, skrzek mu wydobył się z piersi. Nachylił straszną twarz tuż nad zmartwiałą Dobracha, wyszeptał prosto jej w ślepie:

- Suka...

Dobracha zasłoniła twarz dłońmi, nie mogła znieść tego, co tało się za dzikimi oczyma dziada.

- Ja...? Co? - marniały zbieleły usta. Pchnął ją:

- Durna! Nie ty! Tamta! Śpiewa świętą pieśń rodową. Pieśń zwołującą wojów do walki. Dziewucha! Suka!

Teraz przeszło mu odrętwienie. Tupał nogami, trząsał pięścią. Dobracha przechylona nad kołyską patrzyła w niemym przerażeniu.

- Ubiję sukę! Między drzewami rozedrę! Między drzewami.

Dziewanna nie opuściła ramion, stała bez ruchu nad stosem płócien, nie spuściła oczu z wrogich, czarnych sylwet, wyciętych na siwym niebie. Wciąż śpiewała.

Gorm - rogaty przywódca jomsborczyków - przeciągnął dłoń po czerwonej twarzy. Nie ruszył się. Słuchał. Słuchał oczyma. Szybko dychał.

Stejn trącił łokciem Bjórna, ledwo przechylił głowę, nie odwracając oczu od śpiewaczki. Szept jego był z lekka ochrypły.

- Sielna dziewczucha. Nie stracha się. Takiej nie widziałem. Gorąca - odburknął Björn. Głos mu dygotał.

Słuchali.

Wściekle myśli śmigaly przed oczyma starego Śliźnia.

Wszystko wspominki o Dziewannie.

Zuchwała dziewczka.

Zbuntowała się, gdy miał ją snębić z Sosikiem; uciekła pod opiekę Gza; oparła się.

Broni miała się - dziewczka! - zwierza biła w puszczy.

Chłopów wodziła za sobą - śmiechem, wabiem, śpiewką.

Lubiła się w noc świętego płomienia letnich Godów, wracała z zieleń w jasnych kosach, z wyszczerzonymi zębami, z wyzwaniem w oczach.

Kwiatu paproci szukała.

Wędrowała po polach ze śpiewem, gdy robota czekała doma.

Odgryzała się słowem za słowo, uciekała od bicia.

Nieposkromiona.

Nieulekła.

Isty chłop.

Dziadowi czerwone skry latały przed, oczyma. Dobracha nie spuszczała zeń przelęknionego spojrzenia. Prawnik popiskiwał, białka lewą ręką kolebała kołyskę.

Nad polaną leciała święta pieśń rodowa, nigdy przez usta żadnej dziewczki nie skalana.

Normany to jedno umieli odczuć: czar pieśni. To jedno - poza chucią i wrzącą namiętnością walki. Sami ryczeli pieśni siedząc w krąg przy ognisku lub walcząc w łodziach z morską burzą. Przekrzykiwali pieśnią ryk huraganu i huk bałwanów bijących w dzioby łodzi, rozpryskujących się w białą, pienistą mgłę. Płacili hojnie zdobyczym złotem skaldom, radowali się pieśnią.

Ale tu było coś innego.

Ich pieśni były huczącym chórem zwycięstwa i siły albo tajemną tęsknotą pod gwiazdzistym niebem i szumiącymi konarami czarnych sosen. Pieśni skaldów były opowieścią o miłości i śmierci, o bohaterskich wodzach i dumnych kobietach, o białej pianie morza rozbijającego okręty i o bogach mocnych i mściwych.

Ta pieśń była inna. Pieśniarka była inna.

Nieulekłe patrzyła na wrogów, odsłaniała się, oddawała. Śpiewała. Echo nadbiegało od lasu. Słuchali wciąż. Urzeczeni.

Dziad stał pośrodku izby, oniemiały z gniewu i zgrozy. W czarnym obramieniu odrzwi odcięty kwadrat nieba wypełniała już wrzawa. Sylwety mężczyzn, pobudzonych pieśnią, przesuwały się w pełnym biegu. Coś krzyczeli. Tupot nóg. Stukanie toporów. Wpadł Lubusza z sulicą, bez czapy, nie zważał na zasepienie dziada, wrzasnął:

- Ociec! Co? Wiedźcie!

Dygotał cały z podniecenia. Znad rzeki dobiegał wciąż głos Dziewanny, powtarzającej rodowe zawołanie. Kończyła i zaczynała na nowo.

Na zawołanie to nie można było być głuchym, nie można stać bezbronnym, choć wybiegało ono z ust dziewczki. Stary Ślizień - pochylony - powiedział głosem ochrypłym:

- Dajcie topór.

Zatupotały boscie nogi Dobrachy. Wlokła topór po toku, nie była w stanie go dźwignąć. Ślizień drżącą ręką ujął trzon, twarz mu stwardniała, wyprostował się z wolna.

Topór dawał mu poczucie rodowego porządku. Wytoczony z szarego głazu, wyszczerbiony w bojach,

olbrzymi i ciężki, był oznaką siły rodu. Bardziej młot niżli topór, głaz na trzonie. Dziad go otrzymywał od dziada, szedł topór z pokolenia w pokolenie od najdawniejszych czasów, gdy jeszcze dęby były żołądziami, a mrok krył początek rodu. Był tak ciężki, że jeno Giez i Lubusza nim władali, a jeno dziad machał nim z łatwością. Topór zawsze dawał Śliźniom zwycięstwo.

Dziad założył broń na ramię, wyszedł z chaty, rozejrzał się. Spotkały go przestraszone gęby, pytające oczy. Synowie, wnuki, bratańce stali zbrojni, zbili się w bezładną kupę, w kupie czuli się pewni. Z wolna krew napłynęła dziadowi do twarzy - druga fala gniewu na Dzięwanę.

- Ubije ją - mruknął Dobek do Lubuszy.

W tejże chwili pieśń się urwała, jakby pękła. Czar prysł. Dziewczyna w mig zatraciła swą dumną nieruchomość. Obejrzała się płochliwie, przykurczyła, zawróciła nagle, pierzchła ku swoim. Czarne błoto przybrzeża przyskało jej pod nogami. Normany jednym skokiem ruszyły za nią. Chociaż żaden nie pomyślał, by cisnąć jej w plecy oszczepem, Gorm wrzeszczał lecąc z góry wielkimi susami:

- Żywą! Żywą!

Nie spuszczała z niej oczu. Biegła, rozhuśtana w biodrach. Wpadli w rzekę, szeroka fala uderzyła mętnym wałem o tamten brzeg. Paru skokami przebyli bród, grząskie bagno przybrzeżne, ten i ów potknął się przy wdrapywaniu się na wyższy brzeg, ale do drzew dotarli zwartą gromadą. Biegli wprost na osadę.

Zapomnieli o dziewczynie, gdy z bliska dojrzeli chaty. Falowała tam ciżba gęsta, zbita, wielka - obleczone w płótno chłopcy były zbrojne, wielec liczniejsze od normańskiej chasy. Gorm dojrzał wysokiego starucha z wielkim toporem w dłoni. U boku jego przykucnęła śpiewaczka, włosy miała roztrzęsione, dziad lewą rękę wsparł jej na ramieniu. Gorm zapiął zarzynanym głosem:

- Jomsborg!

- Jomsborg! Jomsborg! - przeleciała wichura wycia.

Biegli.

O trzydzieści kroków sypnęły się na nich kamienie. Któryś zatoczył się, jęknął, przysiadł, obu rękami chwycił się za brzuch, zwinął się w kłębek. Któryś wypuścił miecz, wyciągnął ręce, zwałił się gębą na trawę. Kamienie leciały. Gorm powiódł wzrokiem po chmarze wrogów. Nie zmoże ich - taka kupa - i gotowi! Krzyknął ponad wrzaski Śliźniów:

- Brać towarzyszków. Za rzekę! Za rzekęęę...

Zawrócili bez pośpiechu, podnieśli ranionych. Cofali się wolno z obróconymi ku wrogom twarzami. Paru Śliźniów porwało się za nimi. Osadził ich głos dziada:

- Stać! Stać!

Normany przeszły bród. Śliźnie widzieli ich, jak wspinały się na stromą górę - ku zdobytym chatom

trzech osadników.

4.

U chat znaleźli tylko pobitych mężczyzn - kobiety i dzieci znikły; strach przed ludźmi był większy niż strach przed puszcą. Zbiegowie siedzieli gdzieś na kępach mchu pod dębami, drżąc z lęku i zawodząc. Niemowlęta kwiliły przestraszone płaczem matek, a słońce rzucało na głowy ruchliwe, zmienne plamy znad zielonej kopuły puszczy.

Napastnicy zasiedli w krąg. Gorm wodził po nich srogimi oczyma. Jeden z rannych, złożonych pod chatą, jęknął cicho, otworzył oczy, podniósł się na łokciu. Oparty o zrąb patrzył przez migocące przed oczyma płatki na milczący krąg towarzyszy.

Po tamtej stronie rzeki falował tłum Śliźniów, zgiełkliwy i niepewny. Nie mieli nic z surowej godności napastników, mimo że odnieśli zwycięstwo. Gorm patrzył na nich spod szerokich turzych rogów, twarz mu zalewała czerwona fala wściekłości. Głos jednak miał spokojny, gdy pytał:

- Wracamy, towarzysze?

Żaden się nie poruszył, dławiła ich zawziętość i wstyd. Milczeli. Wodzili wzrokiem od Śliźniów do Gorma. Zęby błyskały spod zarostu.

- Uchodzić, czy uderzyć?

- Uderzyć na nic - buchnął Björn - wielka kupa. Nie wydołamy.

Posypały się głosy - bez ładu.

- Dobrze mówi.

- Szczeka Björn. Parszywcy. Nie ustoją.

- Nocy czekać. Nocą napadniem.

- Do nocy pomoc może przyjść.

- Głupiś. Skąd? Głusz tutaj.

- Mogą gdzieś siedzieć po polanach.

- Ani chybi.

- Jak wracać bez łupu?

- Łup znajdziem w tych kleciach.

- Taki łup! Obaczysz, jak cię bracia przyjmą.

- To uderzaj. Wraz ci mordę toporem rozdziakną. Oczy pełne żarłoczności błądziły po osadzie, której

nie dało się złupić i spalić. Nie skosztowali krwi mężczyzn ni rozkoszy kobiet. Odeszli pobici tak niespodzianie, jak nigdy się to jeszcze przy nagłym napadzie nie zdarzyło. W jazgot wymysłów wpadł zdumiony głos Gorma:

- Kto ich o nas uprzedził?

Dusiło ich to samo zdumienie i ten sam gniew. Wszak chwilę przed napadem patrzyli na osadę spokojną i senną. A zaraz potem napotkali tłum gotowy i zbrojny. Kto uprzedził?

- Nikt nas wprzód nie widział - mruknął Stejn. W tejże chwili Gorm uderzył pięścią w ziemię:

- Pieśń dziewczyny zwołała obrońców!

Zapadła cisza. Upał smażył, powietrze było gęste od żaru. Zrozumieli - tak było: dziewczyna zwołała obrońców, pokonała drużynę Nordów. Pieśnią. Stała przed nimi - urzeczonymi - z rękoma bezbronię splecionymi za głową, z kosami spływającymi do białych kolan, śpiewająca pieśń.

- Sucza mać! - zawrzasnął Stejn. - Wojenną pieśń śpiewała nam pod nosem.

- Dziewka! - oburzył się któryś i zamilkł.

Przed oczyma Gorma stała wciąż jej jędrna sylwetka. Wódz zerwał się jednym skokiem, oczy mu gorzały, zawołał:

- Zbierać gałęzie! Palić ogień! Zostajemy!

Dalekie echo odniosło doń to słowo "zostajemy", jakby puszcza odrzucała mu groźbę z powrotem. Słońce paliło wciąż jaskrawą spiekotą. Ściana lasu wisiała opodal, milcząca i groźna. Gorm pociągnął dłonią po spoconej twarzy i jednym szarpnięciem zerwał z głowy turzą czaszkę; parzyła go.

Tego wieczora słońce dłużej niż zwykle chowało się za ścianę puszczy, jakby nie chciało zostawić ziemi na pastwę nocy. Ostatnie blaski złociły jeszcze korony drzew, szczelinami lśniły długie ukosy świetlne. Nad ziemią panował już półmrok i chłód. Stary Ślizień siedział na omszałym głazie przed chatą, topór wojenny trzymał między nogami. Patrzył spod krzaczastych brwi na Gza, który machał rękoma i krzyczał.

Giez przybiegł ze swoimi na pierwszy odgłos walki. Stare waśnie rozwiały się jak dym wygasłego ogniska. Przychodził z pomocą, ale nie z uległością. W oczach dziada tała się złość. Giez jej nie widział - był jary, palił się do bitki, do pognębienia wroga, do sławy. Dziadowi krew już wystygła. Na okrzyki Gza odpowiadał nieodmiennie:

- Niech odejdą, skąd przyszli. Co im złupimy?

Giez zamilkł, w oczach mu się paliła wściekłość rozpacz. Wyciągnął topór z za pasa, wskazał na chaty osadników, wołał:

- Pobili tamtych... krew rozlali na naszej polanie. Nie lza puścić, trza mścić - zachłysnął się własnym krzykiem, przełknął raz, drugi, jabłko na szyi mu drgało; wepchnął znów topór za pas, chwycił dziada za ramiona, zawył:

- Mścić! Mścić!

Na te słowa, może na ten gwałtowny ruch, dziad powstał, strząsnął z siebie dłonie Gza, spojrzął spode łba za rzekę, odwrócił się, ruszył do chaty. Przy wejściu stanął na chwilę, mruknął:

- To obca krew. Nie Sliźniów.

Giez zakręcił się, obejrzał się bezradnie na stojących dookoła. Lubusza, zwykły słuchać rodzica, kiwał głową. Sobek podobnie. Kuwacz oparł obie dłonie na wbitym w ziemię oszczepie, głowę opuścił, mlaskał wargami. Dobek przysiadł, stukał obuchem o ziemię, nie patrzył na stryja. Mrok gęstniał. Giez wyciągnął do nich zaciśnięte pięści niemal błagalnym ruchem.

- Woje my, czy białki? - stęknął.

- My kmiecie - odmruknął Kuwacz nie podnosząc głowy.

- Baby! - zakrzyknął Giez.

- Niech odejdą - szept Lubuszy jak zawsze był wahający się i niepewny.

- Nie odejdą. Mieliby odejść, wżdyćby już ich tu nie było.

- Będziemy czekać u siebie. Doma - odparł uparcie Lubusza.

Na te słowa Śliźnie się ozywili. Z ciemności napływały słowa pełne otuchy:

- Doma! Po co nam do nich iść? Doma będziemy czekać!

- Już ich raz pobilim - głos Lubuszy stwardniał dumą. Giez szukał słów.

- Słuchajcie - zawołał - słuchajcie, Śliźnie! Za dnia ciężko bić Normanów. Taki ci mieczem pchnie, ani obaczysz. Teraz jest noc, ciemność. W ciemności lepszy topór a maczuga niżli miecz. Toporem ich rąbać, sulicą kłuć. Zaraz spać się pokładną, tedy podleżć k'nim cichaczem a bić. Miesiąca nynie nie ma, noc będzie ciemna.

Lubusza dotknął go z lekka, wyciągnął rękę w stronę rzeki.

- Obacz no - rzekł.

Giez odwrócił się gwałtownie, ciężar zwałił mu się na pierś. Kraj puszczy leżał już w głębokim cieniu, tylko niebo u góry jaśniało złotem i zielenią. Nordowie ułożyli nad rzeką trzy wielkie stosy, opodal leżał nagromadzony susz. Przy każdym stosie klęczał wojownik i głownią podpalał gałęzie. Płomień tlił się przez chwilę, aż wytrysnął czerwonym słupem ku górze. Wojownicy dokładali suszu.

- Nie posną - mruknął Dobek i zacisnął zęby.

Giez nie rzekł więcej ni słowa. Ciężko zasiadł na kamieniu, który dopiero co opuścił stary Ślizień. Tępo spoglądał na wodę migocącą odbłaskiem ognisk, na łodzie z czerwonymi pękami piór, na czarne sylwety napastników. Siedział nieruchomo, nie bacząc, że gęsta rosa przemoczyła mu giezło, a szerniałe niebo rozblętyło migotem gwiazd.

Śliznie pokładli się pokotem u ścian chaty, nie popuścili broni z ręki. Gwarzyli jeszcze małowiele, spozierali za rzekę, milkli, zasypiali, sapali, chrapali. Czuwał tylko Lubusza i Sobek, i Giez, siedzący nieruchomo, zastygły w poczuciu zawodu i czarnej nienawiści. Trzy ogniska płonęły wciąż wysoko i jasno, a czarne sylwety straży, półpochylone, skupione i czujne, nieustannie badały rzekę i całą polanę. Długie ostrza ich nagich mieczów świeciły niby zalane krwią po rękojęść.

Te miecze dojrzał Kuternoga, kiedy rozchylił leszczyny po spóźnionej wędrowce w puszczy: nie wysokie i jasne ogniska, nie oświetlone trupy pomordowanych kmieci, nawet nie cienie wojowników, rysujące się ostrą sylwetą na blasku płomienia, ale miecze ociekłe krwią, długie, ostre z dwu stron, o rękojęści szerokiej, chronionej poprzecznym żelazem, dzięki której miecz miał znak Kyryi Krysti. Patrzył na nie, mrugał oczyma, znowu patrzył.

Powoli, bardzo powoli, jakby coś przypominał w ponurym zamyśleniu, oderwał wzrok od mieczów i oglądał wszystkie szczegóły poręby. Na wystającej belce jednej z chat, gdzie białki wieszały garnki wyszorowane piaskiem i wymyte w rzece, dostrzegł czaszkę tura, zdjętą z łba Gorma. Zatrząsł się na ten widok, znów mrugał i znowu patrzył.

Jeszcze nie był pewny, jeszcze szukał. Wreszcie dostrzegł na rzece czarne sylwety łodzi z pękami piór na dziobach. Wówczas wyprostował się nagle, podniósł obie ręce nad głową i rzucił w czarną noc prastary, zapomniany już okrzyk bojowy:

- Zdary! Zdary!

Jeszcze nie przebrzmiało echo tłukące się na skraju puszczy, a już Nordowie się poderwali. Jednemu z nich mignęła w niepewnym odbłasku ognisk stojąca na skraju puszczy postać ze wzniesionymi rękoma, jakby wzywająca gwiazdy, by spadły na wraźych przybyszów. Ręka w mig odchyliła się do tyłu i oszczep poleciał ostrym łukiem do celu. Nie zastał już nikogo. Kuternoga uchylił się, skoczył w cień, a grot wbił się w stojącą na skraju sosnę. Drzewce oszczepu, zahamowane nagle w chciwym locie ku śmierci, drżało przez chwilę z podniecenia, aż zamarło, ciche już i niegroźne.

W chwilę później wojownicy przeszukiwali skraj puszczy, nurkowali wśród krzaków, smagani przez gałęzie, potykali się na wykrotach. Po Kuternodze nie było już śladu. Przebiegł chyłkiem kilka kroków, zagłębił się między drzewa, umknął znaną tylko jemu ścieżyną.

Ten pstry, doniosły krzyk pobiegł również i dalej, za rzekę, dotarł do Ślizniów. Poderwał ich swą niespodziewaną nagłością i namiętą siłą. Nie poznali w tym młodzieńczym, wyrzuconym z piersi pełnej bojowego zaślepienia, okrzyku - chropawego zwykle głosu starego kulawca. Stali zapatrzeni długą chwilę w gwałtowną ruchawkę wśród Nordów, zadziwieni niespodzianką, zalękli tajemnicą tego głosu, który wydała - zda się - knieja na zgubę... im? napastnikom? całej polanie?

Jedynie Giez się nie ruszył zmartwiały na swym kamieniu, ciężka, nieruchoma masa: czarna gorycz na myśl o tchórzostwie gromady. Podniósł głowę na dźwięk rogu za rzeką, obrzucił niewidzącymi oczyma ogniska i zgiełkliwy tłum wrogów i znowu zamarł w niemej, nieruchawej wzgardzie.

Powoli rozruch, jaki po zawołaniu się zerwał, zaczął obumierać po tej i tamtej stronie rzeki, płynącej cichym, jednostajnym nurtem, nie zmaconym przez żadne burze serc ludzkich. Szerokie, płytkie wiry zwijały się i rozwijały na powierzchni, migocąc z lekka odblaskiem płonących stosów. Prąd niósł niepowstrzymanie tłuste muły i jałowe grudki piasku, ocierał się o wilgotne brzegi, poił korzenie drzew i dawał oddech sunącym wolno rybom. Z jednaką obojętnością odbijał wojenne ogniska i dalekie gwiazdy, cienie łodzi, co przepłynęły po nim, nie zostawiając śladu. Na chwilę spienił się, gdy przez rzekę powyżej brodu przeprawiał się Kuternoga, starczy znów i utykający, by zaraz wygładzić się w pełnej obojętności.

Lubusza drgnął ujrawszy wyłaniającą się z gęstego cienia nocy czarną, dziwaczną postać. Ucieszył się, gdy poznał Kuternogę - dziad zawsze uważnie go słuchał i rad z nim gwarzył. Kuternoga zapytał podnieconym, ochrypłym głosem:

- Gdzie dziad?

Lubusza wskazał ręką.

- W chacie.

- Śpi?

- Pewnikiem śpi.

- Śpi, a zbóje jomsborscy zamyślają o napadzie - mruknął zgorszony kulawiec.

- Zbóje jomsborscy?

- Co myślicie? Najgorsze zbóje z pobrzeża. Że was nie pobili dotąd?

Głos Lubuszy pełen był godności i dumy:

- Śliźnie ich pobiły. Dwóch ledwo zipie.

Zdało mu się, że Kuternodze dech zaparło. Oparł się ciężko o sag drzewa. Wyszeptał:

- Pobiliście?

- O wa! - mruknął z wyniosłą pogardą Lubusza.

Zaległo głębokie milczenie. Chłopy pod chatą chrapały. Kuternogę przygniotła wieść o zwycięstwie, jakby sag mu się zwałił na głowę. Lubusza nadymał się pełen poczucia ważności i potęgi rodu.

- Nie pojmujecie? - dziwił się i wynosił. Kulawiec powiedział niepewnie:

- Wołałem, chciałem was ostrzec. Bałem się, by was nie napadli. "

- Śliźniów?! - Lubusza był pełen dufności.

- Och! Śliźnie.

Głos Kuternogi drgał wzdrgną i obelgą. Lubusza nastroszył się. Zbliżył się o krok, chciał coś rzec, Kuternoga pchnął go, Lubusza zachwiał się, omal nie upadł.

- Śliźnie... - zaczął z wściekłością.

- Zdary - szept Kuternogi był cichy i pełen bólu. - Zdary... Gdzie Zdary? Miecze Jomsborga długie są i ostre. Zdary...

Lubusza milczał zadziwiony.

- Zdary - mrucał pokrączy cień, oparty o sag drzewa, osłabły i kulawy. - Odeszli wszyscy. Nynie są Śliźnie. Trzeba żyć ze Śliźniami.

- Ho! Pewnie - ozwał się Lubusza.

Cień oderwał się od sągu zgarbiony i dygocący, szepnął:

- Wiedz mię do dziada.

Milczkiem szli między śpiącą gromadę, minęli nieruchomego Gza i zniknęli w czeluści chaty.

5.

Gwiazdy zaczęły blednąć i noc się rozpylała w siwy półmrok przedświt. Ogniska nordyjskie płonęły wciąż niezmaconym blaskiem w głębokim cieniu puszczy. Dzień się przybliżał z wolna - niepewny czy zastraszony namiętnością wrzącą po obu stronach rzeki.

Bliskość dnia pełnego wydarzeń zbudziła Gza z całonocnego snu czy zadumy. Wstał z kamienia, obejrzał się niezaradnie, wyciągnął ramiona, dygocący z niecierpliwości, zmęczony bezczynem. Gnębiło go oczekiwanie, pragnął sam zaczynać i działać, szukał podstępu, który by przełamał upór starego dziada. Żrąca pogarda zalewała go na myśl o tym ciapugrochu, co tyle dukał o rodzie i Śliźniach, a bał się miecza parchatych Nordów. Giez żuł słowa złe, nienawistne, a gniew jego zwracał się jak zawsze na dziada.

- Umrzyk. Smard. Gid. Churlęga.

Zaciskał pięści, patrzył na ognie Nordów, powoli blednące pod kraśniejącym niebem. Podszedł doń Lubusza, zawsze szukający pojednania.

- Kiedyż odejdą? - wskazał oczyma za rzekę.

- Niechby nigdy nie odeszli.

Lubusza cofnął się. Zdumione spojrzenie wparł w stryja.

- Giez - jęknął - Giez! - powtórzył bezradnie. - No, Giez, co ci to? - zakrzyknął z rozpaczą poruszonej łagodności.

Giez przybliżył mu twarz do twarzy, charknął w gębę:

- Ciasno mi.

- Kaj ? - wykrzyknął zdumiony Lubusza.

- Tu! Na polanie! Nie pojmujesz?

- Nie - strach świecił w oczach Lubuszy.

- Na polanie - krzyknął Giez i zatoczył ręką dokoła. - Co tu mam?

- Giez? Giez!

- Tutki! Doma! Radło mam, psiamać, a boleć co? Mieszkę skłuć w boru? Gromadzie przodować, co?

- Śliźniom... - szepnął Lubusza.

- Nie ma Śliźniów, nynie już nie ma. Byli... drzewiej. Na Ostrowie Wielkim, Turzycy, na Wilczych Dzierżawach. Bacz topór dziadowy, szczerbaty, co? Szczerbaty?

- Szczerbaty - przytaknął Lubusza cofając się przed gniewem Gza.

- Skąd one szczyby na toporze? Gadaj! Od drzewali, od kości zwierza? Szłomy rąbalim toporem, szczyty rąbalim, a trza było ostrokół, to ostrokół rąbalim.

- Kto?

- Śliźnie! - wrzasnął Giez. - Gdzie nynie Śliźnie? Pod klecią, w pokrzywie a łopuchach.

- Wczoraj pobilim Nordów... - mamrotał Lubusza.

- Trza wytracić wrażyh synów. Do nogi! Trza uderzyć, bić, bić, bić!... maciesz syny!

- Dziad nie zwolił.

- Dziad! - Giez odwrócił się szybko, nie mógł słuchać dziadzie; ciężkim krokiem począł iść w stronę rzeki - potężny i barczysty - kołysząc się przy każdym kroku na boki.

- Rzuci się na nich samojeden - przemknęło przez głowę Lubuszy. Zawrócił ku swoim, począł krzyczeć:

- Bywaj! Bywaj! Trzymajcie!

Ale Giez doszedł tylko do drzew, patrzył tępo w obozowisko wrogów, stał nieruchomy niby słup wydarty puszczy, z lekka tylko ociosany, z potężnymi sękami, mocny i prosty. Śliźnie spoglądali nań z niepokojem, kręcili się, obzierali na chatę dziada. Lubusza poszedł do ojca, zawahał się, zawrócił od drzwi. Obejrzał się: Giez stał bez ruchu nad rzeką. Lubusza westchnął, przysiadł, czekał.

Słońce dziwnie leniwo pięło się po nieboskłonie i nic się nie działo. To właśnie było najcięższe, to martwe czekanie cisza. Rósł upał. Chwile spływały z rozżarzonego nieba wolno i beznadziejnie, jak palące krople płynnego metalu. Wąskie liście wierzb wędły w gorącu, szare w zwiotczalym omdleniu, nurt rzeki płynął spokojnie i beznamiętnie, na błękitnym niebie krążyła para orłów. Nordowie zasiedli w kręgu i czekali... na co? na znużenie Śliźniów? na posiłki? na wieczór?

Giez chodził po brzegu, gałęzie wierzb biły go po twarzy, nie czuł tego. Coś go gnębiło wewnątrz, jakieś nieznanne udrczenie, urok albo co? Nie umiał radzić z sobą, był ślepy i nieświadomy, owa nieświadomość dusiła go. Gniotła. Szarpnął związanie na szyi, otworzył pierś porośłą czarnym włosem, ale powietrze bez powiewu dusiło go nadal; legło na nim i piło zeń siły. Ugiął się pod tym ciężarem. Bunt w nim rósł przeciw sobie samemu, przeciw tej nagłej udreće, wobec której był bezradny. Cały przestwór pod niebem objęty ramionami puszczy nalany był męką niby czarną, bagnistą, zastałą wodą. Giez porwał za trzon topora, jął odwalać z próchniejącej wierzb szerokie płyty drewna. Bił z zaciętością i jękiem, pot mu spływał po czole, policzkach i plecach. W końcu odchylił się zmordowany, spojrzął w niebo. Choć przeżył teraz więcej niż przez całe życie, wypełnione orką, łowami, zatargami z dziadem, choć przepłynęło przezeń tyle goryczy i udreki, słońce nie poruszyło się ani o krztę. Wisiało w tym samym miejscu, rozpalone i nieme, jednakie dla zbiałych Śliźniów, dla buntującego się Gza, dla Nordów za rzeką.

Pomiędzy chatami Ślizniów nadal nic było życia. Mężczyźni rozsiedli się pod ścianami, ułożyli kamienne topory tuż obok siebie, rękami obejmowali kolana, sennie spoglądali za rzekę. Giez odwrócił się twarzą do nich, patrząc na ten zwiotczały bezruch z piekącą nienawiścią, niebacznym, że wojownik nordyjski może mu puścić oszczep lub strzałę w plecy. Zdawało mu się, że wszystko w nim kamienieje, rozplywa się i niknie, że nie stać go już na żaden ruch czy wysiłek.

W tej chwili poczuł lekkie dotknięcie na rękę. Skoczył ostro, jakby go to dotknięcie raniło, gwałtownie się odwrócił: przed nim stał mały chłopak, syn jednego z pomordowanych po tamtej stronie kmieci, utyłany w bagnie, blady, z gorączką w oczach. Chwilę patrzyli na się w milczeniu, olbrzym powalający jednym pchnięciem tura i mały skrzat w strzępach brudnej przyodziewy.

- Skąd? Skąd się wziąłeś? - słowa z trudem wyłaziły olbrzymowi z gardła.

W oczach chłopca błysnął strach, który zasnęła zaraz siwa mgła znużenia. Giez schylił się, wziął chłopca za ramiona i zapytał:

- Jakiś uszedł? Powiadaj.

Niepewnym i zająkliwym głosem bełkotał chłopiec w czerwoną twarz Gza zawiłą opowieść tego dnia przerażenia, tej nocy przerażenia i wtórego dnia, gdy przerażenie nie wypuszczało go wciąż ze swych chłodnych szponów. Niewiele słów mógł Giez złapać, ale rozumiał smardzika w niepojętej jasności widzenia. Dotąd nie zwracał uwagi na takich pędraków, jemu białka rodziła co rok dziewczyny. Teraz, schylony, niebacznym w swej udreće ni na Ślizniów, ni Nordów, patrzył w twarz chłopaka i więcej mu opowiadały od niepewnych słów niebieskie, pełne strachu ślepie.

Sitowie było gęste, odgrodziło chłopca od świata ze wszystkimi okropnościami, jakie się na nim dzieją. Pod sobą miał bagno, przy każdym pociśnięciu wypływała zeń czarna woda, pękała gęstymi bańkami. Długi czas leżał zdrewniały z lęku, a błękit nieba przesłaniały co chwila zwidy rogatych wojowników z rudym zarostem i dzikimi oczyma. Leżał półutopiony w bagnie - długo, nieskończenie długo, wiecznie.

W oczach chłopca dojrzał Giez to samo oczekiwanie czegoś, co miało przyjść, a nie nadchodziło. Dojrzał własną mękę czekania. Nieskończenie długą, wieczną. Dopiero pieśń dziewczyny poruszyła chłopca. Giez nie wiedział o tej pieśni, był wtedy na drugim skraju polany, ale nie obchodziła go wcale. Obeszło go natomiast, gdy chłopak wyjąkał o wyczołganiu się na suchą i wyższą kępę. Słyszał odgłosy walki, przerwały one pustkę czekania. Chłopak spojrział rozpaczliwie na Gza i wyjąkał:

- Nie pobili ich.

Nie pobili! to właśnie odczuwał Giez, pojął swą nienazwaną udrećkę. Nie pobili - rozumiał to chłopak wśród trzciny, nie pojmował tego dziad Ślizień, stojący na czele rodu ze świętym toporem w garści. Giez zaśmiał się nagle zgrzytliwie, aż chłopak drgnął i zamilkł.

- Jak cię zwą? - spytał Giez.

- Dzierzyk.

- I leżałeś tam całą noc?

Chłopak zatrząsł się na wspomnienie tego okropieństwa. Była noc, ale odbłask ognisk dochodził do trzciny, oświetlał ich wierzchołki niewyraźną, rudą poświatą. Dzierżyk leżał półprzytomny, zziębnięty, nieczuły już nawet na strach. Gdy unosił głowę, widział między trzcunami jasno oświetlone czerwone pióropusze łodzi wojennych. W czarną noc pióra te przypominały o krwawej grozie najazdu. Nie dawały usnąć. Kraśniały w ciemni jak płomienie, jak kity skąpane we krwi. Chłopak widział je, gdy tulił czoło do mokrego mchu, wyzierały z błota, otaczały go dokoła, były wszędzie - na wodzie i na niebie, czerwieniły białe gwiazdy i czarny mrok nocy, paliły mu się w głowie i w sercu. Wysokie dzioby łodzi unosiły je jak ramiona ponad wodę, ponad brzeg, ponad puszcę.

Nie zgasiło ich nawet słońce, dodało im ostrzejszej barwy, rozłśniło złowrogą purpurą. Rankiem chłopak spał, lecz w głębi ziemi widział nienawistne czerwone pióropusze.

Gdy ocknął się, dostrzegł na drugim brzegu między wierzbami ogromną, samotną postać: ale to był swój, nie cudzy. Wylazł z trzciny, przebrnął przez rzekę, zbliżył się do nieruchomego olbrzyma. Dotknął jego ręki, a gdy tamten odwrócił się, wziął chłopca za ramiona i spojrzał mu w oczy: dojrzał w czarnych, zalęknionych źrenicach drobne odbicie wojennych łodzi nordyjskich, ozdobionych na dziobach ognistymi pióropuszcami.

To nim wstrząsnęło, puścił chłopca, wyprostował się, spojrzał na tamten brzeg. Jomsborczycy siedzieli w kręgu, ich rogaty przywódca mówił coś, wymachiwał rękoma, wskazywał na chaty Śliźniów. - Górują się do bitki - przemknęło sennie przez głowę Gza, mimo woli spojrzał ku swoim. Ale tam nic się nie działo i Giez poczuł, że ciężar leżący mu od wczoraj na piersi stał się - niewiarogodne! - jeszcze cięższy i jeszcze nieznośniejszy.

Zrobił bezmyślnie kilka kroków i poczuł, że mu się coś płacze przy nogach. Całkiem zapomniał o chłopcu. Położył mu ciężką rękę na głowie i spytał myśląc o Nordach:

- Zmęczonyś? Chcesz jeść?

Dziki gniew błysnął w oczach smardzika. Odpowiedział:

- Oo, tam! Nie.

- Nie? Czegóż więc chcesz?

- Chcę spalić czołna z czerwonymi piórami! - wrzasnął z pasją malec.

Giez chwycił chłopca w ręce, podniósł go w górę na wysokość twarzy, wykrztusił patrząc w umazaną gębę:

- Chcesz spalić czołna?

Cienki głos chłopca - dziecinny i słaby - zabrzmiał metaliczną twardością:

- Tak. Chcę!

- Oo! - krzyk Gza obiegł polanę pełen wyzwolenia i ulgi. Kamień, który gniótł go, stoczył się nagle. Giez odetchnął pełną piersią. Mruknął cicho, ale w głosie brzmiało mu uniesienie :

- Spalimy czółna zbójów. Wówczas nie ujdą.

Patrzył w zdumieniu na Dzierzka. Potężny ród Śliźniów bał się uderzyć toporami na miecze nordyjskie, a ten skrzat szuka na nich pomsty. - Spalić czółna - powtórzył z ulgą Giez - spalić czółna, wówczas nie ujdą! - Wziął w dłoń drobną rękę chłopca, jedynego sprzymierzeńca w czekającej go walce, jedyne, który był mu równy.

- Wyrośniesz na prawego woja, synu - powiedział.

Ale Dzierzyk zbladł, zachwiał się, opadł z sił. Giez wziął go na ramiona i począł iść szerokim krokiem ku chatom.

6.

Dziad słuchał od wielu godzin gđakania Kuternogi. Podnosił krzaczaste brwi, wlepił weń ciężkie spojrzenie, milczał. Kulawiec wił się, machał rękoma, syczał, szeptał, wrzeszczał. Pochylona nad kołyską Dobracha nie spała, bała się. Od czasu do czasu Kuternoga wykrzykiwał:

- Mołwię wam, Ślizień, usłuchajcie, nie puśćcie!

Wtedy dziad pochylał się niżej, mówił dobitnie:

- Nie. Po co mi to?

Kuternoga wił się na ławie.

- Nie znacie ich. Nii... Ja ci znam. Wojewoda ich zwie się Gorm, wielki mir ma w Jomsborgu. Psi syn. Chytrek. Czego nie przebije mieczem, przebije łcią. Toć go wciąż wyprawiają na brzegi, tamok łupi i pali. Złupi i was.

- Jużeśmy ji pobili.

- Takie bicie. Nie bywało to inszych? Już ułoży on sobie, że będziecie wisieć wypatroszeni. Wściekły wilk! Gad!

Gwiazdy wolno płynęły po nocy, Kuternoga swoje, dziad swoje. Dobracha słyszała ze dwadzieścia razy:

- Trza wybić ich. Do nogi.

Mówił z ogniem i z nienawiścią, jaką czuć można tylko wobec tego, kto zabrał nam świat. Stary Ślizień widział to - mądry był. Pochylił się i nie spuszczaając oczu zapytał:

- Co masz przeciw nim, że tak ich nienawidzisz?

Kuternoga zwinął się w sobie, jakby ugodzony w brzuch oszczepem. Wysunął naprzód kulas, pogięty i połamany, ręce zwiesił wzdłuż ciała, głowę opuścił niemal do kolan. Skądsiś, jakby z głębokości ziemi, dobiegło starego Śliznia powtórzone kilkakroć słowo:

- Zdary, Zdary...

Dziad zrozumiał to słowo i mękę, jaką widział przed sobą.

Przez najgłuchsze ostępy i knieje, przez bezdroża, kędy ludzka noga nie stanęła, dobiegła do polany nad rzeką straszna wieść zagładzie Zdarów. Kuternoga zamilkł, łokcie oparł na kolanach, brodę złożył na zaciśniętych pięściach. Dziad spoglądał nań zimnym wejrzeniem. Dobracha lekko kiwała kołyskę, pośpiewując:

Odchodź, złe, na szuwary i błota,

odchodzi w gęstwy i głusze,

leli leli, synaczku,

leli leli, synaczku,

aaa! aaa!

Nagle Kuternoga przemówił - szybko, bez ustanku sypały się słowa opowieści. Nie do dziada, do siebie, do Doli. O Zdarach.

O Zdarach wielkich i potężnych. Wadzili się z księdzem Mieszka, bili jego wojów albo społem chodzili na Niemców. Wichman u nich przebywał, sam graf Gero słał posłów, prosił do swego kasztelu. I widział siebie Kuternoga, jak młody mocny, na pięknym koniu od Niemców, wjeżdżał przez most w szarą, kamienną bramę. Dwudziestu Zdarów waliło za nim. W ciężkiej izbie kamiennej, rozświetlonej płonącymi stosami, pełnej wojów i gwaru, siedział za stołem tuż podle grafa Gero; książdz Mieszka z drugiej strony.

Wpatrzył się szklanym wzrokiem w siedzącego przed nim dziada, ale widział płaskie pobraże morskie, szary piach i kolczaste krzaki. Gęste chmury zwijały się nisko nad wodą, którą biegly do brzegu wały z białym grzebieniem piany. Na falach skakało dziewięć długich łodzi wojennych, pełnych wojów w rogatych hełmach; ze skórami przerzuconymi przez ramię; błyszcząły miecze i oszczepy. Wbił się mu ten obraz w pamięć tak ostro i tak wyraźnie, że dziś jeszcze - po tylu latach, z których pozostał mu jeno głuchy łoskot głazu spadającego w przepaść - odróżniał każdy szczegół, poznawał każdą twarz, pełną zawodu i wściekłości.

- Nie mogli na całym wybrzeżu wylądować i łupić - wykrzyknął pod martwym wzrokiem dziada - wszędy spotykali Zdarów. Więc płynęli kajś daleko, na wschód, ze strachu przed Zdarami i przede mną.

Wyprostował się, pomarszczone policzki poczerwieniały, uniósł głowę. Dobracha zatrzymała bujającą kolebkę, nie poznawała kulawca. Dziad siedział wciąż nieruchomo, słucał.

Była to wielka gra, wielka, nieustająca wojna. Zdary znosiły się ze wszystkimi wrogami jomsborskiego obozu, z księdzem Mieszka, z Czciorem, Mieszkowym bratem, z Bjórnem swijskim i z Trygwą nordweskim, i z grafem Gero, i z Wichmanem, z Weletami i kupcami z Wołynia, i z księdzami boga Swarozycza ze świętego grodu Radgoszcz, i ze wszystkimi przywódcami mniejszych plemion i rodów, zależnie od tego, kto był przeciw Jomsborgowi w wiecznie zmiennym układzie sił, wojen, zapędów i nienawiści.

- Nikt lekce nie ważył Zdarów - wykrzykiwał skurczony połamaniec - silne były Zdary a liczne, a bogate. Biły wrogów, kupczyły jantarem, a woskiem, a bronią, a skórami. Nikt! - spojrział na dziada, ale nie widział go.

Zdary, Zdary...

Pod czarnymi czubami sosen wokół wysokiego ognia siedziały Zdary, wolno i godnie radziły

wiecznym porządkiem. Migotliwy odblask złocił korę drzew, ostrza mieczów i oszczepów, czarne topory i stos łupu, rzuconego byle jak, bez podziału jeszcze i liczenia. Ręce lepiły się od jomsborskiej juchy, twarze mieli spryskane posoką, święcili dzień zwycięstwa nad największym swym wrogiem. Wiatr huczał nad nimi w gałęziach, morze szumiało równo i nieustannie.

Przed tym ogniskiem stanął Wichman, potężny władca wśród Niemców, krewniak grafa Gero, przyjaciel Sorbów i Weletów, co z samym cesarzem umiał zadrzeć, wyganiany wielokrotnie i zawsze powracający w zwycięstwie i chwale. Stał rosły, ogromny, z jasnymi kędziorami na głowie, dufny, nieulekły, najprzebieglejszy z wrogów i zawsze niepewny, choć zawsze pożądany przyjaciel. Nie był niemy, mówił mową zrozumiałą, choć twardą i chropawą. W płomieniu ognia, w pełnej zbroi, ale bez szłomu na znak braterstwa i przyjaźni, kusił i hołubił Zdarów, starał się ich zjednać, pochlebiał z okazji zwycięstwa. Wołał na cały las roześmianym głosem, że czas Zdarom dojść do samego Jomsborga, zgnieść go i zburzyć, załogę wyciąć w pień, samym władzę nad bogatym Wołyniem rozciągnąć. Szerokim zamachem ręki wzywał ich do największej bitki, po której nikt Zdarom nie zdierży, żadne z pomorskich plemion, ni ksiądz Mieszka, ni sam cesarz niemiecki.

- Czyż lękacie się tych śmiardków - krzyczał - lisów z czerwonymi kitami, tych psów gryzących, nim kto nie zbije im boków, ropuch z wielkimi gębami, co pływają wokół waszych brzegów. Wždy bijecie ich dzień w dzień. Ruszcie na nich, rozrzućcie to gniazdo z przegniłych gałęzi. Nuże, Zdary! Rozsypie się Jomsborg pod uderzeniem Zdarów, jak grzyb rozdeptany nogą.

Ręce wyciągnął przed siebie i śmiał się głośno, patrząc w ciemność za ogniskiem, jakby widział tam powywracane palisady Jomsborga, porąbane łodzie i pobitych wojów. Paru młodych Zdarów zerwało się z koła i wzniosło okrzyk bojowy, ale starzy siedzieli w zadumie, kiwali głowami, w milczeniu słuchając olbrzymiego Niemca.

Bo sprawa nie była tak prosta, a trud nie taki mały. W ciągłej odmianie stosunków sprzęgli się w jedno - Mieszka, Czcibor i Jomsborg. Welety jak zawsze niepewne, dzik w Radgoszczy nie wylazł ze swego bajora, a święty koń nie przeszedł między włóczyniami. Żrebią dotąd nie zostały rzucone i nikt nie wiedział, gdzie siła będzie większa.

Wichman tych wiadomości wysłuchał spokojnie, w niedbalej, pełnej wzgardy postawie. Śmiał się. Krąg patrzył nań w milczeniu, sosny szumiały, ogień trzaskał. Wichman odrzucił do tyłu swe długie włosy i zawołał:

- Na Boga! Cesarz śle przeciw Mieszce dwie ście zakutych w żelazo rycerzy.

Zerwali się na te słowa, krzyczeli wszyscy bez ładu.

- Cesarz niemiecki?

- Wojów śle na Mieszkę! Dwie ście! Konnych!

- Rozdawim Jomsborg!

- Zdary! Zdary!

- W krąg! Do kręgu!

- Sława cesarzowi i Wichmanowi.

- Na Mieszkę, jenz gadzina i smród.

- Hoo! Hoo!

Och, Jomsborg, Jomsborg! Stara nienawiść uderzyła czarną falą w serca. Cesarz śle dwie ście wojów na Mieszkę. Ryczeli. Ponad wrzawą górował krzyk Wichmana:

- Pomnijcie, jako Mieszka giął się przed grafem Gero. Na kolano klękał, rękę grafa całował. Opieki skamlał. Pomnijcie! Nynie cesarz śle wojów na Mieszkę. Koniec Mieszce! Koniec Jomsborgowi!

Na wielkim wiecu Zdarów zgoda zapadła, a Wichman dosiadł konia i jeszcze tej nocy poleciał do grafa Gero donieść mu o przymierzu ze Zdarami.

Kuternoga podniósł wzrok na dziada, oczy mu błyszcząły. Mówił z uniesioną głową:

- Jam ci wiódł w on czas wszystkich Zdarów na Mieszkę.

Dziad z łokciami na kolanach zawiesił na kulawcu ciężkie spojrzenie:

- Pobił was Mieszka - mruknął. Kuternoga przykurczył się, ramiona mu latały w górę, w dół, w górę, w dół.

- Pobił - szepnął zgaszonym głosem.

Czyż znali w on czas chytrego Mieszkę? Opadł Niemców zniecka, wybił do nogi. Ledwo Wichman uszedł bez szczytu i miecza. Zaraz też Mieszka wystąpił przeciw Zdarom, wciągnął ich w bitkę w nadnoteckich błotach. Nie wiedzieli, że za ich plecami Jomsborg palił im domy, wycinał białki i dzieci. Wpadł na nich, gdy odparci przez Mieszkę dopiero zbierali się do kupy. Jeszcze nigdy zbóje jomsborscy nie odeszli tak daleko od morza i rzek, od swych czerwonopiórych łodzi, bez których czuli się bezradni. Bitwa skończyła się pogromem, zupełną zagładą Zdarów.

Kuternoga nie bajął już, szeptał, zgięty w kabłąk, z głową przy kolanach. Dobracha słuchała z otwartymi ustami, zapomniawszy o małym i kołysce, dziad nieruchomo patrzył w ogień - Zdary nie Śliźnie, nie Śliźnie! - skrzywił wargi ze wzgardą, słuchał.

Słuchał o klęskach Zdarów. Trzykroć jeszcze stawali do rozprawy, choć wiedzieli, że to już koniec; ale Zdarów nie ugiął nikt nigdy. W walkach i gonitwach po gąszczach pomorskiego brzegu wyginęli niemal wszyscy: trzech ostało. W tym czasie nastąpiła odmiana: Mieszka znów zaczął wojować z Jomsborgiem. Sam był znieawidzony przez Zdarów, ale Jomsborg był pierwszym wrogiem: trzech Zdarów poszło do Mieszkowej drużyny. Niedługo tego było - w wielkiej bitwie u Odry jomsborczyki pobili Mieszkę, z pola zwłókl się ostatni Zdar, pokłuty i bez krwi, ze złamaną w dwu miejscach golenią, nędzny wywłok, na pośmiewisko zwany Kuternogą.

Zamilkł, przycisnął pięści do skroni, kiwał się - zmartwiały - do przodu i w tył, do przodu i w tył. Ślizień nie podniósł już nań oczu. Cisza. Muchy bzyczały pod powałą. Nagle wykrzyknęła Dobracha, trzymająca się jedną ręką kołyski:

- Cóżście robili? - zakryła twarz i buchnęła płaczem. Dziad, półobrócony do niej, burknął niechętnie:

- Głupia.

- Lelum! - powtarzała Dobracha. Zdało się jej, że Kuternoga się śmieje - zgrzytliwie, strasznie. Usłyszała jego ochryply szept:

- Co robiłem? Ano! Wlokłem kulas za sobą. U Mieszki siedziałem. Dla rady mię wzywał.

Nikły ogień błysnął w oczach dziada:

- Zeście strzymali - zdawał się dziwić. Dobracha przez palce spojrzała na kulawca. Tamten uniósł głowę, spojrzał twardo.

- Nie strzymałem - wybuchnął - nie strzymałem. Uszedłem. Nie pojmiecie.

Dziad pojmował, nie potrzebował już słuchać. Stary uszedł od Mieszki i wędrował z kosturem, z półślepy sokołem na ramieniu, ostatnim towarzyszem dawnych lat, kulawiec, kłak, pokraka. Nigdzie długo nie zdzierzył, wyganiała go wieść o klęsce Zdarów, która szła za nim jak cień. Zagadywano go o przegraną, a on brał kostur i sokoła, szedł głębiej w puszcę. Aż przylazł w zapadłą głusz, gdzie jeno Śliznie siedzieli na rzadkich porębach; i tu - w sercu matecznika, gdzie myślał dokołatać swych dni - dognały go łodzie jomsborskie z czerwonymi pióropuszcami.

Zapadła długa cisza, usłyszeli znowu brzęk much. Dobracha buczała w złożone dłonie. Wreszcie dziad się poruszył, jakby zrzucając z siebie ciężar opowieści, i ozwał się głucho:

- Chcesz, żeby Śliznie mścili Zdarów?

Po raz drugi buchnęła nienawistna pogarda Kuternogi:

- Och, Śliznie! Co zrobią Śliznie jomsborczykom?

Ale dziad nie obruszył się, choć łagodnego Lubuszę krew niedawno zalała przy wykrzykniku kulawca: stary Ślizień rozumiał nienawiść upadku i gorycz bezsilności. Spytał spokojnie:

- Czegóż chcesz?

- Byście zatrzymali zbójów, nie dozwolili im odejść.

Dziad odburknął obojętnie:

- Niech odejdą. Po co tracić mam synów?

Kuternoga trzepnął rękoma - nic nie przełamie dziada, nic nie poruszy jego wolno bijącego serca. Tylko Śliźnie, tylko jego ród własny, kość z kości i krew z krwi - tylko Śliźnie się liczą. Kuternoga nagle pojął, że próżno bajął o Zdarach. Zdary są jeno straszną gadką przy wieczornym ogniu. Trzeba myśleć o Śliźniach, żeby poruszyć Śliźniów.

Dziecko zapłakało w kołysce i Kuternoga podniósł się z ławy. Stał nad okreconym w szmaty ciałkiem, nie baczył na przerażoną Dobrachę, drżącą przed urokiem złego spojrzenia. Ale Kuternoga nie miał już nienawiści w oczach, dziad to widział, nie ruszał się sprzed ognia, ponury i zasepiony. Przez drzwi już wpadał blask poranka. Kuternoga spoglądał na najmłodszego Śliźnia, myślał o swoich chłopcach pobitych przez jomsborczyków. Nachylił się nad niemowlęciem, zwrócił głowę do dziada patrząc nań znad kołyski, szeptał z drewnianą obojętnością :

- Drogę znają.

Poruszył się nieruchomy dotąd dziadyga, obrócił głowę ku kołysce, spytał:

- Co powiadasz?

Ale pierwsza pojęła Dobracha. Buchnęła nagłym, głośnym płaczem, w straszliwym lęku o małego skrzatka, niemocnego jeszcze do niczego prócz ślepego chwytania za pierś matczyną, rzuciła się do nóg dziada, objęła je, głowę wtuliła w dziadowe kolana.

- Wróć - wołała ogromnym krzykiem, zwierzęcym strachem - w sile większej, w nocy, zniemacka. Drogę znają! Nie wypuść ich stąd, dziadu, po pomoc. Nie wypuść. Nie gub małego i rodu.

Opadła po chwili, zwinęła się na ziemi, płakała zakrywając twarz rękoma. Nagle dźwignęła się i - klęcząc - wzniosła obie pięści do dziada krzyknęła dziko:

- Drogę znają!

Dziad wstał ostro, ruchy miał sprężyste, rękoma na oślep macał za toporem, z pośpiechem pytał Kuternogę:

- Co radzisz! Uderzyć ? Rozbić? - nie czekając odpowiedzi krzyknął w otwarte drzwi:

- Lubusza!

Syn poderwał się natychmiast, biegł ku chacie, posłuszny każdemu skinieniu ojca. Gdy wszedł, dojrzał płaczącą nad kolebką Dobrachę i Kuternogę radzącego dziadowi, pewnego siebie, szybkiego; przez gębę kulawca przebiegał raz po raz prześmiej.

Stary Śliźień gwałtownie zwrócił się do syna:

- Trza żywo iść w dół rzeki, w wąskim miejscu zasiek rąbać. Kuternoga wraz pójdzie do księdza Mieszka, pomoc nam przywiedzie. Wojów.

- Kuternoga? - zadziwił się Lubusza - zali zajdzie na czas? Do grodów książęcych szmat drogi.

Dziad spojrział z goryczą na syna - łagodność Lubuszy pozbawiała go siły. Dziad był pewny kulawca.

- Nie strachaj się, dojdzie. Później może się wykopyrtnie, ale dojdzie.

Kuternoga podniósł głowę, odetchnął - poznał teraz, że gadka o Zdarach była potrzebna: staruch wiedział, ile mieści sił w sobie nienawiść.

7.

Śliźnie biegli tłumnie, o sto kroków od wierzb zebrała się zbrojna kupa, patrzyli, jak Jodzie normańskie powoli wracają pod prąd. Bez pośpiechu i zapału. Dzioby zaryły się w piasek, Gorm pierwszy wyskoczył na brzeg, za nim skakali inni; żaden nie spojrzał na Śliźniów, wolno drapali się na dawne obozowisko. Leciały ku nim Śliźniowe prześmieszki. Nie zwracali uwagi na jazgot gromady. Byli ponurzy i źli. Spode łba spoglądali na Gorma.

Urzekła go dziewczka abo co? Dziwili się, nie poznawali swego jarla. On sam nie poznawał siebie. Tyle czasu przemarnował, wpędził drużynę w matnię. Siedzieli nad rzeką beczynn timer, ni tu, ni tam - urok, nawięzy puszczańskie, odmiana? Gorm sam tak mniemał, gdy oglądał się na minione dni. Co robił? Wpatrywał się w porzuconą nad rzeką kupę płócien, w puste miejsce, gdzie stała dziewczyna, w chatę Śliźniów, gdzie się skryła. Ciągotki chodziły mu po kościach, przeginał się, znów patrzył na płótna, znów na chaty. Wikingi za nim gadali, jedli, śpiewali, spierali się, złość ich brała, ziewali, spali. Mało go to obchodziło. Patrzył na płótna, na chaty. Czas szedł. Rzeka, wierzby, płótna, chaty. Powaliłby sukę na skórę przy ognisku, rwałby ją; łaskotało go w dołku i krzyżu, mdliło. Dolatywały go skrawki pogwarek:

- Sparciejem tu.

- Patrz na Gorma. Stoi jak przed łożnicą.

- Masz mięso?

- Czego wrzeszczysz?

-

- Spętał się całkiem.

- Babim kpem.

- Za kpa ty głowę dasz.

- Odpowie nam, gdy wrócim do Jomsborga.

-

- Zawždy uderzał, uchodził, wracał. Chybki był. Teraz tylko łypie za rzekę.

- Może kiecka zaświeci. Wiking!

- Jarl jomsborski! Łajno psie.

-

- Cichajcie! Usłysz.

- Nie usłyszysz. Bacz, znowu oczy wlepił.

- A usłyszysz, to co? Sam mu rzeknę.

- Rzeknij.

- Bindas w zęby.

-

Słyszał. Ale słabiej niżli śpiew. Śpiew, który umilkł. Jakby cała jego chytrość rozplynęła się w dziewczynskim śpiewie. Wiec milczał. Był zły. Patrzył. Na płótno, na chaty.

Psiamać!

Wiking!

Jarl jomsborski!

Słyszał. Nie porąbał tych kaprawych pysków. Patrzył za rzekę.

Nie bili się, ale radzili. Siedzieli w krąg wokół ognia i wykazywali bezcelowość trwania. Zwycięstwa ni łupu nie widać. Śliźniów była gromada, czuwali nieustannie. Na głowy lał się z nieba żar. Szłomy paliły skronie, a oni siedzieli w radzie, nie w boju. Stawiali rzecz jasno:

- Prowadź albo uchodźmy.

Gorm zwracał głowę ku rzece, patrzył na strzechy, które gorzałyby czarnym dymem i wysokim płomieniem, na Śliźniów, czekających w beładnej cizbie z toporami w ręku. Wskazywał na ten las toporów, zapytywał z niecierpliwością:

- Kądy prowadzić? Zaciskali zęby.

- Więc uchodźmy.

Znów przed oczyma Gorma stawało jego widzenie. Pienił się z wściekłości na siebie, na towarzyszków, na Śliźniów. Kłął. Obrzucał znów wzrokiem las toporów. Myślał:

- Tak. Trzeba uchodzić. Potem wrócim.

Bezwład ogarniał ręce i nogi, miał na ustach rozkaz "uchodźmy", głos mu wiał w gardle. Oblizywał wargi, przytaczał stare prawo jomsborskich Wikingów:

- Nie wolno wstąpić do bractwa, kto ucieka przed kimkolwiek równym lub nieco większym siłą lub orężem.

Znali to dumne prawo, kochali je. Spoglądali zuchwale na Śliźniów, wrzeszczeli:

- Więc prowadź!

Dygotał ze złości. Supłał:

- Kląłem się, że nie wygubię drużyny.

Zrywał się wrzask, Gorm klaskał dłonią po udzie, uciszali się. Przedkładał:

- Czekaście. Zmęczą się, posną, napadnięm tej nocy. Czekaście.

Słuchali ze zgrzytaniem zębów. Gormowi błyskała niedorzeczna myśl: a nuż wyjdzie nocą po płótna!...

Splunął z pasji nad własną głupotą, ale myśl ta żarła go. Czekał nocy, chodził gniewny tam i na powrót przed chatami, nie popuszczał miecza z ręki, bezsilny i gnuśny. Towarzysze spluwali przeciw czarom:

- Nie może być inaczej, urok rzuciła.

Nie buntowali się więcej. Trwali w dumnej nieruchomości, omotani siecią czaru, gotowi na każde wezwanie, nieznużone, żelazne Wikingi. W głębokiej ciszy południa dochodził ich daleki stuk toporów. Nasłuchiwali go czujnie, dziwili się:

- Las rąbią?

- Teraz? Przed naszymi mieczami?

- Więc co?

- ...?

- Bacz, by w tym nie było jakiej chytryści.

- Niechaj Gorm baczy.

- Tfu!

- Może mu przejdzie! Taki woj!

- Tfu!

Któryś zaczął jedną z opowieści skaldowych, chór podchwytywał, przez skwar południa leciała głucha pieśń, nie rozumiana przez Sliźniów, złowroga i straszna.

Trzy świętości miał Olaf, woj waleczny i silny, piękny i śmiały. Pierścień miał z czerwonym kamieniem, pierścień ten mu zniewalał miłość każdej kobiety.

Żonę miał młodą i piękną.

Miecz miał ostry i giętki, który pobija! wrogów.

Nikogo się nie bał Olaf!

Ani wrogów, choćby najliczniejszych, najdzikszych, najmężniejszych.

Ooo!

Ani dróg dalekich, ani burz morskich, ani fal, ani wichrów.

Ooo!

Ani potworów morskich, ani zwierząt dzikich.

Ooo!

Ani morza, ani powietrza, ani nieba.

Ooo!

Bogów samych się nie bał Olaf waleczny i mocny.

Ooo!

Rzeki raz Olaf: Nie trzeba mi trzech świętości, jedna mi świętość wystarczy.

I rzucił pierścień czarodziejski w morze.

Przebił mieczem żonę swoją młodą i piękną.

Miecz sobie tylko zostawił.

Z mieczem puścił się w daleką drogę na dziewięciu łodziach z wierną drużyną.

Słuchajcie wielkich czynów Olafa, słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie!

Stuk dalekich toporów wpadał w jednostajny rytm pieśni, rozbijał jej ciągłość. Miarowe echo, do którego nie nawykli w wojennej rubieży, niepokoiło więcej niż ostry okrzyk ławy biegnącej do napadu. Rzucali po sobie wzrokiem, spoglądali na wodza, który w niemęskiej rozterce szklanym wzrokiem patrzył na chaty Sliźniów. Pieśń im się rwała, milkli.

W tej jednostajnej ciszy upału i odległej rąbaniny bolesny okrzyk Gorma zabrzmiał złowrogo niby krzyk puchacza. Gorm wskazywał towarzyszom obły pagórek, spadający łagodnie ku osadzie po tamtej stronie rzeki. Widzieli wyraźnie czarne sylwety na tle spopielałego nieba, idące wolno i niezdarnie, potykające się gęsto w ostatecznym umęczeniu. Domyślili się wnet, kim są. Białki pomordowanych kmienci z niemowlętami na ręku i kupką drobiazgu, dyrdającego przy nogach, zdołały obejść szerokim łukiem zbójów, przebrnąć przez rzekę, uciec pod opiekę Sliźniów. Puszcza okazała

się mniej groźna niż ludzie. Była cicha od wrzasków i pogoni powagą omszałych pni, łagodnego szumu koron, błakających się promieni słonecznych. Zbiegowie opadli bez sił na małej polanie, matki zawodziły półgłosem, jakby tymi jękami wylewała się w przepelnieniu ich żal, wsiąkała bezgłośnie w wilgotne mszary puszczańskie. Ptaki pokrzykiwały na gałęziach, a oczy dzieciarni, szeroko rozwarte w niemym przerażeniu, spoglądały w zwarte ściany boru.

Chwilami jęki ustawały, szelest liści szedł górą, dzieciół ku! w drzewo. Te chwile ciszy obojętnej, aż wroziej, napełniały serca nowym strachem. Bezmyślnym, miarowym ruchem mdlejących ramion huśtały matki niemowlęta, nie wyciągając im z ust piersi, zalękłe przed ich krzykiem bezwzględny i niebacznym na nic. Skupiły się wszystkie w jeden kopiec, opierały się o siebie plecami i ramionami, jakby w obawie, że między nie wejdzie złe, że je wydusi nagłym podmuchem nienawiści. Słońce szło po niebie leniwo, ale nie czuły wolno ciekącego czasu. Wreszcie cienie zaczęły się wydłużać, a dzieciarnia popiskiwać z głodu. Matki kładły bezmyślnie dłonie na głowach i szeptały bez wiary:

- Cichajcie. Cichajcie.

Starsze i bardziej przedsiębiorcze skubały niepewną ręką ostrzężyny, bojąc się odejść parę kroków, gdy jagód obok nie stało. Puszcza zaczęła z wolna nasiąkać mrokiem, roztopiającym przed oczyma krzaki i drzewa, a tu i tam przezierający strop rozbłyskał obojętnymi gwiazdami. Dzieci jedno po drugim posnęły oparłszy głowy na kolanach matek, tylko one patrzyły w głęboką ciemność nocy, od której niczego już nie mogły się spodziewać.

Puszcza wypełniła się łopotem skrzydeł i trzaskaniem łamanych gałęzi, conocną grozą i tajemnicą. Ale lęk już nie miał przystępu do tych serc otępiełych, którym nic nie miał do odebrania. Ręce jeszcze huśtały ciepłe zewłoczki, ale życia i troski już w tych rękach nie było.

Nad puszcza gwiazdy szły swą odwieczną wędrówką, odchylając się niewzruszenie z jednej strony nieba ku drugiej. Ziemia pulsowała głębokim rytmem życia, drzewa ciągnęły z niej soki, słały pędem i liściom w ciągłej przemianie bytowania. Puszcza się rozrastała z ślełą siłą wzrostu, a w czarnym mroku trwała nieustanna walka ze śmiercią. Rzucone w tę żądzę życia pomięte strzępy ludzkie żywioł zepchnął pod siebie i szedł nad nimi zwycięski, niebacznym na to ziarno boleści, które się kołatało jako ostatni odruch serca.

Podległa niezmiennym prawom noc kończyła się, nie zauważona przez szeroko rozwarte oczy rozbitków. Znowu puszcza nasiąkała światłem i ptasim świergotem, a gwiazdy rozpląwały się w jasności. Jeleń wysadził rogaty łeb z gąszczy i patrzył łagodnie na kupę łachmanów ludzkich; nerwowe drżenie biegło mu od kopyt przez pierś i głowę. Ruszał niepewnie chrapami, aż skoczył w bok nagłym, płochliwym tupotem. Wpatrzony weń otwarte oczy kobiece nie spostrzegły go wcale i spozierały z równą obojętnością na ruszające się jeszcze przez chwilę gałęzie leszczyn. Życie zamarło już w nich do cna i nic ich obudzić nie mogło.

Lecz obudziły je dzieci podnoszące się ze snu, głodne i osłabione. Wszystkie trzy powstały bez słowa, jednym tkniętym instynktem, i przez zarośla, zwalone pnie i błota wlokły się daleką drogą do rzeki. Tam długo szukały brodu, wchodząc raz po raz w wodę i badając ją z wysokich brzegów, aż wreszcie się przeprawiły i szły ku osadzie Śliźniów, jedynejmu źródłu życia w puszczy. Gorm widział je, jak schodziły z pagórka i znikwały między chatami.

Widok ten wstrząsnął jarlem, obejrzał się: na ustach drużyny szydliwe uśmieszki. Patrzyli na kuszykające baby, sypali sprośnymi gadkami, któryś mruknął:

- Te nie śpiewają.

Gormowi ściągnęła się twarz. Nie wybuchnął. Powiedział suchym, drewnianym tonem:

- Krąg!

Zasiedli do - nie wiadomo już którego w tej wyprawie - kręgu. Gorm patrzył na towarzyszy z nienawiścią, jakby nie byli wierną drużyną, lecz zaciekłymi wrogami. Szczeknął:

- Radźcie.

Ulf spytał przeciągając każde słowo:

- Raaadzić? O czym raaadzić? O biiiitce? O dzieeeewkach?

Gorm pochylił łeb, oczy mu się schowały, zamlaskał wargami. Myśleli, że skoczy na Ulfa. Ale spytał spokojnie:

- Chcecie wracać?

Im do reszty wzburzyły się serca na niesprawiedliwość. Milczeli. Siedzieli mrukiem, sapali tylko, wąsy im się ruszały. Stuk toporów już ustał, cisza panowała zupełna. Gorm wodził wzrokiem od jednego do drugiego, czuli, że wraz wybuchnie. W końcu stary Stejn, siwy całkiem, z długą brodą, odparł szorstko:

- Klęliśmy się przed wyprawą na posłuszeństwo tobie. Każesz bić, będziemy bić, każesz odejść, odejdziemy.

Gorm wstał w poczuciu przegranej i własnej winy.

- Wracamy - warknął.

Podnieśli się leniwie, długo grzebali się, zbierali oręż. Gdy schodzili do łodzi, widzieli, jak Śliznie beładnie się zrywają, łapią za topory; patrzyli na nich z nienawiścią i wstydem. Rozmieścili się sprawnie, bez pieśni. Ujęli za drągi. Odepchnięte czółna w mig wyskoczyły na środek rzeki, pomknęły z prądem.

Nie ujechali daleko. W poprzek rzeki zawisła przed nimi ściana zrąbanych drzew. Zwalone olbrzymy nadrzeczne legły rozrośniętymi konarami w środku nurtu, tram piętrzył się na tram, gałęzie splotły się, drogi nie było. Za zasiekami dojrzeli chłopów z łukami.

- No? - mruknął wzgardliwie Stejn.

- Wiecie teraz, jakie topory cały ranek stukały.

- Niechaj kieckarz powiedzie nas przez zasiek.

- Zaraz krąg zwoła.

- Milczeć! - zaryczał Gorm, oczy miał oszalałe z wściekłości. - Milczeć! - w ryku tym wyczuli taką nutę, że umilkli. Chwilę stali w miejscu, patrząc bezradnie na ścianę. Znowu usłyszeli Gorma - mówił twardo, po dawnemu:

- Wracać! Na stare miejsce!

Już im krew zaczęła grać: pchali czołna z ochotą, wiedzieli, że jadą na bitkę. Łodzi nie ostawią smardom - trza ich wyróżnać.

Gorm był znowu chybki i pewny siebie, nie zwoływał kręgu, rzucił towarzyszom dumnie:

- Dziś jeszcze oddam wam wodza tych parchów.

Odpowiedzieli jednym ochotnym krzykiem. Stejn mruczał:

- Urok szczel. Tfu!

- Tfu!

8.

Kuternoga zaczepił nogą o korzeń i upadł. Leżał długo. Twarzą przylgnął do zimnego mchu, zbierał siły. Po długiej chwili spróbował się podnieść.

Jęknął. Zawierciło mu w kikucie, jakby kto żyły ciągał. Bolało. Przewrócił się na bok, podkurczył nogę, oglądał ją uważnie. Kolano było spuchnięte, czerwone, sine, ogromne. Nacisnął je kciukiem, ból przeszył pod żebrami; zamroczyło starucha. Oparł się plecami o drzewo, przymknął zdrowe oko, odpoczywał.

Szedł już dzień cały, noc i znowu pół dnia. Najpierw wzdłuż rzeki, póki ta nie skręciła na północ, potem na przełaj przez puszcę. Co chwila spoglądał w niebo, szukając pod zielonym dachem błysku słońca, na polanach po pas błdził w szuwarach i trawach, wyszukiwał ścieżynki wytarte przez zwierza; gdy odbiegały w stronę, opuszczał je bez żalu, rozrąbując toporkiem gąszcz krzewów, by wstąpić w mrok kniei. Zwalone pnie zagradzały mu drogę, przełaził przez nie, przesadzając wpierw zdrową nogę, z wielką dbałością przeciągając połamany kulas. Nie unikał jednak uderzeń. Raz zapadł się w próchno po kolana, potem znów trącił boleśnie o ukryty w trawie pniak. Wtedy po raz pierwszy usiadł, owinał mocniej płótnem nogę i wydobył z sakwy mięso.

Nie chciał jeść. Gęba paliła, stukało w skroniach. Nie mógł ugasić pragnienia, choć pił przy każdym strumieniu. Ale wiedział, że osłabnie z głodu, wiedział, że ma jeszcze szmat drogi przed sobą. Nie myślał ni o Zdarach, ni o Śliźniach, w oczach niósł tylko czerwone płomienie łodzi jomsborskich. Wolno i z trudem żuł suszone płaty mięsa, w gębie czuł gorycz i piasek, w głowie pusty szum.

W ustach mu ugrzązł ostatni kawałek, wypluł go, patrzył chwilę na półzzutą miazgę. Dreszcz go przebiegł. Stękał, ale powstał, kostur wypsnął mu się z luźnych paluchów. Patrzył nań, nienawidził go, wahał się niepewny, czy schyliwszy się nie upadnie na kolana i nie będzie musiał podjąć trudu wstawania od nowa. Rozejrzał się z trwogą, zgiał się, podniósł kostur. Uparcie szedł przez puszcę - dziwaczny, trójnogi, ślaniający się zwierz.

Tracił kierunek, gdy pnie drzew zaczynały biegać dokoła, jak dziewczęta w tańcu przy ognisku. Przyciskał mocno oczy, stawał, patrzył w niebo. Omamienie mijało, ruszał dalej. Wtedy Marzanna omotywała go długimi kosami, plątała mu nogi. Odsuwał ją kijem i widział gęstwę puszczy, samotnej, jakby wymarłej. Wilk cicho przebiegł mu drogę, niepewny, pochylony. Obejrzał się, śmignął dalej. O! jakie długie wilcze susy! Kuternoga splunął, szedł. Rzadziej teraz pił przy strumieniach, trudno było mu się już schylać. Ale gdy przylgnął ustami do wody, leżał długo i odpoczywał rzetelnie.

Szedł szparko. Wiedział, że jomsborczycy są szybcy i nie wahają się nigdy. Gdy znajdą zasiek, wrócą na polanę i wraz uderzą na Śliźniów. Kuternoga był pewny - Śliźnie nie oprą się furii Jomsborga. Myślał spokojnie o rzezi wśród Śliźniów - widział rzeź Zdarów, przeżywał ją, umiał potem rechotać do ludzi i gadki im bajać. Dziewczęta będą żyły dni kilka, więcej nikt. Patrzył na słońce, szedł spiesznie. Ogarnęła go cicha żałość, przypomniał kołyskę, nad którą pochylał się kusząc starego Śliźnia: z kołyski patrzyły nań krągłe, nierozumne ślepia. Zaczął iść prędzej, szybko dychał. Po chwili odegnał słabość: jego synal najmłodszy był również mały, miał krągłe, nierozumne ślepia. Zdar. Zatrząsł się z nienawiści, potknął i upadł.

Leżał, myślał, że pada zbyt często- droga jeszcze przed nim daleka. Poderwał się, zaraz siadł: przez oczy przelatywała mu czerwień, w tyle czaszki wiercił ostry ból. Zaciął zęby, stęknął, wstał. Usiłował iść, zrobił krok, znowu krok, ból, w oczach majaczy, podniósł głowę, nie widzi słońca.

- Aaa! - zakrakał. Zaczął macać twarz, dotknął prawego oka, znów zakrakał - głośno, przeciągle. W oku galareta, maź. Po policzku cieknie ciepło. - Aaa! - Zamroczyło go, osunął się na ziemię. Siedział, szumiało w uszach, w ustach słono, krew. Przetarł lewe oko - widział. Oderwał pas z przyodziewy, obwiązał głowę; ręce mu drżały.

Siedział długo, bezmyślnie i już bez bólu.

Nie krakał. Głowa ciążyła. Zasypiał.

Krok. Błysnęło coś niewyraźnie. Kraśne pióra jomsborskie. Znow otoczyła go ciemność, ale czuł, że gdzieś idzie. Niósł głowę. Szedł. W ciemności.

Przejrzał: słońce się pochyliło na zachód, czerwona misa świeciła mu wprost w gębę. Mruknął:

- Dobrze idę.

Znow mruknął:

- Do Mieszki.

I znów:

- Teraz jużem jednonogi i jednooki. - Zdało mu się, że śmieje się głośno, ale usta pozostały zacięte. Stanął. Począł się rozglądać.

Wyszedł z puszczy. Przed nim trzęsawisko, tu i ówdzie pokręcone brzozy. Obejrzał się, zegnał puszcę z żalem: błota były gorsze od gąszczu. A przed nim noc. Obejść mszary dokoła? Daleko, sił nie starczy. Iść na wprost? Powiedział głośno:

- Bacz, wpadniesz w topiel. Idź wkoło.

Ruszył na wprost. Ponura, rudozielona pustać wabiła go. Szedł chyżo. Zaraz woda zachlupotała pod nogami.

Więc szedł wolniej. Macał kosturem, stawiał nogę na chybotliwym kozuchu. Tu i ówdzie wyrastały twarde kępy, spoczywał na nich, stał schylony na kiju, jakby wpół przełamany. Łykał ślinę, ruszał dalej, zapadał w błoto do krocza, raz po pas. Macał za twardym gruntem, za pniem brzozy, głowa się mu kiwała, łapał drzewo rękoma, wyłaził z wysysającej mazi. Myślał:

- Ręce mam jeszcze mocne - czuł zadowolenie ze swych rąk.

Gwiazdy świeciły jasno, znał je, pływał ongiś czółnem po morzu. Kierunku nie gubił. Obchodził topiele. Nie czuł nic, nawet słabości ni zmęczenia, ból zamienił się w równy szum nad głową. - Wždy

wyszedłem z puszczy - dziwił się. Huczało nad nim. Czy to gwiazdy huczały? Czy pieśń bagien? - bajała mu o niej mać. Pamiętał. Zatrząśł się z zimna i szedł dalej - pokraczny cień na czarnej, pustej ziemi.

Bagna ciągnęły się daleko, a krok Kuternogi był coraz wolniejszy, wyciąganie nóg szło coraz trudniej. Wypoczywał dłużej i dłużej, stojąc oparty o gnące się brzoźki. - Nie wyjdę już mruczał, szedł. Noc się przechyliła, blade światło świtu zastało go na środku płaszczyzny kuszykającego niezdarnie i walczącego z bezwładem. Wysokie słupy ognia były na wschodzie w płaskie leniwe obłoki, a on wciąż posuwał się wśród mchów i wodnego zielska. Tu i tam błyskały białe tafle jak oka oprawne w zieleń szuwarów, żółciły się spalone mszyska, garbiły się na rzadkich wydmach suchszego torfu, by znowu rozlać się w bagienną nicość. Spod nóg Kuternogi uciekały dropie. Na krańcu widnokrzęgu cwałował łoś. Słońce wylazło, rzuciło długie cienie, Kuternoga widział siebie wydłużonego niepomiernie, jak chwiał się i wymachiwał kosturem. Przystanął, przetarł zdrowe oko.

Przed nim - daleko - czerniał wąski pas puszczy. Staruch poczuł nagły przypływ sił, jakby tam - na krańcu - czekał go spoczynek. Nie spuszczał z odległego celu oka, kiwał się wytrwale, wciąż posuwał się o krok, wciąż bliższy i wciąż daleki. Powtarzał monotennie:

- Niosę Mieszce wieść od Śliźniów. Zbóje jomsborscy napadli.

Stanął, wykrzyknął niebu:

- Zbóje jomsborscy!

Napadli. Na kogo? Na Zdarów? Na Śliźniów? Na niego? I kim on jest, posłaniec starego dziada. Kimże jest?

Aha! Jednooki. Kulawiec jednooki.

Poczuł nagłą ulgę, jakby odnalazł siebie. Podniósł głowę, bagna kończyły się, przed nim szumiała puszcza. Patrzył na mocne konary rozrosłe nad łożami mokradła, jak tam - nad rzeką - u Zdarów czy Śliźniów.

Wtedy to zaczepił o wystający korzeń i upadł. Kolano było spuchnięte, czerwone, sine, ogromne. Odpoczywał. Wybite oko znowu zaczęło wiercić, zaciął zęby, nie krakał. Spróbował się podnieść, nie zdołał, poznał, jak jest słaby. Z zimnego namysłu sięgnął po sakwę z mięsem, długo macał, nie znalazł. Oparł się mocniej o pień, znów przymknął zdrowe oko, ogarnęła go niemoc. - Tu już ostanę - przemknęło mu, jakby ktoś szepnął. Oddech zamierał, pierś podnosiła się wolniej. Czuł, jak tężeją nogi, potem ręce. Motyl mu usiadł na skroń, rozkładał kolorowe skrzydła, rozkosznie grzał się w słońcu. Dzika świnią kwicząc i rechocząc podniosła się z wyleżanego dołka i zaczęła się zbliżać, aż stanęła niepewna, lękliwie węsząc miły zapach i czując budzącą się żądzę żarcia.

- Koniec Zdarom - pomyślał jeszcze staruch, obojętny wobec tego końca i bezwładu, jaki przynosił.

I tę ostatnią chwilę spokoju przeciął mu jasny miecz jomsborski. Błysnął gdzieś w głębi, która zamierała: błysk ten pchnął z serca tężejącą krew w żyły. Motyl uleciał, dzik spojrział nieufnie,

odskoczył z kwikiem; stał jeszcze chwilę, rozmyślił się, zaczął oddalać się z wolna, wężąc po ziemi i ocierając się o karczce.

Człowiek usiłował powstać, nie zdołał, noga ciążyła jak kamień. Siedział chwilę z pochyloną do kolan głową, obrócił się, oparł się dłońmi, posunął się krok na czworakach.

- Ręce mam jeszcze zdrowe - pomyślał mętnie i myśl ta znowu przyniosła mu ulgę. Począł pełznąć, włókł za sobą bezwładny kikut, nie mógł go odrzucić. Kaleczył palce o kamienie i ciernie, broczył krwią, pełzł, przypadał na chwilę, znów pełzł, okrążał wykroty i pnie, nie zdawał sobie sprawy z kierunku, ale pełzł. Niósł wieść od Śliźniów do Mieszki o napadzie Jomsborga - musiał donieść!

Był zachód słońca, gdy rozchylił nadbrzeżne krzewy. Podniósł się nieco, patrzył. Pola migały kolorowymi kwadratami. Rzeka się wyginała i srebrzyła. Z chat sączyły się w niebo proste dymy. Na wzgórzu szeroko rozsiadło się grodzisko.

Daleko jeszcze - szepnął łazęga, zwiesił głowę, z jękiem przy każdym ruchu pełzł prosto na gród.

9.

Stary Ślizień wyszedł z chaty na wrzask, mając u boku Dziewannę, stał chwilę oślepiiony białością dnia. Gromada wołała podniecona, w gwarze nic nie mógł złapać. Uciszył hałas jednym słowem:

- Lubusza!

Syn podsunął się doń skwapliwie. Co tam? - stary patrzył spode łba, mrużył oczy.

- Wódz jomsborski stoi nad rzeką i wrzeszczy do nas - syn mówił pokornie, pokora ta gniewała starego, jako jawna oznaka słabości u najstarszego po nim w rodzie; a przecież kiedyś Lubusza buntował się, stawał okoniem - i dziad złamał z trudem krnąbrność pierworodnego. Teraz wolno obrócił oczy na Lubuszę.

- Wódz jomsborski? Rozumiecie?

- Nieskładnie gada, wždy zrozumiale - syn dziwił się, że jomsborczyk zna ludzki język.

- Czegóż chce?

- Pry, żebyśmy układali się z Jomsborgiem - wyrwał się Sobek. Dziad spojrział nań srogo, syknął:

- Cichaj! Nie ciebie pytam. Lubuszę.

- Tak wrzeszczał - skinął głową starszy. Nieufność omroczyła gębę Śliźnia: układy z Nordami zawsze kończyły się źle; tak bąjał Kuternoga i inni. Dziad stał nieruchomo, spoglądał na swoje stopy, dumał. Patrzyły nań zastrachane oczy gromady, zatajali dech. Zły już był, że posłuchał starego Zdara. Zrazu groza ciągłej możliwości napadu, groza nadejścia Nordów w większej liczbie przestraszyła go jako bliskość zagłady. Posłuchał Zdara. A przecie można było inaczej, można było. Niechby spłynęli. Postawi grodek nad rzeką, z dawna czas Śliźniom na gród. Umocni gęsto kołami i wałem. O wa! rąk do roboty nie zbraknie i tramów nie zbraknie. Zasiiek robi w dole rzeki, stróża w grodzie będzie stała - za zasikiem i grodem Śliźnie mogą orać spokojnie.

Gromada czekała, co powie: skrzywił wargi, patrzył wciąż w ziemię.

Nie żałował trudu, ród ma dość czasu. Żałował krwi, żałował każdego życia swoich, jakby wierzył jeno we własną płodność, która zanikła, a wraz z jej zanikaniem wzrastał strach o rodową przyszłość. Dawniej, gdy jądra miał pełne mocy, bitki, na które szli jego synowie, nie przerażały go wcale. Teraz trząsł się nad każdym życiem, jakby w gromadzie mogło zbraknąć nasienia i białek rodzących co rok.

Nie chciał walki z Nordami, a zbójów zamknął nad rzeką. Pnie drzewne łatwo w rzekę zwalić, lecz ściągnąć je trudniej - a długo nie będą ze sobą sąsiadować krwiożercze wilki i unikające walki jelenie.

A jednak przed rozgorzałym wzrokiem gromady wahał się: bał się chytryści nordyjskiej. Podniósłszy oczy dojrzał Gorma, który wyciągnął nagie dłonie na znak, że pragnie pokoju. Miecz jego błyszczał

samotny, jak zatknięty w ziemię obcy znak Kyryi Krysti.

Gorm wzywał starszego Śliźniów na wiec poufny i przyjacielski. Obie strony miały przyjść bez broni, z gołymi rękami, na Śliźniowy brzeg rzeki, z dala od swoich. Dzewanna dotknęła ramienia starego.

- Nie idźcie, dziadu - pokraśniała.

- Głupia - poklepał ja po łopatkach. Zakryła twarz ręką, uciekła.

- Pójdę abo co? - zdawał się wahać.

- Nie idźcie - krzyknęło kilka głosów, krzyknął gromadzki strach. Dziad poczerwieniał, wywalił na nich gały. Lubusza się podsunął, przedkładał:

- Co wiecie, jomsborczyk może wziąć nóż. Nóż, mołwią! - niemal krzyknął, podniósł oczy na ojca, błagał nimi. Dziad podsunął mu zaciśniętą pięść.

- A tego... nie mam? A wżdyć pomoc dacie.

Lubusza odetchnął, gromada zafalowała, uspokoili się: ufali staremu.

- Ty bacz - powtórzył, zamilkł. Ze starczą powolnością rozważał wszelkie możliwości zasadzki - baczenie na nich... za rzekę. A chyci który za łuk abo za sulicę, krzyczcie.

- Co zrobicie? - Lubusza znów się przestraszył.

- Porwę psiego syna za gardziel, okryję się kiej szczytem - odparł niecierpliwie stary - już ty się nie bój. - Jeszcze dreptał chwilę, zdecydował się. Krzyknął na syna:

- Wołaj, że idę k'niemu.

Na krzyk Lubuszy Gorm nie zwlekając wszedł w wodę, brodząc do kolan; miecz zostawił na tamtej stronie, zatknięty w piasek. Stanął u wierzb, czekał spokojnie na ogromnego starca, pochylonego trochę, o kwadratowej twarzy i zaciętych wargach. Ślizień zbliżył się, chwilę patrzyli na siebie z bliska - twarz w twarz - jak rzadko spotykają się wrogowie. W oczach obu tała się ta sama nienawiść i wstręt, ta sama ostrożność czujnego zwierzęcia puszczy, gotowego w każdej chwili odskoczyć lub rzucić się przeciwnikowi do gardła.

Górni usiadł pierwszy, zapraszając gestem starego do rady. Dziad zawahał się znowu, spojrzął za rzekę, obejrzał się na swoich, skrzywił się, ale pochylił się, usiadł. Lewą rękę opierał o ziemię, podgiął nogę, by móc zerwać się jednym skokiem, drugą niedbale wyciągnął do przodu.

W tejże chwili Gorm się nachylił, narzucił na wyciągnięty giczoł pętlę z mocnego sznura, uskoczył w bok, krzyknął, biegł przez bród ku swoim. Dziad zerwał się, ale sznur tym mocniej zacisnął się na łydzie. Daleko - przy zdobytych chatach- trzech Nordów ciągnęło co sił, aż sznur wytrysnął z wody, napiął się jak cięciwa łuku. Dziad zachwiał się, krzyknął padł na wznak, tamci ciągnęli go już przez

wodę, wykaraskali na brzeg, wlekli po piasku jak rzucającą się rybę. Gorm wyrwał z piasku miecz, biegł obok, rozogniony zwycięstwem udanego podstępu.

Śliźnie wrzasnęli, groza zdławiła im wrzask, skamieniali patrzyli za bród. Czucia się w nich zawaliły w bezdnię zdumienia i trwogi. Tchnąć nie śmieli. Nie pojmowali, co widziały ich oczy: na miotającego się dziada spadła kupa ciał, ramiona, garście, paluchy przydusiły go, siedli nań okrakiem, wiązali przeguby rąk i nóg. Przewrócili go na wznak, kupili się, zagłądali w twarz, coś krzyczeli, machali rękami, rechotali. Gorm wparł dłonie w bok: widać - puszył się. Podbiegali doń, klepali po plecach, gadali jeden przez drugiego.

Śliźnie stali bez ruchu. Nagle Dziewanna chwyciła garścią włosy, roztarła je, przejechała pazurami po twarzy, zakrwawioną gębą rzuciła się na ziemię, rozwrzeszczała się, biła nogami po trawie, wyła:

- Dziad, uhu! Dziad! Dziad! Dziad!

Gromada zakotłowała się - opuszczona, bezradna. Rozległy się zalęknione wołania:

- Giez! Giez! Gdzie Giez?

- Prowadź, Giez!

- Lelum, Giez! Gieeeeez!

Tylko Giez mógł im przewodzić. Czuli to. Nie Lubusza, lecz Giez.

- Giez! Giez!

Z ziemi dobiegł ich spazmatyczny wrzask Dziewanny:

- Nie wołajcie ji! Nie! Giez przepadł, jako dziad przepadł. Dziad! Uhu!

Znowu załomotała nogami.

Giez całkiem odsunął się od swoich - od rana łążęgował, jak głuptak czy baba, ze smardzikiem zza rzeki. Zbierał chrust, przytoczył dwa cebry ze smołą i maczał w niej suche chojary, wspomagany przez chłopca. Nie obejrzał się, gdy go dziad wołał w chwili odejścia Kuternogi, nie brał udziału w rąbaniu zasieku, nie zwrócił uwagi na porwanie dziada, pochłonięty swym zajęciem dziwacznym i niepojętym. Teraz, gdy dobiegło go żalosne wołanie, nie odwrócił nawet głowy, jak głuchy pień, odurniały ze szczętem. I gromada pojęła, że utraciła Gza na zawsze, że nic go już Śliźnie nie obchodzą.

Stali beżładnym, durnym stadem.

Dziewanna uniosła się, klęcząc spojrziała za rzekę, zakrzyczała przeraźliwie:

- Śliźnie! Ubiją ji! Ostaniecie sami! Śliźnie!

Raptowny wrzask zatrzęsł gromadą, ręce dźwignęły topory, nogi poniosły, wściekłość uderzyła jak obuchem, tłum runął do rzeki. To już nie była gromada, nie było tam Lubuszy, Dobka, Sobka, Kuwacza, braci, synów, stryków, dziewierzów.

To parla wspólnota, jedno ciało wymachiwało stu toporami, wyło ze stu gardzieli, ślepe, przelewające się wspólną wściekłością i żądzą rubieży. Długa, płaska chmura kurzu, tocząca się w kłębach po ziemi, wpadła w wodę burząc ją, gnała do łodzi. Trzech Nordów barłoczyło się na czółnach. Porwali się, zawrzaśli jednym gardłem "Jomsborg!", pchnęli w gęstwę mieczami, oszalałe topory spadły na skórzane szłomy, zmiażdżyły osłonę, kość, trysnął mózg jak sok ze zduzonego owocu. Już ława pędzi pod górę na mniej niż o połowę słabszą drużynę jomsborską. Tamci w mig rozwinęli się w długiego węża, gnali bez lęku na stłamszony kłęb ciał, rąk, grotów, toporów.

Nim dobiegli, nad wycie i tupot wytrysnął przeraźliwy krzyk dziada. Stary, widząc natarcie, szarpnął dłońmi, więzy trzasły, podniósł się mimo spętanych nóg i wyciągnawszy ramiona ryczał:

- Wracać, Śliźnie! Do tyłu, za rzekę! Bronić białek i dzieci! Wraacać!...

Gdyby nie posłuchali go, zmiotliby Nordów - jak nawałnica zmiata kupę liści - zgmiotliby ich liczbą i furią spadających na głowy i miecze toporów. Lecz zbyt zwyczajili się słuchać tego głosu ślepo i bez pomyślunku. Stanęli od razu, zawahali się i spłoszyli. A Nordowie lecieli na nich nieustraszenie, z długimi mieczami i pieśnią, która się im z ust zerwała na widok załamania Śliźniów. Kroki mieli równe, jakby mierzone, bo i to była jedność, drużynna, nie rodowa, jedność długich walk, wspólnych rzezi, jednakich ruchów i uderzeń.

Dziad w tejsze chwili zrozumiał, co działał w ślepym szaleństwie starczego uporu. Jednym błyskiem pojął, że teraz Jomsborg wpadnie na uciekających Śliźniów i wyrznie ich do nogi. Chwycił rękoma za czuprynę, krew mu nagle uderzyła do głowy, osunął się na ziemię - martwy zewłok, zabity wyrokiem śmierci wydanym na swoich.

A jomsborczycy już wpadli na Śliźniów, skoczyli im do gardła. Tamci bronili się niezdarnie, nie mając wprawy w walce, nie ożywieni zapalem i ślepą wściekłością. Machali toporem, cięli puste powietrze, a jomsborskie miecze chlupotały w buchających krwią gardzielach. Walili się z rozrąbanymi głowami na pysk. Strach ich dusił przed bitką, przed czerwonymi gębami Nordów, przed zamętem i śmiercią. Byli sami. Stłamsili się, zwinęli, rozsypali się ku rzece w bezładnej ucieczce. Jomsborczycy szli wciąż lawą, wbijali miecze w plecy uciekających, przeskakiwali trupy, gonili. Śliźnie wpadli w bród, lecieli ogromnymi susami, woda wytryskiwała rozpryskanym chlupotem, rdzawiły się w niej długie wężyki krwi. Nagła chmura dymu, ukosem spływająca na rzekę, oddzieliła ich od goniących. Usłyszeli wrzask, dopadli brzegu, Nordy zostały. Lubusza obrócił się: Jomsborczycy z krzykiem lecieli do łodzi.

Gorzały wysokim płomieniem, dym buchał czerwonymi kłębami. Zwalone na dno, byle jak, ogromne, rozłożyste chojary ociekające smołą huczały wielkim ogniem; paliły się już boki czółen, przesmolone, wyschłe w upale. Próżno rąbali je mieczami, chlustali wodą, chwyтали gołymi rękami za płonące deski, usiłując przewrócić łodzie w rzekę: nie mogli zwalczyć ognistych języków - straszliwej zemsty Gza i małego smardzika, któremu zabili ojca.

Na szczycie płowego pagórka stali Giez i Dzierżyk, jak dwaj druhowie, połączeni ze sobą wspólnym czynem i niebezpieczeństwem. Obaj opierali się na zdobytych mieczach jomsborskich, chłopcu miecz dochodził do brody, ale trzymał go z godnością i powagą. Był to ich łup bezsporny, zasłużyli nań przezornością, mądrym przygotowaniem się do spalenia łodzi i szybkim wykonaniem zamiaru. Byli z siebie dumni i trzymając rycerską zdobycz czuli się wojownikami, oderwanymi całkiem od codziennych trosk kmiecej polany. Spełnili swe zadanie w mgnieniu oka, gdy gromadny krzyk Śliźniów odwrócił ich głowy ku rzece i łodziom. W chwilę później Giez niósł już przez rzekę cały las chojarów ociekających smołą, a obok brodził Dzierżyk z dwoma pękami płonącego łuczywa w wyciągniętych dłoniach. Śliźniowie już byli na tamtym brzegu, a oni zbliżali się do opuszczonych łodzi, z których patrzyły na nich martwe białka pobitych jomsborczyków.

Obok ciał znaleźli miecze, gdy zwalali swój stos na powykręcane ciała i szybko podpalali ze wszech stron. Zaraz też brnęli z powrotem przez rzekę: Śliźnie się już cofali. Dzierżyk popiskiwał z wielkiej, rozrywającej go radości.

Był mężczyzną.

Łodzie płonęły szybko jak smolne szczapy, a żar był tak wielki, że Nordowie musieli w końcu odstąpić z osmolonymi twarzami i rękami pełnymi bąbli i ran. Czekali w niemej rozpacz do końca, póki mokre deski na dole nie zaczęły syczeć pod ogniem, a ze stosu sterczały tylko popalone kikuty żeber, jak pary czarnych ramion wyciągniętych w bolesnym błaganiu ku niebu.

W sercach jomsborskich zbójów zbrakło siły nawet na wściekłość i zemstę. Jakby wydarto im ziemię spod nóg, czuli się bez swych krasnopiórych łodzi opuszczeni i słabi. Milczeli. Gorm pojmował ich boleść, sam ją czuł zresztą najmocniej. Zmęczonym wzrokiem powiódł po osiedlu Śliźniów, zawrócił bez słowa, ruszył brzegiem wzdłuż rzeki. Towarzysze szli za nim gęsiego długim, milczącym węzem. Wspięli się na piaszczyste urwisko, minęli trupka chłopca przygwożdżonego oszczepem do sosny, spełzli w dół, mignęli między krzewami, utonęli w zielonej ścianie puszczy.

W tejże chwili poderwała Gza jego dzika, pierwotna żywotność. Biegł z pagórka ku chatom, a za nim dreptał Dzierżyk wlokąc za sobą po trawie długi miecz zdobyczny.

- Śliźnie! Śliźnie! - ryczał Giez.

Gromada stłumiła się u chat, milcząca i bezmyślna. Na pędzącego Gza patrzyły krągłe, ogłupiałe oczy, żaden nie ruszył się. Nie popuścili broni. Od chat dolatywało zawodzenie białek. Świnie i psy łąziły po obejściu. Jakiś głos wykrzyknął nagle: "To Giez!" Zamrugali powiekami, nie ruszyli się. Giez przypadł, stanął przed nimi czerwony i zziajany, smoła mu jeszcze ciekła po twarzy i karku, gorączkę miał w nieprzytomnych oczach, zawołał:

- Gońcie ich! Śliźnie! Gońcie, bo ujdą!

Jak obuchem uderzyło go milczenie gromady. Żaden nie ruszył się. Patrzyli nań niby na zwid.

- Śliźnie? jęknął Giez. Oprzytomniał. Powiedział chrapliwie:

- Gońcie, bo ujdą.

- Kto? - zachrapał Lubusza.

- Nordy.

Nie rozumieli. Spojrzeli za rzekę na czarne trupy spalonych lodzi. Z wolna zagadnął Lubusza:

- Jakie Nordy?

Giez skrzywił się niby trafiony. Jęczał:

- Śliźnie! Obudźcie się. Nordy uszły. Widziałem ci z onego pagórka. Uszły w puszcę.

Wybałuszyli oczy. Nie wierzyli.

- Uszły?

- Widziałem ci - huknął Giez. - Gońcie!

Ruszyli się, spojrzeli po sobie. Kiedy wrzasną jeden przez drugiego:

- Uszły! - Uszły Nordy! - Lelum! - Giez widział. - Z pagóra! - Nie ma ich! - Nie ma! Ooo!

Krzyk radości przeleciał nad gromadą. Umilkli naraz. Któryś zaskowytał:

- A wiele naszych pobiły. Lelum!

Giez porwał pierwszego z brzegu za pierś, potrząsnął:

- Śpieszcie, bo ujdą. Wybić zbójów. Słyszycie? Znow patrzyli nań tępo. Lubusza fuknął ozeźlony:

- Niech uchodzą. Co nam? Niech uchodzą, mołwią ci. Zakiwali głowami.

- Niech uchodzą. Zbóje! Przeklętniki!

- Nie puścić psów z polany - biesił się Giez - ubić sobaczych synów! Słuchajcie, Śliźnie! Wróć znowu, by mścić. Wróć, pobiją was.

- Już pobiły - zapiszczał Kuwacz.

- Nie wróć - mruknął Lubusza - dziad posłał Kuternogę do Mieszki. Mieszka przyjdzie, pobije Nordów.

- Kuternogę? Do Mieszki? - Giez oderwany od gromady nic nie wiedział o poselstwie kulawca.

- Po pomoc - oczy Lubuszy biegły za rzekę, ku trupom swoich. Niecierpliwił się. - Trza ich zebrać, grześć godnie. Stenie to.

Giez czuł, że mu wściekłość znów podłazi pod gardło.

- Co tam Mieszka! Co pomoc! Śliźnie muszą mścić swoich.

Wciąż patrzyli nań tępo i nieprzyjaźnie.

- Przykazuję wam! - ryknął, pięści zacisnął, poczerwieniał.

Szydliwy prześmiejch wykrzywił twarz Lubuszy.

- Przykazujesz? A kajś to był, kiedyśmy cię wołali? Kajś był, kiedyśmy bili Nordów? Kiedy szli za dziada? A? Kajś to był? Nic ci do Śliźniów. Ty nie Ślizień! Przywłoka. Cudzy.

Poleciały krzyki jak kamienie.

- Wen!

- Smard! Przywłoka!

- Suczy syn!

- Wen z gromady! Barłoż się z Dzierżkiem.

- On ci rodowy. Nie my.

- Nie Śliźnie!

- Wen!

Zafalowała gromada. Pięści się zaciskały, przyskakiwali do oniemiałego Gza, pyskowali wprost w zbielełą gębę:

- Obacz. Kamieniami cię jeszcze przegnamy.

- Psami wyszczujem.

- Wen z polany! Wen! Wen!

- Pomiot psi.

Białki wyleciały z chat, jazgotały, krzyczały, judziły. Otroki z dala rzucały grudkami. Lubusza wsadził głowę w ramiona, zdawał się przestraszony. Powiedział cicho:

- Trza nam za rzekę. Pobitych pobrać.

Posłuchali go zrazu, jakby ich wiatr zawrócił. Już baby zawodziły wspominki. Szli wolno do rzeki, przez bród, na górę. Giez, skamieniały, zmartwiały, patrzył za nimi bezmyślnie sowimi oczyma. Nie pojmował. Żałobniki kłoniли się nad trupami, oglądali je, zawodzenie aż tu dochodziło. Doszli na

górze, do dziada, pochyłili się nad nim. Giez wciąż patrzył.

Jak przez sen poczuł dotknięcie. Usłyszał szept Dzierzka:

- Nordy ujdą.

Wstrząsnął się. Pobiegł oczyma po polanie, wewnętrzny szloch nim szarpnął. Lelum! Nagła wściekłość buchnęła, ryknął nie wiedzieć komu:

- Nie ujdą!

Biegiem rzucił się do dziadowej chaty, była pusta. Porwał sakwę, wiszącą u paleniska na kołku, drżącymi z pośpiechu dłońmi pchał w nią mięso, podpłomyki. Odszukał trzy oszczepy, łuk, topór wsadził za pas, z mieczem w ręce wyskoczył. Rozejrzał się raz jeszcze, poszedł szerokim krokiem w ślad za Nordami. Za nim kulał się mały cień chłopca, prędko przebierającego nogami; z tyłu podskakiwał długi promień miecza. Dobiegli skraju puszczy.

Giez się obrócił, coś szarpnęło nim, by rzucić raz jeszcze wzrokiem na polanę. Wtedy ujrzał smardzika. Gniew znów nim zatrzęsł.

- Dzierzyk, wracaj.

Fala krwi spłynęła na twarz małego. Oczy spojrzwały nieugięcie.

- Nie! - zawrzęszczał cienko, rozpaczliwie.

Giez popatrzył nań długą chwilę, roześmiał się. Złożył ciężką dłoń na głowie otroka, powiedział: Biegaj. A daj no, poniosę ci miecz.

Jeszcze cienie zabrzmiał krzyk chłopca:

- Nie dam.

Giez - bez słowa - rozgarnął gałęzie, nurknęli w gąszcz. Daleko - u brodu - żałobniki nieśli pobite przez Nordów ciała. Zawodzili. Żalili się.

11.

Gorm prowadził drużynę wzdłuż rzeki, znali ten szlak, przepływając nim w tę stronę. Rzeka wiała się, była tu węższa, brzegi miała wysokie, strome, zarośnięte. Z trudem przedzierali się wzdłuż nurtu, Gorm odsunął się od brzegu na kroków sto, dwieście, puszcza tu stała stara, rzadko podszyta, omszona. Wędrowali w milczeniu, jeden za drugim, ani razu nie zawiedli pieśni, ani razu gadka nie urozmaiciła pochodu. Gorm szedł przodem, głowę zwiesił, usiłował nie słuchać swarów, które go doganiały.

- Co nam rzekną w Jomsborgu? Napędzą.

- Iii...

- Napędzą. Obaczysz.

- Dojdziesz tam wprzód.

- Co nie mam dojść.

- Myślisz, że skoro uciekł z polany jak zając, to i pan? Tyle drogi. A ludzi nie spotkasz?

- Gardła poderznię.

- Aha! Poderznię... Trza było podrzynać na polanie.

- Bodaj ci jęzor skołowaciał.

- Wprzód radziłem w kręgu, później nam łodzie popalili, nynie zmykamy bez zemsty.

- A dyrda jakby go grzali.

- Pogrzeją, nie bój się.

Gorm nie strzymał; odwrócił głowę, syknął:

- Cichajcie!

- Gęby jeszcze zawiążesz?

- Cichajcie - twarz mu się skurczyła. - Co ślad dawać po próznicy.

- Ślad?

- Myślicie, że was nie gonią? Zacichli.

Gorm łagodził:

- Wrócim, wtedy pokazem smardom. Teraz cicho!

- Aha! Pokazem - odburknął Björn, ale ucichli.

Szli parę stajań w milczeniu, mech miękko chrzęścił pod nogami. Znów oddalili się od rzeki. Stejn mruknął:

- Ale! Ścigają tam - wysunął się z węża, przyklęknął, zaczął poprawiać skórznie. Tamci nań nie czekali. Nie uszli daleko, dobiegł ich krzyk krótki, urwany. Gorm zawołał:

- Naścigli go.

Zawrócili, pędzili wielkimi susami na powrót. Stejn leżał powalony pod pnem, nogi miał podkurczone, twarz w mchu, tylko mu koniec białej brody błyszczał; jedną rękę trzymał jeszcze przy nodze, jakby wciąż skórznie poprawiał. W plecach tkwił mu ułamany oszczep. Patrzyli na trupa, na cichy las - pusty, nigdzie ni cienia. Dopiero Gorm ich oderwał, stukał mieczem, wołał:

- Gońcie, szukajcie... ich maciesz. Tu są, niedaleko, szukajcie.

Rozsypali się, pokrzykiwali, by się nie zgubić w gąszczu. Nikogo: las cichy, pusty, ni cienia. Wracali z ponurymi gębami, Gorm, nim ruszył, rozkazał twardo:

- Kupy się trzymać, żeby nikt nie odchodził. Słyszycie? Któryś zgrzytnął ze złością:

- Dopiero co kazał nam w pojedynkę gonić, teraz kupą. Onże to Gorm?

- Za mną - krzyknął z rozpaczą Gorm.

Do wieczora szli w ciszy zupełnej: ni pary z gęby. Las był wciąż cichy, pusty. Oglądali go podejrzliwie, milczkiem. Złość ich dławiała coraz większa, już nie strzymywali, zęby zgrzytały, zuchwy skakały im po twarzach. Gdy zapadł mrok i Gorm, odwróciwszy się, rozkazał krótko "Postój!", zawrzasnął jeden przez drugiego:

- Krąg! Zwołuj krąg! Krąg, słyszysz? Gorm stał z pochylonym łbem.

- Po co krąg? Co tu radzić?

- Zatknij pysk, dość jarlowania.

- Wygubisz drużynę.

- Już po wyprawie, możemy obrać, kogo chcemy.

- Wen z Gormem! Smard! Kuropłoch!

- Bjórna chcemy!

- Björn jarl!

- Ooo! Bjorn! Bjorn!

Gorm odstąpił krok, bez głosu powiedział:

- Psy! Klęście się! Psy! Dobrze, niech będzie krąg. Rozpalić ogień.

Zbierając gałęzie już radzili:

- Płet nam zbudować. Wodą spływać.

- Rzeką.

- Kołami o dno, szybciej pójdzie.

- Sił nie zbędziem.

- Do morza!

- Björn powiedzie. Walny woj, za wrogami patrzy, nie za kiecką.

- Rozpalać - ozwał się kamienny szept Gorma. Zaczęli krzesać, buchnął ogień. Bjóm - nowy jarl - rzucił pierwszą garść suszu. Stał nad ogniskiem, wołał:

- Drużyna! Klnijcie się na wierność Björnowi, jarlowi grzędzi jomsborskiej.

Nie dojrzeli strzały. Widzieli tylko, jak Bjorn roztworzył ramiona, puścił miecz. Chylił się do przodu wolno, bardzo wolno, sztywnie, bezwładnie, padł twarzą w ogień, trysnął snop iskier: strzała przebiła gardziel, wyszła karkiem. Gorm pokraśniał, rozmachnął się, zaciśniętym куłakiem wyrznął w mordę najbliższego, zwałił go, wrzeszczał:

- Oto wam nowy jarl, durnie! Oto płet! Macie krąg i płet, i jarla! Chcecie spływać, by wystrzelali was jak bobry! Zdeptać ogień, chyżo, ja to wam nakazuję, Gorm, wasz jarl! Psy smrodliwe. Deptać ogień.

Zdeptali. Ścichli. Nie buntowali się więcej.

Nie wiedzieli, że ściga ich jeden kmieć i jeden otrok.

Giez szedł za Nordami szybko, zaciekle, jakby zwierza tropił. Łeb miał pochylony, wypatrywał w mchu śladów, rozglądał się, przystawał, słuchał; przykładął ucho do ziemi, węszył. Czasem biegł. Przytajał się za pniami, w krzewach.

Za nim dyrdał Dzierżyk z mieczem. Niekiedy Giez brał chłopca na barki, niósł; otrok boczył się, Giez nie zważał. Gdy leciał na bitkę, zostawiał małego w wykrotach, w gąszczu, na drzewie. Wracał, wyprowadzał Dzierżka, znowu szli. Nie mówili do siebie.

Rozumieli się. Jednakim odczuwaniem, wojacką wspólnotą i drużbą.

Giez ukatrupił w tym pościgu czterech Nordów.

Nie ukazywał się nigdy ściganym na leśnych polanach i pustych wrzosowiskach. I teraz zatrzymał się na skraju, legł na brzuchu, głowę tylko wysadził spod leszczyny. Obok leżał Dzierżyk, oczy mu się jarzyły, gonił wzrokiem jomsborczyków zbiegających po pochyłości.

Było blisko zachodu. Dno płaskiej, gołej doliny, której środkiem płynął rozlany ruczaj i rosły kępy olszyn, zalegał granatowy cień. Łagodne wzgórze po tamtej stronie przecinały długie, ostre smugi. Przeciwległa ściana lasu złociła się ślepiącym blaskiem.

Nordowie przeprawili się przez strugę, długo jakoś paćkali się w błocie. Niektórzy przysiedli, nieśli w złożonych dłoniach wodę do ust, pili, woda im uciekała między palcami.'Maru

Puszcza dzili, czuli się bezpiecznie na otwartej przestrzeni, niechętnie spojierali w górę ku puszczy. Jak gdyby czuli czające się tam niebezpieczeństwo.

Od tej rozplamienionej ściany zaczęli się nagle sypać wojownicy. Dzierżyk wpił palce w ramię Gza, oczy mu wyskakiwały : biegli drugimi susami jak w tańcu i jak w tańcu wykrzykiwali rytmiczne zawołanie:

- Bolesław! Bolesław!

Usłyszawszy imię najstarszego Mieszkowica, ujrawszy jego drużynę, Giez zrozumiał: Kuternoga doszedł. Wstał, przestał się ukrywać. Paśł oczy widokiem, do jakiego tęsknił przez całe swe życie, zakisłe na kmiecej polanie.

Miecze, blachy lśniące, kolczugi, brązowe okucia czerwonych tarcz, kroki śmiałe, gęby wrzeszczące. Przeskakiwali w biegu karcze i krze. Walili kupą. W dół.

Dolinę przelatywał już płomień walki. Las huczał zawołaniem:

- Bolesław!

Nordowie w mig zrzucili niezdarność i wahanie. Wybiegli przed strugę, wzniesli miecze i okrzyk: Jomsborg! Jomsborg!

Spotkali się tuż za strugą, zakotłowały się ciała, zamigotały błyski, szczęk, wrzask; wrzask się urwał, tylko ciężkie gromadne stękanie. Giez puścił się w dół, ile sił; za nim pędził Dzierżyk trzymając oburącz nad głową ciężki miecz jomsborski. Za strugą kulała się bezładna kupa.

Gorm opuścił łeb, patrzył spod rogów na lecącą drużynę, zaraz poznał przywódcę. Gniew nim targnął, złość wydarła cichy okrzyk, skoczył. Tamten obejrzał się, dwa miecze starły się z suchym chrzęstem, ześliznęły się, rękojeści wsparły się o siebie. Przeciwnicy znieruchomieli na mgnienie, przepychali się wzajemnie, nie mogli przepchnąć, spojrzeli sobie z bliska w oczy.

Gorm widział młodą gębę, włosy wysypały się spod hełmu, oczy były rozradowane i złe. Jomsborczyk przygiął się, tamten wykrzywił się z wysiłku, zębami przyciął wargę: was tyle co się mu

sypał, jasny, konopny. Gorm skurczył się jeszcze bardziej, gotował się do odskoku, by zachwiać przeciwnikiem, ciąć go z góry. Tamten był szybszy: zarżał nagle, nawalił się całym ciężarem na miecz, pochylił łeb, rąbnął szczytem szłomu w twarz Wikinga. Gorm poczuł, jak mu się palce rozwierają, słabe, drewniane; puścił broń. Zachybotał się, ujrzał czerwoną w słońcu smugę spadającego miecza, twarz pochyloną, oczy ciekawe, ciekawe, zamyślane - i od razu roztworzyły się przed nim ciężkie wrota Jomsborga; była noc; migotały pochodnie; wpadł w otwarte wrota głową naprzód, wrota zatrzęsły się za nim, słyszał ich łoskot; czuł, że pada twarzą w czarną, rozlaną wodę, ale nim plusnął w nią, przestał czuć.

U nóg Bolesława leżał trup Gorma, jarla jomsborskiej grzędzi.

Bolko usłyszał wrzask, wrzeszczała drużyna: wybili Nordów. Kupili się doń, śmiali się, pokrzykiwali, wiedli ogromnego kmiccia i małego pędraka - obu z normańskimi mieczami.

- Kim jesteście? - spytał syn Mieszki.

Giez łapał z trudem powietrze, powiedział śmiało:

- Przyjmijcie nas do drużyny, Bolesławie. Bolko roześmiał się, obrócił się do swoich. Zapytał:

- Słyszycie? I do Gza:

- Ciebie, no! Wždy co zrobię z tym chmyzem? Wezmę dlań białkękarmicielkę abo jak?

Drużyna zarechotała jednym gardłem. Giez nachmurzył się, milczał; milcząc wyjął z dłoni chłopca zdobyczny miecz normański, podał Bolesławowi: z długiego ostrza szkarłatem kapały krople krwi.

Bolko spojrział na chłopca, zadumał się.

CZEŚĆ DRUGA

Ksiądz i księżyc

1.

Przez długie jeszcze lata pieśniarze Słowian, Niemców, Nordow i Rusi wiedli swe nie kończące się opowieści o wojnach, które przewalały się przez kraj Mieszki, jak burze idące nad puszcza. Wojownicy siedzieli na moszczonych ławach wzdłuż ścian, z okutych rogów ciągnęli piwo i miód, słuchali o cesarzu Ottonie, Wichmanie i Kizonie, Przybysławie i Palnatokim, Włodzimierzu Słoneczku, o chytrym Gejzie węgierskim, Bolesławie Srogim, o Erykach i Olafach o wszystkich świętych królach i rycerzach, z którymi stary Mieszka wiódł boje. I o tych latach ostatnich, kiedy synowie Ody byli jeszcze małymi chłopcami, a ramieniem i mieczem księdza Mieszki był pierworodny Bolesław - chybki jak jeleni i chrobry jak tur.

Odległe to były czasy, pełne śmiertelnych zapasów i świętych zwycięstw, utrwalonych w pieśni - jedynej trwałej nagrodzie za trud i męstwo wojownika. Pieśniarz przerywał opowieść, cisza zalegała świetlicę, gęśle drżały pod rzadkimi uderzeniami palców, świerszcze cykały w belkach, ogień syczał na palenisku. W tych chwilach cichej zadumy nad bojami przeszłości serca tężały w głębokiej tęsknocie za sławą pod srebrnym stropem dalekich gwiazd wykuwały się dzieje ludów.

A pieśniarz mocniej uderzał w struny i dalej wiódł swa, opowieść:

- Była wiosna. Bolesław wracał z małej wojny z Jaćwieżą...

Ej, drużyno, ty drużyno, kądy śpieszysz, kiej burza, kiej wiatr? Ej, koniu mój ty rusy, kaj to niesiesz mię przez pola i las...

- Śmierdzi!

- Śmierdzi! Mięso przypalił. Głuptak! Woli łeb.

- Woli ogon, nie łeb.

- Wołek! Isty wołek!

- Ostaniesz już wołkiem, Stanko.

- Wołek! Wołek!

- Ha ha ha ha!

Ej, drużyno, ty drużyno, ty mój ród, mój pień, mój miecz...

Była wiosna. Ogień trzaskał, czerwieniał, dalej czarny krąg mroku. Pachnęło wilgocią, przywiedłymi ziołami, potem, spalenizną. Spętane konie tupotały niedaleczko, gryzły trawę. Powietrze lepkie, wesołe. Była wiosna. Bolesław wracał z małej wojny z Jaćwieżą.

- Ha ha ha ha!

Przemko Świradowic siedział na pniu zwałonego drzewa, na kolanach trzymał głowę Dzika,

oczy zasłaniał mu dłońmi, śmiał się. Dzik stał pochylony, wypiął zad, wrzeszczał:

- Abo bijcie, abo pójdę. Co wydziwiacie?

Stali za nim, rechotali, aże się zataczali. Sobek wołał:

- Podchodzę, patrzę: ki ceber? A to zadek, nie ceber. Mołwię wam, takiego zadka u kupców nie najdziesz.

- Ha ha ha!

- Bijcie! - wrzeszczał Dzik.

Sobek płasko, z zamachu trzasnął w wypięty zad. Dzik zerwał się, małymi oczkami wiercił kupę. Przemko siedząc przytupywał z radości.

- Stojgniew!

- Niii... Stawaj - ryczała gromada. Buntował się. Porwali go, przydusili, Przemko oczy zakrył. Znów wydziwiali.

- Góra nie tyłek.

- Miech nabity.

- Bijcie! - krzyczał Dzik.

Bolko szeroko rozstawił nogi, patrzył, śmiał się. Wielki, niezgrabny. Potrząsał ramionami. Wyciągnął z pasa żelazną rękawicę, podał Stojgniewowi. Spojrzeli na siebie, cicho zaśmiali się. Stojgniew naciągnął ją, stanął do rozmachu.

- Bijcie! - wołał Dzik.

Stojgniew walnął, Dzik opadł na kolana, przypłaszczył się, wyrwał się z rąk Przemka. Tamten chichotał, aż kładł się. Dzik skoczył na nogi, głowę miał czerwoną, spotniałą. Bolesław zasadzał za pas rękawicę. Dzik wskazał nań palcem:

- Bolko!

- Niii...

- Ha ha ha!...

- Bolko!

- Niii...

- Ha ha ha!...

Sobek zapał cienko, on to umiał:

Ej, dzik się w błocie paćkał,

ej, dzik rył ryjem pod dębami!...

- Kto? - jęknął Dzik.

- Stojgniew.

Grubas rzucił się z pięściami, tamten w nogi. Gonili się. Drużyna waliła w obu szyszkami, gałęziami. Podstawiali nogi, kulali się. Las trząsł się, ogniska sypały iskrami. Żywią rozpierała chłopców.

Bolko mocował się ze Świradowicem. Dusili się, tarzali po igliwiu. Wraz krąg się koło nich zebrał. Judzili.

- Bolko! Hu! Walże go.

- Za szyję, Przemko.

- Do góry ji, później o ziem! o ziem!

- Chybko.

Ej, drużyno, ty drużyno...

Pieczeń zdjęli z rożna, obcinali nożami, jedli. Ryczeli. Puszczali w siebie ogryzionymi kośćmi. Przechwalali się.

Z wolna cichli, skupili się wokół jednego ognia, w krąg, inne przygasły. Poszły pieśni. Z rozkoszą ryczały gardziele, nasłuchiwali dalekiego echa. Cichli, drzewa nad nimi szumiały, migotały gwiazdy. Żrebce tupotały w młodą trawę, koniuch pokrzykiwał. Znów śpiewali.

- Ejże, o Wichmanie, o Wichmanie.

- Złe na Wichmana, o złotej rybce!

- Widzisz go, rybak się nalazł. O łodziach normańskich.

- O Wichmanie...

Śpiewali o Wichmanie, o rybce, o łodziach. Cichli. Wiatr zrywał się, wpadał w ogień, rozpryskiwał iskry. Szum drzew morzył do snu, ten i ów przyległ na trawie, patrzył w gwiazdy. Bolko ramionami objął kolana, głowę opuścił. Śmiech mu latał po twarzy, podniósł oczy, zaczął:

- Latoś idę przez las...

Zamilkł, z dalekiej ciszy nadleciało łomotanie końskich kopyt. Słuchali. Bolko szepnął:

- Cicho.

Nasłuchiwali, łomot olbrzymiał - niespodziany a groźny - wiatr ustał, gałęzie drzew zwisły martwe, przyczajone. Tętent huczał, cały przestwór drgał pod kopytami wierzchowca.

- Ejże, kogo to pędzi?

Sobek i Dzik skoczyli w ciemność, koniuch zakrzyczał, spędzał stado. Bolesław wstał, przesłonił dłonią oczy, patrzył w mrok. Czekali. Łomot tuż.

- Jeden - mruknął Stanko.

Bolko kiwnął głową, wziął za miecz, inni podobnie. W jasny krąg światła wpadł jeździec. Ściągnął ostro powody, koń zarył się kopytami, przysiadł na zadzie, targał łbem; był spieniony, białe płaty spadały mu z pyska, drżał. Jeździec rozglądał się wkoło niewidzącymi oczyma, pełnymi blasku ogniska.

- Wszebor! - zakrzyknął Bolesław. - Co przynosicie, piastunie?

Stary zatrząsł siwą głową, złapał garściami za łęk, zsunął się na ziem. Szedł w stronę głosu, wciąż oślepiiony blaskiem. Całą twarz miał w fałdach - od oczu, nosa, warg - wszystko zbiegało się gdzieś pod brodą. Stanął przed Bolkiem, który zniecierpliwiony ściągał wargi, mrużył oczy, pytał:

- Czegoście tak lecieli? Co przynosicie?

Stary wciąż nie odpowiadał. W milczeniu patrzył w oczy Bolesława, badając go i namyślając się nad nim. Bolesław znał to badawcze wejrzenie, musiał znosić je często, odkąd odebrano go matce i oddano piastunowi. Ruszył ramionami, zaśmiał się, ale śmiech brzmiał nieszczerze.

- Gadajcież, Wszebor - niecierpliwił się.

Tamten ocknął się. Drużyna po raz pierwszy ujrzała, jak Wszebor skłonił głowę przed Bolkiem.

- Czeka cię walka, Bolesławie - głos jego brzmiał uroczyście. Bolko zaczął sapać, oczy mu rozbłyły ochotnie:

- Gdzie? Z kim? Gadajcie.

Wszebor położył mu dłoń na ramieniu. Zbliżył twarz do twarzy Bolka, wydechnął prędko:

- Ociec twój zachorzał. Bolkowi tchu chwilę nie stało.

- Ociec? Zachorzał? Wszebor!

- Unger mówi: śmierć nad nim.

- Wszebor!

Bolesław skręcił się, powiódł wzrokiem, jakby miejsca sobie szukał, usiadł na pniu, gdzie przedtem siedział Przemko, gdy Dzika bili. Głowę pochylił, palcem gmerał w ziemi. W drużynie zerwały się szepty.

- Mieszka... Nie może być.

- Wszebor łże abo co? Leciałby to tyli świat. Obacz, jak konia zmordował.

- Unger mówi: śmierć nad nim.

- Teraz Bolko będzie ksiądz.

- A my drużyna księdza.

- Tyle wołali nam: młokosysy, żabibije, żółtodzioby. Nynie pójdą ziarno w stępach bić a skóry wyprawiać.

- Obaczcie, jak to siadł. Miarkuje.

- Odzie na biedę.

- I księżycom. Będzie tego, obaczycie.

- Uuu!

Każdy dumki swoje dumał. Wszebor podszedł do Bolka, siadł obok, milczał, czekał. Stojgniew namarszczył brew, patrzył w ogień. Przemko się doń przysunął, w kątach warg latał mu śmiech. Zaszeptał Stojgniewowi w ucho:

- Cóżes nasrożył się, Gniewek? Nynie my górą... przy Bolku.

Stojgniew spojrział nań złymi oczyma:

- Pójdiesz wen!

- Gniewek!

Stojgniew odepchnął go, wargi miał zacięte, poszedł od ogniska, w mrok. Przypomniało mu się, jak go woje Mieszki - wiele lat temu - brali od ojca. Na zakładnika. Kąsał wtedy i wierzgał nogami. Stary Wojbor nachylił się w on czas nad nim, odwiódł na stronę, kazał kłąć się na ród i przodków żyjących pod ziemią, że w dzień śmierci księdza Mieszki Stojgniew wróci z wieścią do Orczy. Teraz wieść przyszła. Stojgniew wszedł między konie, czuł zapach końskiego potu, szukał swego. Chciał go oporzędzić, jechać. Dokąd? Do Orczy? Stare próchno z końskimi czaszkami,

gród rozlały, by zgniły grzyb. Nynie jest Stojgniew drugim Bolesława, starostą w drużynie. Oparł się na końskim karku, koń bił prawą nogą, niepokoił się; wyginał szyję, obwąchiwał Stojgniewa. Nie pojedzie, Jaszo! - nie pojedzie. Klątwa... Na cienie przodków. Jaszo! Zawrócił, szedł ku ognisku. - Dureń Przemko! - złość na ojca, na Przemka, na Bolesława. Jaszo!

Drużyna zebrała się w kupę, podniosła żałobny gwar, biła mieczami w tarcze, pokrzykiwała. Wszebor porwał się z pnia, wściekły był, wrzasnął:

- Cichajcie, smardy, nie pomarł jeszcze, co wydziwiacie?!

Nieszczery łoskot urwał się równie nagle, jak wybuchł. Wszebor odwrócił się do Bolesława:

- Wszakóż trza nam pośpieszać, nie wiada, czy w czas dojedziem. Zimnica księdza trzęsie, kozuchem go okrywają, ogień pałą, a jenż cięgiem zębami szczęka.

Bolesław wstał. Czarną zmarszczkę miał między brwiami, duże fałdy od ust. Wszebor piłł:

- Pośpieszajcie. Tam Oda z Mieszka i z młodszymi judzą a zabiegają - wargi mu się trzęsły.

- Wždy dumam o nich.

- Na dumki będzie czas później - burczał stary. - Ony tam nie próżnują. Są na miejscu.

Gniew, niecierpliwość mignęły w obliczu Bolesława. Wyciągnął pięści, potrząsnął.

- Co ony zrobią beze mnie? Co mogą zrobić? Och, Wszebor, nie znacie mnie jeszcze.

Stuknął dłonią po jelcy i natychmiast zwrócił się do drużyny, czekając odzewu. Pojęli bez słowa, kupili się doń, przepychali - rozradowani i dumni. Wzruszyła go ich gotowość. Wykrzyknął głosem, którym ich zawsze zniewalał:

- Braćmi moimi jesteście. Jednego rodu drużyną.

Odpowiedzieli gwarem pełnym wierności i szczęścia. Wszebor kiwał głową, gryzł wargę. Mruknął:

- Będiesz wielkim władzą - i znowu swoje:

- Śpieszajmy, Bolesławie.

- Dobrze kiwnął głową. Zaraz krzyknął: Żywo! Żywo! Konie dawać. Jedziemy.

Rozsypali się. Słysząc było krzyki, niewolili konie, oporzadzali, zbierali sakwy, broń. Ogień przygasł. Bolko stał zadumany.

- Przemko, przywiedź no mojego - zawołał w ciemność.

- Uuu! - odpowiedziały głosy.

Do Bolka podszedł Stojgniew. Jąkał się. Momotał:

- Ksze... chcę was prosić... odpuśćcie mię...

- Odpuścić? Teraz?

Stojgniewowi łamał się głos:

- Na krótko... Kląłem się... idąc do was... przed oćcem... że powiadomię go o śmierci Mieszki.

Bolesław milczał.

- Kląłem się... na cienie przodków - wykrzyknął Stojgniew.

Bolesław milczał.

- Wždy wiecie, że was nie opuszczę. Nawet przeciw swoim, przeciw oćcu wybuchnął Stojgniew pełen namiętności i męki.

Bolesław milczał.

Ogień na wypalającym się stosie buchnął w górę krótkim płomieniem, Stojgniew ujrzał, że Bolko patrzy nań wzrokiem spokojnym, a u warg błąka mu się uśmiech. Ale wzrok ten ni uśmiech nie zwiodły Stojgniewa, wiedział on bowiem, że od siódmego roku życia nauczył się Bolesław kryć pod spokojem nieufność, a pod śmiechem - nienawiść.

Drużyna już była na koniach. Ruszyli.

2.

Ta chwila, gdy pierwszy raz uśmiechnął się, by ukryć miotające nim gwałtowne uczucia, zapadła już w tak daleką przeszłość, że zdawała się kryć za fałdzystą, nieprzenikliwą zasłoną, dzielącą dzień dojrzałości od ostatniego dnia dzieciństwa w babińcu pełnego beztroski nieudawania. A jednak, gdy dobrze wyteżył wzrok, widział przez tę zasłonę ojca, młodszego o lat bez mała dwadzieścia, pełnego sił męskiej jarości. Gdy Mieszka wchodził swym kołyszącym się nieco krokiem pałakowatych nóg, niski bardzo i krępy, z głową wsadzoną głęboko w ramiona i pochyloną jakby do uderzenia guzaty młbem, z przenikliwymi, wiecznie czujnymi oczyma wojownika i władcy, szare oczy Dobrawy wyrażały uległe poddanie. Kładła dłoń na karku Bolesława - jej tarczy i podstawie jej znaczenia na dworze - i wiodła go do ojca ruchem pełnym godności. Mieszka patrzył nań prędko, w głębokim chwilowym zamyśleniu, zaraz odwracał go, lekkim pchnięciem oddalał od siebie, siadał ciężko na zydlu. Były to zapewne jedyne jego chwile wytchnienia i wygładzenia się namiętności - tu tylko wobec głębokiego spokoju Dobrawy zatracał swą nieustanną ruchliwość, siedział chwilę nieruchomy, jakby zwiędły, bezmyślnie oglądał się dokoła. Głowa mu zapadała jeszcze mocniej w ramiona, bruzdy na czole i koło ust płytczały, mięśnie rozprężały się w leniwym poczuciu bezpieczeństwa.

Niedługo tego było i niedługo trwała pogwarka o sprawach błahych i o potrzebach niewiast i dzieci. Bolesław, przykucnięty przy matce, widział, jak ojciec zrywa się z zydlu, jak gania po całej izbie, pełen niespokojnych planów i wątpiających udręczeń; spod niewieściej zasłony oczy Dobrawy, ciche i czujne, wodziły uważnie za mężem z kąta w kąt. Czasem rzucała jedno, drugie słowo, czasem Mieszka pytał ją wprost - przecie ojciec jej był księciem Czech, siostra Młada siadywała w Rzymie u największego księdza Jezu Krysta, a ona była krewniaczką wielu panów niemieckich, świadomą ludzi i obyczajów: Radziła z wolna i rozważnie, z namysłem pełnym rozumienia wagi spraw Mieszkowych, a jemu głęboko osadzone oczy błyskały chytrnością, gdy układał sojusze, dobierał przyjaciół i wrogów. Mały skrzat, nieruchomy u nóg matki, uczył się w tych pierwszych dniach - nie rozumiejąc - powagi gry i trudów władania.

Jeszcze wtedy nie było udawania. Kiedy obcował z matką, słuchał jej długich, nie kończących się gadek, widział rozszerzonymi źrenicami kamienne grody, wysokie świątynie Kyryi Krysti, słyszał huczący głos dzwonów, poznawał z opowieści królów i panów, mówił z matką narzeczem Czechów i Niemców; kiedy słuchał o dawnych bogach Welecie i Swarożycu, którymi go babki straszyły w wieczorne opowiadania przy ogniu, gdy mać odeszła, a których wygnał z kraju mocny Bóg Kyryi Krysti, sprowadzony przez ojca; i kiedy modlił się do tego Boga, mówiąc za matką: "Oócze nasz" i "Zdrowaś Maryja", i powtarzał po trzykroć dziwne zawołanie:

- Kyrie eleison, Kryste eleison, Kyrie eleison - wtedy jeszcze nie znał udawania.

Ciemna zasłona niepamięci rozdarła się nagle i ujrzał siebie - postrzyżonego już - jak go ojciec sadzał na rycerskiego konia. Wtedy uśmiechał się i udawał, bo w sercu czuł lęk przed rumakiem, przed ojcem, przed tłumem księdzów i żupanów, którzy go otaczali. Napięta jest myśl młodego chłopca. Z dała lśnił lazur Jeziora Lednickiego, z lekka przyprószony srebrem od zmarszczek drobnych fal, ostrokół piłował błękit nieba, drużyna biła w tarcze i krzyczała na szczęście, a Jordan żegnał go krzyżem, wymawiając imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Jordan nie chciał uczestniczyć w pogańskiej - jak przekonywał Mieszka - uroczystości: chłopak był już zlaný świętą wodą chrztu. Sucha twarz biskupa o wylupiastych oczach i wydatnych wargach pokryła się purpurą oburzenia. Ale Mieszka był straszny w gniewie. Półprzytomny, z wysoko w górę wzniesionymi ramionami, patrzył spode łba na biskupa - bez słowa. Jordan zaczął się mieszać i cofać. Mieszka wyrąbał:

- Postrzygę syna wedle dawnego obyczaju, a wy przy tym będziecie.

Odwrócił się ostro i odszedł swym chybotliwym krokiem. Jordan nie wiedział, czy księżę był pewny jego posłuszeństwa, czy bał się dłuższej gadaniny. Potarł dłonią nos, zawsze to robił, gdy był zakłopotany lub niepewny, stał chwilę, mrugał powiekami, ruszył po pomoc do Dobrawy.

Przędła kądziel z oczyma suchymi, choć jutro mieli jej zabrać synaczka. Jordan znał jej spokój i wagę jej słów u księcia: Mieszka gadał z nią o takich rzeczach, o których mąż nie zwykł gadać z białką. Długo jej bajął o swej gawędzie z księciem, o tym, że nie powinien pomazaniec kumać się z pogaństwem, a Chrystusowy obyczaj z diabelskim. Słuchała go uważnie, snuła wciąż nitkę, biskup zaczął się niecierpliwić.

- Powiedz, pani, księżdu, że nic mu po mnie; że nie przystoi, by drużyna i goście widzieli mnie przy diabelskiej służbie.

Podniosła nań spokojne, siwe oczy.

- Powinniście być na postrzyżynach, Jordanie - głos jej nie zachwiał się, choć była pewna burzy ze strony biskupa.

Jordan nie spodziewał się tak wyraźnej odpowiedzi, może nawet nakazu. Dobrawa mówiła cicho, zapatrzona we własną przeszłość.

- Można w rzeczach małych ustąpić, by większe osiągnąć. Kiedy do Mieszki przybyłam, i on, i jego drużyna nienawidzili imienia Jezu Krysta, jak ciemność nienawidzi światła. Trzy lata jadłam w post mięso i byłam przy wojackim śpiewaniu. Ale myślę, że Jezu Kryst nie policzy mi tego za winę, bo przeze mnie Mieszka uczynił dla nieba, co chciał uczynić dla władztwa. Nynie przez to moje pogaństwo zęby każe wybijać tym, co w post mięso jedzą. A przecie i jemu żal dawnych bogów, których miłował.

Jordan zawsze się dziwił mądrości - zgoła męskiej - tej białki. Ale nie ustępował:

- Biskupa czeka sąd Boży, gdy zgrzeszy w diabelstwie maczając ręce.

Dobrawa odpowiedziała:

- Weźcie krzyż i krzyżem znak Jezu Krysta czyńcie. Diabeł uleci, jeno stary obyczaj ostanie.

Nie miał co na to rzec: w Rzymie mówiono mu, by obyczaje pogańskie chrześcijańskimi czynił, nikogo do nowej wiary nie zrażał. Skłonił więc głowę, opuścił Dobrawę, zły - duma się jego buntowała, że księcia słuchać musi jak zwykły woj i księżna go przyucza, co ma czynić. Ale

wiedział, że innej drogi nie ma.

Westchnął: dziki to jeszcze był kraj.

A Dobrawa próżno szukała słów, by w ten ostatni wieczór powtórzyć synaczkowi wszystkie nauki, jakich mu w przeszłe lata nie szczędziła. Lecz słowa rozwiały się w mgłę, pierwszy raz czuła ich czczość i próżnię. Gładziła go lekko po gębie i powtarzała czas do czasu:

- Twój ojciec ma wiele władztwa i wiele sławy; wżdyż tobie chcę więcej władzy i więcej sławy.

Chłopak tego nie rozumiał. Ale czuł, jakby przed nim wyrastała wielka góra, cała pokryta ciemnym lasem szumiących świerków, i jakby on tę puszcę gładził dłonią, a drzewa się mu przesmykały między palcami niby żdźbła trawy; nad nim obłok okrągły i bardzo jasny sunął z wolna, napełniając światłem niebo. Były to groźne widziadła, niekształtna masa nieznanego przyszłości, którą ogarniał, ale której się bał. Serce kurczyło się boleśnie, lęk ścisnął za gardziel, w nogach i pośladkach czuł chłód. Matka zajrzała mu w rozszerzone źrenice.

- Boisz się? - zapytała z przestraszeniem.

A on - wtedy raz pierwszy - uśmiechnął się w odpowiedzi i tym uśmiechem pokrył lęk. Wyczuł wyraźnie, że matka zrozumiała ten uśmiech, ale uszanowała pierwsze męskie władanie uczuciem. W odpowiedzi uśmiechnęła się sama, a tym razem syn poczuł, że uśmiech jej kryje łzy i ból; ale i dumę. Więc i on był dumny.

Wszedł ojciec, jak zawsze gwałtowny i szybki. Obrzucił oboje bystrym spojrzeniem, zadowolony, że nie dostrzegł łez, zwykłych w podobnych wypadkach. Mały syn zdał się mu starszy i dojrzały, znać w nim było przyszłe dostojeństwo następcy i wojownika. Przez wargi rodzica przebiegał grymas uśmiechu, jak rzadki promień między zwałami chmur. Spojrzał na Dobrawę z uznaniem, graniczącym u twardego woja z czułością. Odwzajemniła mu się lekkim pochyleniem głowy.

- Myślę dać chłopcu imię Lestka, mego dziada - oznajmił.

Dobrawa nagłym ruchem osunęła się mu do kolan.

- Łaski cię proszę, ksze, daj mi imię Bolesława.

Mieszka nasrożył się, ale w oczach lśnił mu blask łagodny. - Twego oca imię...?

Nie potwierdziła, ni zaprzeczyła. Pochyliła niżej głowę, dotknęła mężowych goleni. Chłopiec czuł niejasno, że matce nie tylko o imię jej ojca chodziło, że o coś większego, o jego przyszłość i tę niekształtną, szumiącą masę, która mu wirowała przed oczyma. Wiadomo przecie, jak wielkim zaklęciem jest imię. Zapragnął nagłym porywem tego imienia i tej przyszłości. I znów lęk go ogarnął zmieszany z pożądaniem. Mieszka stał bez ruchu, skrępowany zaciśniętymi ramionami Dobrawy, niemocny odmówić - jakby niewiasta zabrała mu całą jego moc i upór. Więc gniewała go własna bezsilność, nachmurzył się i nad głową żony patrzył w odległą przeszłość.

Pamiętał rodzica i dziada dobrze, jakby ich wczoraj pożegnał. Obaj byli niscy i krępi, jak on, jak

ponoć i pradziad Ziemowit, i Lestek, Piastem dla swojej małości przezwany. Ale wszyscy byli twardzi i uparci. Patrzyły nań te zbrojne i rogate postaci przodków, niby z czarnej, przewróconej na bok studni, jeden za drugim - srodzy, sławni, straszni dla wrogów. Ojciec, z grzywą spadającą na oczy, z twarzą przeciętą od normańskiego miecza, jak go widział ostatni raz w wielkiej bitwie u Odry. Brwi groźnie srożył i oczyma mierzył Dobrawę i jego. Dziad - siwy już całkiem - wyciągał kikut ręki z palcami zmiażdżonymi ciosem weleckiego topora, pełen krzepy i ognia, podstępny i chytry. Pradziad Ziemowit ginął już niemal w głębokim mroku podziemi, niewyraźny, jakby zamazany, ale miecz, z którym został pochowany, i oszczep błyskały z ciemności krwistą poświatą. Mieszka z wysiłkiem wyteżył wzrok, by widzieć dalej, ale przed oczyma majaczył mu jedynie niekształtny, groźny cień, bez ostrzejszego zarysu, pokryty ciemnością jak płaszczem. Od cienia tego toczyły się ku niemu kłęby potężnej żywi, niby rude smugi, czuł swój i swego syna związek z tym zapadłym praszczurem, głęboki, mocny związek rodowej ciągłości. Dalej migało coś jeszcze niejasno, coś żyło i przewalało się w pomroce, ale wzrok jego już nie mógł tego pochwycić. Kiedyś stanie i on w tym podziemnym szeregu, a syn jego, Bolesław, będzie patrzył w czarną studnię przeszłości i radził się przodków w najcięższych chwilach życia.

Bolesław...?!

Odrzącił od siebie Dobrawę, pełen gniewu. Z kąta spojrzwały nań wyraziste oczy dziecka. Mieszka rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Będzie się zwał Lestek, jak dziad mój - rzekł twardo.

Czuł, że zmarłe cienie potwierdzają jego wybór. Otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Dobrawa nasłuchiwała szybkich jego kroków, z dworu dobiegło do niej jakby dalekie westchnienie wiatru:

- Bolesław!

Poczęła go układać do snu - po raz ostatni. Zapowiedziała wprzód, że nie chce mieć żadnych niewiast w babińcu, była w ten ostatni wieczór sama w dużej izbie, płomień rzucał błyski na szerniałe belki. Chłopak leżał zapatrzony w ich zmienny taniec po ścianie i serce miał wciąż ściśnięte, choć oczy spokojne. Dłoń matki, ciepła i swoja, gładziła go wolno po głowie, mrok gęstniał, sen nie przychodził. Podnosił czasem powieki i ogarniał pochyloną nad nim ciemną sylwetę, i znów ukosem patrzył na taniec rudych błysków, mdłych niby nikłe zwidy odchodzącego dzieciństwa. Myśli mu się kłębiły po głowie, ale niejasne i bezkształtne, a cień matki górował nad nimi. Chwile kapały wolno, jak czarne krople życia ubiegające strumieniem w niepowrotność. Była to pierwsza noc udręczeń, męczących niepokojów, niemrawych tęsknot - noc przekształcająca dziecko w chłopaka.

Od pochylonego nad nim cienia napłynął cichy szept:

- Śpij, syneczku. Jutro wielki dzień twój. Odpowiedział równie cicho, jakby się bał spłoszyć blade błyski na ścianie:

- Sen nie morzy mnie, mąci...

Wtedy zaczęła mu nucić piosenkę, którą ledwie pamiętał, piosenkę niemowlęctwa, gdy kołysała w kołysce jego płacz śpiewem i lekkimi pchnięciami zawieszonych u powały kolebki. Poczł łzy napływające do oczu i samotność dojmującą a zupełną, bolesną w swej bezdennej skończoności. Odszukał w mroku jej dłoni, zacisnął mocno palcami i tak leżał, dziecinny jeszcze i niemęski, zasłuchany w ledwo szemrzącą melodię nadziei i ukojenia.

Leli leli, maleńki -

noc czarna przysła na ziemię,

wiatr szumiący huczy w gałęziach,

wiatr niosący pogwarki rycerzy, wiatr

życzący w gęstwinie-poszumie:

Bolej sławy! Bolej sławy!

Leli leli, synaczku -

miesiąc jasny na niebie,

gwiazdy srebrne na niebie

jak szczyt nabijany ćwiekami.

Leli leli, synaczku -

miesiąc lśni na twym szczycie,

miesiąc świeci twe czoło

władyki i wojownika.

Bolej sławy! Bolej sławy!

Słowa spływały jak krople, utulały go dźwięczną pieśczęcią, lęk ulatywał. Słuchał zatęskniony:

Leli leli, słoneczko -

mac sama czeka doma,

syn bije w polu wroga,

strzały pierzaste latają,

jak ptaki wkoło bucą,

miecze jasne błyskają -

leli leli, mać czeka -

Bolej sławy! Bolej sławy!

Usypiał już zakołysany i zawstydzony, przez sen jeszcze słyszał piosenkę:

Leli leli poleli -

pieśń nad wiatrem polata,

orły pieśń niosą na skrzydłach,

huczy pieśń w turzych rogach,

śpiewa pieśń w strunach starców-pieśniarzy,

raduje się w śpiewaniu wojów,

leci na mnogie ziemie i na mnogie lata -

Bolej sławy! Bolej sławy!

Z tym nakazem matczynym - ostatnim - usnął.

Nazajutrz piastun, trzymając mu nożyce nad głową, lewą ręką ujął pasmo ciemniejących włosów i zwrócił się wedle zwyczaju do Mieszki z zapytaniem:

- Jakie imię dajecie synowi, ksze?

Mieszka powiedział swym twardym, nakazującym posłuch głosem:

- Bolesław.

Zadziwiła się drużyna, bo wszyscy wiedzieli, że miało być imię dziada, Lestek. Wszebor wszakże, jakby nic niezwykłego nie zaszło, uciął pasmo i wyrzekł:

- Ucinam twoje dzieciństwo, a przywołuję twe męstwo, Bolesławie.

W uszach chłopca brzmiał refren pieśni matczynej, gdy dokonano postrzyżyn, gdy słuchał pieśni wojackiej, gdy żegnał się z oćcem i macią, spokojny i uśmiechnięty nad miotający nim strach; wsadzono go na konia i wciśnięto w ręce powody. Wszebor już dosiadł wierzchowca, Bolesław ruszył za piastunem. Odwrócił jeszcze głowę i dojrzał w tłumie Dobrawę, wyniosłą i spokojną, jak zawsze; szare oczy matki ostatnim pożegnaniem posłały mu nakaz na życie, w które rycerski unosił go rumak, nakaz zawarty w jego imieniu:

- Bolej sławy!

3.

Wiatr smagał na ukos strumieniem ulewy, bił w oczy, Mieszka nie przesłonił twarzy ręką, patrzył na niknący między wzgórzami mały orszak konnych. Głowę wdusił w ramiona, wciąż patrzył. Za nim zrywały się szepty obawy i nienawiści.

- Ścierwy.

- Wilkom w gardło.

- Nieme psy.

- Och, bić! Aj, walić!

- Pobijem jeszcze. Nic.

- Poczekajcie.

Z dala majaczył się jeszcze biały koń unoszący Bolka w jeństwo cesarskie. Mieszka nie czekał, aż zniknie. Odwrócił się, przeszedł między rozstępującymi się wojami, jakby przez gromadę cieniów, chybotął ku grodowi. Za nim znów zaszeleściły szepty - nie wiedzieć, trwogi czy pochlebstwa:

- Tyli woik był.

- Prawy księżyc.

- Zabrały ji, koniojady.

Mieszka nie odwracając głowy wrzasnął w pasji:

- Milczeć, ścierwa!

Zamilkli. Kleiście ciapkali po błocie.

Gdy wszedł w ten czarny wieczór do Dobrawy, nie potrzebował mówić ni słowa: oczy im obojgu krzyczały. Mieszka odetchnął: Dobrawa nie wyła, nie rwała włosów, nie wzywała pomsty bogów - milczała. Szedł do niej pełen wściekłości i bólu; gdyby zastał ją we łzach i jękach, porwałby za ramiona, trząsłby nią, bił o zrąb. Chciał tego. Ale na białej twarzy Dobrawy nie drgnął ni mięsień. Mieszka - niespodziewanie dla siebie samego, dla swej zamkniętej duszy wojownika i władcy, nie tłumaczącej się przed nikim - zaczął przed tą stężoną twarzą żony i matki mówić o sobie, o niej, o Bolku, o Hodonie i cesarzu, o Rusi i Jomsborgu, o tym całym wirze sił, układów, podstępów, chytryści, który go zmusił do odesłania syna niby w wilcze gniazdo. Nie pocieszał jej, nie koił, nie krył niebezpieczeństw - wiedziała o nich nie gorzej od niego.

- Bywa tak, że walczyć można tylko poddaniem. Nie pojmujesz tego! - wykrzyknął.

Pierwszy raz tego wieczoru wargi jej drgnęły.

- Pojmuję-szepnęła.

- Pojmujesz? - zawołał i wstał. Patrzył na nią ze zdumieniem, z podziwem. Milczał, aż znowu krzyknął:

- A ziemi nie dam, jednego kłaku, nie dam... - potrząsnął przed spokojną boleścią Dobrawy pięścią, jak włochatą maczugą. - I to pojmujesz?

- I to pojmuję - odszepnęła, chyląc głowę. Słuchała. Mieszka gadał i gadał, wrzeszczał, ciskał się po izbie, buchał słowami, nie mógł ich strzymać. Od początku, od zamierzchłych lat, jakby te dzieje obce były Dobrawie, jakby nie znała ich dokładnie - dziejów, które zabrały jej syna. Na izbę spływał mrok, wiatr tłukł się na zrębach domostwa, deszcz bił śpiewem po dachu. Postać Mieszki majaczyła niewyraźnie, niby ruchliwy, szamocący się sam z sobą cień, wołający o wypadkach dalekich i krwi, co z dawna wsiąkła w ziemię, gdy rozłąka z synem i lęk on był świeży jak dopiero co rozdarta rana.

- Dureń! Dureń! Dureń! - wołał Mieszka, a Dobrawa wiedziała, że myśli o Hodonie. - Dureń! Sam zmarniał, a ja... - zatknęło go. Począł tłumaczyć namiętnie, że Hodo nawet marzyć nie mógł o zwycięstwie. Głupia wyprawa, głupi wódz. Ale i sam graf łuzycy, i jego pies, Zygfyrd, wierzyli, że byle wysłać wieprzów zakutych w blachę, Mieszka ulegnie. I co? Nie trzeba było na nich nawet wszystkich sił: Czycbor dopadł ich u Cedna nad Odrą, w jednym dniu pobił.

- Ledwo Hodo z Zygfyrdem uciekli - wykrzyknął Mieszka, zapominając na chwilę o skutkach zwycięstwa.

Słuchała - nie wiedzieć który raz - o bitwie, z początku dla Niemców zwycięskiej, ale widziała tylko mały orszak uwożący Bolka w cesarską niewolę. Mieszce również ten obraz stanął w oczach, przerwał nagle, powrócił do zjazdu z cesarzem w Kwedlinburgu. Hodo nie znalazł łaski u Ottona za wyprawę.

- Słuchał gniewu cesarza i gorzko mu było za jego głupotę i słabość - triumfował Mieszka - łasił się kiej pies, gdy ji pan nogą kopie, obiecał stu pancernych. Były przy tym woje a grafy, a biskupy, cesarz groził mu ze stolca pięścią i krzyczał obraźliwe słowa.

Deszcz wciąż bębnił, wicher bił. Poświsty chodziły po izbie, skowytały w kątach. Dobrawa słuchała niespokojnego szeptu męża, myślała: Bolko pewno teraz popasa... a ten baje i baje.

- Cesarz wykorzystał tę bitkę, żeby pognębić nas obu - wykrzyknął Mieszka. - Byłem zwycięzcą, ale Otto powrócił z Rzymu z wielką siłą, mógł wziąć odwet. Nie strach potykać się z cesarzem, o wa! Wždy byli tam posłowie Jaropełka kijowskiego, pojmujesz to?

- Pojmuję - znowu skinęła głową.

- Ty wszystko pojmujesz! Psy! Mieszka trząśł się z wściekłości na wspomnienie wyniosłych postaci Waregów odbierających mu owoce zwycięstwa. Śledził ich podejrzliwie w czasie wielkich uroczystości, jak ponurzy i milczący zasiadali w pobliżu cesarskiego stolca, spoglądali wzgardliwie na tłumy rycerstwa, na mnichów śpiewających pieśni kościelne - ogromne i wspaniałe - unoszące się

z dymem kadzideł do stropu świątyni. Byli podejmowani godnie, cesarz miał dla nich uśmiech, po każdej pogwarce z nimi rzucał szybkie spojrzenie na Mieszkę, czy rozumie i czy się boi.

A on - chociaż miał twarz zamkniętą i wzrok spokojny - bał się porozumienia cesarza z Kijowem. Miał jeden cel, jedno dążenie - rozbić rokowania, odprawić Waregów z Kwedlinburga z mętnymi obietnicami i łaskawym słowem, ale bez wzajemnego układu. W czas wspaniałych obchodów i zapasów rycerskich myśl ta nie opuszczała go na chwilę. Powoływał się na układy Rusi z Bizancjum, o których wiedział mętnie, ale mówił pewnie i głośno: wiedział, że nie są one miłe cesarzowi. Wspominał, że zamierza wysłać posłów do Bułgarów i Pieczyngów, wciągał w grę Węgrów i Czechów, straszył cesarza, sam pełen trwogi i niepewności. Ale Otto miał oko bystre i mądrych doradców, raz wraz napomykał o sojuszu z Jaropełkiem, poił Waregów włoskim winem, obdarowywał srebrem i orężem.

- Wiedziałem, że będzie wojna z dwu stron. Z dwu stron, pojmujesz?

- Och! - szepnęła Dobrawa na wspomnienie bladego uśmiechu, z którym dosiadał Bolko konia. Wszebor zrzędził, popędzał. Woje stuknęli w szczyty raz, drugi, ucichli. Dobrawa widziała teraz tych wszystkich, których Niemce podusili w lochach, oślepiłi, ucięli obie pięście. Serce się jej ścisnęło nagłym skurczem, gdy dobiegł ją okrzyk Mieszki:

- Ofiarowałem cesarzowi przyjaźń i pomoc jego synowi w walce o koronę. W zakład obiecałem Bolka.

Dobrawa pochyliła się głęboko, palcami ścisnęła skronie.

- Nie mogę teraz złamać układu, ubiliby Bolka - zakrzyknął znowu Mieszka. - A przecież wiedziałem, jak Jaropełkowi odjeżdżali z Kwedlinburga. Z niczym! Przede mną! Pojmujesz?

Dobrawa wstała nagle - była wyższa od męża - podniosła ręce, zaczęła krzyczeć strasznym, stężalym głosem:

- Radźmy, jak mu uchronić głowę! Radźmy, jak mu uchronić głowę! Mieszka, słyszysz ty mnie? Radźmy, jak mu uchronić głowę!

Upadła na łożo, rozsłochała się. Mieszka skurczył się, podniósł ramiona, patrzył na żonę ponurymi oczyma. Nie chciał już bić, minęło. Strach go ogarnął. Dobrawa, jak nagle padła, tak nagle powstała, otarła oczy. Znow była spokojna, nieruchoma. Stała przed mężem, powiedziała cichym szeptem:

- Głowę, Mieszka. Oczy. Ręce.

- Dobrze - odburknął. Uśmiechnęła się końcami warg, słysząc ten ton. Szare oczy znow były łagodne. Czekala.

Mieszka przysiadł przy palenisku, rozgarnął popiół, dmuchał w żar. Dobrawa patrzyła na jego wysunięte w przód wargi, na twarz, rozświetloną czerwonym przebłyskiem węgla, z głębokimi bruzdami cienia koło nosa, w oczodołach, na skroniach. Przykłęka obok, łamała łuczywo, rzucała je na węgle. Mały jęczyczek ognia wybłysnął nad chrustem, zbłękitniał, zzółkł, buchnął, rozświetlił izbę.

Spojrżeli na siebie przez płomień, w oczach Mieszki zamigotały skry, przegiął się, objął ją ramieniem przez plecy. Odchyliła się, zeszywniała. Powtórzyła:

- Radźmy...

- Trza przywołać Jordana - powiedział Mieszka pełnym głosem, podciągnął ramiona, odzyskał w mig swą zwykłą ruchliwość. Gonił z kąta w kąt, pomrukiwał, Dobrawa wodziła za nim oczyma - jak co dnia - spokojna, że z tej bezładnej szarpaniny wykwitnie plan mądry i skuteczny; znała go dość.

Jordan był pewien, że go wezmą na radę, nie rozdziewał się. Grzał nogi przy ogniu, gdy przybył książęcy posłaniec. Założył na szyję łańcuch z krzyżem, obciągnął szaty, ruszył krokiem pełnym powagi, który wyrobił sobie z trudem: żywy był. Nie spieszył i teraz, myślał, jak wykorzystać oto chwilę dla umocnienia się, dla wyzwolenia - choćby w części - od wiecznej przewagi Mieszkowej. Książę nie dostrzegł w nim Bożego pomazańca, Jordan zaciskał zęby, zacinał się.

Zastał Dobrawę i Mieszka siedzących po obu stronach ognia, przykurczonych pokraccie, rzucających ogromne cienie na przetykane mchem belki. Mieszka zdał się mu wielkim, cudacznym gnomem, gmerającym w rozżarzonych węglach, cały w złotej purpurze ognia i głębokiej czerni nocy, jakby pomieszanie światła z ciemnością, jak sama tylko ciemność ohydneho pogaństwa, rozjaśniona niepewną iskrą prawdziwej wiary. Jordan utkwiał swe wyłupiaste oczy w tym zwidzie, który mu nagle objawił kruchość jego pracy apostolskiej, pozornego tylko rozświecenia mroków pogaństwa. Czarnopurpurowy gnom pochylał do ognia twarz o rysach ostrych i zuchwałych, wyrąbanych toporem z bierwiona; zgięcie ramion pełne utajonej przebiegłości; chciwe wydłużone ręce, dłonie wielkie, chwytliwe, drapieżne; pierwotna siła, świadoma siebie, lecz jakby przykucnięta, chytra i zradna. Takie to są bogidiabły, wygnane przez krzyż Jordanowy, zagubione w chaszczach, w dymiących bagnach, między czarnymi słupami drzew, palące w gąszczach ognie i grzebiące pazurami w rozżarzonych węglach.

Taki był cały kraj, a lud taki jak książę. Blahość swojej roboty i swojej misji ujrzał nagle Jordan ucieleśnioną w kucnięte u ognia dwie postacie. Wicher wciąż wył po dachu-obcy i nienawistny - pokrywający swą mocą puszczańskie pogaństwo i głęboką rozterkę biskupa.

Mieszka, nie podnosząc oczu od żaru, zagadnął krótko i twardo:

- Co radzicie, Jordanie? Jak uchronić głowę Bolka od topora?

To gwałtowne określenie i ta nieufność do cesarza uraziły Jordana jako nowy znak nieotrząśnięcia się z pogańskiego obyczaju. Biskup namyślał się długo.

- Cesarz jest waszym przyjacielem... - zająknął się, słowa te nie lały mu przez gardło.

Gnom u ogniska poderwał się, wraz z nim poderwał się jego cień na ścianie, olbrzymiejąc w jednej chwili, zawisły nad głową Jordana niby czarna chmura nagłego niebezpieczeństwa. Jednym skokiem był książę przy biskupie, porwał go za szaty na piersi, potrząsał, niemal charczał:

- Cesarz mi przyjacielem? Waregów przyjacielem, Jaropełka, Rusi, Normanów, pogan, diabła jest

przyjacielem. Zmawiał się z Jaropełkowymi na mnie, ten cesarz i przyjaciel! Co gały wywalasz kiej na głupka: z Jaropełkiem, aż zawarłem z nim układ. Nigdy nie dopuszczę, żeby cesarz i Ruś szli w jedno, wolej słać syna w jeństwo.

Cichy okrzyk bóleści, jaki wydała Dobrawa, otrzeźwił go. Jordan w mig zrozumiał, pojął, skąd to nagle wysłanie syna wraz po zwycięstwie nad Hodonem. Oczy mu jeszcze bardziej wylazły, oddychał prędko.

- Mój kraj leży między Rusią a cesarstwem - wykrzyknął Mieszka. - Wždy nie pierwej uderzę na wtórego, aż pobiję pierwszego.

Między dwa wykrzykniki Mieszki, niby dwa uderzenia wichury, spłynął szept Dobrawy:

- Radźcie, ojczy, o Bolku.

To obudziło czujność Jordana - należało oto wykorzystać trudności Mieszki dla wzmożenia swego znaczenia i swojej powagi. Leniwo, sennie płynęły słowa biskupa - o łodzi Piętrowej, rzuconej na fale morza, o rzeczach boskich i cesarskich, o biskupie rzymskim, jenż jest dziedzicem Jezu Krysta, i o Piotrze Apostole, o cesarzu, jenż ma po rzymskich władcach obiecanie panowanie nad światem. Mieszka ręce założył za podkurczone kolana, zasłuchał się - jak zawsze - w gadki, które mu się w układach przydać mogły. Ale gdy Jordan przeszedł na biskupów w krajach pogańskich i misje, na ich znaczenie i Chrystusową opiekę, przejrzał, dokąd Jordan zmierza. Złość go dusiła, ale milczał, nie spuszczał z biskupa nieruchomego spojrzenia. Jordan rozumiał nieufność księcia, rzucał wzrok na Dobrawę, szukał poparcia. Jej nieruchome oblicze zdało mu się martwe, stężale, ale oczy patrzyły żywe i śmiałe. Jordan mieszał się, bał się, by nie przejrzano jego zamiarów, mówił coraz szybciej, coraz zapalczywiej - w milczącej nieufności obojga słuchaczy. Kiedy doszedł do swych żalów, zaciął się, zawahał, usłyszał bezbarwny w swym zupełnym spokoju szept Dobrawy:

- Radźcie nam o Bolku, nie o sobie, Jordanie.

Mieszka rzucił żonie spojrzenie pełne uznania, Jordan zmieszał się, prawil głosem zgaszonym, pełnym już uległości i poddania:

- Mołwię o dwu potęgach równych w świecie: papieżu rzymskim i cesarzu. Radzę wam oto...

Zawsze go przerażała niesamowita szybkość księcia w myśleniu i działaniu. Mieszka zerwał się, zakrzyknął do Dobrawy: Oddamy Bolka pod opiekę papieża. Zawsze będzie cesarzowi nijako nastawać na życie chłopca.

Dobrawa nie podniosła głowy wspartej na dłoniach, nie ruszyła się, ale krew jej napłynęła do twarzy, ożywiła ją, jakby ciepła dłoń życia przesunęła się przez oblicze zmarłej. Jordan poczuł nową falę goryczy: Mieszka nie dał mu nawet wyrzec swej rady, sam ją wyłuskał z ust, a teraz prosił czy kazał:

- Idźcie, piszcie pismo do papieża. Jordan nadał się, wyburczał:

- Nie daliście mi skończyć, ksze. Istnieje obyczaj, by dla zjednania Ojca Świętego uposażyć lepiej

biskupa w kraju, posłać do Romy podarki i rzecz jaką od tego, kogo się w opiekę oddaje: pierścień, miecz, choćby krajkę...

Mieszka odpowiedział od razu podniecony jak zawsze, gdy przystępował do działania:

- Uposażenia wam nie zwiększę, dałem dość. Dary do Romy wyślę, a od Bolka...

Tu zwrócił się do Dobrawy:

- Daj Jordanowi włosy chłopca, co je dostałaś po postrzyżynach.

Dobrawa wydobyła zza gieźla wiszący na sznurku woreczek, a gdy go rozsunęła, wysypały się zeń wijące się złote pasma, jak ucięte promienie, jak uśmiech pełen nadziei i ukojenia.

4.

Bolesław szedł wolno, przystanął, znów szedł, znów przystanął. Oczy mu w krąg biegały, zastraszone. Wszebor włókł się za nim, napędzał:

- Nuże! Cesarz czeka.

Bolesław znowu przystanął. W środku mu rosło, rosło, dusiło w gardle. Usłyszał poganianie:

- Nuże! Przyrosły ci nogi, abo jak?

Szli pod sklepieniami, przez dziedziniec, bocznym kruzgankiem. Wszędy kamień. Ciasno. Kiszki w gardło łążą. W prawo przepaść, uskoki, fosa. Strach spojrzeć. Ściany, odrzwia, wąskie okna wirują. Nudności. Szept Wszebora:

- Strachasz się?

- Niii...

- Tążysz?

- Niii...

- Co ci to?

- Nic! - wargi ma blade jak wymoczone płatki mięsa. Podnosi oczy na starego, w oczach bezdnia. Piastun gniewa się.

- Pomnij, żeś Lestkowic. Syn Mieszki.

- Pomnę.

Wymokłe płatki mięsa krzywią się. Do płaczu? Do uśmiechu? Oczy Wszebora srogie.

- Idźże.

- Wždy idę - wybucha szeptem. Giermek odwraca się, wskazuje na drzwi, cofa się. Prześmiech mu lata po gębie. Stają.

- Tam.

Nudności. Wirowanie ścian, drzwi, giermka, Wszebora. Zamarzłe skrzywienie warg.

Weszli.

Kamień. Ogrom. Ciężar. Ciężka, kamienna sala. Chłopak czuje się mały, zgubiony w wielkości. W dalekim kącie wielkiej sali stolik. Z obu stron siedzą w karłach dwaj ludzie. Drobnii w tej sali jak on - chłopak. Jeden w czarnej opończy mnicha. Drugi w szacie złocistej, w małej czapeczce. Czerwona

twarz. Ciężkie ręce. Nie ogląda się. Pochylony nad stolikiem przestawia cacka.

Cesarz! Strach. Zamarzły uśmiech na wargach. Dawne bajania matczyne.

Idzie ku cesarzowi. Kroki stukają po kamiennej posadzce. Idzie. Kroki stukają pod sklepieniem. Wciąż idzie. Nogi idą. Cesarz się odwraca, pochylony nad cackami, zamyślony. Mnich nie podnosi oczu od cacek. Kwadraty czarne i białe, cacka czarne i białe. Kroki idą przez wielką, kamienną salę ku stolikowi. Stolik, karła, cesarz, mnich - wszystko odsuwa się w dal: długa jest droga zakładnika przed oblicze cesarskie.

Bolesław szedł przez kamienną salę, za nim włókł się stary Wszebor.

Doszli nagle. Stanęli. Bolko patrzy okrągłymi oczyma, usta oddychają, skronie stukają. W twarzy gorąco i chłód. Patrzy. Wielka, czerwona twarz, ogromna twarz. Nie twarz! - oblicze. Oczy ukryte pod powiekami nie spojrzą na małego syna barbarzyńskiego księcia północy, patrzą na szachownicę. Ciężkie ręce leżą na blacie stolika, stolik nie załamuje się. Milczenie. Białe i czarne cacka skaczą po pstrych kwadratach. Serce skacze.

Milczenie ciężkie jak kamień. Otto bierze rocha, trzyma go zawieszzonego nad szachownicą, duma. Bolko wlepił oczy w rocha, w małe, rzeźbane z kości cacko - jeszcze jeden dziw z tych nie kończących się dziwów, które widzi, dotyka, słyszy, wącha, smakuje. W tej chwili kościany roch skupia w sobie wszystko: ciężkie budowle kamienne, huczące nad grodami dzwony, żelaznych jeźdźców, bogactwo, przepych, potęgę, strach. Bolko nie cesarza się boi, trwoży go Nieznane. Jest napełniony zanikami, świątyniami, zapasami rycerzy, wielkością, jest przytłoczony, nadęty, oszołomiony. Wszystko się skupia na małej figurce rocha, którą trzymają zawieszoną ołowiane palce. I nagle już nie ma cesarza - tylko czerwona gęba, tylko ciężkie ręce. Bolko przeciąga językiem po wargach, mruga raz po razie, łyka zaschniętym gardłem. Już się nie boi cesarza. Czerwona twarz bez oczu zapytuje:

- Jak cię zwą?

Bolkowi gardło rozdyma się jak pęcherz, kurczy się, jest małe, twarde.

- Bolesław.

- Ojciec twój jest moim przyjacielem. Nie bój się.

- O wa! Nie bojam się.

Roch stuknął na dawne pole, czerwona twarz obróciła się, wypłynęły na nią oczy zielone, srogie twarz ożyła, zmarszczyła brwi. Nie twarz! - oblicze. Oblicze cesarskie pyta:

- Nie boisz się?

- Nie. Ojciec mój... - język Bolka się potknął, głos zaciął się, urwał. Wszebor stojący za Bolkiem wyprostował się, patrzy śmiało. Ale nikt nań nie zwraca uwagi.

Ostre tupnięcie nogą, posadzka stuknęła głucho, sklepienie stuknęło. Oblicze cesarskie patrzy na

przymarznęty uśmiech. Patrzy gniewnie. Głos zaczyna dźwięczeć, grać miedzią:

- Jutro przyjmę cię w komnacie z rycerstwem... - Otto milknie, wsłuchuje się w ciszę sali. - Idź!

Bolesław skłonił się i odwrócił. Sala zdała mu się mała, maleńka, ciasna. Kilka kroków - i doszedł do drzwi. Otto nie patrzył za nim, pochylił się nad szachownicą. Znow wziął swego rocha, długo trzymał go w palcach, dumął. Mnich podniósł płaską twarz, wpatrywał się w cesarza błędnym wzrokiem krótkowidza. Otto postawił rocha na końcu szachownicy i mruknął:

- Weźmiecie tedy chłopca, ojciec... - mnich skrzywił się, natychmiast spędził z twarzy grymas, przywołał uśmiech - weźmiecie chłopca.

- Ostrzyc mu łeb ? - spytał Dytryk.

- Zaraz ostrzygę łeb waszemu królowi - zielony ognik znow zaskakał w oczach Ottona - ostrzyc łeb ? Nie, nie strzyc mu łba. Ale tymczasem go uczcie. Potem wezmę go może do siebie... na dwór...

- Chcecie ostrzyc mu włosy wraz z głową?

- Neeee - przeciągnął cesarz - co wart zakładnik bez głowy? Ojciec jego umawiał się z Henrykiem.

- Waszym bratańcem?

- Z Henrykiem bawarskim. Zgolę łeb, to Mieszka pójdzie z Henrykiem na Ottona. Ostawmy mu głowę i włosy. Ale zgolcie mu z gęby ów uśmiech, z którym miał czelność pokazać się cesarzowi! Słyszycie?

- Pogańskie to jeszcze dziecko. Wwiodę go do świątyni, będę uczył cnoty pokory. Posłuszeństwa Chrystusowi i cesarzowi - skłonił głowę.

- Mat! - rzekł zniecka cesarz.

Nazajutrz od rana Bolesław - przyodziany, uczesany siedział bez ruchu, głowę opuścił, coś się w nim zagubiło, płochliwą myślą szukał - próżno. Odkąd wjechał w świat obcy - więc wrogi - dusił go strach. Strach i wstręt. Strach ten utrzymywał go w równowadze. Od wczoraj dołączyło się jeszcze coś, pragnienie czy żądza, дума, by nie okazać strachu. Zgubił się w tym przeciwieństwie uczuć, było mu źle. Wszebor nie spuszczał zeń oka, starał się pojąć księżyka. Krzywił się, spluwał nieznacznie. Zagadywał w kółko, ciągle to samo: Bolko? Co ci to?

Chłopiec podniósł nań stare, niedziecięce oczy. Milczał. Wszebor przestraszył się.

- Tążysz?

- Neeee...

- Za oćcem? Za macią?

Coś obcego - wrogiego mignęło w wejrzeniu chłopca. Buchnął:

- Nie rozumiecie, Wszebor! Nie rozumiecie! - głos mu rósł do krzyku, do piskliwego krzyku chłopca.
- Nie rozumieecie!

Wszebor nastroszył się.

- Do piastuna krzyczysz?

- Do piastuna - warknął twardo, głos mu zmatowiał, zgrubiał. Zamilkli obaj.

Za ścianą ktoś chodził tępo - tup tup tup.

Z dziedzińca dolatywały krzykliwe głosy.

Róg grzmiał na wieży.

Wszebor znów zagadnął:

- Wraz do cesarza pójdziem.

- Wiem.

Wszebor pokręcił się na zydlu. Zaczął:

- Pomnij... napotkał wzrok małego, zmieszał się, słowa mu się splątały. Kułakiem stuknął w kolano.

- Dureńś! Otrók!

Zacięte usta nie odpowiedziały.

W czasie szczękającej, lśniącej, wydętej uroczystości Bolesław miał wciąż przylepiony zimny uśmiech na wargach, Wszebor był zeń rad. Chłopca oddał cesarz Dytrykowi.

5.

Jak ciągnące się krople żywicy ciekły dni Bolesława. Jednostajne, tożsame. Dukał z ksiąg pod różgą płaskonosego mnicha. Znaki w księdze były wyciągnięte, kanciaste, pergamin lekko lśnił. Inicjały, ptaki, gady, anioły, bestie odrywały wzrok od brunatnych liter. Łacina męczyła. Gdy podnosił wzrok, napotykał na znudzone zielonkawe wejrzenie. Wstrząsał się, tonął między stronami.

Itaque Caesar, quod suam potentiam et iustitiam ostendere constituit, equites convocavit et contra rebeliantes profectus est.

Podnosił zmęczone oczy ku górze, nie widział tam belek, widział kamienne sklepienie. Jakby mu kamień przyciskał głowę do pulpitu, pochylał się, czytał urywanym głosem:

Iustus Deus Caesarem in eo operę adiuvabat. Hostes vicit, poenam constituit et postea veniam dedit.

Nie pojmował ni słowa, znudzone usta nie tłumaczyły. Dukał niezrozumiałe wyrazy, niezrozumiałe znaki.

Szły dni równe i jednostajne jak litery w wierszu, jak wiersze w stronie, jak strony w grubej, nie kończącej się księdze.

Do końca nie pojął, do czego znaki w księgach służą. Chyba ku udręczeniu.

Przez klasztorne mury ledwo się przeciskały, niby świegotliwe jaskółki, rozmaite wieści: dzwony bijące na śmierć cesarza Ottona i na objęcie władzy przez jego syna, także Ottona; walka zacięta w Lotaryngii z Reginarem i Lambertem; i walki z Henrykiem bawarskim, z córką Arnulfa, Judytą. Wtedy to Bolkowi kazano włożyć włosiennicę, na głowę sypano popiół. Wymyślano mu, grożono śmiercią: bo ojciec jego, podstępny książę Mieszka, zawarł przymierze z Bolesławem czeskim, by łącznie wspierać Henryka. Bolko wtulał rozpalony łeb w posłanie, widział zamkniętymi oczyma, jak tarczownicy ojca, twarde sękaty chłopcy z gołymi ramionami, potrząsają setką toporów, jak wyją zawołanie, jak przesmykają się po leśnych komyszach, jak spędzają cesarskich; żelazo sucho trzaska o żelazo, krzyki, tupoty, gonitwy. Serce biło i mury dusiły.

A później nagle wezwano go na dwór cesarski. Młody Otto uśmiechał się, własną ręką przypiął mu pas i mieczyk, klepał po ramieniu - ogłupiałego tą nagłą zmianą losu - rycerze byli przyjaźni i przystępni. Na zamkowych dziedzińcach zabawiał się z psiarzami, z podrostkami ciskał oszczepem w tarcze, bił się na miecze. Kawki obsiadały wysokie blanki wieży - miały swe gniazda między szczybami murów; szyli do kawek z luków; gdy trafiali, ptak leciał trzepoczącym się kamieniem, koziółkował; klaskali z uciechy po kolanach; całe stado zrywało się, kołowało niespokojnym, spłoszonym krakaniem. Niedźwiednik mieszkę wodził za kółko w nosie - byli tacy, co wołali na Bolka: "Twego ojca wodzi"; chłopiec rzucał się z pięściami, z oszczepem, z mieczem; zmykali ze śmiechem, Bolko krążył po podwórzu samotny i zły. Wprędce nauczył się kryć upokorzenie pod uśmiech.

Pieśni śpiewał i konia ujeżdżał. Cesarz brał go na łowy. Dwunastoletni - zabił samca jelenia. Był na wyprawie przeciw Dunom. Jechali na północ, chmury wełniły się szaro - długie, płaskie. Weszli w

puszczę, Bolko rękę wysunął, gładził pnie, wewnątrz radość go rozpierała. Wszebor, jadący za nim, szeptał mu w ucho o Mieszce i Ziemomyśle, o Lestkowicach, o pobitym Wichmanie i Hodonie, księstwie i puszczy, o maści, Dobrawie. Gdy przebradzali strumienie, gdy gałęzie biły im w twarz, gdy słuchali krakania jastrzębi, wtedy czuł Bolesław niewolę. Spomiędzy olszyn wypadli na wał, zbudowany przez Dunów dla obrony od Franków i Saksonów za czasów wielkiego Karola. Tam Bolko widział pierwszych Nordów pierwszą bitkę. Tam Wszebor w jego oczach zwałił wielgachnego Duna w blachach, z długim mieczem. Walny woj był Wszebor z imienia poznasz. Z wyprawy wracał Bolko smutny i nasepiony.

Szły lata, chłopak rósł, wyciągał się, szerzał. Cesarz łaskaw był nań i gniewny. Szły wyprawy - na Bawarów, na Czechów, na Italię, na Lotara, na Hugona frankońskiego. Otto był w Rzymie i w Paryżu, zwyciężał i padał. Zakopany gdzieś w puszczy Mieszka brał w zawiłej grze daleki niewidoczny udział: na dworze wymawiano jego imię ze złością lub szyderstwem, z pochwałą lub nienawiścią. Ojciec w duszy Bolka wyrastał nad mać: gdy dowiedział się, że zmarła, przyjął wieść spokojnie. Szły lata. Znów stracił łaskę cesarską, siedział w lochu, podle siedział Wszebor. Szczury biegały im po nogach, smród dusił. Cesarz wojował z Mieszka. Bolko słuchał gadek piastuna, wpadał w rozpacz, gryzł palce; wracała mu ufność, czekał.

Doczekał się: między Mieszka a Ottonem stanął pokój i przyjaźń. Wydobyto go z jamy; gościł jeszcze na dworze. Na znak zawartego przymierza cesarz miał zwrócić Bolka ojcu; obdarował go hojnie. Ostatnie dni wlokły się jak smoła, obłoki ciągnęły nad szczybatymi wieżami, Bolko patrzył na nie, ssało mu w dołku - nie wytrzymałby tego długo. Wreszcie przyszedł doń Wszebor z wieścią, że cesarz zezwolił ruszać. Właśnie przeleciał krótki, ulewny deszcz. Bolesław nie mógł usiedzieć w izbie, poleciał do koni.

6.

Powietrze było ciężkie, pachniało. Bolesława rwało w środku, dusiły nudności. Kopyta koni miękko klaskały po wilgotnym mchu. Księżyc odchylił się, patrzył w górę, przeciągał ramiona, wciągał powietrze, nie mógł się go dość napić. Pnie puszczańskie stały wkoło ośniedziałe ze starości, trzęsły zieloną grzywą. Wszebor kiwał się nad końskim karkiem. Na ziemi trzaskały zeschnięte gałęzie. Orszak wojów ciągnął w milczeniu, gęby były wesole. Bolesław nie wytrzymał, dotknął piastunowego kubraka.

- Wszebor!

Stary namarszczył brwi, pod siwym namarszczeniem oczy mu się śmiały.

- Abo co? Niecierpliwość dławiła Bolesława.

- Wszebor! - głos jego błagał.

- Abo co?

Bolesław wbił w konia ogromne, rycerskie ostrogi, źrebiec szarpnął się, załomotał w mech, zatańczył. Bolko ściągnął powody, zaśmiał się krótko, urwanie, zakrzyknął:

- Wracamy, Wszebor. Wraaaciaamy!

Piastun chrząknął, nasępił brwi, oczy miał wciąż wesole, rozradowane; burknął:

- Dumyś. Czysty otrok. A tyli chłop.

- Jużem chłop - śmiał się drganiem gardzieli, bez głosu. Ściągnął konia, zawrócił, najechał na drużynników, wrzasnął w zadziwione gęby:

- Milczycie? Co milczycie? Jęzory wam Niemce wydarły? Tfu, bez pieśni, pogrzeb to, abo co?

- Wściekł się księżyk - zaburczał Wszebor.

- Wściekłem się - znów stuknął źrebca ostrogami, pognął go przez gęstwę, przez gałęzie, położył się na końskim karku, koń chrapał z wysiłku, za nim goniła pieśń:

Ej, dziewczucha czekała,

ej, chłopaka wołała...

eeeej...

Las trząś się od radości. Nie do wytrzymania.

- Eeeeej!

Dzik zestraszyl się, porwał z dołka, rzucił w gąszcz.

- Eeeeej!

Pachniało wilgocią, upojną wonią lasu.

- Eeeeej!

- Bolko! Eeeeej!

- Eeeeej - pojechał naprzeciw.

Wszebor zrzędził.

- Konia zgrzejesz.

- Zgrzeję.

- Łeb rozwalisz.

- Rozwałę.

- Miarkuj się.

- Eeeeej! Eeee! Ej!

- Durnyś.

- Durnym. Och, jakim durny. Wracamy, Wszebor! - znów pognął konia.

Wszebor obejrzał się na człapiących za nim wojów: kiwali kudłami, w oczach zrozumienie, śmiech. Wszebor spojrział surowo:

- Wraca do ojca. Po siedmiu latach. Nie dziwota - głos mu się załamał, stary przełknął ślinę, skrzywił się, usprawiedliwiał wzruszenie:

- Nie wiedziałem ci, czy ji całego odwiozę.

Weszli do kraju Milczan, wokół stała puszcza, terkotały kamyki w strumieniach, szumiały gałęzie, pokrzykiwała żoła. Powietrze było ciężkie, pachniało. Bolesława ciągało po kościach. Wszebor kiwał się nad końskim karkiem, woje podśpiewywali. Bolko znów skoczył naprzód, zgrzał konia, wciągał z lubością ostry zapach końskiego potu, jechał noga za nogą, rozglądał się. Puszcza się urywała, jechał jej brzegiem, koń spuszczał łeb, skubał dzwonki, stok liliowiał tu od dzwonek. W dole, w głębokim wąwozie, burczał strumień, skakał z kamienia na kamień. Urwisko było coraz głębsze, spadało stromo żółtym uskokiem. Parzył upał. Między drzewami zamigotała strzępem chabru kraska. Zalelejała wilga. Koń Bolesława stapał brzegiem rozpadliny, przystawał, skubał trawę. Bolko go nie popędzał. Białe, krągłe obłoki leniwo snuły się po niebie.

Bolesław patrzył na strumień, chciał pić, źrebiec wyciągał pysk w stronę wody, strzygi uszyma, cofał się, bał się. Gdzie tam, nie zjedziesz z takiej stromizny. Może dalej. Bolko uderzy! kolanami, koń ruszył chyżej, nagle Bolko ściągnął gwałtownie powody. Stał i patrzył.

W dole nad strugą ujrzał dziewczynę. Na kosach miała wianek, bielily się rumianki, blawil chaber. Gieźło świeciło w słońcu. Dziewczyna stała w wodzie,, myła nogi, dłońmi oblewała łydki, unosiła kieckę, myłą kolana. Woda pluskała i skrzyła się. Bolko sapał szybko, krew bila mu w oczy, usta miał suche. Dziewczyna wyszła na kamień, pośliznęła się, chlupnęła w wodę, zamoczyła kraj kiecki. Wykręciła ją, wdrapała się znów na kamień, uniosła ramiona, poprawiła włosy; włosy były jasne, białe. Lewą nogą stała na palcach, utrzymywała równowagę. Gibka była, szeroka, twarda. Łania. Bolko zagryzł dolną wargę, mocno, aż zbielała. Usłyszał za sobą wesoly głos Wszebora:

- Chciałbyś...

Wybuchnął cienkim, rozpaczliwym głosem.

- Chcę!

- Bolko! - Wszebor ruszył, wyciągnął rękę, nie złapał księżycy: Bolko spiął wierzchowca, skoczył, leciał po stromiznie na zbity łeb, bez pamięci, bez myśli. Ustami łapał suche powietrze, wykrzywił się, toczył się w dół. Źrebiec przestraszony, ściskany ostrogami, drżąc skakał ukosem, rzucał zadem, chrapał, wyciągał szyję. Wszebor na górze zawrzeszczał:

- Skręci kark - znów ruszył konia, koń nie poszedł. Zeskoczył na ziemię, woje za nim - Bolko już był przy strumieniu. Teraz dopiero dziewczyna go ujrzała.

Przestraszyła się. Opuściła ramiona, obejrzała się, przysiadła na kamieniu. Rękoma objęła kolana. Bolko zeskoczył z konia, szedł do niej przez wodę szerokim, pluskającym krokiem. Gębę miał czerwoną, oczy krągłe, wesole. Dziewczyna znów się obejrzała bezradnie, kaj tam uciekać! Spojrzała na podchodzącego Bolka, młodego, rozrośniętego, uśmiechnęła się. Wtedy i jemu zerwał się z gardła suchy, przerywany śmiech. Podeszedł blisko, spojrzeli sobie w oczy, zasromali się, znów spojrzeli. Bolko stał w wodzie, nie ruszył się, patrzył na nią, siedzącą na kamieniu. W oczach jej - bławych-złoty-pawich - mignął strach, uleciał; zaśmiała się, błysnęły wilgotne zęby. Powiedziała po niemiecku, wyciągając rękę, dotykając palcem Belkowego kubraka i zaraz cofając dłoń:

- Macie miecz. Jesteście rycerz?

- Ech!... - zaskrzypiało w gardle Bolka.

Mokre wargi roześmiały się.

- Chwała bądź Jezusowi Chrystusowi.

- Chwała Jezusowi Chrystusowi - odzyskał głos i prężność. Odetchnął pełną piersią. Jej wciąż śmiały się oczy: bławe - złote - pawie.

- Na nic przemoczycie skórnie.

- O wa!

- Skądęście?

- Z Kwedlinburga.

- A kaj?

- Do księdza Mieszki.

- Oo!

- A ty kto? Czyja?

- Ja? - znów się zaśmiała. - Skoroście rycerz, odwiedźcie mię do ojca.

Bolko postąpił krok naprzód.

- Czy wiesz... - zaczął. Był bardzo blady.

- Co?

- Czy wiesz, że...

- Co?

Pochylił się, chwycił ją przez plecy, oczy mu ściemniały.

- Wiesz... - zaczął. I naraz zaciął się.

Podniosła głowę, przez strach w jej bławych - złotych - pawich oczach migotał wciąż uśmiech.

- Jak cię zwa?

- Emnilda. Córka Dobromira.

- Dobromira! - wykrzyknął Bolesław, pokraśniał. - Jadę do niego.

- Do ojca? Powiodę was - znów spotkali się oczami, znowu się zasromali, znów spotkali. Wszebor wrzeszczał z góry:

- Bolkooo! Bolkooo!

Emnilda spytała:

- Bolko wam?

- Bolesław.

- A ojciec?

- Mieszka.

- Oo! - aż jej zęby zaświeciły w śmiechu. - Chodźcie.

Bolko zaczął niepewnie:

- Słuchajcie...

- Słucham.

- Jakże wam powiem... No! - złapał ją wpół, zaczął całować usta, twarz, oczy.

Potem - nie opierając się już - wziął na ręce i niósł przez wodę, po kamieniach, po urwisku. W dłoniach czuł krągłość, ciepło, ciężar. Żrebiec brykał za nim w krótkich podskokach. Wszebor go spotkał zrzędzeniem.

- Wściekłeś się...

- Wściekłem się - nie mógł utrzymać śmiechu.

Emnilda ulegle dała się posadzić na konia - przed Bolkiem.

Ujął powody, lewym ramieniem wziął ją przez plecy, pognał żrebca. Wianek się jej zsunął na ucho, włosy rozrzucił wiatr, usiłowała je zgarnąć, wciąż się rozsypywały. Odwracała głowę w stronę biegu, czuła na szyi dech Bolesławowy, parzył ją ten dech, w dołku mgliło. Za nimi łomotali Wszeborowi, wokół las szumiał. Obróciła twarz - zapłoniona - unikała Belkowego wejrzenia.

- Co tak milczycie? Brankam to, wleczenie mię prawie zdobytą ?

- Gadacie.

- A no! Język wam kołem stanął?

- Nie.

- Czemu milczycie?

Pochylił się gwałtownie, aże się zbili czołami. Roześmiali się, czuli, że śmiech jest sztuczny, że poza śmiechem tai się żar, spojrzeli sobie w oczy, przypadli ustami, aż zęby stuknęły, oderwali się, znów przypadli, koń szedł stępa, las szumiał, wokół miękki mech. Bolko wstrzymał konia, ona mu zarzuciła ramiona na szyję.

- Nie! - miała wargi spieczone.

- Emnilda!

- Nie! -podniosła nań wzrok, w oczach jego dojrzała skamłący, bolesny blask.

- Emmilda!

- Niece... - urwała, głowę przytuliła mu do piersi, grało mu w piersi.

- Siłą cię wezmę, abo jak? - wydechnął, próbował zaśmiać się. Podniosła oczy, spojrzała, wzrok Bolka nie miał już bolesnego błagania, skakały w nim czerwone skry, spojrzała nań, szepnęła:

- Nie weźmiesz.

On zeskoczył z konia, puścił powody, przewiodł dłonią po bosej nodze Emmildy, wyciągnął ramiona.

- Chodź - oczy mu ściemniały.

Pochyliła się nad końskim karkiem do jego czoła, dotknęła go ustami, wyprostowała się, targnęła powody, załomotała koniowi po bokach gołymi piętami. Żrebiec zatańczył, wspiął się, poleciał. Odwróciła się, zerwała wianek z głowy, rzuciła go w Bolka.

- Przyjdź do ojca... za wianek dostaniesz konia, inaczej nie... Cał, Bolko - głos jej zginął w listowiu. Otrok schylił się, podniósł wianek, trzymał go w drewnianych palcach, patrzył w ślad za nią, słońce paliło; poczerwieniał, szarpał kwiaty, deptał, szaleństwo nim targało.

Srom... srom... dziewczka wojowi konia wzięła... na prześmiejch wezmą, na ozory... w głębi już stukwały kopyta Wszeborowych. Pobiegł, byle ujść swoim, byle nie zoczyli. O staje las się urwał, na skraju czekała Emmilda, śmiała się.

- Bierz mię na konia, wieź do ojca. Masz wianek?

- Podarłem go.

Zapłonila się do włosów.

- Nic.

7.

Emnilda skoczyła naprzód, dopadła wrót, Bolka doleciało szczekanie psów, okrzyki dziewczyny, miły mu był ten głos. Przystanął, nasłuchiwał, czekał na towarzyszy. Pola pachniały pyłem zbóż, macierzanką, więdnącą trawą; brzęczały i szeleściły. Gród milczański stał na wzgórzu, poczerniały, osiadły, tylko wieża nad bramą była nowa, świeciła w słońcu; na wieży - wzorem niemieckim - chorągiew. Bolkowi z lekka serce biło, gdy patrzył na tę chorągiew, niby kroplę czerwonej krwi na końcu kopii.

Wszebor z drużynnikami przyczłapał, zasapał się od pędu w gęstwinie, Bolko czekał, że piastun go zburczy, ale stary się jeno roześmiał.

- Bacz, by kolki dziewczki nie sparły. Dałby mi ksiądz za opiekę.

Bolko poczerwieniał, ściągnął konia. Wszebor swoje, drużynnicy w jeden rehot:

- Ho ho ho!

I:

- Och och och!

Bolkowi ściągnęła się twarz, zawsze mu broda wylaziła naprzód, gdy był zły, i zuchwy się napinały. Obrócił ku tamtym rozeźloną twarz, a oni mu prosto w gębę:

- Hu hu hu!

- Ruszajcie - rozkazał Wszebor. Poszli rysią.

Dobromir wyszedł na powitanie do wrót, wrota były kiedyś kraszone, nynie ledwo znać malowanie. Dobromir był niski, gruby, rehotliwy, policzki pełne tłuszczu zwisały mu z obu stron brody, oczy miał małe, wesołe. Śmiał się z dala, witał z Jezu Krystem, klepał Bolka po ramieniu, wrzeszczał na pachółków, by odwiedli konie, hukał na psy, podnosił - po niemiecku - gołą dłoń przed Wszeborem, gadał, śmiał się, policzki mu latały w górę, w dół. Bolko wodził oczyma po okólniku, okólnik był obszerny, stary, wokół obudowany, kręcili się ludzie, psy. Gołębie unosiły się stadem, obsiadały dachy, gruchały. Wrzawy pełno. Od babinca mnóstwo babich i dziewczyńskich głów: oczy kiej tarki, gęby kraśne, aż je ponosiło z ciekawości. Emnildy ni śladu. Bolko zadowolony, wesoły, ledwo co odgdał staremu. Weszli do sieni.

Łby turze i łosie, skóry, rogi, kruże, kobierce i broń. Jak trzeba. Ławy moszczone wokół paleniska. Palenisko z okapem - niemieckie. Trójnóg na kocioł, beczka piwa, beczka miodu, konew wina. Zydle na trzech nogach z oparciem i bez. Stołki z czarkami, skrzynie, wielka skóra niedźwiedzia z łbem; oczy niedźwiedzia z jantaru błyszcząły żółto. Niebiedny był Dobromir, książę Milczan.

- To ci gość! - wykrzykiwał - dzięki Dadźbogowi. Mój dom - wasz dom, moi ludzie - wasi ludzie, moje psy - wasze psy. Co za psy mam, do gonu jedyne, odyńca samotnika za uszy ci przywiodą. Pojedziem na łowy, czekaj, obaczysz. Dam ci dwa, parę, sukę i psa, ha ha ha! i twój ociec takich w

Lednicy nie ma. Obaczysz. Łazienię już palą, wraz cię miotłą wyćwiczę, ha ha ha!

Policzki mu spotniały, trzęsły się, brzuch się trząsał, cały trząsał się. Przepijali gęsto. Wszebor kiwał się na zydlu, Dobromir raz w raz brał Bolka w ramiona. Do łaźni szli zataczając się. Po wyparzeniu się - na gody.

Nazajutrz ledwo świt jechali do boru. Dobromir prawił o matecznikach, gdzie zwierz pewny. Na jutro to. Dzisiaj dziki wykłują, co na pola wyłazą, ryją, pełno tego na skraju. Las był mokry, senny, z liści kapało. Chłodek przeciągał po grzbiecie. Bajanie Dobromira burczało by woda w potoku. Świat cały był mokry, opływał. Psy nurkowały w zieleni, naszcze kiwały. Inne wiedli psiarze na powrozach. Ludzie ruszali się rześko, radośnie, w stawach kości chodziły gładko, bez skrzypu. Bolko chciał pokrzykiwać, rwać koniem, nie śmiał. Gorączka łowcza drżała mu w ciele, drzewce oszczepu pociło się w dłoni. Powietrze nasyciała szara różowość. Oczy latały. W gęstwie zleźli z koni, nurknęli jak psy. Chrust trzaskał pod stopami, mokre liście łaskotały; wraz giezła zwilgły. Pachniało zgnilizną, próchnem, igliwiem. Dobromir ustawił Bolka u wykrotu, kazał czekać. Psy grały. Jak fala rósł hałas nagonki. Bolko zataił się między korzeniami wywalonego pnia, czekał. Wiewiórka zeskoczyła na gałąź, kręciła się, przekrzywiała głowę; uszy miała ostre, sterczące. W skroniach stukało, straszna chuć mordowania zalewała gardło, usta, mózg. Tupot racic, charkotanie, jak ruda skała leciał ukosem dzik, zaślepiony, wściekły, ogłupiały. Bił ryjem, kłami po drzewach, zad w górę, krótki ogon sterczy w złości. Bolko długimi susami dopadł go, pchnął, pochylił się od pchnięcia, padł na kolana. Dzik porwał się, trójkątny łeb tuż, oczy, małe, rude, złe. Zniżył ryj - na księżycyca ! Ten miał już toporzysko w garści, rąbnął od lewa, oburącz, wprost w głowiznę. Jucha trysnęła mu na twarz, na ręce, skoczył na nogi, pośliznął się, padł głębią na wywalony, śmierdzący bok dzika. Włos był ostry, kłuł w twarz, w brzuchu zwierz jeszcze drgało, biegały konwulsje, Bolko odczuwał je niby spazmatyczną rozkosz. Z gęstwy już tupotali, już doń lecieli, gęby czerwone, przestraszone. Podniósł ku nim gorące, szczęśliwe oczy.

Pierwszy parsknął Dobromir, za nim Bolko. Śmiali się społem.

Wracali zgiełkliwym pochodem. Dobromir bajał:

- Był u mnie człek... od Weletów. Łoni ji zubr racicami podeptał, pobił rogami. Kasza ostała. A łowiec ci był, na nos szedł, mołwie ci, na węc. Kiej pies. Ten ci pysk wystawi na wiatr, węszy, ślepiami łypie, wraz do ziemi przypadnie, na czterech łapach lezie, isty zwierz. Tyle że ogona nie ma. Mołwie ci, zubra abo łosia wytropi, a trza dzika, dzika wytropi, a trza mieszkę, mieszkę wytropi, a każdego zwierzka zna, czy to na ziemi, czy pod ziemią, czy na gałęzi, wielkiego albo małego. A gwizdać mógł kiej każdy ptak i kłaskać, i krakać, że nie poznasz. Musiał go zubr dopaść i zdeptać - policzki mu zwisły niżej, nos jeszcze się zadartł w smutku.

Jechali gromadą, bez porządku. Woły ciągnęły wozy, na wozach trzy dziki, woły lekko kiwały się w jarzmie, psy biegły bez powrozów, podniecone, wyśmigiwały ruchliwą rozwrzeszczaną sforą, szcze kały, wracały, oganiały konie z zadartymi wilgotnymi pyskami. Rwała się pieśń:

Gdzieżeś to łaził, stary, bury mieszka?

Chór odpowiadał:

Na drzewo, do barci, łado, łado, ach!

I znów:

Czymżeś tam dostał, stary, bury mieszka?

I chór:

Kłonicą przez lico, lado, lado, ach!

- Ha ha ha!! - toczył się śmiech po błoniach. Słomiane chochoły kłaniały się jeźdźcom pod wiatrem.

O staję pod bramą rozpuścili konie, wlecieli za ostrokół rozwrzeszczaną, rozszczekaną ciżbą. Tu ich nowa czekała zabawa. Na gałęziach drzew wisiały uwiązane za nogi gęsi. Rozpędzali konie, w przelocie musieli zerwać gęś, głowę ukreć, w pełnym pędzie dziewczynie rzucić: wraz zaczynały je czyścić, skubać, na rożen nadziewać. Wokół gorzały stosy, miano na nich piec mięso. Dziewki stały rzędem, roześmiane, czekające wyboru. Przekpiwały się wzajem, jazgotały wesołymi, świegotliwymi głosami. Pierwszemu przypadło skoczyć Wszeborowi, spiął konia, zerwał gęś mocno, za łapy, zdatny i wprawny. Klaskaniem go przywitała gromada, wolno, godnie podjechał do Dobromirowej białki, schylił się, złożył ptaka w jej ręce. Dobromir po udach się klepał z uciechy. Bolko poderwał konia zbyt wcześnie, chybił o włos, paluchami przejechał po gęsiej piersi, zasrebrzyły się zdarte pióra, obsypały pokraśniałego. Śmiech zakołował.

- Ha ha ha!

- Odrzygęś!

- Pogładził gąskę! Pogładził.

- Po brzuchu!

A ta gąseczka kręgiem latała,

piórka Bolkowi białe rzucała.

Zakreślił w miejscu, obleciał łukiem, jeszcze słyszał drwiące przewiska, drwiącą pieśń, skoczył, porwał za szyję, gęś była mocno uwiązana, urwał łeb, tułów ostał. Taki srom!

A ta gąseczka kręgiem latała,

znowu Bolkowi się nie dostała...

Za trzecim razem zerwał gęś, zjechał na bok. Nie mógł jej podać Emmildzie - za trzecim razem zerwał. Według surowych zwyczajów sam winien był ptaka oskubać. Pieśń brzmiała:

Jużeś nie woj ty, kiszki wybieraj,

łapki obrzynaj, piórka obieraj.

Emnilda wyskoczyła z gromady, zatupotała po okólniku, tylko jej łydki migały. Podbiegła do Bolka, wsparła się mu na kolanie, pochylił się ku niej, kręcąc gęś w rękę, niepewny, zawstydzony. Oczy jej się śmiały.

- Dajcie... oskubię.

- Za trzecim razem zerwałem.

- Nic. Oskubię.

- Emnilda!

- Patrzą. Dajcie ptaka.

- Emnilda!

- Dajcie ptaka.

- Dzika ubiłem.

Parsknęła śmiechem, spąsowiał. Wyrwała mu bezgłową gęś, uniosła. Ojciec groził palcem, rozśmieszony. Widać: niegniewny. Emnilda przysiadła, tylko się jej pierze sypało, tak skubała, Bolko nie śmiał spojrzeć, siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową.

Skakali inni. Komu się udawało, komu nie. Rechotali na cały gród.

Rechotali cały dzień. Najedli się, napili, kałduny ciążyły, śpik morzył. Przespali się na sianie. Potem płąsali na cześć gości. Nad okólnikiem wisiał kurz od tupotu nóg, siadał na spocone twarze. Dziewczęta umiały się kwieciem, kosy rozpuściły, a wyszywanki, a plecionki, a kabłączki, a bisior, a guzy! Trzęsło się na nich wszystko, dźwięczało. Przytupywali, klaskali, śpiewali, w korowodzie szli. Lipy rzucały cień, nawet w cieniu sływał człek potem. Dobromir tupał pierwszy ze swoją białką, Bolko z Emnilda. Coraz głośniejszy rozlegał się krzyk:

- Na gaje!

- Na łąki!

- Lelum polelum!

- Lelum polelum!

Nie wytrzymała gromada, wysypała się za wrota, rozdyrdała się po okolicy. Bolko Emnildę wiódł. Dobromir wziął Wszebora za rękę, wskazał oczyma młodych:

- Czeka już dziewczka na dziewosłębów.

Wszebor nastroszył się, nie odpowiedział. Widział, ku czemu idzie.

- Mali Mieszka co upatrzonego?

- Nie wiem ci. Nie widziałem księdza.

- Rzeknijcie mu...

- Nie moja głowa.

- Baczcie, jak śmigają. Milczański walny ród. Rzeknijcie...

- Nie będzie słuchał.

Słońce czerwieniało już, niskie, wielkie. Cisza stała. Po polach biegły przyśpiewy, klaskania. Koniki polne terkotały. Cisza stała.

Dobromir mówił:

- Namówcie Mieszkę, dam wam zbroję niemiecką a miecz, a konia dobrego.

Wszebor milczał. Patrzył za Bolkiem. Dobromir szepnął:

- Bolkowi miła Emmilda. Widziałem to.

- I ja widziałem - Wszebor ostrożnie ważył słowa - kraśna dziewczka. Ale księdzu nie zawsze tego dość. - A później dodał nagle:

- Kraj Milczan wielki kraj.

Dobromir poczerwieniał z zadowolenia.

- Powiecie?

- Obaczę - burknął Wszebor. Nie spuszczał wzroku z dalekich postaci Bolka i Emmildy. Szli objąwszy się ramionami. Cisza stała jak ciepła woda na przedwieczеру. Koniki polne wrzeszczały. Przyśpiew zaniknął w oddaleniu.

Dobromir westchnął, tłuszcz na policzkach rozplynał mu się w uśmiechu.

- Starzyśmy już, Wszeborze. Chodźcie na chłodny miód. Wystały, gęsty.

Zawrócili.

8.

Do Mieszki przyleciał Zadora od wrocławskiego grodzierzcy: Bolko wraca. Wielki hyr poszedł po grodzie, Mieszka kazał witać syna jak gospodzina i księdza. Woje wyszli na błonia przed Poznań, cizba zgromadziła się wielka. Mieszka biskupa przymusił, by witał, w dzwon kazał bić. Niebo było pogodne, błękitne. Sam postanowił czekać syna doma, nie strzymał, wyleciał na dwór, krzyknął:

- Konia mi! Żywo konia!

Przyprowadzili konia, wkarabskał się, pognał. Zawsze wielkiego źrebca wybierał, siedział na nim jak mokra wrona na wieży. Przyleciał w ostami mig, Bolko już nadjechał, z dala widny, wielki i śmiejący się; za nim woje, siwy łeb Wszebor. Bolko skoczył przed ojcem z konia, Mieszka przypląszczył się, przegiął, wziął twarz syna w garście, ucałował w policzki, w usta. Nie baczył na tysiąc rozwartych ślepi, gąb. Wyprostował się, dłoń wsadził za pas, raz jeszcze obejrzał pierworodnego, pokręcił głową:

- Wielki chłop. Wyrosłeś.

- Ano! - odpowiedział Bolko; poczuł nagle dawny przyjemny lęk przed ojcem. Uśmiechnął się.

Patrzył nań w górę, zmieszany, szczęśliwy.

- Siadaj na konia - szorstko przykazał ojciec. I zaraz:

- Drużynę dostaniesz.

- Ociec!

- Już ci czas - zawrócili ku wrotom.

Wielkim grodem był Poznań, nie darmo Lestkowice Poznanowi go odjęli. Lednicę dlań rzucili. Bolko wielekroć dumiał u cesarza o Poznaniu: zawsze z tęsknotą. Teraz zdał się mu gród mały, ciasny. Rozglądał się zdziwiony - onże to Poznań? Ale miła mu była nawet ta małość i ciasnota, wdychał zaduch grodowy, pachniało po swojacku, słodko. Wszystko się odmieniło, lelum! Mieszka jechał dumny, nadęty, z ukosa zerkał na syna. Nie wytrzymał:

- Widzisz? Cyrkiew skończona.

Bolko spojrział na niewielki kościółek, w gardle mu zaschło.

- Widzę. Godna cyrkiew.

- I dzwon na niej nowy, srebrny.

- Widzę.

- A ona wieża? Nowa. Latoś ukończyłem.

- Walny trzem.

Mieszka targnął nagle głową, gniewnie błysnął oczyma.

- Może ty... - zawahał się. - U cesarza większe widziałeś trzemy, co? Ogromne, co?

- Widziałem.

- Sysun! - Mieszka poczerwieniał, prychnął nosem. - Cyckarz! Dureń! Pomnijże: tamto cesarskie, to twoje. Żółtodziób !

Bolko roześmiał się szeroko, radośnie.

- Pojmuję! - ścisnął ostrogami konia, odwrócił głowę, spojrzał ojcu głęboko w oczy, powtórzył:

- Och! Pojmuję.

W grodzie poznał macochę: Oda była młoda, piękna. Spojrzeli na się - od razu nieprzyjaźnie. Gwarzyli spokojnie, z uśmiechem. Długie lata mieli tak gwarzyć, kryjąc w sercu wciąż rosnącą nienawiść. Nienawiść tę miał Mieszka poznać w ostatniej godzinie swego życia. A nynie jary był jeszcze. Zasiadli do stołów. Gwar rósł.

Na trzeci dzień Bolko przyszedł do ojca z twardą decyzją: powie o Emmildzie. Mieszka równał pogiętą kolczugę, nie szło, mu, usta zaciął, postukiwał. Spod nasepionych brwi spojrzały na Bolka dawne oczy ojcowe - władcze. Bolko siadł, dłonie oparł na kolanach, patrzył na psującą się robotę. Milczeli. Otwierał usta, zamykał. Zagadnął:

- Skąd ta broń?

- Wareska - odburknął Mieszka, wciąż stukał. Przettrzymał syna, Bolesław zaczął niepewnie:

- Daliście mi drużynę.

- Czas.

- Bom woj. Chłop. I żony mi trza. Mieszka stukał.

Syn wiercił się, otarł nos, chrząknął.

- Kiedychmy wracali, byłem u Milczan. U Dobromira. Gościł mię.

Mieszka nie odchylił się od kolczugi.

- Milczanie wielki kraj. Dobromir syna nie ma.

Rwała mu się mowa na obojętność Mieszkową.

- Ociec! - wybuchnął.

Mieszka oderwał kolce, giał je w palcach. Bolko oblizał wargi.

- Dobromir... - uciał. Stary ksiądz puścił kolczugę na ziemię, brzęknęła, ostro odwrócił się na zydlu, głowę miał wepchniętą w ramiona. Ciągnął zjadliwie:

- Dobromir? Co mi o Dobromirze bajesz! Abo nie wiem coś u Milczan zwojował? Myślisz, że ociec głuptak?

Bolesław przełknął ślinę, nie mógł oderwać oczu od Mieszkowego wejrzenia.

- Głupie dumki snujesz. Ejże, żony ci trza? Prawie gadasz. Czas. Żonę dla ciebie mam.

- Ociec!

Mieszka wstał, szedł do syna.

- Żonę mam, słysz. Trza cię w łaźni różgami. Pytać ji będę... Ułożyłem się.

- Ociec! Emmilda...

- Milcz, molwię ci, milcz! Sysun.

- Nie wezmę innej.

- Nie weźmiesz? - chwycił Bolka w ramiona, rzucił nim o ścianę. - Nie weźmiesz? Jutro z drużyną pojedziesz w objazd: na Kraków. Słuchać cię będę? Jutro pojedziesz. A wrócisz, pójdiesz w łóżę.

- Nie pójdę.

- Ja ci... - zbliżył się z pięścią, zawrócił, mruknął "dureń", wyszedł. Trzasnął drzwiami, cały dom się zatrzęsł. Bolesław stał blady, czerwieniał, znów bladł. Nazajutrz pojechał w objazd.

Trzy miesiące objeżdżał kraj z młodą drużyną. Gdy wrócił, zastał już w Poznaniu córkę Rygdaga Wettyna; Matylda była drobna, ruchliwa, wesoła; gdy śmiała się, zęby jej sterczały spod górnej wargi, jak u wiewiórki. Bolko nie mógł patrzeć na te zęby, na wieczny śmiech, na biegające oczy. Gdy wszedł, poderwała się ku niemu, ręce jej opadły, zapłonila się. Obejrzał ją z góry w dół, nie rzekł słowa, splunął. Znienawidził ją od pierwszej chwili. Mieszka był rad, zacierał ręce. Wszystko odbyło się po staremu, godnie, przy ponurym milczeniu nowożeńca. Ojciec z synem unikali wzajem wzroku - obaj zacięli się.

Wieczorem przyłapał Bolko Wszebora.

- Gadaliście z oćcem?

Wszebor skrzywił się.

- Gadałem - burknął.

- I co?

- Pyskował na mnie kiej na otroka.

- Skąd ta Matyllda?

- Od Wettynów, Rygdagowa córka. Siostra jej Gerburga, mniszka, ksienią rychło ostanie. Przyjaciółka twojej macochy.

- Ody?

Stary skrzywił się:

- Wiele ich masz?

- Oda sulila oćcu?

- Oda.

Zakręcił się w miejscu.

- Suka.

- Jutro łożnica, hamuj się - burczał Wszebor. - Buntować się będziesz ? Co ci, Bolko!

- Nie pójdę.

- Co ci zadała Dobromirowa dziewczka? Żawždy ociec małżony szuka.

- Nie pójdę.

Stary zatroskał się. Namawiał, groził. Bolko zmiłkł, słuchał ' ze stężałą twarzą. Nie rozchmurzył jej przez wszystkie obrzędy.

Obsypali młodych ziarnem, ostawili samych. Matyllda przysiadła na łożu, wargi jej drżały, żałośnie błyskały górne zęby. Bolko stał rozkraczony, patrzył na nią niewidzącymi oczyma. Czerwona, spocona, szepnęła, twardo, z niemiecka, wymawiając imię:

- Bolko...

Odwrócił się.

Tej nocy spał osobno, na ławie. Matyllda szlochała w pustej łożnicy do rana, wstała cicha, oczy miała czerwone, usta spieczone, suche. Podniosła się, naciągała giezło, nawet nie spojrział na nią. Siedział na ławie, oczy wlepił w klepisko, milczał. Zaraz hyr poszedł po grodzie: żonka nie ugodziła księżycowi.

Następnych nocy - to samo.

Mieszka zgrzytał, Oda wierciła Bolka zimnymi ślepiami, po kątach szły prześmiejchy wojów, w babinu się gotowało. Bolko chodził do puszczy, gonił zwierza, wracał nie rozchmurzony, zwał się na ławę, zasypiał; Matylda szlochała do kurów. Zeschła, zżółkła.

Którejś nocy Mieszka szarpnął drzwiami, wyrwał skobel, wszedł do młodych. Matylda poderwała się z łoża, z zawiniętą głową, splakana. Mieszka mocno tupął nogami. Podszedł do Bolka.

- Idź do łoża.

- Nie pójdę. Idź.

- Nie.

- Każę cię wojom wnieść.

Bolko spojrział ostro, szydliwie, zaśmiał się złym śmiechem. Powiedział:

- I co? Co jeszcze każecie wojom zrobić?

Ojciec zatupał nogami, pokręcił się po izbie, wyszedł.

Po roku umarł Rygdag. Wkrótce potem Matylda odjechała do siostry.

Nie ułagodziło to ni ojca, ni syna. Mieszka wraz posłał dziewosłębów do węgierskiego Bezpryma.

Węgierka była sucha, brzydka. Znów ziarnem sypali na młodych, śpiewali na szczęście. Bolko nie strzymał tym razem. Kiedy ostali sami, krzyknął ostro:

- Rozdziewaj się.

Nawalił się chutnie. Co noc. Po dziesięciu miesiącach Węgierka porodziła mu syna. Mimo krzyków Mieszkowych Bolesław nie podniósł syna, nie uznał go. Węgierka płakała nocami jak Matylda. Czas ciekł.

Gejza pobił tymczasem Bezpryma, zagarnął jego mienie. Wszebor jeździł do Adelajdy Gejzowej, siostry Bolka. "Biała księżyni" suliła ojcu odesłać Węgierkę k'swoim. Mieszka nie chciał, zacinał się. Oda judziła. Minął rok - Bolko przepaął: odesłano Węgierkę.

Wtedy dopiero Bolko uznał pierworodnego.

Po raz trzeci słał Mieszka dziewosłębów. Do Dobromira - po Emnildę. Po raz trzeci śpiewali pieśni, sypali ziarno.

Emnilda nie płakała nocami.

CZEŚĆ TRZECIA

Orczyca

1.

Stojgniewem targał niepokój, gdy dojeżdżał ojcowego grodu. Wieleż to lat, gdy go woje Mieszki porwali jako zakładnika uległości Orczyków. Wiosna huczała w czarnych konarach, mokry wiatr przeciągał po niebie. Śnieg był szary, wrony wielkimi stadami unosiły się i opadały, psy wyły. Tak, niepokój nim targał, jak nynie. Ile to lat? Owinęli go w futra, włożyli do sań, otoczyli gromadą zbrojnych. Jechał w nieznane, w niewolę, w łapy strasznego Mieszki - wiedział przecie: Mieszka to wróg; zaciekły wróg ojca i rodu; i jego, Wojborowica. Biło chłopięce serce. Rozglądał się bezradnymi oczyma, nie ruszając głową. Dokoła las, pnie grube i pnie, konary i konary, gałęzie, kiście, igliwie, wykroty; zady końskie szerokie, mocne; kozuchy wojów, rogate czapy, topory przy łąku, tarcze odrzucone na plecy, łuki w łubiu po prawej stronie u boku, tuły pełne strzał. Jeźdźcy kiwali się do przodu, milczący i groźni, coraz dalej odjeżdżali od domu. Od domu! Srogi ociec i mać; w uchu świdrował krzyk mąci. Płozy skrzypiały na śniegu, parskwały konie; i ten daleki krzyk; i obcość; i pustka; i lęk.

Kiedy to było? Dawno. Zamazało się w odległą gadkę, w nierzeczywisty zwid. Końskie czaszki i srogi ociec, i daleki krzyk mąci? Teraz dwór Mieszki, drużyna Bolesława, bitki i łowy; chłopcy oparci plecami o pnie drzew, gęby wesołe; pijane godowania i śpiew po cyrkwiach. Orczyca? Zapadała w czarną toń, tylko majaka, tylko zwid; jak zeszłoroczny, zwiędły kwiat, jak klucz żurawi, co odleciał - tyle że pamiętamy piosenkę klangoru.

Czyż dziwne, że Stojgniewem targał niepokój, gdy tak wracał? W krainę baśni dziecinnej wracał.

A jednak droga leśna... ta sama droga leśna. Ścieżyna wąska i kręta - znał ją. Czyż lata tu nie płynęły? Wykrzywiona brzoza; jak baba koślawa i brzuchata; wykrot, w który skakali z Nielubem i wygramalali się z trudnością; serce zabiło, gdy ujrzał strzelisty świerk, widny z domu - kruk siadywał często na szczycie drzewa, próbowali go przebić strzałą, nigdy się nie udało, wysoko było; podniósł oczy, a jakże: kruk siedział.

Stojgniew jechał jak we śnie, stukało w piersi. Tyle się . przewaliło przed oczyma w te lata... A tu? Wraz zakręt, a za zakrętem... bura rzeka, poczerniałe palisady z rzędem końskich czaszek na czole. Pognał konia.

Jarzębiny kwitły bladymi baldaszkami. Wypadł na skraj, ściągnął powody. Stał, patrzył. To, co mu łomotało w piersi, stanęło mu nagle, a potem jeszcze mocniej: buch, buch, buch, buch!

Stał i patrzył, zatkało go: nie, nie wszystko było niezmiennie. Na stoku pagórka tuż u łąchy wiślanej czerniał ojcowy gród; ten sam: żółte czaszki i wrota z drewnianą wieżą, i dach kwadratowego domostwa. Jak drzewiej. Lecz naprzeciw! Na drugim pagórze u tejże łąchy nowy gród, świeżo postawiony, z drewnianą wieżą nad wrotami; wisiał nad starym dworzyszczem niby chmura nad puszcza. Zdał się Stojgniewowi bliski, dobrze znany, swój.

Słońce zaszło, nad lasem na tamtym brzegu Wisły błękit ciemniał, siniał, gasł. Znad dachu starego domostwa sączyły się smugi dymu. Stojgniew klasnął językiem, niecierpliwiło go. Ominął nowy gród, jak ptak przeleciał, dolinę, przeniknął między chatami smardów, siedzących tu dla

posługi, przejechał dąbrowę z barciami pszczelimi na pniach, wspiął się na obły pagórek, stanął u wrót.

Powitało go - jak dobrze znane! - ujadanie psów, wielkich i złych, zawsze ich było pełno u ojca. Nikt go nie okrzyknął zza wrót. - Gdzież stróża? - skrzywił się, zszedł z konia, wsadził rękę w szparę, wyciągnął skobel.

Psy się rzuciły gromada, opędzał się oszczepem. Z domostwa wyrzwał ktoś, patrzył chwilę, krzyknął gniewnie na psy, odskoczyły, warczały, szczyrzyły zęby. Człowiek w kozuchu zbliżył się, spojrzał spode łba, zagadnął mrukliwie:

- Ej tam, kto?
- Zapomnieliście, jak gościa witać?
- Wejdźcie... - mruknął stary, wciąż drogę zagradzał, patrzył podejrzliwie.
- Wojbor doma?

Stary zamigotał oczyma, w spojrzeniu jawna nieufność.

- Doma. Ktoście?
- Prowadź.

Tamten nastroszył się jeszcze bardziej.

- Ktoście? - spytał przez zęby; rękę trzymał na trzonie topora. - Od Mieszki? Z grodu?
- Syn.
- Jaki syn?
- Stojgniew. Prowadź, psie nasienie.
- Lelum! - wykrzyczał stary - Stojgniew! Wen! - ryknął na psy. - Tędy... tędy...

Pobiegł przodem, zostawił Stojgniewa. Wojowi znów serce zaczęło łomotać w piersi - dom; stary ojciec, daleki krzyk matki; i klątwa, że wróci. Psiska przyskakiwały i odpadały. Stojgniew otworzył drzwi, machinalnie się przygiął, dotknął dłonią progu, wszedł.

Jakby mu tuman owinął łeb. Gdy schylał się do kolan ojcowych, wciąż był niby we śnie. Coś gadał, odpowiadał na pytania. Posadzili go za rodowy stół, w godny kąt, jadł i pił. Tym nieprzytomnym wejrzeniem ogarniał izbę: wszystko wokół to samo. Szerniały belki zawieszono bronią, ławy, stoły i zydle; toż palenisko, tenże dym snujący się warstwicami; jak dawniej pachniał ten dym. A przecie inaczej, coś inaczej. Co? Ojciec pilnie patrzy mu w twarz, Stojgniew wie, że raz jeszcze oczyma po izbie: inaczej jest. Pusto. Dawniej było tu gwarno i rojno. Jak spamiętał, zawsze

ławy wokół izby obsiadali ludzie, groźne woje, skołtunione łby, szerokie gęby, hałaśliwe, śmiejące się. W rogu u drzwi stał ceber z piwem, brał, kto chciał; pili, gadali, rechotali, pieśni śpiewali. Z komór ktoś wyglądał, przebiegał przez sień, coś niósł, za czymś gonił. Kajże się to podziało? Tylko psy pozostały, gromadnie wylegujące się u ognia. Tylko psy.

Podniósł bezradny wzrok na ojca. Usłyszał syczący szept:

- Wszyscy przeszli do Mieszki. Gadzina.

- Do Mieszki? - zdumiał się syn, wzrokiem obiegnął raz jeszcze obumarłą izbę. - Jakże to?

- Widziałeś gród nad rzeką? Walny gród. Gówniaki. Stróża nade mną. Opole nowe założyli; ludzi pobrali. Gid przeklęty.

- Stróża nad wami, ociec? przerażony szept, pełen zdumienia. We wspominkach był ojciec potężny i wielki, niemal równie potężny i wielki jak Mieszka. Teraz siedzi w izbie pustej niby grób. Tylko cienie się kołatają po kątach i dym się snuje w smugach światła. - Stróża?... - powtórzył miękko, spojrzął na ojca..

Ojciec ten sam był, taki sam. Też bary, tenże kark, taż głowa. Twarz sroga jak dawniej, krzaczaste brwi zrosnięte nad oczyma, oczy bijące jak młotem. Tak, ojciec ten sam, ta sama zawziętość i srogość, choć wokół oczu, nosa i warg nagromadziły się zmarszczki i fałdy, a szczerć przetkała siwizna. I w głosie jeszcze więcej zapiekłej nienawiści.

- Przeszli wszyscy, wszyscy... Baczyłeś gród nad rzeką. Siedzi tam Ledarg, Mieszkowy pies. Z dobrego rodu na służbę przeszedł do Mieszki.

- Wszyscy teraz idą do Mieszki.

- A wszyscy, wszyscy... Psi pomiot. Mieszka wielki pan, walny ksiądz, mocny i szczodry. Ziemię daje i łupy, niewolników i dziegi. Siłę ma, ot co! Posag i wiano wypłaca. Jeden za drugim przeszli. Szczury! A ten gród, pomnisz, pełny był, pomnisz? Idź do Ledarga, obaczysz tam wojów moich, moje pachoty i smardy. O wa! Sokolniki pobrał i psiarczyki, przejścia pilnuje, niech kto przejdzie, węszy, nos sadzi, dopytuje a śledzi. A drzewiej...

Stojgniew patrzył na ojca, bary się Wojborowi prostowały, głowa zadzierała, głos tężał.

- Pomnisz, drzewiej... nie pomnisz. Małym otroczkiem byłeś, skrzatem lada jakim. A jeszcze drzewiej... Ejże! nic tam Mieszka abo Ziemomysł! O wa! Z Czechami bili my Ziemomysła, hoo! Bili, psiamać, i jak bili! Sto wojów zaległo pole. A potem z Ziemomysłem na Czechów! Hoo, to ci rubież a sieczka. Pomnisz? Nie pomnisz, ty... Siekiery spłynęły juchą, były czerwone po garść. Wiele wozów z łupem przywiodłem do tego grodu i tamte zbroice, i miecze, widzisz? - paluch tkał w róg izby, gdzie wisiała broń poczerniała od dymu. - Jarzma trzaskały. Niewolnych osadziłem wokół grodu. Nie pomnisz. Ziemię orali i ziarno męli w żarnach. Długie lata! Ociec mój żył w on czas, ale mu topór golenie pogruchotał, chodzić nie mógł. Walna siła była. Teraz wszystko przeszło do Mieszki, jenż stróże mi nad karkiem postawił. Stróże!! - cisza padła nagle, bezsilna cisza

opuszczenia. Ławy stały wokół izby i dym się snuł warstwicami. Stojgniew wodził oczyma po pustce i ciszy, pod stołem tylko czuć było życie: psy tam drzemały.

Stary Wojbor nie spuszczał srogiego wzroku z syna.

- Bają u nas... i ty przeszedłeś do Mieszki. Jakby w pierś pięścią.

- Ja! - młody zatchnął się. - Ja? Co wam... ociec! Ja przeszedłem do Mieszki! - wykrzyknął, głos mu się naraz załamał.

(Ognisko. I drużyna śpiewająca pieśni. Tętent konia ze złą wieścią. I Bolesław, którego prosił o zwolnienie do oćca, uśmiechający się dań niby szczerze a nieufnie. I własny zapalczywy okrzyk:

- Przecie was nie opuszczę. Nawet przeciw swoim, przeciw oćcu!)

Stary dukał pod ciszą izby:

- Mieszka pobił mię u Wiślicy. A potem kazał ciebie oddać w jeństwo, boś ty najstarszy po mnie, masz to imię, co twój dziad a mój ociec. To była stróża nade mną. Nie gród, gówno gród! Gdy zabrali ciebie, mać biła łbem o zrąb, ażem ją prasnął raz i drugi, dopiero ścichła. Nie wiedziała, że wrócisz odmieńcem. Słyszałem dobrze, co bają. A Ledarg w oczy kłuje, że mój syn uznany jest starostą w Belkowej drużynie. Prawdali to?

- Prawda - szepnął Stojgniew.

I poczuł dumę ze swojej drużyny i ze swego starszeństwa. Ale były to pomieszane uczucia. Bolesław! Jak ich obskoczono łośkiego roku. Wsparli się plecami o siebie i rąbali. Och, waliły się plugawe mordy. A przez gęstwę szedł wrzask drużyny idącej w pomoc. Stojgniew jeszcze czuł na plecach plecy Bolka, odrywały się odeń te plecy przy pchnięciu mieczem i znów przylegały. I ten krzykhukanie: Bolesław Bolesław! A oto obumarła izba, ławy puste i martwe, dym snujący się od paleniska, ociec wsparty łokciami na stole, twarde oczy spod krzaczastych brwi, a tam u łachy wiślanej nowy gród, nieszczerniały i Ledarg, i stróża... Nad oćcem, niby nad klejmowanym. Ponizenie i wzgarda! Mać biła łbem o zrąb. Pamiętał tę białkę, śpiewała i śmiała się, wesola była, pieściła ich, płaśała z nimi. Łbem o zrąb biła... Woje przeszli do Mieszki, gadzina... Gród na stróży... Ociec ponizon... Izba rodowa pusta i głucha... Lelum!

Słuchał, jak mu ojciec syczał w samo ucho:

- Myślą, że upilnują mię. Eee! Mieszka mocny, a ma wrogów. Nie przejedna ich. Co patrzysz? Wszyscy, których ukorzył, stare rody, woje i władzyki. Ci, jize wiecowali i Lestka powołali na starostę, co kręgi swoje zwoływali, ognie palili na wzgórzach, na wyprawy szli, łup brali. Co na swoich grodach siedzieli, nikomu niepodległych. Co z opolnej wspólnoty byli wyłączeni. Co boga Kyryi Krysti nie uznali, jenz jest bóg cudzy i zgubę nam niosący. W puszczy po staremu obiady stawiają, gody odprawiają, dziady czczą. Kto zacz nowy bóg, Kyryi Krysti? Przeczże ji Mieszka sprowadził, a święte dęby tnie i święte miejsca plugawi. Mieszka walny jest i mocny, wszelako i mocni padali. I ząbr pada od sulicy i mieszkę położy topór. Nie bój się. A z nim spłoną i jego

grodystróże, i odmieńce, co za nim poszli.

Porwał się z ławy, krzyczał:

- A Ledarga każę końmi rozedrzeć... Do sosen przywiążę i rozedrę! Kijami zatłukę gida, gnojka!

Przyskoczył do syna. Porwał go za ramiona, trzął w nagłej pasji poniżenia i nienawiści.

- A odmieńców, nynie Mieszce służących, do jamy wsadzę, niech gniją jak mierzwa! Choćby taki był z mojej krwi, z mego nasienia, wsadzę i zgnoję.

Wyczerpał się w tym wybuchu, cofnął się, ścichł. Zaczął pojednawczo:

- Wróciłeś do starego domu, toś mój teraz, rodowy, nie gość, nie przybysz. Masz mię słuchać jak drzewiej. W zadku mam twoją drużynę i twoje klątwy późniejsze, w zadku, słyszysz? Wróciłeś.

- Wróciłem - ozwał się Stojgniew w najwyższym oszołomieniu - bo kląłem się dotykając ziemi ręką, że wrócę, kiej Mieszka zemrze. Wszebor do nas przyjechał z wieścią, że Mieszka niemocny. Śmierć nad nim. Przyjechałem...

Twarz starego władzyki nabrzmiała krwią, zbladła, znów szerniała. Oddychał szybko.

- Mieszka zmarł. Lelum! Teraz pora!

Dźwignął się od stołu, usiedzieć nie mógł. Ręce się mu trzęsły. Zakręcił się po izbie, podszedł do ognia, bezmyślnie poprawił przygasające główne. Tłukł się wkoło, ściany go dusiły. Burczał do siebie, nie do syna:

- Trza zaraz nam do Lednicy. Nie dopuścić, by Bolesław władztwo objął. Mówią, Ody synowie mali, Oda chciwa. Będzie nas słuchać: wszystkie dawne władzyki będą za Odą. A przyjdzie pora, wytracim cały pomiot Mieszkowy. Niechaj na Pomorzu brat ostaje, doma sami władztwo weźmiem. Jak drzewiej, przez rody, przez wiece. Bolko?

Zakrzyknął pełnym głosem:

- Bolko z krwawych jam zapłacze. Za Ledarga, za stróże, za srom.

Stojgniew słuchał ojca w przerażeniu i głębokiej rozterce.

2.

Stojgniew dotąd jeszcze patrzył na orczycką sień jak na sień obcą. Był ranek. Przez otwarte drzwi legła na toku biała plama upału. Latorosłka przysiadła w kącie, rękoma objęła kolana, nie spuszczała oczu ze Stojgniewa. Nie zważał na nią. Uśmiechała się kątami warg, towiia chciwie rwącą się pogwarkę. Nielub zagadywał, milkł. Z szerokiej twarzy, spod mocnego czoła patrzyły nieufnie oczy.

Stojgniew dziwił się bratu, zostawił go małym, krzykliwym mazepką, aż to mazgajstwo na imię mu przeszło. Teraz tyli pachol. Gadali o drużynie. Nielub mruknął z jawną niechęcią:

- Wolej byś nie przyjeżdżał. Co ci po grodzie? Ty tam w Mieszkowej drużynie wielki woj. A my tu wszyscy nieluby.

- Nie dla mnie.

- I dla ciebie, dla ciebie takoz. Ty z tamtej strony, żeby ich mór pożarł. Bacz jako nas otoczyli. Nie damy się. Jeszcze sulicę dłoń zdzierży.

Stojgniew uśmiechnął się, Latorosłka jak cień uśmiechnęła się za nim.

- Tęgo machasz?

- Jakże to?

- Oszczepem.

- O wa! Nie tak jak ociec. Ale mieszkę zwałem i ząbrza zwałem. Stary był. Pojedynek.

- Ubiłeś? Sam?

- Na nic mu czerep zepsułem. Szkoda, zdałby się do palisady. Teraz nie ma koni, nowych łbów nie zatykają. Ale ja nie dam grodowi zgnieć, cały przód rogaczami pokryję, niechby tam. Każda czaszka dobra, aby złe odegnąć.

Obejrzał się wkoło, splunął od uroku.

- Lepszy na złe od czaszki znak Kyryi "Krysti abo dzwon poświęcony.

Nielub wzdrygnął się.

- Całkiem ciebie związali, bracie - znów splunął.

- Słuchaj - zaczął Stojgniew i zaciął się. Patrzył na szeroki łeb Nieluba, na uparte oczy. Chłopcu szumiała potąd tylko puszcza nad głową. Co on wie, co wie... O świcie.

- Słuchaj - mówił o ton niżej - po śmierci Dobrawy Mieszka zaczął budować wielki tr*zem w Gniezdnie dla Boga Kyryi Krysti. Pierwej rosły pode grodem święte dęby. Mieszka ściał święte

dęby, z nich trzem budował. Wałną cyrkiew. Na wieży wiszą trzy srebrne dzwony, wyżej zatknął Mieszka znak Kyryi Krysti. Dokąd dochodzi głos srebrnych dzwonów i skąd widać święty znak, żadne złe nie podejdzie. Chciałoby, a nie podejdzie. Tylko w nocy zbliżają się, ale dotyla, dokąd dojdzie pianie kura. Bliżej im nie lza.

- Co mówisz? - pochmurne oczy Nieluba zaokrągląły.

- Bliżej nie lza. Kyryi Krysti mocny Bóg.

- To ja ci powiem - zaczął gwałtownie Nielub. - Trzy sta kroków nad Wisłą stoi gród, w grodzie siedzi Ledarg. Ledarg ma znak Kyryi Krysti. Po drugiej stronie kroków pięć set rośnie święta dąbrowa. Nikt jej nie tknął, tknąć nie śmiał. Pod święte dęby co noc schodzą się dziady, wiecują, jak pobić Kyryi Krysti. My im obiady składamy, ognie palim, miód i kaszę dajem. Jak drzewiej. I nic znak Kyryi Krysti nie zdoła, nie szkodzi.

- A dzwony srebrne Ledarg ma?

- Nie.

- No...

- Ale znak ma.

- Słuchaj no...

- Czekał wpadł w słowo Nielub zjeździłeś całe księstwo. Cóżes widział? Wiele dębów, a wiele znaków Kyryi Krysti. Co z tego, że w Gniezdnie, w Poznaniu, Lednicy a Krakowie stoją cyrkwie? A wszędy stoi puszcza. Święta puszcza. Wszędy szumią drzewa. Nie tak? Mówisz, że bóg Kyryi Krysti mocny. Może i nie całkiem mgły. Choć myślę, że bez siły Mieszkowej niewiele by mógł. Co by zrobił? Ej, bracie! Wždy nie starczy sił ni Mieszce, ni komu, wszędy znak Kyryi Krysti zasadzić. Na tyli kraj!

- Tegdy ci powiem. Mieszkę w boju ugodziła strzała, ścierwy Prusy pomazali ją jadem. Mocny był jad. Ramię drętwe, napuchło,gniło. Gnój ciekł a ciekł, śmierdział Mieszka. Chodzić już nie mógł. Dobrawa nuże prosić księdza a namawiać: "Poślij, ksze, dary do Augsburga".

- Do Augsburga?

- Jest taki walny gród u Niemców. Wiele tam stoi cyrkwi, całkiem z kamieni pobudowanych, bajał mi o nich małowiele Bolesław, jenż widział one cudacudeńka. W onym Augsburgu w wielgachnej cyrkwi siedział Udalryk, możny woj Kyryi Krysti, iże wielkie ofiary tam ma. Temu Udalrykowi posłał Mieszka ramię sztucznie wyrzeżane w srebrze. I co powiesz? Gdzie Augsburg, gdzie Lednica, a wždy Udalryk pomógł Mieszce: zaraz mu ramię zarosło i bił się nie raz i nie dwa. Bacz tegdy: skoro woj ma tyle mocy, ile ma jej sam ksiądz Kyryi Krysti?

- Dziw, dziw - powtórzył zadumany Nielub. Latorosłka mrugała oczyma, płakać się jej chciało: takie cudne baje prawil Stojgniew.

- Ile to już krajów Bóg Kyryi Krysti podbił. I Czechów, i Węgrów, i Niemców. A bają, są inne kraje nie mniejsze, tam gdzie najstarszy biskup mieszka, ten gród zwą Roma. A toż Carogród, największy gród. Już i do Rusi Kyryi Krysti dociera, żebyś wiedział. Nie ma dziesięciu lat, by jakiego kraju nie podbił. Już i u Dunów był.

- U Dunów?

- Tak, iż kraj jest normański, woje z nich przedni. Ksiądz ich, Harald Sinozęby, wprowadził Boga Kyryi Krysti do swego władztwa. Wielkie tam cyrkwie wystawił. Prawda, za jego syna Swenda Duny Kyryi Krysti wygnali.

- Wždy wygnali! - wykrzyknął Nielub.

- Wygnali, a onże Harald uciekł do jomsborczyków; tam ci i pomarł. Ale Kyryi Krysti pewno wróci. Okrutnie mocny Bóg.

- Nie wróci już. Raż wygnany nie wróci.

- Nie wiada, nie wiada. Abo to władzyki wygnani nie wracają. Bolko baje, że kraj, jenż Boga Kyryi Krysti nie uzna, zginie. Taka Jego siła.

- Bolko baje - zawołał Nielub - 'jego Kyryi Krysti popiera. O wa! wielka rzecz, co Bolko baje. Sameś molwił, że władzyki wygnani wracają. A nasz ociec nie taki sam, nie ksiądz, nie władzyka? Nie miał to władztwa? Abo wojów? Abo bogactw? Wielka rzecz, że go Mieszka pobił u Wiślicy. Zabrał mu ciebie. O wa! zostałem ja! Nielub! Mazepa! Ciapugroch! Czeka, obaczysz. Co myślisz?

Stał nad Stojgniewem, mięśnie mu pęczniały, sapał.

Stojgniew zwrócił się nagle do siostry:

- A ty, Latorosłko, jako dumasz?

- Dziewczyny pytasz! - zachnął się Nielub.

- Ano! Nie wiecujemy, gwarzymy. Śmielej, Latorosłko. Dziewczyna zerwała się, kraśna z zawstydenia. Chciała uciekać, w biegu chwycił ją brat za rękę. Stała czerwona, ze spuszczonej oczyma.

- Nuże! - zachęcał ją Stojgniew - jako dumasz?

- Dumam - wyjąkała - dumam, że krzywda oćcu od Mieszki.

- Krzywda! - wykrzyknął Nielub z pogardą - krzywda! Pobił oćca u Wiślicy. Dziewczyńskie bajanie. Wiadomo: kogo pobiją, ten jest skrzywdzony. La la!

Stojgniew puścił rękę siostry, założył ramię za głowę, przymknął oczy. Latorosłka się przestraszyła: taki był blady. Nielub swarzył się dalej:

- Krzywda, krzywda. Czyli wojowi, księdzu, władcy krzywdę zadać można? Jak smard smardowi mordę nabije, to krzywda. Księdza można pobić, nie skrzywdzić.

Stojgniew wstał, zaczął chodzić po sieni. Otworzyła w nim zapiekłą ranę ta prosta gadka dziewczyńska: księżę Mieszka krzywdę ojcu wyrządził. Stary ojciec, któremu psy jeno ostały i syn Nielub, i córka Latorosłka. Lelum, skądże ta mordęga? Onże to, Stojgniew, starosta Bolesławowej drużyny, pokrzywdził ojca i ród, i siebie? On był takimże sługą Mieszkowym jak Ledarg, pies Mieszkowy? Onże...

- Gniewek...

Zawołała go dawnym tonem, zapomnianym głosem dzieciństwa. Stał przed nią.

- Gniewek, co ci to?

- Nie pojmujesz?

- Pojmuję - wyszeptala - boli cię, żeś był z Mieszkowymi. Potarł dłonią czoło.

- Sam nie pojmuję. Boli... - odparł ze zdziwieniem.

- Zbabił w owej drużynie ze szczętem - burknął Nielub - o boleści przed dziewczyną gada. Tfu!

- Zbabił? - powtórzył Stojgniew w głębokim zdumieniu - nikt mi dotąd nie mówił. Ale mozem i zbabił.

- Nie! - zakrzyknęła Latorosłka z dziką energią - nie! Nie zbabił. Patrz na niego: woj jak się patrzy. Toś ty zbabił, Nielub, ty ciągiem kwilisz a narzekasz.

Nielub wolno podszedł do dziewczki. Ręce mu drżały.

- Słysz... - zaczął. Stojgniew ujął go za ramię.

- Niechaj jej... - rzekł.

- Idźże - burknął młodszy. Latorosłka stała nieruchomo, patrząc kolejno na braci. Nielub kręcił się po izbie. Dziewczyna dotknęła palcem kubraka Stojgniewa, wyjąkała:

- To, coś bajął o Kyryi Krysti... - urwała nagle zapłoniona. Brat patrzył na nią wyczekująco. Ale Latorosłka przysłoniła twarz ramieniem, pierzchnęła z głośnym tupotem bpsy.ch nóg. Nielub spojrział za nią niechętnie.

- Wietrznica.

- Z rodowej gromady - surowo zauważył Stojgniew.

- Dziewka. Zaraz przyjdą po nią dziewosłęby. Rodowa gromada: to ociec i ja. A ty, bracie...?

Spojrzał na starszego.

- Odmieniec - mruknął Stojgniew do siebie. Lecz jednocześnie poczuł swą ścisłą łączność z rodowym pniem, ze wspólną krwią, więzy bliższe wielekroć niż drużynne, wojackie, przyjacielskie z Bolesławem. Odczuł palącą gorycz upadku, gorycz i wstyd, i gniew, i pragnienie zemsty. W tejże chwili ujrzał Ledarga, jak w upale południa szedł ku nim oganiając się psom.

Psy zaparły Ledarga w kąt, Nielub patrzył, na ustach miał zły uśmiech. Stojgniew spojrzał na brata, poruszył się, znów zamarł. Nielub burknął:

- Psy zostały. Nie przeszedł ni jeden - zaczął się śmiać bezgłośnie, Stojgniewem wstrząsnął ten śmiech.

Ledarg był przysadzisty, miał krótkie nogi, wielki łeb, oczy wypukłe, bystre. Przekradał się u ostrokołu, psy dopadały, odwracał się, straszył, schylał się do ziemi, opędzał się toporkiem. Gdy był blisko, ruszył się Nielub; wyszedł wolno, przysłonił ręką oczy, Ledarg ujrzał go, krzyknął:

- Odpędźcie psy.

- To... wy? - przeciągnął Nielub. - Wen! - warknął, psy odskoczyły na parę kroków, ujadaly. Ledarg poszedł na wprost, widać - wściekły był. Charknął:

- Tak to gościa... Orczyki, psiamać! Psami! - Wargi mu się trzęsły od złości.

- Toście gość, aaa? Wejdźcie, aaa! Bywajcie w zdrowiu.

- W zdrowiu - odburknął Ledarg, wszedł. Chwilę nie widział w mroku. Sapał.

Bracia milczeli.

- Gościa! - wykrzyknął naraz Ledarg i zamilkł. Nielub zakrzętał się.

- Zaraz... spocznicie... piwa przyniosę.

- Dajcie psom wasze picie. Psom! - wciąż go ponosił gniew.

- Ano.

- Psom, mołwię. Abo sobie ostawcie. Dzisiaj gody u Orczyków.

- Gody?

- Gość przyjechał.

- Nie gość. Swojak.

- Swojak?

- Brat przyjechał sucho odburknął Nielub. Ledarg ochłonał od razu.

- Stojgniew! - wykrzyknął radośnie, nagle nastroszył się. - Na długo?

- A wam co?

- Ii - odparł Ledarg i roześmiał się. Nikt mu nie odpowiedział. Śmiech toczył się po sieni, samotny i martwy. Ledarg urwał. Podeszedł do Stojgniewa, poklepał go po łopatkach.

- Cię...! Żeście nie zapomnieli o swoich. Od Bolka?

- Od Bolka.

- Jak mu tam? Żywie? Zdrówli?

- Jako jeleń.

- Walny woj Bolko. Co z nim? Co u Mieszki? Zali jest jaka nowa rubież? Tu pusto, pusty ką. Ckni się. U brodu trawa nie zdeptana. Trzebaż było Mieszce gród tutki stawiać? Co pilnować tu? Kogo?

- Wie Mieszka, kogo pilnować. Stojgniew sam się dziwił swemu zapalczywemu okrzykowi. Ale słowa mu się z ust rwały. Ledarg patrzył nań z otwartą gębą, mrugał oczyma.

- To wy... ejże! Odmienili was tutki abo jak? U Bolkaście inaczej kwilili.

- Odmienili - coś wezbrało Stojgniewowi, rwało się, wylewało wbrew woli - odmienili, psiamać! Otrokiem Mieszka mnie wziął, zapomniałem swoich, alem wrócił.

Ledarg patrzył nań bystro, kręcił głową.

- A no, widziałem was, jakeście przyjechali. Nie poznałem, daleko. Przyszedłem, taką dumkę dumam: przyjechał gość do Orczyków, pogwarzym przy piwie. Ale tak... - odwrócił się do Nieluba - odwiedźcie mię do wrót, psy rozerwą.

- Nie rozdarły, jakeście weszli, nie rozedrą przy wyjściu. Aleć odwiodę, odwiodę. - Wyszli.

Przy bramie Ledarg bystro spojrzął na Nieluba, spytał:

- A Wojbor...? Doma?

- Śpi - odparł tamten niechętnie.

- Śpi ? - zdziwił się Ledarg - piękny czas, a stary Wojbor śpi? Ano! A kądą to trzej jeźdźcy pognali od was z rana?

- Konie trza objechać, zastały się. Nielub trzymał rękę na zaworze.

- Aa, pewno, pewno. Koń nie lubi długo po pasiekach tupać. Pewno. Prawy woj dba o konia. Jenó mi

dziwno, że konie były ciężko otroczone. No, pewno taki zwyczaj u Orczyków: konie w trokach objeżdżać. Bywajcie w zdrowiu.

- Bywajcie - chrząknął Nielub i zawarł wrota. Gdy wrócił, ostro napadł na brata.

- Niewieleś umu nabył w świecie.

- A bo co?

- Niewiele. Milczeć nie umiesz. Czy u Mieszki woje gadają, co ślina na jęzor przyniesie?

- Nie byłem ci u Mieszki-odparł popędliwie Stojgniew- byłem w Bolkowej drużynie. Tam mieli my inny urn: kto ci wróg, ty go siekierą. Walna mądrość.

- Niewielka to mądrość - odparł urągliwie Nielub a wiesz, co by było? Mieszka by przyszedł mścić, ni popiołu nie ostałoby z Orczy. A nam trza strzec Orczy by oka, by ręki. Cóż my bez grodu? Smardy. Jest większa mądrość, znam ci ją od oćca: milczeć do czasu i czekać. Czekamy. A przyjdzie czas: zakraszą się topory od juchy, nie bój się.

- Ej, wy! Ty i... - Stojgniew zatknął się przed tym, co rwało mu się z ust. Bracia popatrzyli sobie w oczy. W milczeniu. Poczuli, że rośnie coś między nimi - wrogiego - wielkie by dąb.

3.

Oda lubiła Hugona, ufała mu. Ale w drużynie go nie lubiano. Na hałaśliwych ucztach, na wieczornych pogwarkach bywał rzadko, obracał się między swymi. Powszechnie go nazywano Niemcem. Młodszy Odrzykoń - z tych Odrzykoniów, którzy siedzieli. podle Głogowa, służyli wiernie Mieszce - wielkim był wrogiem Hugona. Puchała prawił, że poczubili się o dziewczkę. Po pijanemu wiele się o Hugonie mówiło. Zazdrościli mu poniektórzy - woj był zawołany i ważny, wielkie miał znaczenie na dworze Mieszkowym - choć był podłego pochodzenia, urodzony z nałożnicy, branki niemieckiej. Ruda była, po niej odziedziczył Hugo czerwony łeb i wąsy. Wśród obieżyświatów Mieszkowej drużyny Hugo najwięcej zjeździł, najwięcej widział. Przed laty wysłał go Mieszka ze stu wojami na pomoc Ottonowi Drugiemu; tamci wrócili, Hugo nie. Bił się z Bawarami, potem wyprawiał się do Italii, odbyć pąć do świętego Idziego. Służył księżętom libickim, był na Węgrzech, w końcu bronił dziedzictwa Tugumira przeciw Obotrytom. Jeszcze przed śmiercią Przybysława przeszedł do ojca Ody, z Odą wrócił do Mieszki.

Ale bajął rzadko. Wyniosły był, obcy, podrużył się jeno z Puchała Starogniewem. z Ledargiem, z Hodonem i Ludolfem, Niemcami. Jego wróg, Odrzykoń, szeptał cicho, że był tajnie wciągnięty do jomsborczyków, że do bractwa należał. Cichł krąg wąsaczy, poruszony nowiną. Odrzykoń przyginał się nad stołem, oglądał się, czy nie ma obcych, czy nie ma Odowych. Był ostrożny; każdy musiał być ostrożny w tym gnieździe intryg, podstępów i wpływów; judzili tu, przeciągali na swoją stronę, i Oda, i Bolko, i biskup, i Czciwor, i wielmoże, i sam Mieszka. Odrzykoń pochylał wielką niby księżyc łysinę, gładził płowe wąsy, opowiadał półgłosem o potędze Jomsborga, który wszędzie ma swoich i wie, co w każdej ziemi się dzieje.

- Po co jomsborczykom szpiegierze, kiedy mają u nas drużynę - ozwał się Zbygniew.

- Proste woje, nie wyrozumieją wiele. Tyle im wiedzieć, ile bić. A jomsborczykom ważne jest znać zamysły księdzów a wojewodów, przymierza i wróżę. Jak by inaczej złapali Swenda duńskiego? Ej, poznacie ich jeszcze.

- To i rozwalim wraże gniazdo.

- Kupa chrustu.

- A ówże Hugo?

- Hugo niemiecki pies jest i tyle. Bają, że gdy w Braniborzu był, pokumał się z Jomsborgiem. Na wierność bractwu się kłął. Baczcie nań, nie przepomnijcie.

Zadumani ciągnęli piwsko.

Gdy Mieszka zasłabł, wysłała Oda Hugona w długi objazd po księstwie.

Ledarg szedł głęboko zamyślony - coś działo się u Orczyków. Przystawał, marszczył czoło, rozglądał się bezmyślnie. Śmieciuszka furknęła mu spod nóg, pokręciła czubatym łebkiem, spojrziała na rozkraczonego woja. Splunął - tfu! zła wróżba. Ruszył szybkim krokiem, raz jeszcze rozważał

wszystko od nowa. Tfu! U wrót wpadł nań Turoń.

- Woj przyjechał k'wam z Poznania. Aż mu dech zaparło.

- Wiedziałem, że coś się dzieje. A wy, głuptaki... tfu! - Turoń stał przed nim, milkliwy i gotowy. - Kto przyjechał?

- Tenci, jak mu? Ponoć Hugo - odburknął niechętnie Turoń.

- Hugo! - ucieszył się Ledarg - dyrdam, dyrdam. To ci... Hugo? - Turoń dreptał za nim, zataczając się na boki. Nos miał czerwony, oczy by dwie szpary, ruszał się żwawo.

- Piwa! - wrzeszczał Ledarg biegnąc przez sień; Kawka zadudniła, drzwi trzasnęły, Turoń sam dźwignął cebrzyk z czarnym piciem, po wierzchu pływały brudnożółte płatki piany. Hugo siedział przy stole, nogi rozkraczył, łokcie wsparł na kolanach, wyciągnął łeb do Ledarga, obaj szeptali. Turoń długo gmerał się w kącie z cebrzykiem, nastawiał uszu.

- Co u was? - pytał gość. Ledarg pokręcił się na zydlu, skrzywił się, Hugo nie spuszczał zeń kłujących oczu.

- U nas? - wysupłał Ledarg - a no! Orczyków pilnujem. - Hugonowi coś niby krzywy śmiech przewinęło się pod rudymi wąsami.

- A ony? Orczyki? - Ledarg ożywił się:

- Warzy się u nich by w garnku. Słuchaj! Po co my ich pilnujem, nie mógł ksiądz łbów im ściąć, a tu stróża, gród - (znów niby krzywy prześmiej pod Hugonowymi wąsami) - teraz Stojgniew powrócił. - Hugo aż dłońmi plasnął po kolanach, łeb jeszcze bardziej wyciągnął, spytał prędko:

- Wrócił? I co gada? - Ledarg skrzywił się.

- Wyrzeka na mnie.

- Wyrzeka? - wykrzyknął Hugo. - Wyrzeka, mówisz? To dobrze, to on nasz. - Ledarg spojrział na gościa, w oczach mu łopotało zdumienie i gniew, Turoń przysiadł w kącie przy cebrzyku, słuchał, Hugo obrócił ku niemu leniwe oczy. Spytał:

- Coś długo u ciebie piwo stawiają...

Ledarg drgnął, przekręcił się do Turonia, zaryczał:

- Nieguła! Co się barłożysz! Wen! Turoń podniósł się z wolna, godnie, nie śpiesząc wyczłapał z izby. Ledarg znów zwrócił się do gościa frasobliwy: dzień był pełen płataniny, zagmatwany i niepewny, iście - musiał z rana lewą nogą próg przestąpić, ani się obejrzał.

- Jakże to?

- Wnet powiem. Co jeszcze u Orczyków?

Ledarg był pełen tajemnych nowin. Coś się dzieje, nie można wyrozumieć. Stojgniew był gniewny na Ledarga i jakby na Mieszkę, Nielub nie dał mu gadać. Rano trzech jezdnych rozesłali w różne strony. I stary gdzieś się zapodział - Ledarg urwał nagle opowieść, zamrugał oczyma, spojrzał zdumiony na Hugona.

- Stary Wojbor! - wykrzyknął.

- Dajże wreszcie tego piwa. Gorąco - fuknął Hugo. Ledarg porwał się, nalał, przepił do gościa.

- I co? - zawołał, nie czekał odpowiedzi, sam zaczął sypać o Orczykach. Hugo pił, nalewał, pił, przymykał oczy. Położył płasko dłoń na stole, po stole gęsto łąziły muchy, co chwila bił je otwartą dłonią. Jakby nie słuchał nawalnego gadania Ledarga. Naraz otworzył szerzej kocie oczy, powiedział krótko:

- Mieszka pomarł.

Ledarg zmilkł, wstał, siadł.

- ...?

- Mieszka pomarł - powtórzył wolno Hugo.

- Pomarł?... Mieszka!

- Jakem wyjeżdżał, ledwo zipał. Zimnica ji trzęsła, mołwie ci, zębami trzaskał, chociaż okryli ji skórą, palili ogień. Biskup bajał: "Do trzech dni nie dociągnie". Nynie już ostygł.

- O lelum! Mieszka pomarł.

Spadła cisza na izbę. Ledarg siedział w milczeniu, nie spuszczał wzroku z Hugona. Tamten raz po raz uderzał na płask dłoń o stół, ale nie baczył już, czy trafił muchę. Turoń spod drzwi zatupotał, poniósł po grodzie wiadomość o śmierci księdza Mieszki.

- Nalej no piwa - obudził się Hugo. Ledarg nalał, przepił, wybuchnął:

- Bolka trza się ucześcić.

- Bolko gid - Hugo nachmurzył się, głos mu stwardniał. Ledarg oczy wybałuszył.

- Jakże to?

- Gid, mołwie, kuropłoch.

- Prawy woj - Ledarg rozpalił się, wołał głośno, rękoma wymachiwał. - Prawy woj. Widziałem, jak oszczepem macha. Gadki to, prawy woj!

- Nikt za Bolkiem nie pójdzie, a pójdzie kto, głowę da.

- ...? - Ledarg ucichł, oczy mu wyłaziły z podniecenia, zdumienia.

- Abo to mus nam Bolka uznać? Abo to nie ma Mieszki, Świętopelka, Lestka?

Ledarg zgarnął dłonią rozlane piwo, strzepnął na ziem.

- Otroczki to...

- Jest mać. Oda.

- Białka! - wykrzyknął Ledarg. - Obca! Nie powiedzie wojów do bitki. Wiatr jej kieckę poderwie, czysty śmiech.

- Wojewodę wyznaczym.

Ledarg nastroszył się. Spytał ostrożnie:

- Ty z Odą trzymasz?

- Z Odą.

- A ja... - porwał się z zydła, znowu pięściami machał, tupał, krzyczał - ja z Bolkiem! Prawy woj, prawy księżyc.

- Konie Bolkowe czyścić będziesz.

- Iii...

Hugonowi krzywy prześmiejch przewinał się pod rudymi węsami.

- Słysz! Jest dobry woj, Włodzimir. Rodowy. Idzie do przełazu, a tu nadjeżdża młokosys z Bolkowej drużyny. Wrzeszczy: "Ej, ty, klacz w nawozie zad wywalą, oczyść, ty taki siaki!" Włodzimir machnął w kark żabibija. Ten ci z klaczy, szczepili się. Mocny chłop Włodzimir, przycisnął otroka, dał mu w zad raz, dał drugi raz. Nadleciał Bolko, pysk rozwarł. "Wen! pry - wen od moich wojów. Skończyło się wasze, nynie moi woje w lik idą". Mołwi Włodzimir: "Zad z gnoju czyścić mi kazał, dobremu wojowi księdza Mieszki". Roześmiał się Bolko i pry "Bacz! Już wy podogonia nam czyścić będziecie, ty nynie smard, nie woj". Podogonia, Ledarg, słyszysz? Podogonia! - wiercił zielonymi ślepiami, słowa padały zimno, z rozmysłem.

Ledarg mrugał oczyma.

- To jakże będzie?

- A no! Z Odą pójdziem.

- Ejże! Walny był ksiądz, Mieszka - rozzalił się Ledarg - ejże! dobra pora była. Bitki po gardło, łupów nie żałował. Kiedy my szli w rubież, umiał mieczem ciąć, a toporem rąbać, sulicą kłuć. Oda, Oda! Tfu! W grodach żarcia było, wiedziałeś, 'że jakieś woj, toś i pan. Ejże, mocny ksiądz był Mieszka, walny ksiądz, nie ciapugroch.

Skrzywił się, splunął, poczuł się opuszczony, niepewny drogi ni celu. Oda! Ech, to już nie to, nie to. Oho, Mieszka!...

- Może się ugodzą?

- Nie ugodzą.

- Czemu tak? - Ledarg nie chciał ustąpić.

- A jak gdzie indziej bywało? Czy Jaropełk ruski ugodził się z braćmi? Dwóch uśmiercił, aż mu Włodko łeb siekierą rozszczepił; teraz go Słoneczkiem zwą. Zawždy tak bywa.

- A u nas?

Nienawiść zapaliła się w zimnych oczach Hugona.

- Trza nam siłę wielką mieć, Bolesława pobić. Potem mu oczy wyłupić i do mnichów odesłać.

- On nasze prędzej wyłupi.

- Nie damy się. Siła przy nas będzie. Po tom przyjechał; i nie tylko tu. Mieszka kraj podzielił, biskupowi przykazał wolę swoją ogłosić na wielkim wiecu. Potem zacznie się rzeźba, nie pierwej. Bolesława nie było w Poznaniu, gdym wyjeżdżał.

- Gdzież był?

- Chąsa na Mazowsze wpadła, poszedł ich bić. Tak mi Wszebor bajął.

- A Wszebor?

- Razem ze mną wyjechał Bolka swego odszukać. Ten ci się troska, widzi, co się dzieje. Ano, spróbujem się.

- Mówisz, siła będzie przy Odzie? - Ledarg pytał bezmyślnie, nie słuchał odpowiedzi.

- Lik prosty. Małoż to niezadowolonych, mało krzywych, takich, co ino śmierci Mieszkowej czekali. Dawne władzyki, starostowie opolni, księżdy i wielmoże, tacy, których Mieszka w dyby wziął abo jeszcze Ziemomysł; których od wieców przegnali, co żupanami drzewiej byli, co synów w jeństwo słali. Małoż to takich? Zbierze się narodu by ptactwa na wiosnę.

Ledarg milczał.

- Ejże, Ledarg!

- A drużyna? - obudził się Ledarg.

- Mieszka bał się o głowy synów Ody. Kazał kląć się wojom, że woli jego przypilnują. Na Jezusa Chrystusa się klęli i na ziemię, której każdy dłonią dotknął. Kto nie dotrzyma klątwy? Bolesław młody, jenż myśli o pełnym dziedzictwie i pełnym władaniu. On pierwej pokój zerwie, białce nijako. Za Odą stanie drużyna, pomna niedawnej klątwy.

Ledarg już całkiem nie słuchał, coś się w nim przewalało, oczy mu uciekły, Hugo gadał niby przed niemym.

- Prawda, nie wszyscy. Stary Wszebor drugów ma, tych do Bolka przeciągnie. Odrzykonie takóž, na złość mnie. Och, Odrzykonie... Odrzykonie...

Zgrzytnął zębami. - Pachołami ostaną, w niewolniki pójdą, kJemem moim na czoJe i piersiach ich oznaczą. Obaczą, kto zacz Hugo bezimienny, bękart, Niemiec... Obaczą!

Zapadła cisza. Muchy zebrały się przy rozlanym piwie, setką ryjków wsparły się o stół, smoktały. Hugo nie zważał na czarne skupiska tuż u swej dłoni.

- Z Bolkiem? - zamyślił się, nie oglądał się na Ledarga - z Bolkiem? Sysuny ostaną, drugi Wszeborowe, wojów garść. Biskup...

- Biskup? - powtórzyły Ledargowe usta, nie myśl, nie uwaga.

- Ozeźlił się na Mieszkę, że ziemie Ody oddał w opiekę papieżowi, w Gniezdnie chciał osadzić nowego biskupa dla Ody i synów: Ungerowi to nie w smak. Przemówili się z księdzem. Mieszka, wiesz, nie ustąpi, kiej mu co w głowę wlezie. Unger wściekł się, zatrzasnął wrota cyrkwi, siadł na koń, odjechał. Gonił go Mieszka, nie zgonił. Unger siedział w Magdeburgu, latoś powrócił. Ale mu złość nie przeszła. Dlatego trzyma się z Bolkiem.

Ledarg podparł czoło rękoma, łokcie rozwalił na stole. Dzień cały był zagmatwany - od rana. Na pewno lewą nogą próg przekroczył. Hugo sypał nazwami, ludźmi, Hugo prowadził grę. Znał tę grę, trzydzieści lat życia zeszło mu na niej. Teraz przy Odzie, przy jej synach może wreszcie dojdzie do czegoś. Będą się z nim liczyli, będą się go bali. Wymaże - jakże nienawistne! - miano bękart. Odemści się. Na obu Odrzykoniach, na biskupie, na Bolku. W zielonkawych oczach latały mu złe błyski. Ledarg spoglądał nań otumaniony, odurniały. Nie zwykł tyle myśleć, nie był dotąd w grze o życie i śmierć. Tyle co z Orczykami... ale co tam Orczyki - małe turkawki w tym wirze, który się już rozpętał nad truchłem Mieszki. Dotąd Mieszka myślał za Ledarga, Ledarg bił się, bił się wokół całego księstwa- z Niemcami, z Pomorzem, z Normanami, z Prusactwem, z Jaćwieżą, Rusią, Pieczyngami, Węgrami, Czechami, z Weletami, z możnymi rodami wewnątrz kraju, z każdym, na kogo go Mieszka wiódł. Walny był woj Ledarg. Nynie Mieszka leży zimny, wokół woje, władyki, wielmoże swoi i obcy, Bolkowe sysuny i jomsborczyki, biskupowe pachołki, tarczownicy, pancerni, topory i miecze, bezład, mgła, a przez tę ciżbę ma się on, Ledarg, przerażbywać dokąd? Dlaczego? Dla Ody i jej synów? Dla Hugona? Kto go powiedzie?

Hugo nie zważał już na drugą, dumął głośno, sprawy raz jeszcze rozważał i sprawdzał.

- Bolko waż. Z cesarzem się sprzął. Aleć Teofano pomarła jeszcze łośkiego roku, Otto otrok nieletni. Teraz rządzi tam babka, Adelajda. Ta pokumała się z Henrykiem bawarskim, ci w nieprzyjaźni żyją z Sasami. Toż Bolko czeski. Będzie tam bitka teraz gorsza niżli u nas. Nic Otto nie pomoże Bolesławowi, bo o własnej mu głowie myśleć. Toż Ekkehard, brat Guncelina, margraf Miśni, a drug Bolesława.

- Czemu tak? - spytał Ledarg, chociaż już nic nie pojmował w tym kłębowskiu.

- Czemu? Bo jest w wojnie i z Bernardem Walbkiem, i z Lotarem, bratem Ody, Ci także w wojnie z sobą. Z Niemiec nikt nie da pomocy, bo tam... by w garnku. Jeszcze u nas będą skamlać o pomoc, jedni i drudzy. Obaczysz.

Ledarg nie spuszczał wzroku z Hugona.

- Czciwor, brat Mieszki, także stanie przeciw Bolkowi. Pomorze dla siebie chce zatrzymać. A jeszcze w lik wchodzi drużyna jomsborska, jaż Mieszka osadził w Poznaniu. Trzy sta ludzi. Tych przekupim, a wówczas...

Podniósł rudy łeb, w bzycającym zaduchu izby rozległ się jego nagły śmiech, samotny i groźny. Uderzył rękoma po kolanach, wykrzyknął:

- Siła przy nas! Ledarg nie drgnął.

- Ledarg, słyszysz ty? Siła przy nas!

Ledarg zamrugął oczyma, nie rzekł słowa. Hugo przegiał się przez stół, oparł na ramionach Ledarga ciężkie dłonie.

- Słyszysz ty mnie? Odpowiedział mu obojętny głos: T

- Słyszeć. Siła przy was.

- A ty?

- Ja?

- Z nami pójdiesz?

Ledarg poderwał się, zrzucił z siebie dłonie Hugona; odtrącony stołek poleciał z suchym trzaskiem.

- Z wami? Niii! Tfu! Oda białka... Nie będę białce służyć. Ja z Bolkiem.

Odetchnął.

- Z Bolkiem - powtórzył.

- Ledarg! Łeb ci odrąbiem.

- O wa!

Twarz Hugona skurczyła się złością. Wiercił druga oczyma.

- Czyli my wrogi?

Ledarg nachmurzył się, przygryzł wąż, nie odpowiedział.

- Żupanem ostaniesz.

- Iii... Z Bolkiem pójdę.

Hugo poczerwieniał ze złości. Milczał. Znow zaczął bić muchy.

- Słysz, Ledarg! - zaczął wolno, klapnął dłonią po stole - ty woj Mieszki. Mieszki masz słuchać - klap o stół - nie dumaj, nic nie wydumasz. Słuchaj no! - klap. - Mieszka ten gród... ze stróża... z tobą... - mówił wolno, z przyciskiem, rwał słowa - Odzie dał. Odzie i jej synom. By na głowy ich nie spadł Bolkowy topór. Mieszki wola, twego księdza i wojewody - zwinął dłoń w pięść, trzasnął o stół.

Ledarg stał pochylony, oczy w Hugona wlepił.

- Odzie? - półjęk, półcharkot wydobył mu się z gardła. Hugo kiwnął głową.

- Odzie! - powtórzył Ledarg cicho. Bładł, na twarz mu wystąpił pot, wytarł garścią czoło.

Hugo bił muchy na stole.

Ledarg nalał szybko piwa, wychylił duszkiem. Wstrząsnął się jak pies.

Hugo spytał zimnym, dalekim głosem:

- Jakże, Ledarg? Odpowiedział:

- Ano! Odetchnął.

- Ano! - powtórzył mocniej - Mieszka oddał ten gród, prawisz? I mnie? Ano! - znow odetchnął głęboko - to i będziem bić Bolesława, gdy miecz podniesie na Odę.

Hugo zaśmiał się w głos, z jawną ulgą.

- Dobry woj z ciebie. Wierny. Ledarg ruszył ramionami.

- Mieszce kłąłem się. Na ziemię. Na przodków - zwiesił ciężko łeb.

- A jako myślisz z Orczykami?

- Z Orczykami? powtórzył Ledarg. Zapomniał już, po co tu siedzi.

- Stojgniew wrócił, pewno wiedzą już, że Mieszka pomarł. Prawieś, że tu tajna robota idzie. Oni gotują się wcześniej niżli ty.

Ledarg porwał się. Nagły blask radości zaświecił mu w oczach.

- To wyskoczę wraz na nich z wojami i rzeźbę zrobię - śpieszył się.

- Cichaj, jeszcze nie pora, trza wiedzieć. Myślę, że i oni przejdą do Ody.

Ledarg zaciął wargi, zmarszczył czoło. Ty...

- Ja - przerwał mu gwałtownie Hugo - ja tu przyjechałem od Ody. Ty milcz. Słuchaj. Trza się ujednać z Orczykami.

- Nijako mi jednać się z nimi. Lepiej wyciąć.

- Nie wiadomo, czy lepiej. Ty milcz. Każdy topór a miecz zda się Odzie. Wezwij starego Orczyka, niech wyrozumiem, co myśli.

Ledarg z wolna podniósł przewrócony zydel, siadł, zgarbił się.

- Wezwę - wykrztusił - chocia mi nijako, nijako...

W tymże czasie Stojgniew z Nielubem stali przed wrotami grodziszcza. Nielub mówił:

- A wtedy podłożę stos pod wieżę i spalę gród z Ledargiem. Tu jeden gród jeno może brodu pilnować: Orczyca.

Stojgniew nie odrywał oczu od jasnej, nie poczerniałej jeszcze palisady.

4.

Nielub wzruszał gniewnie ramionami, gdy ktoś przy nim wspomniał o bracie. Woj, co się wciąż trzyma babskiej kiecki. Nielub mówił do ojca:

- Z ciotą przestaje i z Latorosłką. Tłucze się po lasach z sulicą, a nic nie ubije. Taki to wdj.

Ojciec kiwał głową, ostro patrzył na syna. Nielub mieszał się pod tym spojrzeniem.

- Mógłby nam bająć o drużynie Mieszkowej i bojach - mrucał.

- Nie trza ci bajań ni gadek. Pójdź, konia mi otocz.

Nielub odchodził z zapiekającym się poczuciem krzywdy i poniżenia.

- Kuropłoszek - mrucał idąc ku stajniom - babi towarzysz... Kieckarz...

Stojgniew istotnie przestawał z białkami. Wyciągnięty na ławie w komorze, słuchał cioty, ojcowej siostry, wiele starszej od ojca, której bielmo wzrok zasnuło. Niewidzącymi oczyma wpatrywała się w przeszłość, mówiła do ukochanego bratańca, pieszczonemu w dzieciństwie, wyglądanemu przez lata:

- Jako Świradowa żona w jego domu żyłam. Ale napędził mię, wielka o to wojna była Świrada z Wojborem. Potem wróżda krwawa między obu rodami, dwóch twoich braci Świradowi ubili. Ale w końcu ich Wojbor zmógł. Nie dawali się, chociaż mało ich było. Dopiero gdy Mieszka wziął ciebie i Przemka Świradowica, mniej już się bili. Ale święta wróżda nie ustała.

Stojgniew zapytał z ławy, głos mu się łamał:

- Wróżda, ciota?

Słuchał z łokciem opartym o ławę, głowę złożył na dłoni, starucha mówiła zwiędłymi ustami:

- Wielga wróżda. Swirad walny woj był, tur go stratował kopytami. Walny był i wdaly. I jamć była młoda i wdala - zapatrzyła się martwymi źrenicami nad ogień - teraz mnie się strachacie i tyś się strachał. A drzewiej... Od ognia przy płasach mnie porwał i uniósł. Swirad gorący był. Aleć kiedy mu trzy córki zrodziłam, nagnał mię. Syna chciał.

- O wróżdzie powiadajcie, ciota.

- O wróżdzie? Niechajże o wróżdzie. Spotkali się Wojborowi ze Świradowymi przy Wielgim Kamieniu, zaraz do toporów. Przegnali Swiradowych, ale twego brata tam ubili.

- Brata?

- Takoż Stojgniewa. Z pierwszej żony. Twoja mać jeszcze w on czas chodzić zaczynała. Pierwsza żona Wojbora dorodna była. Dwóch synów mieli, obu Świradowi usiekli. Odtąd wróżda na śmierć

między obu rodami.

Stojgniew ręce założył pod głowę. Odkąd wrócił, waliła się nań wieść za wieścią, coraz gorsza. Wróżda, święta zemsta, która z pokolenia w pokolenie przechodzi i mści śmierć w rodzie. Dziady ją wiodą obok żywych, umarli nie zaznają spokoju, aż krew wrogów wytoczą. Inaczej straszyć będą, upiorów słać. Święta wróżda! A onże, Stojgniew, syn Wojbora, wnuk Stojgniewa, drużył się w Bolesławowej drużynie z Przemkiem Świradowicem.

Ten Przemko razem z nim był porwany przez Mieszkę. Drużyna nie zna waśni, przekreśla ród. Ale przecie wspólnoty nie przekreśli, w żyłach Przemka płynie krew morderców synów Wojbora. Jakże to? A on o tym nawet nie wiedział, bił się z Przemkiem ramię w ramię, z jednej misy jadł, z jednego rogu pił, jedne pieśni śpiewał. Jakże to?

Spoglądał niby spokojnie w pułap, z którego zwisały motki przędzy. Świerszcz świergolił w ścianie i Latorosłka śpiewała w sąsiedniej komorze. Stojgniew wsłuchiwał się w nikłe odgłosy domu, nie słyszał ich od dziecka. Psy naszczekiwały, ktoś rąbał twardo za ścianą; drzwi skrzypnęły, ciężkie kroki ojca załomotały w sieni; burkliwy głos Nieluba. Ojciec coś odrzekł, wołał na córkę. Śpiew się urwał, tupot bosych nóg, znów skrzypnęły wierzeje.

- Daj no piwa! - głos ojca zdał się Stojgniewowi żwawszy niżli pierwszego wieczora.

- Jakże tam? - pytał Nielub. Ojciec rozwodził się o swej bytności u Przybywojowego brata. Rum tam był wielki na wieść o śmierci Mieszki. Wraz konni polecieeli do Przybywoja. Nielub coś wtrącał, ojciec się rozpytywał. Naraz Wojbor zagadnął:

- A kajże Stojgniew?

- Pewno na ławie leży u cioty - mruknął Nielub. Stojgniew na te słowa porwał się z ławy. Zapiękł go.

Z opuszczonymi ramionami, z dłońmi wspartymi o krawędź, czekał, co powie ojciec. Z ciałem pochylonym do przodu wsłuchiwał się czujnie w głosy dochodzące go z sieni. Ale Wojbor mruknął tylko pod nosem:

- Ano... - i dalej wiódł swą opowieść o rodzie Przybywoja. Stojgniew wpił się garścią w twardą deskę, aż mu palce zdrętwiały. Rozpierało go pożądanie, by pójść do sieni, siąść podle rodzica, radzić wspólnie o wspólnym. Chciałby słuchać go ślepo, jak zwyczajnie się słuchać Bolka. Ale go nie przyzwano; był obcy, nie swój, odmieniec. Ciota mamrotała zwiędłymi ustami o Świradowych uściskach. Stojgniew jeszcze czekał na zew, bodaj na dalekie życzenie. Pogwarka między ojcem i synem biegła niefrasobliwie dalej. - Nielub... Nieprawda, on, Stojgniew, był nielubem... Żądza wtopienia się we wspólnotę rozpierała Stojgniewa.

Z wolna znów się położył na ławie. Ojciec nie wiedział nawet, jak bardzo jego syn starszy odszedł od rodu. Gdybyż znał przyjaźń synowską z Przemkiem; gdybyż znał zdradę świętej wróżdy rodowej. A przecie Stojgniew nie mógł w on czas stargać węzłów przyjaźni. Razem przerażali się przez cmentę wrogów. Jakże to? Oczy otworzył szerzej ze zdumienia. Jakże? Świrad zamordował dwu jego

braci, jego syn ratował Stojgniewowi życie. Wszakże żadne więzy nie mogą przerwać świętej zemsty. Wszystkie czyny Przemka niczym są dla dziadów, żądających krwi potomków Świrada. Węzły drużynne zdały się zmurszałe, że tylko strząsnąć dłonią, a opadną. Orczyca, Orczykowie. O łado!

Podniósł się ociężale, wzuł skórznie, ruszył wolno do sieni. Pożądanie, by się przy ogniu podle ojca i brata, wyrastało nad dumę. Swojak jest. Ale ojciec już się zbierał do łoża. Przeciągnął ramiona, ziewnął od ucha do ucha, począł odpinać pas, ściągać kubrak. Nielub przyjmował szaty, pomagał ojcu. Stojgniew stał z opuszczonymi ramionami, daleki i obcy, nieumiejętny w posłudze, przybysz z odległych stron. Ojciec się ułożył na ławie, naciągnął kozuch, mruknął do synów:

- Kładźcie się i wy. Późno. Nielub, zgarnij węgle. Stojgniew poruszył się, lecz brat go uprzedził. W izbie było parno, brakło oddechu. Bracia wyszli przed dom, by wspólnie lec w kleci na sianie. Szli obok siebie milcząc. Niechęć wzrastała między nimi, obcość rozgradzała ich niby ściana. A przecie Stojgniew pragnął tę ścianę przebić, przełamać, rozwalić. Mruknął:

- Nielub.

- A bo co?

Stali w zupełnym mroku, pod czarnymi kłębamii chmur. Stojgniew ledwo rozróżniał cień brata. Od tego cienia wiało niechęcią i złością. Stojgniew znów powiedział:

- Nielub.

- A bo co, pytam?

Przed Stojgniewem majaczyła się czarna mara obcości, odpychająca i wroga. Nie miał co rzec. Milczenie zaczęło im ciążyć. Powiedział:

- Chodźmy spać.

- Wždy idziemy. Co wydziwiasz?

Stojgniew stłumił w sobie odruch wściekłości. Legli obok siebie obcy i wrodzy. Sen nie przychodził do Stojgniewa. Nielub chrapał zakopany po uszy w sianie. Z dala pomrukiwał grzmot, dopiero co zebrane siano dusiło ciężką, mocną wonią. Nielub go nienawidzi. Czemuż to? A ojciec? Milczy, waży coś, spogląda, wąs szarpie, nie odzywa się słowem. Psy nawet obchodziły nieufnie przybysza, warcząc z cicha szczerzyły z dala kły. Przyjęły go tylko białki - stara ciota, stęskniona do własnych synów, których nie doczekała. I Latorosłka.

Zasnął późno i rozbudził się wcześniej. Nielub chrapał jeszcze, Stojgniew nie mógł uleżeć, siano dusiło go, wstał. Psy na dziedzińcu przyskoczyły doń warcząc, z wściekłością kopnął najbliższego, ruszył ku wrotom. Słońce ledwo wyglądało zza ściany puszczy po tamtej stronie rzeki. Mgły snuły się płaskimi warstwicami po nadrzeczu, oba grody sterczały nad mgłą niby nad jeziorem. Rosa osiadała gęsto, dzień zapowiadał się gorący. Ale na razie chłód ciągnął od rzeki, Stojgniew z lubością zanurzył weń głowę by w krynicę. Odjął zaworę, wyszedł poza ostrokół, gdy zawołał go

dz.iewczyński głos.

Latorosłka dopadła go zaraz za wrotami! Pierwszy raz był nierad z jej obecności. W uszach brzmiał mu wzgardliwy głos Nieluba: "Na ławie leży u cioty".

Czuł niechęć do Latorosłki. Niechęć ta ogarniała wszystkich - Nieluba, ojca, pachoty i smardów, nawet psy; sięgała daleko poza gród, skupiała się na zmarłym Mieszce, na drużynie, nawet na Bolesławie, dochodziła do granic wściekłości, gdy pomyślał o Ledargu.

Latorosłka szła milcząc obok brata. Raz wraz podnosiła nań oczy, niepewne i płochliwe. Coś chciała powiedzieć, o coś zapytać. Nie śmiała. Gdy dosięgli obszernej dąbrowy, Stojgniew przysiadł pod pnem, potem położył się, jakby pragnął napaść oczy splotem zielonych gałęzi. Latorosłka patrzyła nań w milczeniu. Wreszcie się odważyła:

- Powiedz, Gniewek, o Bogu Kyryi Krysti...

Zdumiał się, spojrział na nią przeciągle, pokraśniała z zawstydenia. Spytał:

- Czy to jest ona święta dąbrowa, o której bajała ciota i Nielub?

- Toć jest.

- A czemu ciekawaś Kyryi Krysti?

Nie wiedziała. Ciekawa była. Było w tym imieniu, w tym, co ów Bóg niósł, coś groźnego, obcego, a pociągającego. Straszny był, a ciekawa była o Nim słyszeć. Uczepiła się spojrzeniem ust Stojgniewa. Ale on rzekł zniechęcony:

- Co ci mam bajać...

W tejże chwili poczuł nienawiść do tego Boga, którego nauczono go czcić, któremu Niemce wielkie cyrkwie stawiali z kamienia, a dla którego Mieszka dęby ciął i dawnych bogów wyrzucał. Zaczął gwałtownie:

- Nielub prawie gada. Wszystko złe od Boga Kyryi Krysti idzie. Jenż wygnał stare bogi. Jenż ze starymi rodami wojuje. Trza ji wygnać, jako Dunowie wygnali. Nielub prawie gada. Ty o Kyryi Krysti nie dumaj, ty nie zważaj na durne gadki. Przeklęty Bóg Kyryi Krysti!...

- Co ty?...

Zacisnął pięści.

- Jenż na mnie nawięzy nałożył. Przynależność do rodu zabrał. Ręce osłabił. Niczym ja przez Boga Kyryi Krysti.

- Aaa... tak? - szepnęła Latorosłka. Siedziała ze spuszczonej oczyma, z głębokim zawodem w twarzy.

- A ja myślałam...

- Cóżeś myślała?

- Że Bóg Kyryi Krysti mocny, jenż zapanuje nad nami...

- Zapanuje?

Zamyślił się.

- Trza nie dać się... Nie mnie na ławie się wylegiwać, gadek słuchać. Woj jestem. Z Bolka drużyny.

- Wždyż on Boga Kyryi Krysti czci.

- To i rzucę ji, nie dam się. O wa! Zaraz mu wojnę wydam, zrąbię znak jego, wraży znak. Zaraz!...

- Gniewek!

Siedziała, splecione dłonie złożyła przy stopach, z głową pochyloną, zadumana głęboko. Żal ją uwierał, skryta tęsknota za nieznanym, co jeno z baśniami przenikało za częstokół Orczycy. Snadź Kyryi Krysti zły Bóg, skoro Go Stojgniew poznał i odszedł. Dla starych bogów. A no, snadź Nielub prawie gada.

Stojgniew tłukł się pomiędzy drzewami, wściekłość go dusiła: nie zwykł długo czekać. Nielub inna rzecz, durny otrok, niemrawiec. Ledarg tu siedzi od lat i nic mu. Och, niezguły!

Zawrócił ostro. Na skraju pod tymże dębem zoczy! siedzącą wciąż Latorosłkę. Krzyknął ku niej:

- Ubiję Ledarga!

- Lelum! Gniewek!...

Nie słuchał. Pobiegł ku grodowi. Ledarg mu wyrósł nad wszystko - nad Boga Kyryi Krysti, nad Mieszkę i Bolka, olbrzym wielgachny i potworny. Dopadł bram grodu, tu zatrzymała go stróża. Podał się za starszego w Bolkowej drużynie, przywołali starego Turonia. Ten się uśmiechnął zjadliwie.

- Dobrze - mruknął - chodźcie.

Stojgniew szedł oszołomiony, czerwone płaty latały mu przed oczyma, dyszał szybko. Turoń otworzył drzwi, powiedział:

- Przywiodłem Wojborowica.

Stojgniew stanął u progu, znieruchomiał. Ledarg podniósł się od stołu, zrobił krok ku gościowi. Lecz Stojgniew nań nie patrzył. Wlepił oczy za stół, gdzie siedzieli podle siebie w zgodzie braterskiej - Hugo Niemiec i ojciec Stojgniewów, stary Wojbor z Orczycy.

5.

Stojgniew zasiadł na ławie między Ledargiem a Hugonem. Wojbor nie sprzeciwił się, choć wzrok miał niespokojny, bacznie spoglądał na syna. Stojgniew miał koło siebie człowieka, którego nienawidził, słyszał jego oddech, ocierał się o jego ramię. Lecz wobec ojca, wobec Hugona Niemca Ledarg stracił swe kontury olbrzyma; na odwrót: stał się mały - drobny wykonawca poleceń Mieszkowych, niezdolny nic zdziałać samojeden. Wsparł wielki łeb na dłoni, dolną wargę wysunął, wodził oczyma od jednego gościa do drugiego.

Hugo coś prawił, Stojgniew nie był pewien, czy go rozumie. Coś o Odzie i Bolku, o Przybywoju a Ody lenie: ci mieli stanąć na czele. Znaczeni woje, mający powszechny mir. Wszebor już stary, bez wpływu, Ziemomysłowy woj jeszcze. Hugo wyciągnął się na ławie, mówił niedbale, jak o robocie spełnionej.

- Wczoraj gadałem z bratem Przybywojowym.

Hugo poruszył się żywiej.

- I co mówił?- obrócił swe zielonkawe oczy na Wojbora.

- Zwołuje wojów, w trzy dni rusza do Lednicy.

- Trza do Poznania, do Poznania, nie do Lednicy. Lednica pusta. Mieszka, skoro zachorzał, kazał się wieźć do Poznania, tam chciał zemrzeć.

- Wielki wiec będzie - mruknął Ledarg; otwartą dłonią tarł kark.

- Wiec, nie wiec - głos Hugona schłodniał - będzie... bitka! - strzelił ostatnim słowem. - Trza i nam z Przybywojowymi jechać. Weźmiesz, wiele będziesz mógł - zwrócił się do Ledarga.

- Wezmę - zaburczał Ledarg, wciąż zasępiiony i niespokojny : pierwszy raz przyszło mu poczynać na własną rękę. - Turoń na miejscu zostanie... z dziesięcioma. Byle Orczyki ruszyły także - niespokojnie wejrzał na Wojbora.

- Ruszą, me bój się - mruknął Hugo, głos miał znudzony, sięgnął po kubek z piwem, pociągał wolno.

- Ruszymy - potwierdził Wojbor - trza być na miej scu... w Poznaniu.

- Bitka będzie - mruknął zafrasowany Ledarg - z Bolesławem...

- A ty wokoło tylko i wokoło - głos Hugona zasyczał złością. - Abo to Bolko usiedzi spokojnie, abo to nie pójdzie przeciw woli Mieszkowej? Trza bronić Ody i synów.

- Trza - powtórzył Ledarg markotnie. Odetchnął.

- A wy, Stojgniewie? Zali staniecie po stronie rodu? Czy Bolesława?

Stojgniew zerwał się niby dźgnięty. Zrozumiał swą duszną udrękę: albo po stronie rodu, albo Bolesława. Trza wybrać - twarz mu spotniała w jednej chwili. Wojbor zerwał się również, stuknął pięścią w stół, zawołał:

- On jest z Orczyków!

"Z Orczyków"! To jest prawda. A przecie tyle lat służył w Belkowej drużynie - odkąd go poznał. Odkąd Bolesław wrócił z niewoli cesarskiej.

Był ranek słoneczny, ciepły. W trzemie poznańskim bił dzwon. Mieszko uroczyście witał syna. Ciężkie podwoje grodu otwarte, wychodzili zeń woje grodowi. Chłopy twarde, ponure, sękaty, w kaftanach skórzanych, ramiona gołe, ogorzałe, zbrojne w topory, w maczugi nabijane krzemieniem; tarcze krągłe, czerwone, z za piec sterczą łuki i sulice; gęby dzikie, zawzięte, ciekawe; głowy gołe, chronione jeno kołtunem zmierzwionych włosów. Wokół ciżba. Ludzie sypali się zewsząd, lecieli jeden za drugim, kupami, bezładnie: grodowi, smardy, piekary, stadniki, kołodzieje, łagiewniki, łuczniaki; baby, dzieci w gieźkach albo gołe. Psy ujadły, dzwon wciąż bił. Leciało to wszystko na błonia, nad rzekę. Pancerni przepychali się konno przez ciżbę, tratując i bodąc. Konie rwały w podskokach. Tłum się przed nimi rozsypywał w dzikiej ucieczce, pierzchał we wszystkie strony. Biskup wyszedł w szerokim płaszczu, ze złotym krzyżem na piersi. Śpiew sług kościelnych - ponury, donośny - zanikał w gwarze wielkiego błonia. Ludzie z lękiem dawali drogę biskupowi, ze strachem spoglądali na jego wysoką czapkę, na krzywą laskę, w której mieszkały czary, cichli, gdy ich doszło pienie kościelne, wzywali dawnych bogów mrując pod nosem dawne zaklęcia. Ale gwar dalej się toczył, raz wraz ogarniał biskupa i kościelne pieśni - wtedy biskup robił znak krzyża i odganiał pogańskie uroki. Wielkie pole zawałone było ludem. Mieszka pędził na koniu, za nim pancerni. Stojgniew przepychał się przez ludzi razem z Przemkiem Świradowicem - radość ich rozpierała: Mieszka zapowiedział, że da Bolkowi własną drużynę i obaj do niej pójdą. Będą wojami!... Wtedy to - spoza kozuchów tarczowników - ujrzeli Bolesława: był rosły, wesoły, uśmiechnięty. Wieleż przeżyli potem wraz z nim bitek, wieleż zasadzek a niebezpieczeństw. Teraz gdzie ów słoneczny wjazd? - w mroku się roztopił. Orczyca... ród... Orczykowie...

- Pójdę z wami, ociec.

Wojbor nachmurzył się, wybuchnął:

- Ja nie pytam ciebie. Widzicie ji, sysuna. On będzie gadki mi prawił: pójdę, nie pójdę. Pójdziesz, nie ma co gadać. Ja nie pytam, każę, sysunie, każę. Słyszysz?

Hugo uśmiechnął się krzywo:

- W Bolkowej drużynie uczyli ji, że drużyna większa niżli ród.

- Wždy nie jest w Belkowej drużynie, jeno w Orczycy - wrzasnął Wojbor z pasją. Ledarg poczuł się urażony.

- Tu nie Orczyca, tu gród Mieszkowy - warknął, dawna niechęć do Orczyków zawrzała mu w sercu.

Wojbor jednym skokiem przesadził stół, pochylił się nad Ledargiem.

- Jak mołwicie? Nie Orczyca?

- Nie! - wrzasnął Ledarg i sięgnął po miecz. Stojgniew wyszarpnął zza pasa toporek, dopadł ojca, stanął obok; dusił się z wściekłości. Ledarg nastawił ostrze.

W tejże chwili wpadł między nich Hugo.

- Cichajcie - wołał - cichajcie, mołwię wam! Drugami jesteście. Orczyca, nie Orczyca, cichajcie! Na Bolka schowajcie miecze.

- Ja mu... - charczał Stojgniew.

- Wojborze - przedkładał Hugo - co wam? Usłużcie jeno Odzie. Da wam ten gród we władanie, nie bójcie się.

- Da gród! - zawołał siny z pasji Ledarg. - Orczykom!

- Mam w zadzie wasz gród - wrzeszczał Wojbor - spalę go na popiół, pole zaoram. Mnie ten gród niepotrzebny.

- Spalcie! - zawył Ledarg, usiłował wyminąć Hugona. Ale tamten chwycił go za przegub. Mocowali się chwilę.

- Co ci?... - wycharczał Ledarg.

- Siedź spokojnie - sapnął Hugo, parł go ku ławie. - Książęcy woj jesteś, słuchaj. Nie grodowyś. A wy, Wojborze, ufajcie mi, no!

Siedli dusząc się jeszcze ze złości.

- Ledargu, przepij do gościa - rzekł Hugo i nalał.

- Przepijam do was, Wojborze - mruknął Ledarg z niechęcią. Wojbor, acz nie otrząsnął się jeszcze z gniewu, przyjął naczynie. Wypili wkoło.

- Uff! - sapał Hugo - niechże was. Byle słowo, do topora ! A trzeba się nam ugodzić.

- Jużemy się ugodzili - zamruczał Wojbor. - Radźmy.

- Nie ma co uradzać. We trzy dni ruszamy.

Ruszyli wczesnym rankiem. Ejże, wielka przychodziła chwila. Zdążali na Wiślicę, Małogoszcz, Kuszelów. Przeszli góry, unikając zwykłego szlaku w obawie przed Bolkową zasadzką. Dalej na Sieradz, Kalisz, wzdłuż Proсны i Warty. Nie była to beztroska wyprawa wojenna, każdy coś gryzł, zły, zamyślony. Hugo poganiał pochód, wiele mógł. Ledarg kiwał się na koniu, nachmurzony i

opryskliwy, nieswój, że już nie jest wojem księdza, że nie stanął po Bolkowej stronie, że jedzie podle trzech Orczyków, zawziętych wrogów Mieszki. Spoglądał na Wojbora, który - jedyny - rad jechał na wiec i strawę; jakby mu lat ubyło. Doczekał się - myślał Ledarg i złość go kąsała, coraz niechętniej spoglądał na Hugona, sprawcę ugody. - Nielub młodzik, omal że otrok, rad z puszczy wyjechać, miecza spróbować. Nie dziwota! - Ledarg chmurzył brwi, pełen ukrytej złości. - Jeszcze rozprawię się z Orczykami. A Stojgniew? Kto tam wyrozumie? - pilnie przyglądał się Wojborowemu synowi. Nic o nim rzec nie mógł. Ale i Stojgniew nic nie mógł rzec o sobie, nie zwykł o sobie myśleć. A tu się coś stało, coś nieprawdopodobnego, niepojętego: ciągnie z wyprawą na Bolka. Lelum! Wiedział, że już do niego nie przejdzie. Ale coś się w nim złamało. Jakby pękła jego moc, jakby był gałęzią, którą wiatr urwał i niesie. A przecie teraz właśnie wrósł w pień, w ród, w gromadę. Jednak mu czegoś żal, czuje, że coś utracił, coś zagubił. - Jakże to? - tarł łeb, chcąc rozegnać złe dumki. Napływały doń coraz częstsze, coraz uporczywsze.

- Urok na mnie rzucili - mrucał po raz setny. Odczynić uroku nie umiał; może nie chciał. I jechał przez bór - ponury, zły, z duszną rozterką, która szarpała nim niby burza prze^ walająca się po konarach puszczy.

CZEŚĆ CZWARTA

Koniec i początek

1.

Tłum się cisnął ciekawy, pierzchliwy. Niepewność targała sercami. Rybacy niechętnie ciągnęli sznury niewodów, raz wraz oglądali się na cizbę pod grodem. Nakazano im ryb nagotować na strawę. Rano krzyczał na nich w Rybakach władarz grodowy. Wiele ryb, dobrych ryb, tłustych ryb! Skąd je wziąć? Sama płoć idzie w sieci.

- Będą żreć, aż brzuchy im popęczoneją. Zwierza nabili całe kupy. Z całego opola zwożą. Lado, lado!

- Ej, ej, smardkowie, to nic jeszcze. Już woje wadzą się, zęby szczerzą. Zaraz za łby się wezmą. Wpadną, posieka, pobiją.

- Wczoraj Kosy był w grodzie. Strach, mołwi, jak źli na Odę.

- Kosy, jak tam?

Chłop u niewodu, nagi całkiem, chudy, włosiem obrośnięty na piersi, barach, zakłętym brzuchu, po pośladek stojący w wodzie, obrócił się niechętnie. Patrzył spode łba, milczał.

- Jak tam w grodzie, Kosy?

- Ciągnij sznur lepiej, nie pytaj. Tak czy tak spiorą cię.

- O wa! - zakrzyknął Wężyk, cienki, z długą głową, końską szczęką - co mają prac? Ryb naciągamy, jeszcze się samym ostanie. Pod gród pójdziem, na błonia. Strawę wszystkim dają. Najesz się, bracie, napchasz kałdun, potem trzy dni do roboty nie pójdziesz. Dziewki dusić będziemy - zaśmiał się, oczy mgłą mu zawiąło.

- Smardkowie, smardkowie... - stary Pępik siedział na brzegu, brodę oparł o gołe kolana, podkurczył je, objął ramionami. - Ejże, ejże, smardkowie. Wielga bitka będzie. Wiadomo, co jest przy bitce. Będą pierwszych nas pędzić pod ostrokół z zapalonymi snopami, z piaskiem. Wiadomo to, wiadomo - głową kiwał. - Grotami w plecy kłuć będą. Abo do kleci wpadną, za łeb wyciągną, mordę spiorą, toporem po czerepie. Albo gnać będą.

- Kaj?

- A kaj ? Do siebie. Od bab, od dzieci. Tam ryby im ciągać będziesz po dawnemu. Nowym klejmem na karku oznaczą.

- Trzy dni żreć, trzy dni spać z dziewczką - unosił się Wężyk.

- A jeszcze świątkowi ciebie dadzą, ten znakiem Kyryi Krysti cię naznaczy.

- Tfu! - splunął Kosy - nie krakajcie, ociec.

- Obaczycie, obaczycie, smardkowie. Ciąg, ciąg, k'sobie! - dojrzał pływaki zbiegające się w

koło. Porwał się, za nim reszta nagusów, wpadli w wodę; wpierając nogi w muł, grzęznąc w błocie, ciągnęli za sznur, stękali, spluwali, aż wydobyli sieć pełną błyszczących, szamoczących się ryb.

- Będą kałduny nabijać, będą.

- Mór by ich ścisnął.

- Żeby wnętrzności zgniły.

- Gadzina... Gady...

- Łajno!

Wokół grodu ciżba rosła. Ni ładu tam, ni składu. Wojaki pomieszane z ludem prostym. Baby, dzieciśka. Psy. Jak zawsze, gdy się coś dzieje, gdy księdza nie ma, a wola jego ma być, ogłoszona. Z grodu spogląda na tłum stóża. Hej, ileć się tego nabrało. Głowy, głowy, kozuchy, czapy. Czupryny bujne, jasne, spływające na kark. Twarze obrośnięte, wąsate. Bary szerokie, giezła lniane, rozchełstujące się na piersi. Woje gromadzą się, pchają, nie chcą stać z pospólstwem. Tarczownicy spędzone z całej ziemi z wolna kupią się dosiebie. Nie kazano im wyjść społem, wepchano między tłum. Dziwota to, dziwota - inny ład teraz. A drużyna cała zebrana. Osobno. Co się dzieje?

- Może do dom pójdziemy?

- Ee, tam... Chciałbyś?

- A nie chcę. Idźże sam. Widzisz go, orzywoła. Tu woj jesteś, łup bierzesz.

- Łup bierzesz, eh! łup bierzesz. Drużynnicy łup biorą. Tobie z gardła taki pan wydrze. A domaś kmić. Sobie pan.

- Aha, kmić. Byli drzewiej kmićcie. W kręgu siadali na wiecu. Nynie jeno rodowi a pancerni, a drużyna. Ty wiecuj jeno doma, jak opolną daninę dać, śladem gonić, przesieki rąbać, gród naprawić. A stacja, a przewóz, a narzaz, osep, nastawa, bobrowe, sokołowe... Lepiej ci wojem siedzieć w grodzie niżli kmićciem ostać doma.

- Białkę młodą mam... Widzieć bym ją chciał.

- Iii... Nie najdziesz tu baby? Obacz, jak ci ta...

Spojrzeli w tłum, gdzie między mężczyznami stała niedaleczko białka młoda, gładka, w kraszanej mszycy spiętej mosiężnym guzem, z ustami czerwonymi, ciekawymi ślepiami, jasnym włosiem wymykającym się spod zawicia. Krew zaczęła się burzyć w chłopach - nudno tak stać na błoniach od rana - nuże ze śmiechem przepychać się ku niej przez ciżbę! Ten i ów warknął, spojrzał gniewnie, usunął się, zaklął.

- Weźmiem ją między siebie - sapał dziobaty Bugaj, parł pierwszy, za nim inni, rozochoceni, podnieceni. Dojrzeli rozruch mężczyźni otaczający białkę.

- Krasula, umykaj no. Woje wałą - zawołał młody głos.

- Woje!... woje!... - zahuczało w tłumie. Zafalowały głowy, barki. Białka skoczyła w gromadę - z ręcznie, posuwiście - znikła. Tarczownicy zakleli, sapnęli w złości. Wparli się w tłum, grzmocili pięściami po głowach, po karkach. Przepychali się kupą - na próżno. Wyładowywali swój zawód na najbliższych. Pustka się wokół nich czyniła, gromada cofała się ze śmiechem i strachem. Wreszcie któryś mruknął:

- Niechajcie jej... Nocką wymknem się ku Skotnikom. Wszystkie dziewczki tam kraśne i hoże.

Zbili się znów w ciasną kupę. Niedaleko pieśniarz w gęśle brząkał:

Wichman leciał na koniu, na wronym,

krze się jemu kłaniały, trawy kładły się pod nogi konia,

Wichman pobił wojów księdza Mieszki, jenz miał mrowie wojów, wielgie grody i ziemie.

Nie ostać się Wichmanowi przed Mieszka,

nie mierzyć się sokołowi z niedźwiedziem.

Wichman wpadł na wojów księdza Mieszki, szczyty rąbał, łby ścinał,

aleć wojów tych by gwiazd na niebie, by drzew w puszczy.

Wichman legł skłuty mieczami, zrąbany,

mówił wojom Mieszkowej drużyny, jaż lżąc a przeklinając:

“Weźcie miecz ten a oddajcie Mieszce, wielgiemu księdzu,

niech go odeśle jako znak zwycięstwa Ottonowi, swemu przyjacielowi,

a Otto niech się cieszy z upadku wroga”.

A potem obrócił się Wichman w stronę, gdzie słońce wschodzi,

mówił słowa prośby do swego Boga w swojej mowie i płakał.

I legł martwy, jak prawy woj, jenz pobity był przez księdza Mieszkę,

któremu nie ostoi się ni Norman, ni Niemiec, ni Ruś, ni Czech, ni Węgier,

ize wielgi jest i możny, moc ma, ramię silne i miecz ostry.

Stanęli woje, zasłuchali się w pieśń o księdzu Mieszce. Walny ksiądz był Mieszka. Zadumali się głęboko. Już im nie w głowie białki ni dziewczki w Skotnikach. A teraz jak będzie?

- Mołwią, nad Odą i synami Ody Bolko księdzem będzie.

- Ho, ho, kto wie, kto to wie. Mołwią, stare władzyki podnoszą się. Na grody napadają, znaki Kyryi Rrysti rąbią i palą.

- Dawny obyczaj wprowadzają.

- Powiem wam - zahuczał Bugaj - słuchajcie. Ponoć już nie chcą do grodów dani składać, narzaz siłą trza brać, kmiecie zmawiają się, buntują. W poniektórych grodach głodno już bywa. Grododzierzcy sami w strachu, czy im nowy ksiądz oczu nie wyłupi.

- To i źle z nami. Pusty brzuch, lekki topór.

- Mołwią - Gwozd głos ściszył - Mazowsze podniosło się, nie chce w jednym być księstwie.

- Grody księdza wzięte, Czersk i Płock. Inne popalili, rozwalili ostrokói, krzyże zrabali. Wielgie zamieszanie idzie przez wszystkie ziemie.

- Widzieliście wczoraj tych wojów, co kupą przyjechali. Tych gdyby Mieszka zoczył, kości by połamał. Ejże, widzieliście tego w zbroi?

- Co i koń ma pancerz na łbie? Niemiec czysty.

- Jakbyś wiedział, że Niemiec. Arnulf. Odzin brat go wysłał. Już tu judzić będzie a szczuć. Na Bolka.

- A ino!

- Psie nasienie.

- Ja bym mu toporem przez łeb.

- Durnyś. Z takim szłomem nie stracha się on topora. Lelum! Jak bym splunął w garść a rąbnął od ucha, puściłby szłom.

- Ej, Bugaj, Bugaj.

- Obaczym jeszcze...

- Wždy może będziem ich bili.

- Nie wiada to...

- Nie wiada...

- Bez Mieszki nijakiego ładu nie będzie.

- Pewno.

Kiwali głowami, gwarzyli, zbici w ciasną gromadę. Raz wraz poglądali ku grodowi. Ale na ostrów wejść nikt nie mógł, stróża stała na moście, baczyła pilnie. Gwar coraz głośniejszy wyrastał nad kłębiący się tłum. Dziewki gziły się z chłopcami. Starzy mruczeli z cicha, nie spuszczała oczu z kraszonych wrót. Co się tam dzieje, po co ich zwołano? Moc luda przecie... Ale coś niedobrego się dzieje.

- Wszystko złe ze śmiercią księdza Mieszki pójdzie...

- Oj, nie to, ludkowie, nie to. Nie od śmierci Mieszki zło idzie. Od wrażego boga Kyryi Krysti, jenż stolinów podeptał i pogańbił - staruch pomarszczony był, kaprawy. Ludziska się wokół niego kupili:

- A ino, a ino, powiadajcie.

- Drzewiej inakszy ład był. Oj, bieda wam, ludkowie, oj, bieda a niedola - głos starucha trząsał się, niemocny, zwiotczały. - Dziady wasze chodzą nocami po dąbrowach a gajach, przeklinają was, zetrzeć chcą. Odwróciły się od was, wygubią was i wasze rody.

- O Jasz! O Lado! Lelum, lelum!

Staruch podniósł palec do wysokości nosa, jakby nim groził i czarował.

- Inakszy drzewiej bywało... Cóżecie? Churlęgi, mizeraki. Drzewiej ludzie nie tacy bywali, nie tacy. Wielgachny był naród, obrzymi byli a stolini, głowy nad sosnami nosili, dęby rwali, góry walili; kiej szli, ziemia drżała, trzęsała się. Wołu brali jedną ręką, mięso obgryzali, kości rzucali. Maczugi mieli z całych stwołów, wielgie głazy między korzenie wbijali. Jak stąpnęli, rzeka za nimi., góra za nimi, las za nimi. Bary ci mieli tak szerokie i mocne, że jak by wparli się nimi w jenż gród, trzaski by pozostały. Nynie po lasach chodzą, zmawiają się na was i na Kyryi Krysti. A kiedy przyjdą z zemstą, maczugami wywijając popod gwiazdy, co z was ostanie? Kurz, pył, piasek.

Tłum słuchał z zapartym oddechem, ciasno otoczono starucha. Wszystko ucichło, strach chodził po kościach, zimno występowało na czoło. Poprzez ścisk pleców, owiniętych w płachty płótna, przepychał się chłopiec młody, wysoki, z ptasim nosem, śmiałą gębą, czerwoną, zuchwałą. Słuchał chwilę, aż wykrzyknął wychylając się spoza głów:

- Kyryi Krysti nie da się. Mocny Bóg. Zdierży i stolinom.

Staruch nie spuszczał bliskowidzących oczu z podniesionego palca, czarnego by ziemia, jakby wpatrywał się w sprawy odległe i tajemnicze, niewidoczne i straszne.

- Oj, nie zdierży, ludkowie, nie zdierży. On już boi się wyjść na lasy a gaje, na rzeki a plesa. Stracha się on olbrzymów, a stolinów po dąbrowach, nie zdierży, nie zdierży. Cóż on je, toż widzieliście na obiatach. Chlebusia kęs mu dają a popić trochę. Nie takie drzewiej obiady składalim po dąbrowach a uroczyskach. Nynie Mieszka nie zwolił dziadom stawy stawiać, by osłabli. Wždy stawiają po kryjomu, a nie starczy, mało to zwierza w puszczy? Nie to, co w pustej cyrkwi. I Dadźbog z nimi, i Swarozyc, i Świętowit. Co zrobi im Kyryi Krysti? Aboż uchronił Mieszkę od

słabości?

Słuchali pełni zgrozy, z rozwartymi, przerażonymi oczami. Staruch dalej skrzeczał, zapatrzony w dawne czasy, co zataiły się jeno po pustkowiach.

- Wždy. On was chronić nie będzie, obcy bóg, niemiecki, nie nasz, nie swojak. Słucha on, jak mu w trzemach szepczą na was, na waszą zaturę. Głośno wołają w obcej mowie, jak was wygubić ma, jak szkodzić. Kto zna zaklęcia na Kyryi Krysti, kto zna uroki a czary? Jeno przywłoki z obcej ziemi, wasze wrogi. Toporem by wam ich rąbać, ogniem palić trzemy a cyrkwie, ofiary dawne składać. Inaczej źle będzie z wami, ludkowie, źle, bieda, niedola.

Rozruch powstał w gromadzie, groźne poruszenie, wymysły i klątwy. Ale w tejże chwili drzewcem sulicy zaczął rozpychać ciżbę woj z twarzą srogą, brodą wygoloną, z wielkimi wąsami. Za nim pchali się pacholcy z toporami, odziani - mimo ciepła - w kozuchy nabijane krągłymi blaszkami. Zapachniało ostro potem i strachem.

Rozsypali się ludzie w panicznej ucieczce. "Włodarz księdzowy, włodarz, włodarz!" - Grodowi skoczyli za nimi. Fala ogarnęła starucha, osłoniła, uniosła. Biegli między kupami gapiącymi się wszędzie, czekającymi cierpliwie od rana. Rozpłynęli się w ciżbie. Trzech jednak złapali księdzowi i wiedli między sobą do grodu. Zamarło serce tłumu. - Już nie widzieć im słońka, miesiąca ni gwiazd. Już nie chodzić im po ziemi, nie cieszyć się ni śpiewać. Straszny jest gniew Mieszki, gdy kto obrazi wielkiego Boga, Kyryi Krysti.

Brama grodowa otwarła się, tłum zafalował, skłębił, ruszył ku mostowi. Na próżno. I teraz nie wpuszczono nikogo. Ale w wycięciu wrót pod wieżę zabrzmiały rogi, ukazały się wysokie szłomy z dzikami, wilkami, smokami; lśniące ostrza oszczepów, mieniące się pancerze z łuski; szczyty czerwone z buklami; miecze szerokie, długie, obosieczne; siekiery na trzonkach w półtora chłopca długości; ogromne łuki, dochodzące pod brodę. Tłum poruszył się, rozstąpił, napierany bezwzględnie, po błoniu pobiegł szmer podziwu i niechęci:

- Jomsborg... Jomsborg...

Szli twardo, srogo poglądając dokoła. Chłopy dorodne, wielkie, białe, płowowłose. Na kołnierzach z pozłocistej blachy dyndały się młoteczki Tora. Zawsze na nich patrzono ciekawie.

- Wygnał to ich Mieszka abo co?

- Kajby wyganiał? Co wy? Dobre wojaki, wielga pomoc dla Mieszki.

- Mocne są - pisnęła żrała dziewczka wyglądając za Normanami.

- Bacz, by ci słabości nie sprawili - tłum zahuczał śmiechem. Stara pociągnęła młódkę za rękaw.

- Nie masz sromu, Jagoda. Toć zbóje są.

- Zbóje, zbóje...

- Mrowie ich jest nieprzebrane. Duny, Swije, Nordwegi. Łodzie okrutne mają, tymi łodziami zapłyną, kaj chcą.

- A Psiogłowcy, a Samojedź.

- Psiogłowcy? Samojedź?

Kmieć niski, stary, krępy, rękoma machał i bajał:

- Byłem ci u nich niewolnym z latek dziesiątek. To i wiem. Strach mówić o Swijach, że naród mocny jest, w górach nad wodą siedzi, łodziami w dalekie ziemie jeździ. Tam ci Psiogłowców sam widziałem.

- Psiogłowców, ociec?

- A ino. Głowy mają na piersiach, szczekają kiej psy. Złapieli taki człowieka, na kawałki porwie i pożre. Zamawianiem trza się bronić przed nimi.

- A Samojedź! Kosmata cała. Gościem ci u nich będziesz, to ci warzę z własnych dzieci abo starych podadzą. Umrzesz tam abo ociec jego umrze czy matka, we własnym wnętrzu pogrzeb im sprawią.

Dzieci patrzyły na opowiadającego przerażonymi oczami, dziewczęta słuchały spłoszone. Starzy kiwali głowami.

- Dziwy u onych Swijów.

- Insi gębę mają w ciemieniu, strawę kładą w kłobuki, nadziewają je na głowy i jedzą ruszając plecami w dół i do góry.

- O lelum!

- Insi gębę mają w plecach i karm tam wrzucają rękami, a wyrzucają potem wygładzone kości. Są i tacy, co końskie nogi mają, a kładąc się okrywają się własnymi uszami.

- Prawdać jest - mruknął woj leciwy, słuchający z rozkraczonymi nogami, z wargą wysuniętą, z góry spoglądający na kmieciów - odwoziłem Świętosławę do Swijów. Ależ ona Samojedź a Psiogłowcy żyją za krajem Swijów, na północy. Tam ci noc trwa bez przerwy dni czterdzieści.

- Dni czterdzieści! Lado, lado!

- Tam ci to oni bydła a walki zwodzą. Jest i kraj, gdzie białki rządzą, a mężowie dzieci rodzą. I takie grody są, gdzie nikogo nie ujrzysz, jeno...

W grodzie rogi zagrały. Dzwon kościelny zahuczał. Mrowie rzuciło się nad samą wodę, cichnąc zrazu, skupione, uważne. Na wieży ukazało się dwóch wojów z brązowymi toporami, świecącymi w słońcu. Przybrany w czerwony płaszcz stanął mąż z odkrytą głową, bez miecza. Rogi

przestały grzmieć.

- Wola księdza naszego i pana, Mieszki Lestkowica - zawołał wielkim głosem obwoływacz. Przez tłum przeleciał nikły pagwar, wnet ucichł.

- Słuchajcie woli księdza waszego i pana, woje i stróża, rody wszystkie, grodowi i opołni, kmiecie na ziemi księdza siedzący, wyrobniki i bartniki, i wszystkie ludzkie wolne, słuchajcie! Ksiądz Mieszka złożon słabością, jenz władyka nad wami, gospodin i starosta, on ma moc i siłę, grody i ziemię, drużynę i wojów. On wam przykazuje i posłuchu żąda, a przykazuje tak oto:

Cisza zaległa tłum, głos obwoływacza leciał nad zadartymi głowami aż do łęgów nadrzecznych. Dwaj woje stali za nim wciąż nieruchomo, a świecące topory lśniły nad obwoływaczem jak znak księdzowej mocy.

- Przykazuje tak oto: Gród ten, Poznań, ze wszystkim, co w nim jest, jako to: trzemem, domem księdza, dobrem wszelakim, stajniami i chlewami, bronią i ludem zbrojnym jako też ludem pode grodem siedzącym, niewolnym i osadnikami, oddaję we władanie synowi mojemu, spłodzonemu z księdzówny czeskiej, Dobrawy, Bolesławowi.

- Ooo! Ooo! - zawył tłum niby wielkim, głośnym westchnieniem, polatującym nad polem.

- A także oddaję Bolesławowi ziemię Ślęzan i Dziadoszan z grodami Wrocławiem, Głogowem, Lignicą, Opolem i wszystkimi innymi, a także ze wszystkim, co w tych grodach jest, ludźmi, końmi, bydłętami i wszelakim dobytkiem.

- Ooo! Ooo! - krzyczał tłum.

- A zaś gród, iż Bolesław już dzierzył, Kraków i ziemię krakowską ma i dalej dzierzyć, przeszkody nijakiej nie doznając.

- Ooo! - oddech tłumy był coraz szybszy, odzew bardziej gromki i przeciągły.

- Wszystkie inne ziemie moje oddaję Odzie i synom jej. Mieszka dzierzyć będzie grody Gniezdno, gdzie trzem wielgi wystawiłem dla Boga Krysta, a Sieradz, a Kalisz, a Łowicz, a Kielce, a Sandomierz, a Wiślicę i wszystkie inne wokół tych, i ziemie wszystkie a ludzi, a dobytek. Ziemia Pomorców, jaż Czciwor nynie włada, po Czciworze będzie Świętopełkowa ziemia. Ziemię Mazowszan i grody ich Płock, Czersk, Serock, Liw, Łuków a Wizna, także wszystkie insze Lestek otrzyma. Tako rozrządzam ziemią moją i grodami, i ludźmi, i wszystkim, co mam.

Tłum falował i krzyczał.

- Bolesław, syn mój - głosił dalej obwoływacz - weźmie drużynę swoją, jaż do walki wodził na Czechów a Normanów, a Rusów, a Jacwież, a Prusów, a wszystkich wrogów moich i nieprzyjaciół. A drużyna moja, jako to pancerni, tarczownicy, toporniki, łuczni, stróża grodowa i wszystkie woje bronić mają Ody i jej synów. A wpadnie na ziemię jaka chęsa zbójecka abo insza jaka rubież buchnie, wtedy nad wszystkimi wojewoda będzie Bolesław. A skoro Mieszka dojdzie do lat, on będzie wojewoda. Tako przykazuje.

- Oooooooo!

- A jeřliby Bolesław nastawa! na głowę Ody abo synów Ody, tegdy wszystkie mają miecz na niego obrócić, a bić jego, ludzi jego wytracić a rozproszyć. A rozproszonych gonić śladem po wszystkich opolach, aż głowy dadzą. Niechże tegdy Bolesław nie nastaje na Odę i moich synów, a braci Bolesławowych.

Tegdy knijcie się wszyscy, jako wolę moją spełnicie, na Boga Jezu Krysta i na świętą ziemię, jaż dłońmi dotknijcie.

Zafalował tłum, pochylił i z dłonią przy ziemi klął się, że spełni wiernie wolę Mieszki, wielkiego księdza i pana, teraz i po jego śmierci.

2.

Oda chodziła niespokojnie po izbie. Rycerz Arnulf siedział na zydlu, ręce wsparł na rozstawionych kolanach, wodził za nią oczyma. Niedziwne to, że Mieszka tak ją miłował. Urodziwa była, niestara jeszcze, drobna, cienka. Różniła się od wszystkich białek, rozrośniętych, mocnych, szerokobiodrych, krasnogębych. Twarz miała suchą, nos cienki, wargi wąskie, cerę białą, ledwo znaczoną paru piegami pod bystrymi oczyma. Włos złocisty, miedziany owijała szczelnie podwiką, ciasno ściśniętą pod brodą na wzór pań zachodnich. Ręce i nogi drobne, kibić kształtka, krok chyży a zręczny. Piękna była ostatnia żona starego Mieszki. Nie lada jaka.

- Jak myślicie? Co będzie?

- A co będzie? - odparł Arnulf beztrosko, patrzył na Odę wesołymi oczyma. - Mąż wasz przecie rozrządził już, co będzie.

- Ach! - zawahała się. - Gdy zemrze? Niepewne wszystko. Trzeba się ubezpieczyć. Was przysłał mój brat, żebyście mi pomagali i radzili. Pociechy mi nie trzeba.

- Twarda z was białogłowa.

- W tym kraju tylko twardzi się ostoją.

- Pewno... pewno... - oczy Arnulfa wciąż były wesołe. - Pociechy nie potrzebujecie? A radę mam. Dawno już wam radziłem, co robić.

- Na nic wasza rada. Mieszka żyje.

- Ale dzień... dwa... Śmierć nad nim. Nie znacie to Bolesława?

- Znam, znam - powiedziała spiesznie. - Więcej niżli dziesięć lat nań patrzę. A on na mnie. Czekamy.

- A skoro chwila nadeszła, wahacie się.

- Nie waham się, ale wiem, jak tu jest. Ma on swoich stronników i możnych. Biskup...

- Biskupa trzeba ujednać.

- Ale jak? Łatwo mówić. Biskup ozeźlił się strasznie, że chce biskupstwo nowe dla Mieszki w Gnieźnie fundować.

- To i obiecać mu, że nic z tego. Gdy Bolesława nie stanie, synowi waszemu Poznania starczy. Trzeba wytłumaczyć Ungerowi, że interes jego w połączeniu się z wami.

- Wszelako...

- Co?

- Wszelako - zaczęła Oda z wahaniem - dla wiary świętej lepiej, żeby się zamysły Mieszki spełniły. Żeby drugie biskupstwo w Gnieźnie powstało. Strasznie pogański jeszcze ten kraj.

Arnulf zaczął się śmiać.

- A w was wiecznie mniszka z Kalby siedzi. Pamiętajcie, że gdy szłyście za Mieszkę, zwolniono was od wszelakich ślubów. O władztwie swoim myślcie. O Kościele Bożym niechże Unger myśli. Ale ten nie chce biskupstwa w Gnieźnie.

Oda zmarszczyła brwi, znów rozpoczęła wędrówkę po izbie. Cały dzień zszedł jej na podobnych wędrówkach i wątpliwościach. W południe byli tu Przybywoj a Odylen. Siedzieli na ławie, rozrośnięci, potężni, pociągali miód z czarek. I oni byli zdania, że zaraz po śmierci księdza trzeba na Bolka uderzyć. Nim się opamięta, obmyśli obronę, zjedna sobie stronników. Przybywoj lubił gadać, mówił siedząc bez ruchu, niby ociosany z grubsza posąg pogańskiego bożka. Płowa czupryna spadała mu nisko na czoło, oczu nie spuszczał z Ody, gdy z ust sypały mu się przykłady i opowieści. "Póki żyje, a jeszcze póki patrzy, nie zaznać wam spokoju, pani, ni dzieciom. Pobity - wstanie, wygnany - wróci z drużyną Węgrów, Normanów, Rusów, i księstwa będzie się dla siebie dobijać." Wielkie wiechcie wąsów ruszały mu się szybko, gdy opowiadał o książętach czeskich, ruskich i swoich, wygnańcach, którzy wracali, żeby zwyciężyć. A sam Włodzimierz kijowski, a Swend duński. Odylen milczał, patrzył spode łba, potakiwał co chwila: "A ino! A ino, pani!" - Oda siedziała naprzeciw obu mężów, służyła im, dolewała co chwila miodu, przepijała ze srebrnej czarki. Byli jej główną podporą, mieli za sobą drużynę, wszystkie stare rody, byli siłą. Mogą być ciężcy później - myślała Oda patrząc im prosto w oczy i dolewając miodu - trzeba się będzie pozbyć obu. - Ale w tej chwili na nich opierała wszystkie plany. Uśmiechała się, słuchała pilnie. Arnulf siedział po drugiej stronie stołu, uważny, rozbawiony. Przybywoj się nie rozchmurzał nawet w chwili, gdy wychylał kruż z miodem. "Zdajcie się na nas, pani - mówił - już my powiem wojów". - Oda wahała się, ale kazała im być w pogotowiu. Teraz wróciła do owej rozmowy.

- Uderzyć na Bolka na nic - protestował Arnulf. - Woje tylko do bitki się palą. A bitka zawsze jest bitką, nigdy nie można być pewnym jej końca. Byłem wielokroć w Italii...

- I co?

- Truczna pewniej działa niżli miecz - mruknął Arnulf i uśmiechnął się.

Oda nie odpowiedziała zrazu. Drobną, z zaciętymi ustami, chodziła w zadumie z kąta w kąt pod bacznym spojrzeniem Arnulfa. Mruknęła w końcu:

- Rozruch będzie.

- To i co? Głowy rozruchowi nie stanie, stłumimy zamieszki mieczem. O tak! - zrobił gest pchnięcia. - Przybywoj a Odylen radzi będą - zaśmiał się znowu.

- Bolko sprzymierzył się z cesarzem.

- Z niemowlęciem? Ha ha ha! dobre przekpinki sobie stroicie, pani. Gdybyż matka jeszcze żyła. Teofano miała głowę na karku.

- Babka wszystkim rządzi.

- Adelajda o swoją głowę dbać musi i wnuka. Teraz tam gorąco, biją się wszyscy ze sobą, książęta a grafowie, margrafy a rycerze, biskupi a opaci, miasta i zamki. Mówię wam, w cesarstwie niby w garnku. W Rzymie Krescencjusze znowu głowę podnieśli, bunt idzie niby pożar. Cesarz grecki wojsko gromadzi, by uderzyć na Italię. Saraceni idą od południa. Baroni normańscy wicherzą, przysięgają zagładę całemu domowi cesarskiemu. Gdzież Adelajdzie do pomocy Bolkowi? Powiadają, Ottonkowi ciemię jeszcze nie zarosło, babka baczy jeno, by mu rudej główki nie zdjęli i na grot nie zasadzili. Co wam, pani?

- Gadacie-oburzyła się Oda-toć Otto ma już dwanaście wiosen. Tyle co i mój Mieszka.

Arnulf zaczął się śmiać.

- Wybaczcie, pani, ale to jeszcze nie sprzymierzeniec. Jeszcze mu słuchać bają Gerberta, mnicha z Aurillac, o senacie rzymskim, o Cezarze i jego bojach. Bardzo ponoć tymi sprawami Ottonek się przejmuje. Myśli odbudować dawne cesarstwo rzymskie, zaćmić sławę wielkiego Karola. Niechajże go zaćmiewa pomagając Bolkowi, niechaj zaćmiewa. Już wy, pani, nie bójcie się Ottonka. Brat wasz - swój własny pan w Niemczech, więcej on wam pomoże niżli Otto Bolkowi.

- Byliście u jomsborczyków?

- Byłem. O dwa tysiące kroków za grodem siedzą, jak im przykazano.

- Ungera to sprawka.

- A Ungera. Biskup wiernie Bolkowi służy. Boi się zresztą, że gdy Mieszka zemrze, mogą zająć nieporządki, z których jomsborczycy gotowi skorzystać. Taki to sprzymierzeniec, co by rad gród spalić a ludzi naciąć. Unger stracha się też świątynię i zgromadzone w niej skarby. Słusznie się stracha. Tylko srogie ramię waszego męża umiało ich powstrzymać.

- Że też chcieli tak wyjść.

- Biskup zaciął się. Mówił, że chrześcijańskiego pogrzebu być nie może, gdy poganie są w grodzie. Groził, że klątwę rzuci. Jakoś ujednano jomsborczyków, wyszli. Ale strasznie są ozeżleni.

- I co? Pewne, że przy nas staną?

- Pewne, pani.

Ale sam miał wątpliwości. Odwiedziny odbyły się w południe. Arnulf szedł przez obóz jomsborski w pełnej zbroi, z ogromnym hełmem niemieckim, w płaszczu na ramionach. Nagi miecz robił długie rysy na ziemi, na piersi błyskała mu mizerykordia o złocistej rękojeści. Jomsborczycy leżeli tu tam przed szałasami, mruzcili pod nosem pieśni, jedli i pili, ledwo rzucali nań wzrokiem w wyniosłej, pogardliwej obojętności. Ketl przyjął gościa nachmurzony i niechętny. Siedzieli naprzeciw siebie, milczeli, mierzyli się chłodnym spojrzeniem, za którym się czaiła - niby za gęstwą puszczy - podstępna czujność i pierwotna nieufność. Nie odwiedza się siedliska Wikingów bez celu. Grzeczne powitania Arnulfa chcącego poznać walecznego wodza normańskiej drużyny, o której czynach tak głośno nad całym Bałtykiem, nie uspiły gotowości Ketla. On również jest rad z zetknięcia się z mężnym rycerzem niemieckim, który jest wielkim panem w swoim kraju. Siedzieli, lśniący i groźni, w dusznym upale południa. Przemykające się przez gałęzie dębu ruchliwe plamy słońca padały na ich zbroje. Ketl wspierał się oburącz na rękojeści miecza. Krąg wojowników nie podnosił oczu, zatopiony w wypoczynku - czujnym, gotowym w każdej chwili do zmienienia się w ruchliwy zamęt walki. Opoдал przy strumieniu dwóch mężczyzn czyściło zbroje; raz wraz łyskały one odbitymi promieniami słońca, dość hojnego, by rzucać je wszędzie przy każdym ruchu pancerza. Półgłośny gwar unosił się nad obozowiskiem. W tym gwarze wypoczynku brzmiała nuta groźna i bezwzględna - Arnulf wsłuchiwał się w nią, myślał, jak bardzo jest cenny ten sprzymierzeniec, którego miał zjednać dla Ody.

Ketl miał twarz szeroką, skupioną, z sinawą szramą od ucha poprzez policzek do nosa. Nabył ją walcząc z Norwegami u skalistego Bornholmu. Łodzie wsparły się o siebie burtami, kiwały się pod długą falą zimnego morza. Na wschodzie były proste słupy ognia. Na szczepionych łodziach wszystko się gotowało w beładnej, gorączkowej walce. Rum bitwy mieszał się z przestraszonym krzykiem mew, wirujących w płochliwej chmurze nad kotłowiskiem ludzkich ciał. Plusk padającego trupa zwabił je, zniżyły się, szukając żeru. Głośne okrzyki znów odegnały je w górę. Słońce wychyliło się zza ciemniejszej tarczy wód i pierwszy promień, przebiegłszy ukosem nieboskłon, rozświetlił błysk miecza spadającego na Ketla. Jarl padł, ciemieniem uderzając o burtę, z twarzą zwróconą ku rozjaśnionemu niebu, buchając strugą krwi. Lecz walka już się skończyła, ciała Norwegów zasłały dno łodzi. Ketla odwieźli towarzysze do swej nadmorskiej twierdzy. Gdy rana się goiła, Wiking rozdzierał ją, rozdrapywał, by wszystkim wrogom świadczyła o jego męstwie. Odtąd zwano go Ketlem Sinogębym.

Turzą czaszkę - znak wodza - trzymał między stopami. Arnulf spuścił na nią oczy, podniósł je, wbił źrenice w nieruchome spojrzenie Wikinga i rzekł nagle:

- Dziwi mię, żeście zgodzili się przenieść tu z wygodnego grodu.

Ale Ketl zrobił szeroki ruch ręką.

- Wikingom najlepiej pod niebem - rzekł, choć fala krwi napłynęła mu do twarzy, a blizna zsiniała.

- Unger to sprawił - szepnął Arnulf od niechcenia.

- Niech baczy, by miecz Wikingów nie rozplątał mu czaszki.

- O wa! - niedbale powiedział Arnulf - ludźmi Bolka jesteście, a on obroni biskupa.

Ketl się zerwał, złapał rękojeść miecza. Nachylił się ku Arnulfowi i krzyknął w najwyższym gniewie:

- Przyszliście lżyć mię, panie?

- Na Boga, którego wyznaję, nie! Ale tak ludzie prawią.

- Póki nie mają przerżniętych gardzieli. Wikingi jomsborscy niczymi nie są i nie będą, jeno bractwa.

- Ale z Bolkiem pójdziecie?

- Na młot Tora, nie!

- Czemuż to?

- Bolko brata mego ubił, mężnego Gorma. Napadł nań w lesie z wielką siłą. Gorm był po walce, wymęczony pochodem i stratą wielu z bractwa. Podstępem nań napadł.

- Bolko zawsze podstępem walczy.

- Walny woj jest. Chytry i mężny - powiedział ponuro Norman. - Ale pozna jeszcze miecze jomsborskie.

- Oda i jej synowie liczą na waszą pomoc w walce z Bolesławem.

- Wy się strzeżcie - powiedział Ketl chmurnie - i wy poznacie jeszcze nasze miecze. Jomsborga nie pobił dotąd nikt.

- A Mieszka?

- Z dobrawoliśmy się ułożyli - mruknął Ketl, ale pręga na twarzy znów mu zsiniała.

Więcej Arnulf nic z niego wydobyć nie zdołał. Liczył idąc tu, iż zobowiąże go do przysięgi na młot Tora, że Jomsborg stanie po stronie Ody. Lecz ponury Dun jeno groził wszystkim, za nikim nie opowiadał się na pewno. Może czekał rozkazu z Jomsborga? Jednakże nie stanie pewnie przy Bolku, Arnulf pokrzepił się tą myślą. Wjeżdżając w najeżoną ostrymi belkami bramę grodu, oczy już miał pogodne. Zastał Odę niespokojną, gorączkowo chodzącą z kąta w kąt. Na pytanie o jomsborczyków

odrzekł, że jest ich pewny, choć sam tej pewności nie miał. Oda spojrzała nań bystro i spytała:

- Skądże ta pewność?

Począł jej opowiadać o rozbiciu grzędzi Gorma, Ketlpwego brata. W on czas jeszcze Jomsborg wadził się z Mieszka. Wyprawy szły na Pomorze, Gorm zapuścił się dość daleko w puszcę, gdzie siedzą rozrzućeni po rzadkich polanach Śliźnie. Zrazu dobrze szło jomsborczykom - pobili Śliźniów i starostę ich wzięli w jeństwo.

Oda spojrzała z uznaniem na Arnulfa.

- Skąd wiecie o tym? Ja tu siedziałam cały czas i nie słyszałam.

- Mała wojna nie dochodziła waszych uszu, pani. Skoro Ketl powiedział, że mu brata Bolesławowi zabili, odszukałem Przemka Świradowica. W wielkiej z nim zażyłości żyję.

- On Bolków drug, wiem.

- Brat wasz, Bernard, tak rzekł do mnie, gdy odjeżdżał: "Miecz twój przyda się Odzie, Arnulfie. Ale więcej przydadzą się jej twoje oczy i uszy. Jej tam wielu nie ufa, a ty, prawy rycerz niemiecki, patrz i słuchaj". Patrzę i słucham.

Oda poruszyła się niespokojnie.

- Zmowy na mnie knują, wiem.

- Zmowy i niezmowy, różnie bywa. Ja z Przemkiem często w komorze się zamknę, miód pociągamy, bajam i on baje. Młody jest. Słucha chciwie, gdy mu o rycerskich sprawach w cesarstwie i w Italii opowiadam, ale i sam nie lubi siedzieć na ogonie. Baje więc mi o bitkach i o różnościach, o Bolku i o drużynie, kto się lubi, kto się czubi.

- Powiadajcie, jak tam było z Gormem?

- Przemko i sam bajał, i starego tarczownika przywiódł, który jest ze Śliźniów. Zowie się Giez, czy jak mu tam. Walny chłop. Ale po naszymu nie gada ni rozumie. Przemko mi wszystko wykladał.

Giez zadumany przypominał sobie, jak to przyszedł z puszczy. Mały Dzierżyk był z nim, nynie tyli chłop, onże Dzierżyk. Wiele się zmieniło od tego czasu. Sam on, Giez, tarczownikiem został, starszym w dziesiątce. Łupu zdarł trochę, ale mało, mało. Jeszcze daleko do pancerza a szłomu, daleko do drużyny księżej. A taki był cel Gza: drużyna. Wielka to była gorycz, gdy go do drużyny nie wzięli. A koń, hej! Jeśli w boju konia nie weźmie, nie uzbiera tyle bogactwa, choćby i w stu bitkach. A łatwo to konia w boju zdobyć? Mało to który woj ma konia, a padnie konny, dziesięć rąk do powodów się wyciąga i biją się o nie między sobą. Z drużynnikami trudna rada. Na konnych oni to uderzają, to i łup ich bywa. W ucieczce też pieszo nie zgonisz konnego. Trza już tarczownikiem zemrzeć, bo gdzie ta koń dla Śliźnia.

Giez zaciał zęby, patrzył spode łba na Arnulfa. Czego ów Niemiec chce od niego? O onej bitce

z Jomsborgiem? Nynie jomsborczycy w służbie u Mieszki. Chce wiedzieć? Ano, Śliźnie możny ród, wielki ród. W puszczy żyją, ale walczyli z wrogami na Ostrowiu Wielkim, u Turzycy, na Wilczych Dzierżawach. Dotąd młot mają stary, kamienny, onych bojów świadek i uczestnik. Ale kiedyś jomsborczycy przyszedli, źle Śliźnie walczyli. Dopiero, jakem spalił łodzie jomsborskie, koniec przyszedł Normanom.

- Przylazł do Bolka człek - opowiadał Przemko - mówię wam, panie, pociecha była nań patrzeć. Lazł jak rak. Ślepy całkiem i beznogi. Mołwią, ostatni ze Zdarów.

- Wiem - przerwał Arnulf - jak to Wichman wyprawił się na Mieszkę. Jest u nas pieśń taka... Zapomniałem.

- Onże Zdar - ciągnął Przemko - nogi potem wyciągnął. Aleć przedtem powiedział nam, gdzie jomsborczykom drogę zabiegniem. Dopadliśmy ich podle rzeczki. Tam ci Bolesław własną ręką ubił onego Gorma, Ketlowego brata.

- To wiecie, że to był brat Ketla?

- O wa! - zaśmiał się Przemko - abo to kto Normowi gębę zawiąże. Cięgiem się odgraża. Psa to szczekanie.

Arnulf odszedł. Giez tępo za nim spoglądał, zwrócił się do Przemka:

- Gadzina, ten ci Niemiec.

Oda nie całkiem była rada z Arnulfowych przyjaźni.

- Dziw - zauważyła - żeście tak rychło ufność do siebie zdobyli. Hugo tutejszy, a niewielu ma drugów.

- Ba! Hugo bękart. A mój ojciec i mać oboje ze szlchetnego rodu.

- Wiele tu oni wiedzą o szlchetnych rodach. Wszystko to kmiecie i rataje, by i najgodniejsi.

- A gdzież jest Hugo? Oda uśmiechnęła się.

- Pojechał ujednać kilku przyjaciół i kilku wrogów.

- To i nieprędko wróci?

- Lada dzień go czekam. Z przyjazdem jego nasza siła wzrośnie. Chociaż...

Arnulf patrzył na nią wesołymi oczyma.

- Co myślicie, pani?

- Z biskupem trzeba się ujednać - wybuchnęła nagle - bez niego nie czuję żadnego oparcia.

Wszystkich kleryków a duchownych ode mnie pozabierał, tyle że Bruno został, którego z Kalby jeszcze przywiodłam; ale ten jeno o modłach myśli. Ci, co przy mnie stoją, woje, drużynniki, dawne władzyki- wszystko niepewne. Trzęsie się to mi pod nogami jak błoto. Błoto... błoto! - zakrzyknęła z nagłą nienawiścią. - Pogany prawe, tyle że trochę wodą świętą pomazane. Błoto, Arnulfie!

Podeszła do małego, wąskiego okna, przez które tyle co światła wpadało. Stała obrócona plecami do Arnulfa, wyglądając na podwórz. Niewiele miejsca przed nią było. Budowle ściśnięte ścianą wału, złożonego z grubych, ledwie ociosanych bierwion. Tę ścianę tylko widziała - z gankiem dla stróży, podcieniem okapionym dachem, zbiegającym nisko nad ziemię dla ochrony ognia potrzebnego do obrony grodu. Płaskie paleniska stały jedno przy drugim, nad nimi wisały na kozłach garnki do gotowania ukropu; podle sterty chrustu. Do ściany cisnęło się kilka nędznych kleci, w których chowano broń, strzały, groty. Kupy kamieni do ciskania na wroga. Przed domem lśniły dwie czarne kałuże. Wszystko to zdało się nagle Odzie małe, nędzne, ciasne, śmierdzące. Takie to dziedzictwo otrzymają jej synowie, a i o nie trzeba krwawo walczyć, snuć intrygi, łąsić się prostym wojom, uśmiechać i miodu dolewać. Czemuż nie wydano jej za jakiegoś pana niemieckiego. Czyż Teodoryk, jej ojciec, nie był wielkim panem, jednym z większych wśród Sasów, margrabią Magdeburga? Siedziałyby w potężnym zamku kamiennym, otaczaliby ją rycerze, mnisi, biskupi. Tak ci są dumni z tej katedry Ungera. Belki przed jej oczyma zdały się jeszcze przybliżyć, jeszcze bardziej zacieśniać. O święty Udalryku! czemuż cesarze niemieccy tak cenili małego Mieszka z głową wepchniętą w ramiona. Że ma trochę dzikich tarczowników...

Nie wrócić jej jednak do siebie mimo tęsknoty. Tu ostać walczyć zacięcie o synów. Chyba że... Wzdrygnęła się.

Wrócić może tylko wtedy, jeśli się tu nie powiedzie. Jeśli Bolesław... Obróciła się strwożona.

- Arnulfie!

Rycerz poderwał się posłusznie. Lecz w tejże chwili wszczął się zamęt na dworze, hałas, bieganina, okrzyki. Zaskrzypiały otwierane wierzeje. Tupot licznych koni. Arnulf wychylił głowę przez okno, wykrzyknął:

- Bolesław przyjechał! Bolesław!

Oda przybladła. Walka się zaczynała, Bolesław wrócił. Szepnęła spiesznie:

- Trza mi prędko do Mieszki. Do Mieszki... Nie zostawię go samego z pierworodnym.

Poprawiła podwikę i wolno, nie śpiesząc się przeszła do sieni. Tu u progu spotkała Bolesława - zakurzonego, wielkiego, z szeroką twarzą, zasapanego jeszcze od jazdy. Przystanąli oboje, by się pozdrowić. Lecz nie zdołali wymówić ni słowa. Przez długą chwilę patrzyli sobie wprost w oczy i wyczytali wzajemnie w swych źrenicach to samo uczucie: chłodne, spokojne, zawzięte, nieubłagane. Jak śmierć.

Dwóch kleryków z Ungerowej gromady sennie kiwało się na klęczkach. Sam biskup spał, rozparty na zydłu z poręczami, obitym złotogłowiem i wyścielonym poduszkami, który złożył kiedyś w darze Mieszce kupiec z Bizancjum. U nóg łoża klęczała Oda, oparła się łokciami o futro, twarz ukryła w dłoniach. Podwika się jej zsunęła, miedziane włosy rozsypały się z obu stron głowy. Czuwała najdłużej, ale i ją sen zmorzył. Unger oparł się potylicą o ścianę, pochrapywał. W nikłym blasku świec, płonących u wezglowia, widniała jego długa, chuda broda, gładko wygolona, ostry, spiczasty nos, dwie czarne plamy oczodołów nalane ciemnością. Ręce zaplótł na brzuchu, tuż pod złotym krzyżem wiszącym mu na piersi; nogi wyciągnął, rozwalił szeroko. Klerycy okrągłymi ze zmęczenia oczyma poglądali czas jakiś na rozpartego biskupa, coraz bardziej ulegali senności. W izbie było duszno, mimo ciepłej wiosny ogień płonął bez ustanku; przygasł, gdy pachole, podrzucające wciąż susz, zdrzemnęło się, przykucnięte w kącie. Klerycy pochyłali głowy coraz niżej, opadły im zupełnie. Świece się zakopciły, żar na palenisku pokrył się popiołem, półmrok ogarnął izbę. I cisza.

Mieszka wsłuchiwał się w nią, zanim otworzył oczy. Zimnica nie ustąpiła, choć już go nie trzęsło, ale chłód podchodził mu aż pod pachy; skostniałych nóg całkiem już nie czuł. Słyszał lekkie pochrapywanie, rozbijające dzwoniącą ciszę. Mrok zalał oczy, przymknięte powiekami. Gdy budził się dotychczas nocami, z ciemności napływały zaraz widziadła spraw i zamiarów, ludzi i czynów, walk i intryg; zamęt władania i niepewności planów; wszystkie zawody zwycięstw i wszystkie nadzieje klęsk; korowód mar żywych i zmarłych; całe księstwo z grodami, dostatkiem, siłą, wszyscy sąsiedzi, wrogowie i przyjaciele. Mrok pełny był utajonego życia, jak staw, cichy tylko na pozór, po wierzchu. Teraz ciemność była zupełna i naga, bez planów i nadziei. Jedynie słuch jeszcze coś mówił, jedynie w słuchu coś żyło, coś działało się.

Chrapanie się urwało niby ostatnie ogniwo życia. Świadomość zaczęła zalewać czarna próżnia, zła fala nicości, bezwzględna w swym okrucieństwie. Nagły strach targnął kostniejącym ciałem, okrytym futrami. Mieszka otworzył oczy.

Trzy świece śmiły się, lecz choremu zdały się ognistymi koliskami rozgrzewającymi dojmujący chłód w piersi. Uniósł głowę - była wielka jak dom - obrzucił wzrokiem izbę. Iskra gniewu zapalała w stygnącym łonie. Tak ci przy nim czuwają! Przy księdzu i panu! U nóg jego łyskała czerwona czupryna Ody; po białej ręce w odchylonym po łokieć rękawie spływały faliste pasma włosów, które tak pieścił; wąskie plecy drgały równym oddechem; twarz ukryta w dłoniach, zanurzona w futrze, lecz Mieszka widział ją przez tę zasłonę. Umiłowana żona, ostatnia. Siwe oczy Dobrawy spojrzwały nań z głębokiej studni przeszłości. Tamta godniejsza była, mędrsza, wierny druh i serdeczny doradca; aleć ta umiłowana, umiłowana nad wszystko. Nie odrywał oczu od ręki owiniętej czerwonymi pasmami, od zarysu głowy i pleców przegiętych w złamaniu boleści; klęczała, przytuliwszy się ufnie do jego nóg. Umiłowana, umiłowana. Ciepła fala krwi ożywiła go naraz i rozgrzała.

Znowu usłyszał chrapnięcie, wzdrygnął się i obrócił oczy. Dojrzał nogi rozstawione szeroko, ręce splecione na brzuchu, ostrą, sterczącą brodę. I krzyż wiszący na piersi. Krzyż! Wpatrzył się uważnie w ten dziwny znak z utajoną w nim mocą życia; nigdy tego nie mógł pojąć. Moc życia. Jakby była jakakolwiek moc pod gwiazdami, która życie przedłuży choć o tchnienie. Kto w krzyż i w Jezu Krysta uwierzy, nie umrze; mówił mu to często Unger, a przed nim Jordan. A wždy oto leży na łożu śmierci. "Pójdziecie, ksze, do Jezu Krysta, nie pomrzecie" - upewniał go Unger. Toć i jego dziady nie

pomarły, czuł się wyraźnie w tym łańcuchu przodków i potomków ważnym, istotnym ogniwem; ogniwo to nie pęknie, nawet gdy on odejdzie. "Kto uwierzy we mnie, a ochrzci się, żyć będzie na wieki". Niewiele było zdań, jakie spamiętał z nauki Jordana, ale to wpadło mu w ucho. Dziwne to słowo "uwierzyć", wymagali jego spełnienia biskupi. Słowo to było tajemniczym zaklęciem, dającym moc życia. Może on nie uwierzył? Przed oczyma rozszumiała się mu szeroko puszcza rodzona. Ta nie wymagała wiary. Wiatr szedł nad gałęziami, huczał w konarach, falował potężnymi dębami, pamiętającymi dziadów. Onże, ksiądz Mieszka, kazał rąbać potężnych praszczurów w namiętym zaślepieniu służby Nowemu Bogu. Żal mu przepełnił serce za tym, co zniszczył; za puszczą ojców i dziadów; za obiatami w jej cieniu; za stosem pożerającym ciało wojownika i władcy; za rojem bogów i boginek, przepełniających bory, gaje, pola, rzeki. Wszystko to zabił, wygnał, podeptał dla tego znaku, który świecił teraz samojeden - dumny i władczy - na piersi biskupa.

Ciężko szła walka Mieszce. W on czas dumki pełne rozterek nie przepełniały piersi księcia, rozsadzanej wrzącą gorączką czynu; przekleństwa i błogosławieństwa człowieka, nie mogącego umknąć od działania i osiagającego w działaniu swą pełnię - ale i czczość. Teraz wpatrując się w jarzący na piersi biskupa krzyż, przypomniał sobie ów nagły błysk myśli, który poprzedził decyzję. Było to po powrocie z wyprawy. Siedział, by prosty woj, na progu domostwa w kurzu upalnego południa. Przed nim drużyna rozkładała zdobyczne zbroje, niemieckie, żelazne szlomy, długie szczyty obite miedzią, miecze szerokie, ostre, obosieczne, lśniące w słońcu. Gwar podziwu obiegał podwórzec, cały gród zbiegł się oglądnać tak znamienity łup. Wąsate twarze wojackie rozświetlone pożądlivością pełną podziwu. Szara pleśń płóciennej przyodziewy, skórzane pasy rzadko u kogo nabite blachą, grubo kute przez domorosłych kowalów miecze i noże, czasem nawet kamienny topór znaleziony w usypisku nad rzeką; tarcze obite skórą; także szlomy ochędożone drzewem lub kością, lby żubrów nasadzone na głowy; brązowe spięcia jako oznaka bogactwa. I ten podziw, ta pożądlivość łapczywość setek oczu wlepionych w zdobycz. Mieszka sam się z niej cieszył jeszcze przed chwilą. Teraz, wodząc wzrokiem po rozognionych twarzach, poczuł nagle bolesne poczucie poniżenia. Toć u Niemców byle woj ma taką broń, a jeszcze konia na dodatek. Taki to kraj bogaty i potężny, owi Niemce. A Niemcy to jeszcze nie koniec świata. Wspomniał, jak to mu kupce wędrowni - mieli wielkie bogactwa na wozach i licznych sług dla obrony przed napaścią - opowiadali o wielu krajach dziwnych: o Italii, gdzie śniegu nie obaczysz ni mrozu nie uświadczysz, o Prowansji pełnej rycerstwa zakutego w żelazo, o Burgundczykach sławnych z wina i bitności, o grodach pełnych bogactwa i zamkach warownych; o samostrzałach wielec mocniejszych niżli najlepszy łuk palony; i o na j cudniejszym grodzie na ziemi, Bizancjum, pełnym tak wielkich bogactw i potęgi, że pół świata można by za nie kupić; toć o tym grodzie najcudniejsze gadki krążyły u kijowianów, którzy tam chadzali. Brodate twarze kupców zadarte były ku księciu, gdy klęczeli rozkładając na wzorzystych płachtach towary: miecze tak giętkie, że zwinięte w obręcz nie pękały, a puszczone - z nagła rozprostowywały się z suchym trzaskiem; noże na Zachodzie zwane mizerykordią, klindze długiej a cienkiej i ostrej niby ośc rybna; dzbany i misy ze srebra, nabijane kamieniami, poślacane kubki, czary z mieniącego się szkła; drut miedziany i bisior dla białek; tkaniny dziergane - we wzory, smoki i ptaki o długich, falistych ogonach; kwiaty nie widywane nigdy. Kupiec wprawnymi rękoma rozkładał owe cudacudeńka; pokazywał, zachwalał, obdarzał księcia i najbliższych; wymieniał na futra, wosk, jantar, niewolników; lecz przede wszystkim biał, a przed zasłuchanym Mieszka, siedzącym na moszczonym skórą zydlu, z głową wbitą w ramiona, zadumanym i ponurym, świat się rozrastał rozszerzał. Wszędzie zaś, gdzie było bogactwo a moc, a wielkość, wyrastał nad krajami i ludźmi potężny znak nieznanego Boga, Jezu Krysta.

O Bogu tym bajała mu też Dobrawa, córka Bolesława. Mieszka oporny był wobec jej gadek. Czuł strach i wstręt przed tym Bogiem nieznanym, jedynym jako palec, przed obyczajem obcym, aż wrogim, przed wstrząsem, którego dokonać trzeba, nieodwracalnym a zupełnym. Zdawało mu się, że zagubi siebie i swój kraj szumiących puszczy odda w niewolę, utraci pełnię swobody, zdradzi dziadów i wszystko, czym żył dotychczas; jakby miał zamienić własny oddech na cudzy, własne tętno i własną krew. Krzyczał na Dobrawę, gdy go namawiała równym, spokojnym głosem, i nienawidził wtedy jej siwego spojrzenia. Ona ustąpić nie chciała i on nie chciał. W gorące, pulsujące noce, gdy leżeli podle siebie, a on obłapywał chciwymi rękoma jej twarde piersi i biodra, ona szeptała mu w ucho imię Kyryi Krysti. Wtedy sztywniał, odchodziła go wszelka ochota do tej białki zaprzędanej całkiem obcemu Bogu, nie będącej nigdy jego pełną własnością, jak przywykł; albo gwałcił ją bezwzględnie, przemocą, tym zwierzęcym odruchem świadcząc przed samym sobą o swej władzy i nieustępliwości. Lecz gdy potem leżał znużony nasyceniem, czuł, że bezwładne ciało obok niego pulsuje tą jedną myślą, wolą, pragnieniem, by go dla Jezu Krysta przejednać; więc zaciął się w sobie tym mocniej.

Kiedy tak siedział na progu pod upalnym kurzem słońca, patrząc na zbroje i miecze złupione' na Niemcach, słuchał gwaru pełnego podziwu i zazdrości, był tysiąc staj od myśli Bogu Kyryi Krysti. Aż w pewnej chwili wzrok jego padł na krzyż zaczepiony jedną stroną cienkiego łańcuszka o żelazny naramiennik; druga była zerwana w boju i krzyż dyndał się niemocny, okryty wzgardą przegranej. W tejże chwili spłynęła na Mieszkę pewność decyzji. Wstał nagle, pozostawiając za sobą rozrzucone miecze i zbroje, wiernych wojów towarzyszy, nieświadomych, że w tejże chwili dokonał się przełom, który wstrząśnie całą ich ziemią, najdzikszyimi matecznikami puszczy i serc. Stali zadziwieni gwałtownością jego ruchu, gdy słońce świeciło nad nimi tymże oślepiającym blaskiem, a pył wirował w rzadkich podmuchach wiatru. Mieszka odwrócił się od porzuconej rycerskiej zdobyczy jakby wzgardziwszy łupem, który mu dał oręż, siła ramion a kości, i wszedł w duszny mrok sieni. Stał przez chwilę pośrodku, wahając się na swych pałakowatych nogach i trąc czoło, nie mogąc sobie zdać sprawy, co w nim zaszło; potem wolnym krokiem, zgnębiony, jakby pobity przez te bezwładne, rozrzucone nieporządnie pancerze i miecze wrogów, których ciała odziobały już kruki i obgryzł zwierz leśny, ruszył wprost do Dobrawy - jedynego człowieka, który by choć w części mógł pojąć rozsadzające go gwałtowne uczucia.

Czy nie uwierzył? - jak mu kazali biskupi - i co znaczy w ogóle: uwierzyć? Służył wiernie Kyryi Krysti, a nie była to łatwa służba. Pamiętał przerażone, nie rozumiejące oczy drużyny, gdy zapowiedział jej, że nowego Boga uznał. Poddali się ulegle jego woli - nie przekonani, nie przejednani. Bili w tarcze - na szczęście! - w czasie jego chrztu, patrzyli nienawistnie na obcego świątka z wylupiastymi oczyma. Czekali z przerażeniem, jaki los zgotują dziady wiarołomnemu Mieszce, ale jemu się wiodło w bojach i miłości: Dobrawa powiła mu syna. Ano! Kyryi Krysti mocny Bóg. Oswajali się z Nim z wolna. Potem Mieszka namówił jednego, drugiego, by zanurzył się w cebrze ze świętą wodą, z podziwem spoglądano na śmiałków. Żadne jednak nie spotkały ich nieszczęścia, a ręka księcia była hojna: dostawali zbroje zdobyczne, miecze i konie, a gdy który siał dziewosłębów, Mieszka wypłacał wiano ojcu dziewczyny. Więc garnęli się szerzej, inni szemrali, buntowali się. Wtedy wybuchnął gniew książęcy: łby leciały, ludzie byli rozrywani między drzewami, obcinano ręce, wylupiano oczy. Strach padł przed księciem i nowym Bogiem. A Mieszka się rozjuszył, jał wycinać święte dąbrowy i gaje, zadeptywał miejsca obiat. Budował domy dla swego Boga - w Krakowie, Gnieźnie, Poznaniu. Zęby łamał za jedzenie mięsa w dni zakazane.

Jordan podjudzał go ciągle, jego ludzie, wyuczywszy się mowy, tłumaczyli, że czić można tylko jednego Boga i Jego Matkę, a wszystko inne jest wilkołactwem. Straszili wielkimi mękami za życia i po śmierci. Ciężko szło, ale szło. Starzy sarkali, zmawiali się z cicha, lecz już się nie buntowali. Młodzi ułapili się nowego Boga - dla łaski książęcej. Kiedy Bolko powrócił z niewoli niemieckiej, poszło głódziej; z każdym rokiem szło głódziej. Ale w początkach było ciężko.

Bezwładny zewłok, leżący pod niedźwiedzim futrem, nie spuszczał oczu z krzyża na piersi biskupa. Wszystko to zrobił. A teraz go ścisła nagły żal, jak tęsknota spóźniona za tym, co zabił w twardej, nieustępliwej walce. Zabił? Wiedział dobrze, że dawne bogi żyją wszędzie tam, gdzie nie dojrzy jego oko i ucho; że kryją się w cieniach lasów, ale i w węglach jego własnego domostwa. Teraz z przerażeniem dostrzegł, że żyją również w jego sercu. W ciągłym napięciu powszednich dni, zbyt szybko przebiegających, by zmieścić ogrom spraw i wypadków, z którymi trzeba się było dołąć i które trzeba było zdołać, brakło czasu i sił na wejrzenie w swe prawdziwe uczucia; zresztą tego by nie potrafił - w nim był jeno wir namiętnych pożądań, podstępnych planów i mocnego uporu ich wykonania. Teraz, wpatrując się wciąż w znak Krysta - własny, czy wraży? - poczuł dręczące go wątpliwości; i w nagłym spięciu myśli i uczuć zrozumiał całą wielkość tego dziwnego słowa: uwierzyć.

A jeżeli obce jest to słowo, dające moc życia?... Krople potu wybiegły mu na czoło. Co będzie? Dziady go nie przyjmą, Jezu Kryst się go zaprze. Będzie się błąkał samotnie nad chojarami, upiór bezdomny, on, Mieszka, pan i ksiądz. Przerażony zaczął powtarzać raz po raz:

- Jezu Kryste, przyjmij mnie... Przyjmij... Nie daj na pogańbienie. Jeś Ty mocny Bóg, walny Bóg, dzielny Ksiądz wśród bożyców, Jezu Kryste!

Strach zawirował mu w piersi: jakże odważył się swoim słowem, własnym zaklęciem mówić do Jezu Krysta. Jeszcze się Ten obrazi a zgniewa. Nasilił mózg, by przypomnieć słowa mocnego zaklęcia, któremu się Bóg nie oprze, a które - przywalony wirem dni - rzadko powtarzał:

- Oócze nasz, jenże jeś na niebiesiech, oświeć się w Twe imię, przydzi Twe królestwo, bądź Twa wola jako na niebie tako na ziemi, daj nam dzisia chleb nasz wszedni, otpuści nam nasze winy, jako my otpuszczamy naszym winowaćcem, a nie wodzi nas na pokuszenie, ale nas zbaw ote wszego złego. Amen.

Odetchnął - rad był, że pamiętał dokładnie, że nie opuścił żadnego słowa, które by - pominięte - zniweczyło wartość zaklęcia. Znowu uchylił powiek i znów gniew w nim zapełgał niby błękitny ognek w żarze dopalającego się stosu. Tak ci czuwają... Usiłował poruszyć nogą, żeby obudzić Odę. Nie zdołał. Napłynęło ku niemu uczucie osamotnienia człowieka wśród mrowia otaczających go ludzi, dostępne jedynie opuszczonym i słabym. Był stale samotny; nigdy nie pewien życia w gromadzie wiernej drużyny; zawsze daleki i obcy w gorączce planów. A przecie nigdy nie czuł tego. Stawiał odważnie czoło nie tylko wrogom otaczającym go wkoło nieprzebytym kręgiem nienawiści i lęku, lecz i samotności; nie zatroskał się o nią, bieząc na przełaj lub przebijając się z wolna przez zasieki piętrzących się trudności ku dalekim, majaczącym celom. Ludzi, którzy mu w drodze stanęli, usuwał albo zmuszał, żeby szli razem; był siłą. Lecz teraz jest marnym zewłokiem. Ci, co szli wiernie za siłą, posnęli wokół słabości - a jego nie stać nawet na gniew.

Przymknął powieki i roztworzył je z nagłym przerażeniem. Oda! - krzyknął potężnym zrywem woli, lecz z ust wybiegł ledwo ułudny szept. Odpowiedziało mu chrapnięcie biskupa. Unger poruszył głową, rozplótł dłonie; jedna ręka stoczyła się bezwładnie na oparcie krzesła, druga nadal spoczywała na brzuchu. Nigdy nie był drugim księdza - Mieszka wiedział o tym. Jordan inaczej, inaczej. Ale Unger... teraz z Bolkiem trzyma. Przeciw Odzie i jej synom. Chytrek! Siedzi kamieniem, nie odejdzie. Niby dla posługi. Chce być przy ostatniej godzinie, wszystko wiedzieć. By potem szkodzić.

- Oda! - próżno napina się wola, z tężejących warg nic ponad szept nie wychodzi. Zostanie sama - ta wątła białka o wąskich plecach, małych rękach, drobniutkiej twarzy wśród zgrai gorszej od wilków. Nie dadzą ostygnąć trupowi, by rzucić się sobie do gardła. Mieszka patrząc w mroczny pułap widzi przed sobą tę dziką szarpaninę, błyski mieczów i stukot toporów; bary splecione w walce wszystkich przeciw wszystkim o dział, o władztwo, o spuściznę: znał dobrze te splątane bójkę w ciasnych izbicach, po komorach a przejściach, pod progiem i na zapłociu, wedle całego obejścia. Krzyki i zamęt, tupot biegnących nóg i pomieszane zawołania. Jomsborg z wyciem się wdziera do grodu. - Gore, gore! - Na wieży trzemu uderzą w dzwony, huczące wysoko nad łuną. I w tym swarze drobne ciało Ody, przedmiot nienawiści i żądy. Synaczkowie jego - dzieciuchy jeszcze, otroczki lada jakie. Nic nie powstrzyma Bolka, biskupa, wojów, dawnych władcyków, wiernych czcicieli starych bogów, Niemców, Normanów. Wieleż tego! Lepił te tyle różne, tyle sprzeczne pyły w jedną całość, w jedną budowlę. To był daleki cel, to była jasna myśl, to był przedmiot uporu i woli. Na nic! W śmiertelnym jasnowidzeniu dojrzał teraz: wszystko to na nic. Nie złączyć ognia z wodą, nie złączyć dawnych zrzeców z Krystem, Niemców i Normanów ze swojakami, młodych ze starymi, władcyków ze smardami, rodowych z drużyną. Na nic wszelkie wysiłki, poselstwo do Rzymu z darem działów przeznaczonych dla Ody i jej synów ni wspólna klątwa całego ludu wolnego a drużyny. Cisza snu otaczała jego łożę. Jeszcze jedno tchnienie czy dwa - niechby tysiąc - może do pierwszego kura. Zimno wlewa się głęboko pod pachy, wzdłuż obu boków, stygnących w śmiertelnym tężeniu. Cisza, tyle co biskup pochrapuje. Ale w tej ciszy Mieszka słyszy już rumor walki. Póki żył, poty trzymał wszystko mocną garścią - nie popuścił. Póki żył... Nie ma po nim następcy, Mieszka ma ledwo dwanaście wiosen. A Oda...

W rozpaczliwym porywie dźwignął się jeszcze. Wsparł się łokciami o wezglowie, by sięgnąć Ody ręką. Głowa mu się chwiała. Lecz więcej nie mógł. Wpił się oczyma w ugiętą postać żony, kruchy kształt, który mu przypadł do nóg. Oda...

Chrapanie wydarło mu się z gardła, poczuł, że leci w ciemność. Nie utrzymał się na drętwiejących łokciach, opadł niemocny, z zawrotem głowy tamującym oddech. Lecz ponad zawrót głowy, szum i kraśne ogniki błyskające pod czaszką łomotała straszna świadomość chwili, która nadejdzie wnet po jego śmierci.

Ta nawałnica rozpaczliwych uczuć i szamoczącej się myśli, próżno szukającej ratunku, nie wyrażała się już w twarzy. Bolesław, uchyliwszy drzwi, długo patrzył na zewłok ojcowy, nieruchomy by kłoda zżarta przez próchno. Wielka głowa Mieszki opadła głęboko, jakby wyciągnięta na starczej, niemocniej szyi; ramiona pierwszy raz osunęły się bezsilne; twarz zastygnięta jak u trupa. Rzadka zaduma spłynęła na Bolesława nie zwykłego - z dufnością młodości - darzyć słabość czym innym niżli pogardą. - "Nie czuje już nic" pomyślał i wzdrygnął się, gdy naraz ojciec otworzył oczy.

W tych czarnych, zapadniętych jamach ojcowych oczu tała się przyczyna, że Bolesław podszedł spieszenie do łóża. Powiódł wzrokiem po uśpionej izbie, jakby się bał sam z ojcem zostawać. Lecz spojrzenie Mieszki przykuło znów jego wzrok. Nachylił się ku choremu i spytał:

- Jako wam, ociec?

Chrapliwy szept zmusił go do nachylenia się do samych ust ojca. Usłyszał urywane słowa:

- Klnij się na Jezu Krysta... że nie uczynisz krzywdy ni Odzie, ni jej synom.

Mieszka dojrzał, jak na te słowa syn się odchylił gwałtownie, odskoczył na krok. Ten odruch ukazał mu głębię nienawiści wrzającej w piersi pierworodnego. Bolesław stał nad klęczącą Oda, jakby błagając męża o ratunek przed pasierbem. Nie patrzył na ojca. Z wysoka spoglądał na małą kształtną głowę macochy, otuloną przepychem złotych włosów. Ten obraz Bolesława, rozrośniętego, szerokobarego, o wielkim kudłatym łbie, półpochylnego nad bezsilnym ciałem Ody, był koroną trwoźnych obrazów, nękających śmiertelnie znużony umysł Mieszki. Żyli obok siebie tyle lat w niewygasającej nienawiści, z uśmiechem na ustach, z łagodnym słowem i gestem, ze względu na niego, ojca i męża, księdza i pana. Gdy jego nie stanie... jakież może być rezultat walki? Czyż można wątpić? Starczy spojrzeć na oboje.

Znów Mieszka targnęła rozpacz; i strach; i wściekłość. Nie może już nawet mówić ni zmusić Bolka do złożenia przysięgi. Czemuż nie uczynił tego przedtem, tak bardzo zabiegając o innych. Może by Bolko uszanował imię Kyryi Krysti.

Bolesław obrócił oczy od Ody ku ojcu: nienawiść wrzała mu w sercu mocniejsza nad wszystko. Lecz zrobił znowu krok naprzód; w zapadniętym obliczu ojca, w jego spojrzeniu pełnym przedśmiertelnej męki, była dawna siła ojcowska - zawsze się przed nią uginał. Pochylił się ku choremu i powiedział wyraźnie:

- Spełnię wolę waszą, oócze. Klnę się na Jezu Krysta, że nie podniosę ręki na Odę i na jej synów.

Oddech chorego zelżał.

- Pomnij - stęknął - pomnij, że oskarżę cię przed Jezu Krystem, jeśli nie spełnisz. Upiorem przyjdę.

- Spełnię, ociec. Klnę się na dziadów i skon wasz.

Oddech zelżał jeszcze bardziej. Mieszka oczy przymknął, siły zbierał. Syn nie odchyłał się, czekał.

- Klnij się takóž na Jezu Krysta, że nie wygnasz ich z działów, które im dałem.

Bolesław wyprostował się z wolna. Zapatrzył się przed siebie. Stał wyprostowany, groźny, ponury. Mieszka wiedział, co usłyszy od syna. Gniew go porywał - bezwładnego. Jakby mu się serce pakowało do gardła, tchu złapać nie mógł. Z niezmiernej dali doszedł go głos syna:

- Tej klątwy, ociec, wam nie złożę. Nie spełniłbym jej.

Nagły skurcz serca, jakby fala napływająca pod czaszkę, poderwanie się niemocnego na łożu, chrapliwy okrzyk:

- Boi...

Mieszka zwalił się na wezglowie niby głaz, którego omdlałe dłonie nie mogą już utrzymać. Drgnął silnie, krótki charkot wydobył mu się z ust, głowę odchylił do tyłu. Bładł bardzo szybko.

Bolesław stał nad nim, pochylony dłuższą chwilę. Wreszcie wyciągnął rękę i usiłował przykryć powiekami straszne, wywalone nań gałki oczne; ale ręka lekko mu drżała.

Kiedy się odwrócił, głos miał znów spokojny i silny.

- Czemu to śpicie? Mieszka, ociec mój, pan i ksiądz wasz, pomarł - zawołał na całą izbę.

Pierwszy porwał się Unger. Otworzył oczy, rozglądał się chwilę dokoła, mrugał powiekami, skoczył ku pochylonym klerykom, grzmocąc ich pięścią po karkach i złorzecząc po niemiecku. Wraz też ozwały się trzy głosy, odmawiające na zmianę łacińską modlitwę. Głosy unosiły się i opadały, napełniały izbę niby równym szemraniem strumienia. Unger, zaczerwieniony mocno, mrugał ciągle, spoglądał bacznie na zmarłego, na Bolesława, na Odę.

Wdowa na głos Bolesława podniosła głowę, ale nie zerwała się zrazu. Obu rękoma sięgnęła do włosów, poprawiła je paru ruchami, naciągnęła podwikę. Dopiero podniosła się wolno, ze spokojną twarzą, suchymi oczyma. Nie uderzyła w szloch. Minęła Bolesława, jakby był cieniemmarą, podeszła do zmarłego. Chłopak, drzemiący dotąd w kącie, szybko przysunął się do paleniska, rzucił kilka gałęzi na żar; przysiadł- zalekniony, czy mu łba za niedbalstwo nie ukręca - i dmuchał w węgle. Buchnął wysoki płomień. W jego blasku Bolesław dojrzał ostro zarysowaną twarz macochy: równe czoło, prosty, cienki nos, ledwo widoczne wargi, spiczastą brodę podana nieco do przodu; głowę trzymała prosto, ręce splotła pod piersiami, zimna, pewna siebie, zdecydowana. Ozwała się swym suchym tonem do biskupa:

- Dajcie mu krzyż, Ungerze, pomarł jako prawy chrześcijanin; onże pierwszy wwiódi krzyż do tego kraju.

Biskup pokraśniał na te słowa, ale zmilczał. Zdjął z szyi złoty łańcuch, ucałował wizerunek Ukrzyżowanego, włożył go w zaplecione dłonie zmarłego. Oda się odchyliła od Mieszki i, opierając się jedną ręką o ścianę, półobróżona do biskupa mówiła:

- Każcie takż bić w dzwony. Niechże się prędzej gród dowie, że pomarł mój mąż, a ich ksiądz.

Biskup zaniemówił ze złości.

- Odkąd to... odkąd, pani, rozkazujecie w rym grodzie? Wždy to dział Bolesława.

- Przy truchle męża mego i pana jam pani - głos jej był suchy i twardy. - Mnie w opiekę oddał swych synów.

- Ale nie Bolesława!... biskup nie panował już nad rozdrażnieniem. Ej, ciężko będzie ugodzić się z taką białką, oj, ciężko i niesporo.

- Ja do opieki nad nim nic nie mam. - Za wcześnie tu się rządzić zaczynacie.

Głęboka cisza zaległa po tych słowach. Nad trupem Mieszki rozpoczynała się walka, której bał się przed kilku jeszcze chwilami. Ciszę tę przerwał głęboki bas Bolesława:

- Posłuchajcie jej, Ungerze: toć wdowa. Niechże się rozrządzi i nad opatrunkiem ojca, nad strawą, nad nocnym czuwaniem, nad pogrzebieniem, nad wszystkim. Jej to prawo i posługa.

Spojrzeli nań zdumieni, nie spodziewali się tych słów: Unger z oburzeniem, Oda z utajoną trwogą. Bolko ciągnął dalej:

- Ja tymczasem pójdę w tarcze uderzyć i zebranych wojom ogłosić czarną wieść.

Oda zrobiła ku niemu kilka szybkich kroków. Stojąc bardzo blisko, niższa odeń o dwie głowy, patrzyła mu prosto w oczy:

- Nie pójdziecie do wojów, Bolesławie.

- Nie? A kto pójdzie? Może wy? Białka? Abo Mieszka? Otrok nieletni?

Zmieszła się na chwilę.

- Hugo pójdzie.

Popatrzył na nią z jawnym szyderstwem.

- Hugo Niemiec? To on ma być u was wojewodą? Myślałem ci, że Przybywoja pošlecie abo Odylena. Nie, pani, wolej już ja sam pójdę.

- O drużynę wam idzie, wiem. Nie pójdziecie.

- O drużynę - odparł szczerze. I pójdę.

Obrócił się do niej plecami i wyszedł. Unger, który słuchał oniemiały rozmowy, znów zaczął śpiewać modlitwy; dwaj klerycy podchwycili wersety mocnymi głosami jakby powiew nadziei przeszedł przez izbę. Oda się zawahała, staja chwilę bez ruchu, aż osunęła się nagle na klęczki w tym samym miejscu, w którym konający Mieszka na próżno usiłował ją zbudzić, by ostrzec przed grożącym jej ze strony Bolka niebezpieczeństwem.

Ze dworu dochodziło suche, żałobne łomotanie w tarcze.

4.

Druga z czterech szop stojących obok siebie na wprost głównej bramy grodowej była stanem drużyny zmarłego księcia. Gdy woje bezładną gromadą, przepychając się tłumnie, wchodzili przez szerokie drzwi domostwa, trup Mieszki leżał już trzeci dzień, żółty, z głębokim cieniem pod opuchlizną powiek i sinawym nabrzmieniem nozdrzy i warg. Gniewny pomruk unosił się nad gromadą. Biskup wściekł się, nie pozwolił uczcić księdza w rodowej sieni. Wiódł go - zaraz po skonie, poniewierając godność zmarłego - do cyrkwi, tam ustawił w środku na wzniesieniu i tam to czuwać kazał. Nie doma! Siedzieli wokół nachmurzeni, w blasku dwunastu świec dużych, dwunastu świec średnich i dwunastu małych, pomalowanych na czarno i płonących potrójną zaporą żółtych płomyków. Gniewał ich ten nowy obyczaj. W chybotliwym świetle błyskał pancerz księcia ze złotym krzyżem na piersi, szłom złożony pod pachą i nagi miecz pod prawą ręką. Świątek kościelny objaśniał świece żelaznymi szczypcami. Zgraja kleryków śpiewała na przemian psalmy, a te niezrozumiałe zaklęcia przyjmował krąg siedzących wkoło wojowników niechętnym, pogardliwym milczeniem. Nie ruszali się trzy dni, nie zaznali jadła ni snu. Otaczali twardym pierścieniem wąsatych mord, namarszczonych czoł, ponurych spojrzeń wyniesione truchło pana, nie popuszczając z ręki miecza, nie rozluźniwszy kolczug i pancerzy. Dokoła nich falowała bez ustanku pieśń kościelna - niezrozumiała i obca. Bolko siedział bez ruchu u głowy rodzica, u nóg Oda leżała krzyżem na rozesłanych skórkach. Rankiem biskup odprawił ofiarę, mając za sobą tenże milczący, zacięty krąg wojów. Dym palonych przed ołtarzem ziół i jantaru unosił się siwymi smugami do stropu. Czarny krzyż panował nad świątynią. Pieśń brzmiała ciągle. Nic nie mogło rozproszyć niechęci drużyny - nie tak, nie tak trza uczcić wielkiego księcia i wojewodę.

Wracali ponurzy i gniewni. Na stołach zastali przygotowane jadło - wielkie michy z kaszą, polewką, rybą, bo był piątek, i cebry z piwem. Zabrali się do jadła w chmurnym milczeniu - nowe porządki zbrzydły po gardło. Woleliby mięso, ale niech tani. Milczkiem drażyli podpłomyki, by czerpać polewkę. Siorbali - wciąż bez słowa, w ciszy tak rzadkiej w tym budynku, pełnym zwykle gwaru. Dopiero piwo rozwiązało języki. Dobrze, że jeszcze piwa nie wzbroniono!

Szopa była długa, bez sieni i komór. Ten i ów układał się do snu na ławach, nad głowami wisały tarcze krągłe i podłużne, łuki i tuły ze strzałami, oszczepy, sulice, szłomy, kozuchy, skóry, wszelaki przyodziewek. Puchala Starogniew, starosta w setce, naciągał kozuch pod szyję, zrzędził:

- Biskupa trza po ciemieniu. Wraży syn...

- Onże Niemiec. I Oda. Pewno, nie znają Niemce starego obyczaju.

- Wy nie gadajcie na Niemców. Teraz my Odzie służym.

- Wiadomo, Puchala Hugonów drug - mruknał Odrzykoń zawzięcie. Siedział jeszcze przy stole, siorbał piwo. Boruta przeciągnął ramiona.

- Mór by ich zabił - warknął; pochodził z rodu Gdałów, wszyscy Gdale byli złośliwcy i zabijaki. Boruta miał szczech twardą, oczy małe i zawzięte. - Widzieliście, jak leżała przed truchłem. Z biskupem za jedno trzyma.

- Tak jak liszka z jeżem za jedno trzyma - zaśmiał się Dobrosz Ostoja, brat Bogdasza, zwanego Pieczyrakiem.

- Widzieliście kiedy liszki miłosne uciechy?

- Jako mówisz?

- Wždy liszka jeża obleje, a potem za goły żywot zębami ji; zębami.

- Jeż! Słyszysz?

Chłop już leżał pod ścianą, płonące u ściany łuczywo oświecało długie piszczele, gołe stopy, porośnięte po wierzchu gęstym włosom. Drapał się po piersi, jazgota! spod ściany na całą izbę:

- Biskup ścierwo. Widzieliście. Kopnął misę z kaszą, jaż postawiono w nogach księdzu. Rozsypała się święta kasza, deptalim ją nogami. Widzieliście. Wen pisanki powyrzucał z za pazuchy. Toć garnek z wodą, toć jadło a napitek. Sam ci widziałem, pisanki podeptał. Krzyczał przy tym, że to pierwszy pogrzeb księdza krześcijański w tym kraju, to i obyczaj dawny wen! Kasza wen! Jaja wen! Strawa wen! Słyszeliście? Ścierwo!

Hyr poszedł po izbie.

- Z domu wyrzucił, księdza i gospodina. Mieszkę z jego domu wygnał.

- Pogañbił.

- Czci nie dał złożyć. Zewłok zwykłą wodą mył.

- Nie obkurzył. Nie ogrzał.

- Słuchać! - wrzeszczał Budziwoj wskakując na ławę. - A jak skończył ksiądz nasz, Mieszka? Nie dopuszczono nas ni Bolka, syna uznanego. A jak pomarł? Spali tam wszyscy: biskup a Oda, a świętki, kiedy Mieszka zmyślił do dziadów iść. Jedno, że Bolko wpadł, a był przy tym. Spali.

- Górze, górze! Pogañbienie.

- Nie ogrzali ji, nie obmyli.

- Mieczem ni toporem nikt nie osłonił. Uroku nie spędzał.

- Sam ci Bolko nam gadał, o szczyt bijąc. Oda...

- Huzia z Odą!

- Poćpiega!

- Bolko prawił. Onże prawy ksiądz a woj.

- Za kiecką pójdziem na bitkę.

- Za smardami!

- Wen z Odą! Wen! Wen!

- Topory - darł się Budziwoj - za Mieszkę! Bij! Bij!

Rozruch zrywał się w szopie. Boruta chwycił za topór, Budziwoj kolczugę wciągał, Jarosz pierwszy wykrzyknął zawołanie. Zagotowało się w izbie, pośpieszne ręce ściągały ze ścian miecze a siekiery. Odrzykoń, jedno tylko mając na myśli, krzyknął ostrym, przeraźliwym głosem:

- Wybić Niemce!

- Wybić, wybić! - chrzęst oręza górował nad wrzaskiem.

Puchała Starogniew siadł nie zrzucając kozucha, podciągnął kolana, zaplótł za nie dłonie, wodził nabiegłymi krwią oczyma po izbie. Gębę skrzywił, splunął, aż krzyknął:

- Durne chłopcy wy...

Zamarli na moment - jakże to? - Toć mówił, że trza biskupowi toporem po czerepie... Bo trza! Pewno, że trza! Toporem, toporem po łbie!

- Durne chłopcy - głos starego zniżył się do świszczącego szeptu. - Durne... durne...

- Puchała... Jakże mówicie?

- Nie słuchajcie go - zawołał Budziwoj. Ale gromada kupiła się do starego.

- Jakże to? Puchała!

Starogniew kiwał się do przodu jak nastroszony kobuz. Dłoni uchwycił kostki nóg. Kiwał głową. Splunął. Mełł w gębie szydercze przezwiska. W końcu rzekł:

- Sami prawicie, że biskup z Odą jako jeź z lizką. Mieszka miłował Odę, biskupa nie! Biskup z Bolkiem trzyma.

- Lado! Bolko walny ksiądz.

Puchała kiwał głową, patrzył na rozcierwienione gęby, ruchające się wąsy, pięści zaciśnięte. Dygotali z niecierpliwości. Trzy dni odprawiali żale po Mieszce. Aż pod gardło im podlaźł ten bezruch a skupienie. Teraz rozładowywała się w nich pierwotna dzikość. Bić! Po śmierci księcia zawždy wybuchały zamieszki: byli gotowi na rzeźbę. Podniecenie ich ogarniało, niechby już prędzej.

- Bij!

- Pijaniście - mruknął Puchała.

Odrzykoń zgrzytnął zębami.

- Czego chcecie? Bychmy Hugonowi dali się za pyski wziąć?

- Wždy klęliście się dopiero co na Jezu Krysta...

- Wen z Jezu Krystem! krzyknął pojedynczy głos z tłumu. Zapadła cisza - uszy dosłyszały nagle senny huk roju much pod pułapem. - Wen z Jezu Krystem! ? - jeszcze przed kilku dniami śmiałek, który słowa te krzyknął, dałby niechybnie gardło. Teraz nic mu. Zrozumieli ogrom przemian, jakie z momentem śmierci Mieszkowej zaszły nad całym krajem. Dojrzeli - w zbiorowym odczuciu - wielkość swego księcia i żal, że odszedł, i wściekłość, że zostali bez wodza, niby nikomu niepotrzebna gromada, niby pierzchliwe stado. A zarazem dusząca radość, że może wreszcie te więzy, które znosili ze strachu i miłości, dadzą się zerwać. Wen z Jezu Krystem! Jakby wiosenny powiew od puszcz świeży i ożywczy.

Drzewa za łęgami szumiały wysokimi konarami. Parująca ziemia dusiła ciepłym zapachem. Księżyc srebrzył ledwo zmarszczoną wstęgę rzeki. W cieniu nocy podkładały się dawne bogi pod próg, pod ostrokół, pod ich serca. Lelum! Jakże mocnym strumieniem pierwotnej żywi pędziła krew po ich żyłach.

Puchała zapatrzył się wraz z innymi w te gorące majaki.

- Nie gadajcie, synkowie - powiedział, a słuchającym się zdało, że w głosie jego brzmi zadawniony smutek - bo Jezu Kryst usłyszysz a spadnie na was, a pobije. Już my z Jezu Krystem związani na dolę i niedolę. Nasz On już i Jemu służyć będziem...

- I Niemcom - mruknął Odrzykoń.

- Ano, i Niemcom - odparł Puchała, a głos mu stwardniał. - Głupiś, Odrzykoń. Pomnijcie, jakoście się klęli na Jezu Krysta, ale i na dziadów, i na świętą ziemię. Że bronić będziecie Ody przed Bolkiem. Pomnijcie, synkowie.

Krzywili się, kręcili głowami, cichli. - Ano, prawda to, prawda. Nie poradzisz. - Opadło ich zniechęcenie - lepkie i mdłe - ogarnęła senność. Boruta zamachnął ramieniem, cisnął topór, który zawirował, ciaknął ostrzem w szerniałą belkę; przygarbiony, z rękoma spuszczonej między kolana, z ramionami opadniętymi spoglądał na sterczący trzonek. Odrzykoń przeciągnął ramiona, ziewnął szeroko, Zbygniew legł ciężko na ławie, przykrył oczy ramieniem, leżał bez ruchu, niby pień zwalony siekierą.

Układali się ociężale. Starogniew siedział wciąż. Nikt już nań nie zważał. Stary wciąż ramionami obejmował golenie, brodę oparł o kolana, niby ptak kościsty i nastroszony; mruczał pod nosem:

- Pomnę, jako nikt o Kyryi Krysti nie słyszał, chyba kupce bajali po grodach. Pomnę, dobrze pomnę, jak pod górą Wawel w jamie u samej Wisły smok siedział. Srogi był. Ludzi żarł gad obrzydły, latawiec. Pełgał na brzuchu. Byli tacy, co ji ubić chcieli. Był obrzym pode grodem w Krakowie, onże

braci miał. Każdy z nich po dwa woły w garść ułapiał i rogami trykał po sobie. Wziemi ci one obrzemy rogaciny mocne, w ogniu palone, a wielgie topory, co je z ułamanych wirchów wygładzili. Hajże na gada! To rozwarł gębę, połknął jednego obrzema, a drugiego, a trzeciego. Ino topór mu w gardle stanął, kaszlnął smok, topór aż pod wierzch góry wawelskiej poleciał pod bramę grodu; tam ci leży i nynie, jeno mu toporzysko zgniło i rozsypało się. Taki to ci był gad, onże smok. Od onego czasu krakowianie dary mu wielgie przed jamą składali, iżby ich nie ukrzywdził. Wszystko jedno, smok żarł ludzi, gdy kogo nocą złapał. Pomnę to dobrze, jako dzisiaj.

Boruta, leżący obok, obrócił się na ławie i zachrapał. Łuczywo się dopaliło, sterczały tylko wąskie, świecące węgle, niby ogniste klingi; z sykiem padały w wodę. Puchała spoglądał w mrok, mrucał:

- W Gniezdnie a w Lednicy, a Wrocławiu, a Smogorzewie takież gady żyły; jedno mniejsze. I tym nikt uradzić nie mógł. Wtedy to ksiądz Mieszka do trzemu poszedł przed Jezu Krystem się pożalić. I mówił Jezu Krystu: "Gad mi ludzi zre, a nic mu zrobić nie mogę". Wtedy Jezu Kryst tak pry do Mieszki: "Wiem ci, żeś ty Mieszka, walny ksiądz, i wojów masz, a smokowi nie uradzisz. Co mnie dasz, żeby smoka zabił?" Wtedy ksiądz Mieszka obiatę wielgą złożył, że dęby święte zwali, a każdy będzie krześcijanin w całym księstwie. "Dobrze - pry Jezu Kryst - ale ja nie będę potykać się ze smokiem, bo mam większego wroga, jenż zwie się Diabeł - jako wam Jordan bajał. Ale posłę wam woja mego, dobrego rycerza, jenż smoka ubije." "Nie zdzierży żaden woj, choćby bardzo .krzepki - pry Mieszka tylko ty, Jezu Kryste, pobijesz smoka." Zaśmiał się Jezu Kryst i pry: "Już ty się nie bój, tylko wybuduj cyrkwie zacne dla mego woja i świątków w onych cyrkwiach posadz a ziemię daj, a niewolnych, a bydłeta, a wszelaki dobytek". "Dobrze - pry Mieszka - cyrkwie pobuduję i niewolnych dam, i dobytku nie poskapię." Tegdy zaczął wołać Jezu Kryst: "Jura! Jura! Pódź tu, to ci ksiądz Mieszka cyrkwie da i wszystko, jako rzekł". Przyszedł Jura, zbroja na nim ze złota, a szczyt kiej słońce, a szłom kiej miesiąc, a jak zrobi krok, ażę ziemia drży. "Ubij jeno smoka" - krzyczy doń Jezu Kryst. "Ubiję, nie bójcie się, Jezu Kryste, rnałom to smoków w życiu nabił i jeszcze Wam nabiję." Postawił tegdy Mieszka dla Jury trzemy piękne i w Krakowie, i w Lednicy, i we Wrocławiu, i w Smogorzewie, wszędy, gdzie smok żył. Przyszedł Jura; kiedy machnie mieczem, wraz łeb smoka odleciał, a z długiego węża gadziny zielona jucha tryska. Uradował się Mieszka i wiele różnych darów Jurze dał, których nie pomnę.

Szopa chrapała pokotem. Puchała mówił do śpiących, wciąż wsparty brodą o kolana, w głębokiej trosce o drużynną gromadę:

- Jakoż wam, synkowie, z Jezu Krystem się dolać a bić. Mocniejszy On od was, słuchać Go wam a służyć. Dobrze Mieszka zrobił, kiedy rozdzierał tych, co na gniew Kyryi Krysti zasłużyli.

Położył się, stęknął, kozuch naciągnął, mruknął w mrok:

Ale biskupa trza po czerepie. Kajś w ciemnym kącie, wždy lepiej, kiej Kyryi Krysti wiedzieć nie będzie, ale trza. Wraży syn.

Nie zdawali sobie sprawy, jak wiele biskup wiedział o tych pogrózkach. Jednak nie pogróżki spędzały mu sen z powiek. Siedział właśnie rozparty - jak lubił - gładził garścią twarz od nosa przez usta do brody. Na podbródku zatrzymał dłoń, wpatrywał się w płomień lampki nalanej olejem. Próżno Zefrid usiłował zwrócić jego uwagę na swą osobę - oczy biskupa zdały się niewidzące.

Wreszcie Unger mruknął:

- Może szkoda, żeśmy tak z niczym odprawili Brunona? Ni znaku, ni nadziei.

Kapelan poruszył się niespokojnie.

- Oda musi być bardzo niepewna.

- Ale i my niepewni - biskup wyprostował się nagle, nogi podciągnął, dłonią uderzył o stół. - I my niepewni, Zefridzie. Wielka gra idzie... A Bolesław nie taki, jak myśleliśmy.

- Czemu Hugona nie przysłała - mruknął Zefrid.

- Snadź bała się bękarta słać do biskupa.

Umilkli znów, pogrążeni w zadumie. Dopiero co Bruno odszedł. Też poseł - i w takiej sprawie: nie umie Oda ludzi dobierać.

Siedzieli we trzech przy stole - biskup i Zefrid czujni i nieufni, Bruno zapatrzony tępo w krzyż wiszący na ścianie. Ciężkim go obdarzono zadaniem. Wdowa chciała się ujednać z biskupem - to pochwalał - tłumaczyła mu, jak ma gadać; ale on nie rozumiał. Wszystkie lata, odkąd wyrwano go z klasztoru, nie zdołał zrozumieć tej pani; ni jej męża, ruchliwego, oddanego sprawom ziemskim, jeszcze nie dość srogiego dla pogan; ni tego kraju, co się tak trudno odrywał od diabła; ni tych ciągłych sporów z biskupem; ni Bolesława, któremu tylko bitki w głowie; ni rozwydrzonych młokosów, Ody synów, których pouczał, a jednocześnie się bał. Jakże to miał wydobyć z biskupa warunki pojednania; i to wydobyć mądrze, by Unger nie wiedział, o co idzie.

- Chytry on jest - przestrzegła Oda.

Siedział przy stole, zwrócił oczy na krzyż, prosił Boga o pomoc. Unger i Zefrid w mig pojęli cel przybycia mnicha. Zefrid wpatrywał się w suchą twarz Brunona, w czarne jamy jego oczu, czoło zmarszczone wysiłkiem, i gadał. Unger zachowywał pełne milczenie, na pozór obojętny i znudzony. Bruno wzrok oderwał od krzyża, spojrział przelotnie na biskupa, spuścił powieki i rzekł cicho:

- Oda pragnie zgody z wami, panie.

- Alboż to trwa w nieprzyjaźni - zagadał prędko Zefrid - my życzymy pani waszej zdrowia i wszelkich łask Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

- Cóż za myśli chodzą wam po głowie, panie? - Bruno był przestraszony ostrością pytania.

- Czegóż więc niepokoi się pani wasza, Oda, wdowa po wielkim księciu? Albo to nie ma władztwa, wojów i opieki Kościoła Bożego?

- Pewno... pewno... - potakiwał Bruno, w rozpaczliwym poczuciu, że źle się wywiązuje z poselstwa.

Rozmowa trwała dalej, ale Zefrid przygwałdział każdą propozycję zapewnieniami czci i miłości

biskupa do Ody i jej synów. Bruno już nie odrywał wzroku od krzyża i mełł swe posłanie coraz niezdarniej i chwiejniej. Zefrid błyskał raz po raz spojrzeniem czarnych, ruchliwych oczu ku biskupowi, jakby się go radząc czy pytając. Napotkawszy na spokojny wzrok Ungera, mówił dalej szeroko, ozdobnie, przypochlebnie, uniżenie. Ale Bruno nic nie rozumiał z tych zawitych zdań. Wreszcie podniósł się i z imieniem Bożym na ustach odszedł tłumiąc westchnienie.

Biskup nie przerywał milczenia, jakby wsłuchując się w oddalający się krok Brunona. Zefrid cichym głosem opowiedział mu o niezadowoleniu wśród wojów. Nie to przejęło go jednak - zżył się już z niebezpieczeństwem, jakie w tym kraju nieustannie sługom Chrystusa grozi. Sądził, że Bolesławowi dopomoże do osiągnięcia władzy, samym później zawładnie. Ale Bolesław zdał się nie chcieć ni władzy, ni pokonania Ody. Czyżby starczyło mu działu, który wyznaczył Mieszka?

- Na wszystko Odzie zezwala, nie zatroska się ni o pogrzeb, ni strawę. Skarby grodowe oddał, posłańców nie śle, pomocy nie ściąga. A tu dziś, jutro rzeźba pewna. Nikt nie wie, kogo słuchać, woje panoszą się. Widziałeś, jak wąsami ruszali, kiedym do świątyni truchło niósł?

- Widziałem, panie.

Unger prawą dłoń płasko złożył na stole i mówił spoglądając na kamień pierścienia:

- Źle radziłeś, Zefridzie - niechęć wzbierała mu w głosie - by z Bolkiem iść. Jeśli siły nie zbierze, przegra za kilka dni. Jeszcze go z działu wyszczują. Oda w Gnieźnie biskupstwo założy, w Krakowie drugie, we Wrocławiu trzecie. Jak temu przeszkodzić? I, miast w całym księstwie sufraganów mieć, z czym ostaniem?

Znów otwartą dłonią uderzył po stole.

- Jutro rankiem odszukasz Arnulfa, zagadniesz go niby nic. Że wczoraj był Bruno, że nic nie wyrozumiałeś, czego chce. Za głuptaka go podaj. A potem napomknij, że byle biskupstwa w Gnieźnie nie fundowała... Przecież ja przyjacielem Odzie.

Pogładził brodę.

- Tak, przyjacielem, przyjacielem. Zawszy przyjacielem byłem. Wiadomo, jako mniszki z Kalby to nierządnicę.

Nazajutrz byli jeszcze w katedrze, gdy zadudniły pałki na bębnach, zaryczały rogi, wybuchł skłębiony gwar dziczy. Unger skrzywił się niechętnie, lecz wyszedł natychmiast, ciekawy, co zaszło. Na okólniku zgromadził się już ruchliwy tłum wojów. Niespokojni po nocy ciężkiego snu, pełni drażniącego ich wigoru, rozpierającej dzikiej żywi. Gorąco chodziło im po kościach. Cały gród się poruszył na raban, wszystkie przejścia zapchane były głowami. Unger stanął z daleka - nierad, że coś się dzieje bez niego - wodził wzrokiem po czapach, zastłonach niewiast, twarzach ciekawych, wyczekujących; po węglach domów i stajen. Hałas bębnów rósł nad budynki i częstokół, bił w niskie chmury, leniwie przewalające się po niebie. Z wąskiego okna wyrąbanego w ledwo ociosanych belkach wyrzała twarz Ody. I ona czekała, co się stanie, niespokojna, lecz zimna i nieugięta. Biskup szepnął do stojącego obok Zefrida:

- Kto zarządził ten gwałt?

Kapelan potarł w zakłopotaniu potylicę.

- Pewnikiem Bolko.

- Złego sługę mam w tobie - głos Ungera brzmiał tłumionym niezadowoleniem - nic nie wiesz.

- Wczoraj wrócili z czuwania. Wypytywałem. Donieśli mi, że złoścą się na was, panie.

- Niech się zadławiają swą złością. Jest bez znaczenia. Lecz co Bolko robi, ma znaczenie. Nie wiedziałeś.

Mały kapelan skurczył się. Odpowiedź jego urwał nowy huk bębnow, który ustał nagle. Obwoływacz ukazał się na sągu.

- Wola pana waszego i wojewody, Bolka Mieszkowica...

Krótki gwar przeleciał nad głowami, przerwany pojedynczym okrzykiem:

- Zatknij pysk! Smard momotliwy!

W tejże chwili na sąg obok obwoływacza wskoczył Bolesław. Obwoływacz ciągnął:

- Wola...

Pchnięty przez Bolesława zatoczył się i padł między ciżbę. Prześmiech przeleciał przez tłum, ale wnet ucichł. Nastąpiła cisza. Unger widział w ramie okiennej bladą twarz Ody i oczy wbite w pasierba. Splunął nieznacznie: było to złe wejrzenie.

- Hej, ty tam! Czy i mnie nazwiesz smardem momotliwym?!

Tłum patrzył nań - znieruchomiały, zaskoczony - jak sta! mocno, na szeroko rozstawionych nogach, wielki, krępy, ze śmiałą gębą; srogimi oczyma wiercił ciżbę. Czuł opór wiejący ku niemu - niewidzialny, lecz uchwytny - tej ciżby, której zbrakło ręki trzymającej powody. Przeczże klęli się, że będą pilnować młodych Mieszkowiców przed bratem; i wdowy. Uczucia wahały się. Patrzyli w milczeniu, w oszołomieniu na tęgą sylwetę Bolesława.

- Słuchajcie woli mojej - poleciał głos nad ciżbą - woje i stróża grodowa, wszystkie ludzie wolne. Ociec mój, Mieszka, przykazał mi pilnować Ody i braci mojej, by kto ich nie ukrzywdził a nie zdradził; co zawsze starszy w rodzinie sprawuje.

Szmer potakiwania przeleciał przez tłum, choć żył przecie Czcibor, Mieszków brat; ale nie pamiętali o nim w podnieceniu. Unger, zdziwiony, podniósł brwi i spojrzał na Zefrida; kapelan miał okrągłe oczy ze zdumienia.

- Przykazał to i wam - głos Bolesława leciał wysoko nad grodem, potężny i władczy - a kto by

przeciwił się abo zdradę knuł, abo zbrodnię, abo gwałt, na tego gniew mój spadnie i kara. Ten nie znajdzie schronienia ni spokoju, ten śladem będzie goniony, aż padnie zaszczyty. Wtedy przywiodą go do mnie, a ja go każę ćwiartować a oczy łupić, a na kawały drzeć. To pamiętajcie, woje i stróża, i wszystkie wolne.

Unger szybko nachylił się ku Zefridowi i wyszeptał:

- Nie pójdziesz dziś do Arnulfa, słyszysz?

- Słyszę - odpowiedział kapelan.

- A dla obrony Ody i synów jej a braci mojej, jakoż dla obrony księstwa obie drużyny, occa mego i moją, w jedno łączę. A połączone wieść będę na Rusów a Czechów, na Niemców a Normanów, na Jaćwież a Prusów, na Weletów i wszystkich wrogów, ichże razem pobijem. I od dzisiaj słuchać mnie wszyscy będziecie, jako księdza i wojewodę. A nikogo inszego słuchać nie będziecie, jedno mnie.

Słowa Bolesławowe przerwał okrzyk, który się wyrwał nagle z rozfalowanego, rozbitego tłumu. Woje przepychali się, cisnęli do sągu, wznosili pięście, miecze, topory, włócznie, maczugi. Unger wsłuchiwał się chciwie w ten krzyk, by coraz wyraźniej wyróżnić w nim radość, ulgę, wyzwolenie; jakby z piersi ludzkich spadł ciężar, jakby otworzyła się przed nimi droga prosta i zrozumiała. Spojrzał na Zefrida; tamten kiwał głową, cieszył się. Biskup znów zwrócił wzrok na gromadę: śmiech w gąszczu wiechowatych wąsów, gęby czerwone, wrzeszczące, ramiona naprężone, gotowe do bitki. Skończyły się wahania i namysły. Przywykli do ślepego posłuchu, do czucia zgodnego z porywami serca swego księdza, do walenia za nim gromadą, kupą, drużyną. Teraz znowu mieli księdza i wojewodę. Budziwoj ryczał całym gardłem, Odrzykoń grzmocił Zbygniewa w kark, Boruta plaskał dłońmi po udach, Dobrosz rum czynił o tarczę, Bogdasz Pieczyrak pokrzykiwał coś wyciągnąwszy ramiona. Radowali się. Krzyk wciąż rósł. Unger podniósł oczy i dojrzał twarz Ody wpatrującej się w falujący tłum: była bardzo blada, usta miała zacięte i powagę w wejrzeniu. "Zefrid nie pójdzie nigdy do Arnulfa, Oda już przepadła" myślał nie spuszczając z niej oczu: widać, że i ona zrozumiała, co oznacza ten krzyk - wielki jak dzwon.

5.

Przemko uderzał rękoma o kolana, rechotał. Gruby Dzik trzął się w drgawkach śmiechu. Inni trzymali się za boki, za brzuchy, zataczali się. Sobek kręcił zadkiem, dłonie złożył pod piersiami, głowę pochylił, przedrzeźniał Odę:

- Drużyna! Wy nie pojmujecie. Moje syny walne woje, księżyce i władyki. Lestek sam w gatki puszcza, Świętopełk w nosie dłubie, Mieszka... ooo! Mieszka pchły już bije.

Poprawił sobie włosy na głowie. Piszczął:

- Cne wojewody, wszytscy pójdą za nimi.

- Ha ha ha!

Przez łzy Przemko dojrzał z dala Stojgniewa Wojborowica. Zerwał się, rozepchnął towarzyszy, szedł do drugą, wciąż śmiejąc się kiwał ręką. Stojgniew się zawahał, ruszył łopatkami, jakby mu zamróz chodził po grzbiecie. Przemko podbiegł, uderzył go po ramieniu.

- Cał, Gniewek.

- Cał.

- Pójdź, Sobek takie gadki mołwi, aż boki bolą. Gdzieżeś bywał?

- Doma.

- Oo! Jakże tam? Żarłeś pewno i spałeś. Dziewki były?

- Przemko.

- Cichaj, chodź!

- Czekał. Zali wiesz...

Zaciął się. Świradowic przestał się śmiać, spojrzał uważnie.

- Co ci?

- Przemko - słowa nie laży Stojgniewowi z gardła - zali wiesz, że między moim rodem a twoim trwa święta wróżda?

Tamten klepnął się po udach, znów się zaśmiał.

- Wróżda? Ano, słyszałemć. I co?

Stojgniew prędko, z pośpiechem, oblizał zaschłe wargi.

- Jakże to, Przemko? Wróżda - wyjąkał.

- To i co, pytam? - był już zły trochę.

- Wróżda. Przemko!

- Eee! - skrzywił się Świradowic, zaśmiał się; ale śmiech był sztuczny, urwał. - Ee! Co mi tam. Wróżda wróżda, družba družbą - siadł na belce wypuszczonej ze zrębu, spojrział uważnie na Stojgniewa, spytał prędko:

- Co ci, Gniewek? Odmienionyś.

Stojgniew odpowiedział niespodzianie dla siebie:

- Odmienionym. I bardzo. Już ja nie ten, com był wprzód.

Przemko łapał oczyma, nie pojmował. Stojgniew uśmiechnął się lekko.

- Już my wrogi zawzięte, Przemko. Nie drugi.

Świradowic parsknął złością.

- Co bajesz? Ty mi wróg? Co mi ta wróżda! Mój ojciec jest przeciw Bolkowi. A ja za Bolkiem. Ejże, Bolko już jest księdzem, oo!

- Cóż Bolko...? - Stojgniewowi nie stało tchu, by dokończyć pytania.

- Ano, pytał o ciebie.

- Pytał?...

- Mołwię ci. - I coś rzeki?

- Rzekłem - Przemko parsknął gniewnie - że ty zawsze z nim pójdziesz. Kto jak kto, a ty pójdziesz.

Stojgniew zabiegał oczyma, dłonią przeciągnął po karku, przełknął. Dyszał ciężko.

- A Bolko?

- A Bolko pry: "Głupiś, Przemko. To gid, Stojgniew, to chytrek, to odmieniec. Obaczysz". Widać: gniewny był. Wąs motał, wiesz, jak to on.

Milczeli obydwa, jakoś unikali wzajem swego wzroku.

Stojgniew mruknął:

- Ano!... I nagle:

- Ty nie wiesz, Przemko! Ty nie wiesz! Ród, Ledarg, psiamać... Wszystko odeszło... Sokolniki i psiarczyki pobrał, psiamać... Obiady składają... Mać o zrab łbem bila... Wróżda... eh!

Przemko patrzył nań zdumionymi oczyma, brwi podniósł.

- Co bzdyczysz, Gniewek?

- Eh! - odwrócił się i odszedł. Przemko zerwał się z belki, dogonił go.

- Pluń na uroki, Gniewek. Pójdź, wypijem w kupie. Sobek...

Stojgniew przybliżył mu gębę do gęby, rąbnął:

- Jużem ci rzekł: koniec z drużbą. Puść mię.

- Ejże!

- Puść.

- A to idź! - Przemko pchnął Stojgniewa, splunął. Patrzył za nim i kłął. Zawrócił ostro ku swoim. Sobek pośpiewywał:

Ejże, ejże wojewodo,

nie puść kiecki maci...

Śmiali się. Przemko próbował śmiać się również. Nie szło mu. Zauważyli.

- Co Stojgniew?

- Dureń - odwarknął Przemko.

- Kaj był? Gadaj.

- Dureń - i nagle na nich:

- I wyście durnie. Ciemięgi nabite. Tfu!

Odszedł. Ruszył konia otroczyć. Ktoś go okrzyknął po drodze, Przemko machnął ręką. Szedł podle ostrokołu ciasnym przejściem między ścianą obronną a budynkami. Nie doszedł do stajni - siadł na kupie kamieni, głowę podparł, patrzył bezmyślnie w gród.

Nad nim tupały kroki stróży na pomoście. Przed nim rozchylało się między szopą jomsborską a gospodą ruchliwe wnętrze grodu - wiało stamtąd gęstym zaduchem, gwarem, gęstwą. Co dzień nurkował w tym rojowisku z rozkoszą, z ochotą, by pstrąg w wartkim strumieniu, krew warem grała mu w żyłach. Co Stojgniew baje, jaka wróżda, puszcza i ród?

Ciasne ściany grodu pełne były różnorodnej treści - co dzień innej. Dotąd żył wojną i łowami. Teraz

- ze śmiercią Mieszki - życie zaczynało pęcznieć, bogacieć, nabierać nowych barw i nowego smaku. Czuł niejasno, że ponad nim narastają ostre spięcia, nagle porywy nienawiści, zawile sprawy wielkiej gry o władztwo; on był w tej grze istotnym ogniwem i końcowe starcie nie obejdzie się bez niego. Drżenie radosne przebiegało członki, gdy myślał o onym boju - ostatecznie zwycięskim. A potem zostaną oni - młoda drużyna - z Bolesławem.

Dokoła roilo się życie. Zduszone przejścia, ciasne przełazy, głuche uliczki między dwiema ścianami bez okien i drzwi, kędy dwóch chłopów ledwo się rozminie, a konny z trudem przejedzie, przepełniała ciżba nieustannie ruchliwa. W tych ciasnych przejściach Oda wyławiała stronników, Arnulf kusił ku sobie, biskupowi wypytywali, co gada się w obu drużynach, Bolkowi prawili o pobiciu księżyców, dawne rody, przyduszone przez Mieszkę, zmawiały się dla odwetu, starzy knuli przeciw Kyryi Krysti, "sysuny" wszczynali zwady, tarczownicy gadali o ziemi, komornicy książyce doglądali gotowanego jadła, gęślarz uderzał w gęśle i śpiewał pieśń "o Mieszce, wielkim księdzu i panu", dziewczęta przebiegały zaczepiane przez chłopców niby w czas sobótki, dźwięczała broń, i szepty mieszały się z okrzykami. Gdy się coś niezwykłego działo, całe to rojowisko wysypywało się, by gapić się i słuchać -Przemko wraz z innymi w ruchliwej, gwarnej, spotniałej ciżbie. Wczoraj tak oglądali przyjazd Czcibora, Mieszkowego brata. Czcibor był wielki i tłusty, gębę miał czerwoną i roześmianą, brzuch jak bróg siana, bary niby wrota grodowe, pięści kiej korzeniaste odziomki dębowe - Bolko był do stryjca podobny, nie do Mieszki. Bułany żrebiec rzucał się i brykał. Czcibor nie pomazał oblicza popiołem ni kurzem, nie wdział śmiertelnego giezła, na twarzy jego nie znać było smutku. Przybywał jako najstarszy w rodzie, krzepki jeszcze staruch, wsławiony w bojach, zwłaszcza u Cedna z Wichmanem. Wiele oczu śledziło jego wjazd z niepokojem. Przemko dojrzał z ciżby wysoką postać Ungera, wspartego na nieodłącznym Zefridzie; spojrzenie biskupa było zadumane, jako że Czciborowy przyjazd mógł całkiem zmienić układ sił, kłoniących się już ku Bolesławowi - Mieszków brat miał za sobą starszeństwo, sławę i dzikich wojów pomorskich, kroczących za nim w kozuchach mimo upału, w skórzanych szłomach, z długimi oszczepami w rękach. Troska osiadła na suchym obliczu Ungera. Oczy Ody natomiast pełne były nadziei i utajonej radości. Przybywoj a Odylen przeparli się przez tłum i witali Czcibora jako przyjaciela i sprzymierzeńca, toż Hugo i Arnulf, toż Hodo i Ludolf- Niemcy. Bolesław schylił się przed stryjem z twarzą równie pogodną jak tamten. Czcibor zeskoczył z konia i wszedł do sieni Mieszkowego domostwa. Bolesław - opiekun wojów - polecił Czciborową drużynę Puchale.

Gród huczał nieustannie przelewającym się życiem.

Stróża nad głową Przemka stukiała równo - tup tup, tup tup, tup tup. Dolatywały pogwarki:

- Pomnę - prawil gruby bas - Stanko z gołym pępem jeszcze latał... Tegoż lata Świątosława jechała do Swijów. Mołwię wam, żarcia tegdy było a picia, choć top się w miodzie. Normany srogie konie przywiedli w darze Mieszce, ksiądz zawsze lubił wielkie konie.

- Jaka wróżda! - wykrzyknął Przemko w głos. - Dureń! dureń! - zerwał się, biegł ku stajniom. Woje wychylili się z góry, poglądali za nim. Prześmiewali się z sysuna.

Tego wieczora wyjechał później niż zwykle. Stróża miała przykazane nikogo do grodu nie wpuszczać, nikogo nie wypuszczać : stróża z drużyną żyła zawsze niby pies z kotem - pilnowali gorliwie. Ale Przemko miał tam swoich, puszczali go. "Nie może strzymać bez dziewczki, mgli j i" -

śmiali się grubo. Przemko pieszo przechodził przez wąski most u małych wrót, konia wiódł za sobą, koń strachał się wody, łeb rwał w górę, chrapał, strzygł uszyna. Odszedłszy dwieście kroków chłopak skakał na koński grzbiet, uderzał piętami po bokach, od razu w skok! "Poooszedł" - mówiły wąsate gęby na ostrokole i śmiały się. Ogromny księżyc toczył się po czarnej Ukrainie lasów. Rzeka wiła się lśniącą wstęgą między zadumanymi kępami drzew, rozrzuconymi chatami wolnych kmieci i osiedleńców księcia, pogrążonych w ciężkim i dusznym odpoczynku. Ziemia falowała w sennym zamyśleniu nad nieodgadnionym biegiem przeznaczeń. Przemko rozpryskiwał ciszę niby staw nalany blaskiem księżycy po brzegi.

Jemiołka miała szeroką kraśną gębę, nos w górę zacięty, oczy wesole, biało-rzęse, zęby jej lśniły w śmiechu. Co wieczora czekała go u wierzb nad rzeką. Przemko przyleciał, zasapany zeskoczył z konia, uwiązał go. Dłonie złożył przy ustach, zabuczał niby ropucha. Skrzywił się, głowę przechylił, słuchał: fala pluskała o brzeg. Zrobił dwa kroki w głąb wierzbiny, nagle zakotłowało się, załomotało, pochwyciły go twarde garście, powaliły, wiązały; z odchyłką w tył, kołyszącą się głową nieśli go ku Turzycy.

Stary Tur nie mógł chodzić, co rana wynoszono go na ławie przed dom pod lipę. Nad obejściem unosił się cały dzień jego wrzask, ludzie kurczyli się pod nim. Ragdocha rychło dostrzegła wieczorne ucieczki córki, ze strachem doniosła o nich mężowi. Trzęsła się tego dnia Turzyca, Tur sprął Jemiołkę, sprął Ragdochę, sprął Kielbika, sprął chłopców, co go nosili pod lipę. Wieczorem złapano Przemka, postawiono przed ojcem Jemiołki.

Stary siedział na ławie, sapał, ślepiami wiercił. Przemko był zły, aż go ponosiło. Milcząc przepierali się ze starym oczyma. Przemko nie wytrzymał:

- Co wy... wojem jestem. Belkowym.

Tur uśmiechnął się krzywo:

- Świradowiceś ?

- Tak - sapał w złości Przemko - nie gorszy ród niżli Turów.

- Cieee... Czemuż ociec twój dziewosłębów nie śle? Ociec, słysz? Tobie wara!

- Bolko... - zaczął Przemko i urwał. - Bolko! - krzyknął - przyśle dziewosłębów.

- Ooo - zasępieni! Tur, usta się mu śliniły, zawsze oplu! się, gdy był gniewny - nynie Oda będzie pani. Nie Bolko!

- Oda! - zawołał Przemko i roześmiał się - Oda do klasztoru wróci.

Tur się nasepiał, ślinił się coraz bardziej.

- Ty bacz - supłał, głos mu się rwał od gniewu - ty bacz. Wiem ci, przeciw oćcu idziesz. Ty bacz! Bolko będzie z pustych oczu płakał, koniec wam, drużynie a stróży, koniec Lestkowicom. Nie przyśle Świrad dziewosłębów, nie dostaniesz Jemiołki. A ułapię cię jeszcze podle Turzycy, na gnoju wołami

wywiozę. Woja, psiamać, wołami na gnoju. Do Bolka! Wen!

Oniemiałego wywiedli pachołcy za wrota. Przemko siadł na konia, ruszył powodami. Z ciemności leciały za nim prześmieszki, wyzwiska. Przemko jechał wolno, księżyc zmałał, zbiełał, wzbił się, rzeka wiała się, lśniła, ziemia falowała sennie. U wrót stróża powitała go śmiechem.

Więcej Przemko nie pojechał do Turzycy - aż po powrocie znad morza.

6.

Usłyszawszy trzykrotne stukanie do drzwi jelca miecza, Oda cofnęła się w najwyższym przerażeniu. Od śmierci Mieszki co wieczór zakładała zaworę u drzwi. Stała w mroku i ciszy, samiutka pośrodku izby, w gieźle tylko, miotana poczuciem bezsilności i śmiertelnej trwogi. Wiedziała, kto tam stoi po drugiej stronie z mieczem w ręce, którym przed chwilą łomotał w zawarte drzwi. Poprzez ciemność tak gęstą, aż lepłą, widziała barczystą, wysoką postać, zwisły płowy wąs i zuchwałe spojrzenie pasierba.

Łomotanie się powtórzyło, lecz tym razem roztopiona w ciemności Oda - sama, tylko ze swym tamującym dech strachem - nie poruszyła się, jakby skamieniała w tej przerwie między jednym zewem śmierci a drugim. Zdawało się jej, że poprzez czerń oblepiającą jej twarz, owijającą ją wokół niby płaszczem, rozróżnia jaśniejszą smugę miecza, nieomylnego w pchnięciu; wiedziała o tym.

- Otwórzcie no, pani... Nie poruszyła się i teraz.

- Zawora nie jest przeszkodą dla mnie - głos Bolesława był pełen szyderstwa - dość by mi zawołać czterech chłopów, a wnet by puścił drąg, choćby najtęższy. Jeśli przychodzę sam i w ciemności, to po to, by się umówić z wami, nie walczyć. Niechże niczyje oczy i uszy nie wiedzą, o czym będziemy prawili.

Lecz Oda wiedziała, co o tym sądzić. Wiedziała, że można zabić głośno, a potem mieć walkę, zamieszki, wojnę z potężnymi krewnymi; i że noc milczy, jest ślepa, a do świtu czas zatrzeć wszelkie ślady i rozwiać podejrzenia. Wiedziała, jak się to robi, była świadoma wszystkich dróg wiodących do władztwa, choćby najbardziej zakazanych przez Boga i święty Kościół chrześcijański.

Gwiazdy na niebie posunęły się ledwo o włos, lecz cierpliwość Bolesława zaczynała się wyczerpywać. Stał przed zawartą komorą, błagając, gdy mógł rozkazywać. Lecz odezwał się głosem spokojnym, bez ukrytego szyderstwa:

- Chcę mówić o waszych synach, pani...

Na słowa te Oda posunęła się naprzód gwałtownie, jakby wyrwana z zaklęcia. Przypadła do drzwi z rozwartymi ramionami, w niemym przerażeniu, które zmieniło niejako swą postać, niby przeobraziło wewnątrz, ale rozrosło się jeszcze, pochłonięło wszystko, cały świat, aż po kopułę nieba. Czy się coś stało? Czy miało stać się za chwilę? Czy stać się mogło? Obawa podsunęła Odzie najstraszniejsze obrazy, wizję główek rozbitych o kamienie, porąbanych toporem, zniekształconych, martwych. Lecz przecie synkowie jej spali w komorze, do której wejścia nie było, chyba przez sień, gdzie nocował Arnulf a Hugo, Przybywoj a Odylen z dziesięcioma wiernymi wojami. Z sieni tej szedł chodnik do szopy drużyny książęcej. Nic nie mogło się stać młodym księżycom bez jawnej walki, a ta nie odbyłaby się w tej ciszy, dzwoniącej Odzie w uszach.

Takie były argumenty doświadczonego umysłu. Lecz kiedyż strwożone serce matki uległo argumentom rozumu? Kiedyż przełamało wszystko pochłaniający niepokój? A jeśli Hugona z Arnulfem ujęto podstępem, a Przybywoj i Odylen zdradzili? Wprawdzie Hugo i Arnulf...

Arnulf i Hugo siedzieli w tejże chwili nad konwiami z miodem. Arnulf był z lekka zaniepokojony wypadkami ostatnich dni, Hugo słuchał go z pobłażliwym niedbalstwem. Hugo był pewien zwycięstwa. Wsparł się obu pięściami o stół i mówił nie podnosząc na przyjaciela zielonkawych oczu:

- Bolko nic przedsięwziąć nie może, póki mu Ketl leży na drodze. A jakże mu teraz z jomsborczykiem zaczynać. Nie stać go na wojnę z Jomsborgiem, póki doma spokoju nie ma. A w domu spokoju nie będzie, gdyż Jomsborg niepewny. Bolko jest w matni - zaśmiał się głośno.

- Bernard wysłał mnie do Ody, by ją podeprzeć. Robię to, chociaż twarda z niej białogłowa. Ale nie zdaje mi się, by dobrze szło... Woje niepewni... Wy lepiej znacie ten kraj.

- Ba! - Hugo śmiał się.

- A cóż wy myślicie otrzymać, gdy Oda pognębi Bolka?

- Ja?... Wszystko!

Podniósł szybkie spojrzenie zielonych oczu na Arnulfa, czy aby grubas nie spostrzegł, jak wiele zawiera owo krótkie wyznanie: wszystko. Ledwo spojrział na Bernardowego wysłańca, wnet spuścił wzrok na swe zaciśnięte pięści - mocne niby maczugi, porośnięte rzadkim, rudym włosiem. Tymi pięściami wywalczy sobie zwycięstwo i uznanie. Niechże tam Przybywoj czy Odylen, czy sam wilkołak wodzi wojów - on będzie nad wojewodą. Oda wdowa, zawsze mu sprzyjała, a takie zdarzenia już były. Krew mu z wolna napływała do twarzy, aż się rozpałił łuną namiętnego pożądanego.

- Czego się spodziewam? - powtórzył głucho. - Ano, wszystkiego, wszystkiego.

- Bo ja spodziewam się nagrody - mruknął Arnulf u nas bieda. Margrafy w ciągłej wojnie, lud wybity, wieś spalona, często siedzisz w zamku, a zjeść nie ma co. Nawet kupcy przestali jeździć naszym szlakiem, tak ich trzebiono. Są tacy z rycerstwa, Boże, zmiłuj się nad grzesznymi!... co i nocami po Anioł Pański wyprawiają się na drogi. I próżno, bo nocą kupce nie ciągną. Spotykają się na bezdrożach i walczą ze sobą jak psy. I co z takiej walki? Biskupi nie żałują klątwy, ale co komu ze zbawienia duszy, kiedy mieszek pusty, zbroja pordzewiała, miecz szczerbaty. Toć i cesarz bez pomocy lenników słowiańskich żadnej by siły nie miał. Jeśli nie wzbogacę się przy Odzie, nie mam gdzie wracać, chyba momotliwego Odylena o służbę prosić. Nie tak bywało dawniej - uśmiech na ustach Arnulfa był gorzki. - Ale Oda powinna wynagrodzić zasługi.

- Wynagrodzimy was - mruknął nieprzytomnie Hugo, zapatrzony w swe oszalamiające wizje.

- Oda można pani - potwierdził Arnulf. - I mężna.

Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, na jaką ciężką próbę wystawione było w tej chwili męstwo Ody, rozkrzyżowanej u zawartych drzwi z rozpaczą w sercu wobec bezpośredniej bliskości pasierba z mieczem w ręce. Zdawało się jej, że słyszy jego oddech za grubym zbiciem przesłony. Głos jego dobiegi ją bardzo bliski, jakby rzucone wprost w twarz wyzwanie :

- Nie otwieracie? Tegdy odchodzę. Nie będę łamał zawory. Ale nie wrócę więcej.

Na groźbę tę gorączkowo zaczęła macać ręką za skoblem. Gdy się zatyczka zacięła i nie chciała zrazu wychodzić, zdało się, że serce jej pęknie z trwogi. Szarpnęła z całej siły, zawora odchyliła się nagle z suchym trzaskiem. Stała na wprost Bolesława, lecz nie umiała rozróżnić w gęstym mroku nawet zarysu jego postaci. Powiedziała swym zimnym tonem:

- Wejdźcie.

Cofnęła się kilka kroków. Słyszała łomot jego kroków. Wszedł. Stał znowu tuż przed nią, niewidzialny, lecz równie bezwzględny jak śmierć. Znów powiedziała tymże suchym głosem:

- Czego chcecie ode mnie... samej. Pomnijcie, zem jest wdową po waszym ojcu.

- Pomnę - mruknął.

Hugo nalał miodu do czarki, mówił:

- Bolko piecuch. Nic nie przedsięweźmie. Coście wczoraj robili z nim pod sam wieczór?

- Jeździliśmy z sokołami. Bolko mi ptaki pokazywał i psy. Wiele zwierza tutaj.

- Pytał was o co?

- Nii - przeciągnął Arnulf - rozповідаł jeno o bogactwach, jakie mu Mieszka zostawił w Krakowie. Mówił, że lubi dawać przyjaciołom znaczne dary. Wieczorem w izbie odnalazłem złoty dzban, bardzo piękny, kuty w Italii. Pytam giermka, kto by przysłał, powiada: Bolesław.

Znów szybkie spojrzenie zielonkawych oczu ześliznęło się po twarzy Arnulfa.

- I co? - spytał Hugo powoli.

- Ano! Kazałem giermkowi zapakować dzban do skrzyni i mówię wam o tym.

- Chcecie, byśmy was mocniej przepłacili?

- Bernardowi służę. Ale nagrody spodziewam się od was. Bolko by niczego nie skąpił.

- I my nie poskąpimy. Niczego! - zimne jego oczy zetknęły się na chwilę ze wzrokiem Arnulfa, potem spojrzenia obu rozbiegły się niby spłoszone.

Bolesław poruszył się gwałtownie.

- Nie mówcie, pani, że godzę na życie wasze i synów. Słyszeliście, com prawił wojom?

- Słyszałam. Ale wiem, czegoście chcieli - powiedziała Oda stojąc wciąż nieruchomo w ciemności. - Nie uda się wam przeciągnąć wojów do siebie. Przybywoj prawił mi...

- Ach! Przybywoj...

- Nie mówcie nic przeciw Przybywojowi. Gdyby on widział, jakście szli do mnie...

Wiedziała, jak niebezpieczną prowadzi grę. Ale wiedziała również, że musi okazać męstwo, jeśli chce dożyć świtu. Dobiegły ją mrukliwe słowa:

- Gdyby widział, powiadacie? Prędko nikogo widzieć nie będzie, ni słońca, ni gwiazd, ślepiec wędrujący przez kraj na znak kary, że podniósł wzrok gniewny na swego pana.

Uczyliła bezgłośny ruch ręką, niby osłaniając się przed nagłym niebezpieczeństwem.

- Przed chwilą mówiliście, że nic mi od was nie grozi.

- Nie grozi wam śmierć - głos w mroku zdawał się zwiastunem nieuchronnej przyszłości. Zapatrzyła się w ciemność - czarną i gęstą - jedyną przesłonę między nią a nagim mieczem.

- A księstwo? - zapytała bez tchu.

- Słuchajcie zdało się jej, że Bolesław zrobił krok naprzód i stoi tuż nad nią - po tom przyszedł. Po tom przyszedł w tej ciemności, tak by żadne miękko oko nie widziało ni ucho nie słyszało. Wybierajcie: bezpieczeństwo wam i synom waszym bez księstwa... albo wojna! Synom działę dam, jako żupanom: ale bez drużyny, bez inszego władztwa, jakie mają żupani. Wybierajcie. Księstwa nie dam.

Oda pojęła nagłym błyskiem myśli, raptownym spięciem czujności, że teraz przychodzi chwila decydująca. Od tego, co powie, zależeć będzie - pchnięcie miecza lub zwycięstwo. Milczała. Zdało się, że ciemność dokoła niej pulsuje w rytm szalonych uderzeń serca. Poprzez dygoczącą ciszę słyszała szybki oddech Bolesława. Jest wzburzony - przebiegło jej przez myśl - zaraz poniesie go gniew, a wtedy... Powiedziała prędko:

- Pamiętajcie o tych, co będą walczyć o moje prawa...

Przybywoj, śpiący na ławie w rogu sieni, obrócił się na drugi bok. Podle chrapał Odylen. Hugo, który wędrował od pewnego czasu po izbie, stanął nad śpiącymi wojami i mruknął do Arnulfa:

- Widzisz, jak te chłopcy śpią. Wierz mi, że i oni śnią o zaszczytach i bogactwach - zaśmiał się i splunął.

Bolesław gwałtownym ruchem wbił miecz w deski podłogi, szcęk wywołał skurcz w sercu Ody. Obronnym ruchem wyciągnęła przed siebie oba ramiona i napotkała na chłodne ostrze, drżące jeszcze jak struna. Wykrzyknęła gwałtownie:

- Wyjdź stąd, Bolesławie.

Usłyszała odpowiedź:

- Na Jezu Krysią przysięgam, że przyszedłem tu, aby się z wami ujednać. Nie żeby ustąpić wam

księstwa, lecz by obronić was od losu sroższego niżli śmierć.

- Będą inni, co mnie bronić będą... przed wami.

- Wiera, pani, nie będą. Zaraz oni za gardła się chwycą. Gdzie przewodnik tym wilkom? Kto ich utrzyma? Wy, pani, białka? Czy syn wasz, otrok niedorosły? Abo Hugo? Toż oni z Przybywojem a Odylenem już krzywo na się patrzą. Wojbor czy Świrad, czy inszy jaki władyka, co myśli jeno, jak by swój szmat ziemi oderwać, stróże w grodzie postawić i wojów książęcych wyciąć? Czy Czcibor, mój stryk, jenz o Pomorze tylko dba, a reszta mu nic? Toć wszystko klak gadzin, kłębek żmij. Złączył ich jeno strach przede mną, bo ich trzymam w garści i utrzymam. A ziemi, co ją mój ociec zgromadził, z garści nie dam. Ni wam, pani, ni im.

- Ociec wyznaczył wam dział.

- A jam przed śmiercią mu powiedział, że wszytka ziemia moja. Że głów wam nie wezmę, ale ziemi nie dam. Gwolim tej klątwy tu przyszedł, inaczej nie. I mówię wam: strzeżcie się.

Oda czuła przez mrok, że gniew ponosi Bolesława. Wiedziała już: nie podstęp, nie słabość przywiodły go do niej po nocy. Czuła jego siłę. Mieszka obstawił go, ile mógł: wszyscy prawie byli przeciw niemu. Ale ilu zdołał już zjednać? Walczył za siebie. Za nią walczyli inni.

Ale ona też była siłą. Bała się pchnięcia miecza w ciemności, lecz nawet ta groza nie zmusiła jej do cofnięcia się na krok. Nie wyrzeknie się działów synowskich. Nie wyrzeknie się też usunięcia Bolesława z jego działu, skąd nigdy spokoju nie zazna. On przysięgał Mieszce przed śmiercią, że jej nie ukrzywdzi. Ona nie przysięgała. Nie przysięgała! Ogarnęło ją nagłe uniesienie.

Bolesław zdziwił się, gdy usłyszał w ciemności jej cichy śmiech.

- Wesoło wam, pani?

- Tak - odrzekła jednym tchem. - Przypomniałam sobie sługę, któremu ufam.

- Któryż to? - spytał Bolesław bez nadziei na odpowiedź.

- Arnulf.

Hugo patrzył na towarzysza w oszołomieniu.

- Cóż to? - zaśmiał się Arnulf- i was strach obleciał? Oda takóž strwożyła się, kiedym jej o Italii prawił. A przeciєм dobrze radził.

- Radziliście?

- Pomnę, co działo się w Rzymie, kiedy to Krescencjusz, co go zwali a marmoreo caballo, bo miał posąg marmurowy przed pałacem, udusił papieża Benedykta. Wtedy to na tronie posadził Bonifacego. Dopieroż zaczęło się trucie a dźganie w ciemności nożem, a uczyty, na których się rzadko zdarzało, by ktoś nie zwałił się martwy pod stół. Za dwa obcięte denary można było kupić u zbója życie, choćby

wielmoży.

- Tfu! - splunął ze złością Hugobękart.

- Pewno, pewno - przytaknął Arnulf. - Ale wszyscy tak robili. I Krescencjusz, i Zymisces, cesarz grecki, i Pandulf, książę Benewentu i Kapui, wszyscy. Rycerz rycerzowi trutki nie da. Ale gdy idzie o władztwo... Radziłem Odzie...

Słowa te dopiero teraz dotarły do wdowy po Mieszce, gdy stała w mroku naprzeciw nieugiętości pasierba, proponującego ugodę. Ugodę? - ano, dobrze. Powiedziała nagle miękki głosem:

- Możemy się ujednać, Bolesławie, byle nie w ćmie i samotności.

Milczał chwilę. Czuł podstęp, nie widział go. Wahał się.

- Księżstwa wam nie dam. Słyszycie?

- Słyszeć. Jutro rzeknę wam moją wolę.

Gdy odchodził, zdało mu się, że dobiegł go znów jej śmiech. Ale go to już nie obeszło: wiedział, że nie ma między nimi ujednania, tylko nienawiść i śmierć.

W izbie było duszno, w całym grodzie było duszno. Bolesław przeciągnął ramiona, aż trzasły stawy. Sennym wzrokiem powiódł dokoła: ławy wysłane futrami, wyblakłe tkaniny na ścianach, na tkaninach broń. Muchy brzęczą. Nic się nie dzieje. Gdzieś tam - o dwie ściany - Oda pochyłona naradza się z Hugonembekartem lub Arnulfem. Emnilda drzemie nad kołyską dziecka. Unger słucha, co mu mówi Zefrid. Stryk Czcibor pije z wojami a judzi, a namawia. Śmierdzi tchliną i gnojem. Duszno.

Czerwona twarz Bolesława pokryta kroplami potu. Siadł ciężko na ławie, bosy, w rozchełstonym giele. Duszką wypił kubek kwasu. Jakże ciężką jest próbą cierpliwość.

Wytrzyma - tak! A tymczasem księstwo rozłazi się niby zgniła przyodziewa. Wszystko, co zbudował Mieszka, chwieje się ośmielone ciszą - cierpliwością księcia. Jomsborg burzy się i byczy niby rój pszczeli. Na wschodzie chęsa hula.

Wszedł Wszebor, zwisła gęba aż trzęsie się mu od wieści. Siadł na ławie, rękę wsparł Bolesławowi na plecach. Momocze pod nosem:

- Co dumasz, synku?

Niecierpliwość przebiegła Bolkowi po rękach, po nogach, ale siedzi bez ruchu. Odwraca głowę do piastuna, patrzy mu z bliska w twarz - starczą, pomarszczoną, z kropelkami śliny w kątach obwisłych warg. Blade oczy spoglądają nań z przyjaźnią, z troską - jedyna bliska twarz w całym księstwie. Bolko chmurzy się, syczy przez zęby:

- Czekam, aż Oda a stryk Czcibor sami na kolana padną. Wszebor przyciska dłoń. Gdacze:

- Źle czekać długo. W księstwie hydr. Od Sanu chęsa grasuje. Był człek pewien, strach - baje:

Babi głos, cienki, przerażony, wrzasnął zza opłotków:

- Konni jakowyś od jaru. Konniiii...!

Zagotowało się w osadzie. Wylatywali patrzeć, słońce raziło w oczy, podnosili wrzask, wpadali do chat, łapali za topory, białki leciały za wieś - ku chaszczom. Widać było, jak tamci pędzili w dyrdy, zabiegali z obu stron, zaganiali uciekających na powrót. Wycie biło w niebo jak dym. Mały oddziałek konnych zabiegł od tyłu, odciął drogę. Teraz lecieli ze wszystkich stron. Kozuchy wełną na wierzch. Oszczepy. Topory. Ręce w rozmachu. Nogi śmigające. Gęby ciemne, małe, złe. Wycie.

Ryk spadł na wieś zewsząd. Ludzie rzucali się nieprzytomnie, oczy obłądne, usta rozwarte, gęby wykrzywione. Białki rwały włosy, chwyciły niemowlęta, pędziły na oślep. Dzieciarnia uderzyła wspólnie w płacz. Serca lały w gardło. Od lewej strony buchnął dym, czarny, kłębiasty, rozwalił się. Wiatr powiał na wieś, dym pokrył niebo, słońce zrudniało. Ryzy półmrok pokrył świat. Drugi dym, trzeci dym. Ze wszech stron. Drogą między chałupami biegli już zbóje, kto się nawinał, tego rąbali w szaleństwie mordy, wściekłości, obłądu. Psy wyły, bydło ryczało. Ogień czerwonymi jęzorami skakał po dachach. Nad płonąca wioską leciał ciągły, równy krzyk:

- Aaaaaaaaaaaa!

Nie ustawał.

Przestali ciąć. Wyganiaли mężczyzn, białki, podrostków, woły, krowy, świnie. Pospołu. Niemowlęta za nogi, o zrąb! Krzyk spazmatyczny, białka z pazurami, toporem we wrzeszczącą gębę: łeb na dwoje. Wszędy krew. Mężczyźni zrąbani - pokotem. Jeden na drugim. Wysoka dziewczka wypadła z chaty na drogę, rozkraczyła się, oczy w słup, ręce zarzuciła za głowę, zaśmiała się nagle. - Cho cho cho! Och och och! - śmiech gorszy niżli płacz. Rudy kozuch pochylił się, porwał ją za włosy, związał je z końskim ogonem, pognał. Ciało skacze za końskim zadem, wlecze się, krzyk, śmiech, koń przestraszył się, jął bić kopytami: w miazgę, w miazgę! Na płonącej ulicy powalili białki, odarli z przyodziewy, gołe, wyjące gwałcą społem, rechot, wycie. Zgwałcone biją.

Ogień rośnie, łączy się, pożar, łuna. Wyganiają w stronę jaru.

Pędzą. W stadzie. Krowy, woły, ludzie, świnie. Nogi się potykają, bydło gniecie, przerażone, oszalałe. Biją bity z surowca. Jęk. Idą. Wyboiny. Kamienie. Błoto. Ból. Pragnienie. Rozpacz. Obłąd.

Inne kupy.

Na widnokregu niskie, czarne kłęby dymu. I tu, i tam, i ówdzie, naokoło, wszędzie. Inne stada, wszystkie gnają w kupę. Nad rzekę.

Płytki bród. Dno kleiste, żółte, nogi grzęzną w namule. Woda chlupocze. Bydło ryczy. Idą długim węzem, przodek na tamtym brzegu, ogon wstępuje w wodę. Odwracają głowy, patrzą za swojszczyzną. Żegnają. Nie wolno patrzeć, surowiec świszczę.

Chąsa hula na wschodzie - tak bajął człek pewien Wszeborowi.

Dojnica pełna była krwi. Stary wyrwał ją z rąk Gniewochy, uniósł biegiem ku gromadzie. Gniewocha stała w przestraczu, w złości - tyleć krwi utoczyła z wieprzaka, teraz stary wyleje. Lipa rozłożyła szeroko konary, pszczoły brzęczały w kwiatach. Stary przyniósł dojnicę pod drzewo, postawił, krew zachlupotała, prysnęła. Kobiety wrzasnęły, mężczyźni wyciągali szyje. Lelum, coc?...

- Ludkowie, ludkowie - głos starego cieniał, w pisk przechodził - źle z wami, bieda, niedola. Już krowy krwią się doją, mór idzie. Dadźbog a Swarożyc wybiją was, wygubią. Ogniem spalą. Książd Mieszka przywłoki przywiódł, wraz bogi, wam na zatracenie. Słysz: obrzymi na was idą a stolini. Ooo! - porwał dojnicę, chlustał ciemną strugą krwi pod nogi gromadzie - ooo! czarna krew... krowa krwią strzyka, ooo!

Powiódł wzrokiem po drętwej ze strachu gromadzie. - Co stoicie?

Poruszyli się, zamarli znów w bezruchu. Starzec zawył:

- Gałęzie rwać! Wieńce wić! Na trzem, na trzem! Lado!

Trzemik w Pułtuskę był niewielczutki, z drzewa jeszcze za Dobrawy postawiony. Świętek przy tej

cyrkwi zwał się Strzebosz, po kościelnemu Herman. Temuż białka pomarła, ale synów miał trzech, a czwartego z nałożnicy. Rosłe chłopcy, wraz z trzema tarczownikami do ochrony trzemu przydani. Przylecieli do ojca, gdy - bosy - - gnój pod chatę przyrzucał. Ozwarli się z wrzaskiem:

- Ociec! na trzem idą.

- Kto?

- A kto? Kmiecie.

- Jasz! - wykrzyknął świątek. Stał bezradny, ugnojony, chudy bardzo, z siwiejącym włosiem na brzuchu i piersi. Zszarzał, blade wargi szeptały: "Jezu Kryste! Swarozycu! Dadźboże! Odpędźcie złe. Tfu".

- Do trzemu, ociec.

- Do trzemu, do trzemu - dał się prowadzić niemocny, trzęsący się. Schronili się w prostokątnej szopie kościoła, świątek rozejrzał się bezradnie. Ściany z mocnych bali na zrąb mocowane. W głębi ołtarz, nad ołtarzem krzyż z figurą Jezu Krysta - dar Dobrawy - wraży znak, nynie śmierć niosący. Świece z wosku, wyżej ziola święcone na święty Jan, z góry piękny szczyt złotem nabijany z napisem; już zapomniał, jak się napis czyta, ale wiedział. Synkowie zaworę u drzwi założyli, drągiem podparli, topory w garść i do okien: czekają.

A tam już hyr, wrzask, łomot. Umajona gałęziami wali kupa. Przodem stary, w wielkim wieńcu na głowie, z różgą w ręce. Otoczyli, łamią drzwi, toporami biją, kłodą, kamieniami. Dźwirze mocne, ani rusz. Rozeźlił się stary, kazał chrustu nanosić, słomy, obłożyć trzem.

- Uczcim Dadźboga, iże ogień dał, a spalim trzem Kyryi Krysti! - W trzemie strach, księżyce spoglądają na siebie, potnieją pod szłomami. Tarczownicy złe, klną, warują przy drzwiach. Strzebosz padł przed ołtarzem, a powtarza prędko mocne zakłęcie:

- Kyrie elejson, Kryste elejson, Kyrie elejson, Kryste elejson... - Dokoła wrzask, nagła cisza, dym, płomień. Tarczownicy odwalają drzwi, księżyce łapią ojca pod pachy, wloką na dwór. Wszystkich ośmiu zarąbali przy drzwiach toporami, wrzucili z powrotem w trzem, drzwi zawalili. Świątynia płonęła wielkim ogniem na cześć boga Dadźboga.

Tak Bolkowi opowiadał Wszebor.

Książęcy chłop Żuk, niski, czarny, krępy, siedział na przyzbie, z upodobaniem patrzył na Krasulę. Walna białka, śmigła, gorąca, robotna. Trzeci tydzień, jak wziął ją u Sulka za krowę i byczka. Wesele trwało trzy dni i trzy noce, wypili pięć cebrów piwa, beczułkę miodu. Mięsa, sera, śmietany nigdy w Skotnikach nie zbraknie, wiadomo. Obzarli się za całe lato. Księży komornik był: i sława, i cześć. Kołacz upiekli kiej ceber. Nocki bywały mało śpiące, zmęczyła go Krasula. Tęga baba. Żuk rad był z białki. Patrzył teraz, jak zakasawszy kieckę, równo, mocno dziobała motyką w grzędę.

Skoro wieczór poszli na posłanie. Posnęli twardym, spoconym snem. Księżyc był już wysoki i zimny, gdy Krasulę obudził gwałt. Podniosła się, ręką oparta o słomę, słuchała. Podle Żuk - rozwalony, goły

- chrapał mocno. We wsi pisk bab, gdakanie, zamęt; długi krzyk mężczyzny; łomot biegnących kroków. Żuk chrapie. Krasuła chwyta go za odchylone ramię, szarpie.

- Słysz! - przewrócił się na bok, śpi zmordowany, chrapanie ustało. - Żuk! Słysz! Chęsa! - Mężczyzna poderwał się, pięści w kudły, słucha.

- Lelum!

- Co? - zapytuje Krasuła.

- Lelum! Chęsa, abo jak? - drży na całym ciele, Krasuła objęła go, odepchnął. Słuchają, czekają. Łomot tuż...

Drzwi się otwarły nagle, pchnięte mocno oderwały się, padły na środek izby. W jaśniejsze wycięcie zwałił się człek z wyciągniętymi rękoma, padł z rozpędu, charknął, poderwał się, maca w ciemności, szuka. Żuk skurczył się ze strachu. Krasuła przytuliła się do nagich pleców męża - zimnych, wilgotnych. Bugaj wciąż maca wokół, blisko legowiska, słyszą- sapie w złości, podnieceniu. Doszedł, Żuk go za gardło, Bugaj na niego, przewracają się, dyszą. Krasuła przywarła do ściany, jakby w nią wbić się chciała, wcisnąć - potracając ją boleśnie, szamocą się, sapią, zgrzytają zębami. Bugaj przywalił Żuka, sięgnął do boku, stuknął raz - drugi raz: stuk był głuchy, tępy, sucho trzasło. Krasuła czuje: na twarz, ramiona, piersi, chlusnęły ciepłe bryzgi. Wrzasnęła, Żuk leży nieruchomo, skręcony, ramiona się mu odchyliły. Bugaj się podniósł, wyciągnął dłonie, złapał białkę za boki. Poczł goliznę, jakby nim szarpnęło - zwałił babę tuż podle Żuka, nawet nie zepchnął trupa. Krasuła już nie wrzeszczy, ścisła ją w dołku, w gardle, tchu jej brak, tchu brak...

Tarczownicy urządzili sobie nocną uciechę w Skotnikach.

Każdy woj wiedział, jak to było ze Szreniawitami - pięciu ich służyło u Mieszki, jak palców: ojciec z synami. Jeden legł w bójce z Weletami, drugiego jomsborczyki usiekli na łodzi, trzeci chorzał z roczek, bo mu Prusy grot zatruty wbili w kark, aż pomarł, w końcu ojciec z czwartym zginął, kiedy to Włodzimierz kijowski wziął Grody Czerwone: stary dostał kamieniem po łbie na ostrokole w Haliczu i zleciał na pysk do rowu, syna mało co później pokłuli spisami na wale przy obronie wrót. Tak nie stało w drużynie Szreniawitów. Doma ostała mać Dobrogniewa z pięciu szczeniętami: otroki podhodowały się, mać zmarła. Chłopy rozrosły się, chodzili do lasu na zwierza, smardów bili pałkami po głowach, który uciekł, którego zatłukli, żadnego nie ostało. Tedy znowu do puszczy - na zwierza, sami jęli się sochy, kiej kmiecie: a przecie ojciec i starsi bracia drużynnikami byli u Mieszki. W końcu w Szreniawie ni zreć, ni pić nie stało: uradzili - jak ich pięciu było - dom ostawić i do Mieszki, do drużyny iść. Lecz tu się zwiedzieli, że Mieszka pomarł; tak i ostali.

Dom był wielgachny, stary, zasiadły, ale pusty, dookoła lipy rosły. Chłopy prawie zapomnieli własnych imion rodowych, a zwali się przezwiskami, jako bywało: Łebacz, Gomuła, Czarny, Koza, Ulęgałka. Zaczęli tutaj zwady szukać, a jeśli się poszczęściło, było doma co zreć. Smołucha warzyła strawę - i rodowa zgoda była. Zasiedli do miski, jagły z mlekiem- skąd? jak? - Smołuchy nie pytać, nie powie. Siorbali po kolei, podobni, krzypcy, w płóciennych giezłach, przepasani, za pasem topory, grzywy niepodstrzyżone, wąsy ledwo co się sypią, u Ulęgałki i to nie. Łebacz tyle co męskim baskiem rzekł:

- Dalej nie strzymam. Żreć nie ma co, jęczmień zesechł, pszono wyłysiało, prędko lebioda ino ostanie.

- Chyba Smołuchę podoisz - buchnął Koza. Gromada w śmiech, aże pięściami stukali po ławach i na całe gardło:

- Smołucha, a Smołucha! Pódź, wraz podoim. Smohicha ani nosa z komory. Uspokoili się, jedzą. Łebacz swoje, Koza swoje, ozeźlili się. Zaraz za łby. Wodzą się jak dwa niedźwiedzie po izbie, bracia wkoło - ryczą, judzą. Szczepili się, Gomuła pchnął, przewrócili się, jeszcze się tarmoszą. W końcu Łebacz przydusił brata; siadł na karku i swoje:

- Wam śmiech, durnemu zawždy śmiech. Posłuchajcie: Mieszka pomarł, nynie ni woli, ni topora. A mnie bajął Żelislawów brat, jako u nich kupce goszczą. Dzisiaj rano na Poznań jadą, nocką bród przejdą. Wozów dziesięć, dobra wszelakiego moc nieprzebrana.

Teraz się już nie śmieją, słuchają, nawet Koza na brzuchu leżąc, przyduszony. Obrócił się i do brata:

- Puść.

Łebacz wstał.

- Bajął - oczy się mu świeciły - długie miecze normandzkie, kiej u oćca, a szłomy, a szczyty. Pobrać by nam to i do Bolka, do drużyny iść. Zbrojnych weźmie, co mu tam kupce.

- U brodu? - pytał jeszcze Gomuła, ale prędko, z gorączką.

- U brodu.

- Nocką?

- Tyle, co miesiąc wzejdzie.

Jak stali, tak kupą przepychali się do drzwi! Za sulice i w las: w zasadzce na kupców czekać. Kaszy nie dojedli, Smołucha aż ręce rozłożyła z podziwu. Zaraz też przysiadła i wszystko, co w misce pozostało, wydziobała do dna.

Nad rzeką mgła leżała, krętym, białym wałkiem. Rozlewała się coraz szerzej, jakby na złość. Pełzła wolno, gdy serca Szreniawitów biły prędko, w skroniach waliło. Siedzieli } w leszczynach, komary cięły, poprzez laski krzaków wypatrywali: biała mgła. Nasłuchiwali: żaby rechoczą, derkacz wrzeszczy. Więc toporami buch buch w miękki grunt - niecierpliwość podłazi pod gardło. A tu nic, siedź i siedź. Zełgał Żelislawów brat.

- Nie zełgał.

- Ej, zełgał.

- Nie zełgał.

Już się złoszcą, już gotowi się bić. Ulęgałka psyknął:

- Tsss! Słuchajta.

Uspokoili się - słuchają. Słyszą: żaby rechoczą, derkacz wrzeszczy. Znowu w złość.

- Zełgał.

- Nie zełgał.

Mgła coraz szersza, księżyc - wyższy, komarów więcej a więcej. Jak głuptaki w leszczynie siedzą, kaszy nie zjedli, w brzuchach pusto. Zełgał, nie zełgał.

- Cichaj! Słysz!

Znowu żaby, znowu derkacz. Ale i skrzyp wozów, i głosy we mgle. Przytaili się, zamarli, cisza. Żaby, derkacz. Plusk. Ktoś wszedł w wodę, przeszedł bród, woła. Mgła, nic nie widać. Krzyki na woły, plusk, skrzyp, przeprawiają się. Łapy zaciśnięte na sulicach, w gardle łaskocze, gęba pełna śliny. Już przeszli, już widać: kupa wozów, z przodu trzech - idą, rozglądają się.

Raptem z krzaków wypada pięć cieni, sadzą długimi susami.

- Stój, stój - zamieszanie. Dopadli pierwszych trzech - buch! jeden leży, drugi leży, trzeci leży. Do wozów! Ale od tyłu kupa zbrojnych wali - wielka kupa. Szreniawity oszczepami w nich, za topory. Ale i tamci nie gnojki, wrzeszczą, nie uciekają. W księżycowym blasku widać dobrze: napierśniki, miecze, szłomy - kiej rycerze. A tu poganiacze hurmem, z byle czym, z kłonicą, z toporem, z kamieniem. Koza dostał drągiem po łbie, zwałił się. Ulęgałce oszczep bok przebił. Łebacz, Czarny, Gomuła - najsilniejszy - razem! - toporami w gęstwę! - odbili się. Wraz też za kozę i w nogi, w las. Ulęgałka kulał za braćmi. Kupce nie zgonili.

Na krótkodługo do domu wpadli - Smołucha jeno rękoma plaskała. Zjedli, coc było do zżarcia, każdy do Smołuchy na chwilę, i poszli. Nie powrócili więcej. Nieprędko.

Wszebor pociągnął nosem, zrzędził:

- Nie lza czekać. Kupce rankiem do cię przyjdą się żalić, jako do księdza i pana, co im rzekniesz? Że czekasz, aż Oda i Czycibor na kolana sami padną? Nim się to stanie, trzemy popalą, twoich ludzi pobiją, imię twoje na śmiech podadzą. A wiesz, co imię twoje znaczy, Bolesławie?

Poprzez jałowość czekania, poprzez duchotę południa, bezruch i smród zamigotała przed Bolkiem na moment twarz matki; i ów wieczór ostatni, dziecięcy; i ojciec, który go miał zwać Lestkiem. Zdało mu się, że nic nie znaczą pola bitew, które przedeptał, ugory pustych dni w niewoli cesarskiej, niebezpieczeństwo czyhające w mieczu wroga i uśmiechu przyjaciela - dopiero co gadał z Przemkiem o Stojgniewie, Przemko czerwienił się i bladł, lecz w końcu wybuchnął prawdzie - że wszystko mu maleje i blednie wobec tamtej - zapomnianej - kołysanki matczynej, kołysankinakazu: Bolej sławy. Poderwał się, obie dłonie wsparł na ramionach Wszebora, rzucał mu słowa prosto w gębę:

- Nie pojmujecie, ale dobrze idę... tak trza... trza tak... A czy księdzem jestem, obaczycie.

Twarz mu nabrzmiała, czerwona, zła. Wargi się wykrzywiły. Bosy, w rozchełstany gieźle stał nad Wszeborem i krzyczał:

- Słać do Pułtuska dwie dziesiątki wojów, dziesięć pancernych i dziesięć tarczowników: niechże tam toporem ład robią. Toporem. Nie ma im księdza, Mieszka pomarł, dobrze! dobrze! Głowy na pień, słyszycie? Szreniawitów wyłować, kupcom w niewolę oddać, w wieczne jeństwo. I Bugaja, i tarczowników, co na moją, na księżą włość napadli, ludzi moich nabili, babom gwałt... - zaciął się nagle.

- Nie - myślał chwilę, tupnął bosą nogą - nie czas tarczowników głową karać, później to... Na stróżę Bugaja odesłać...

tamtych... do Kruszwicy, tam cichaczem za łeb i do wieży. Słyszysz ?

Wszebor chrząknął.

- Może ich tamok znowu jakie myszy... - Bolko roześmiał się głośno, wesoło. - Myszy, co? - trzasnął Wszebora po plecach.

- A chęsa?

- Nie przepomniałem. Wybierz setkę... dwie setki... z tych, co to Odzie wierniejsi, konnych... - śmiał się aż pod pułap, stary zaczął mrugać rad, ogromnie rad. - Dasz ich Puchale, dobry woj, stary, Ody drug, niech wiedzie. Po drodze niechaj z grodów ściąga. O tak, słyszysz!... Kiej wróci, będzie po wszystkim, ni Ody nie stanie, ni stryjca. Lećże...

Odetchnął. Niecierpliwość odpłynęła mu od rąk, od kolan: jakby powiew zimniejszy przewiał przez izbę, jakby żar słońca się sączył przez lód, przez lód.

8.

Co wieczór Czcibor pił z wojami wszystkich trzech drużyn - dawnej Mieszkowej, Bolesławowej i własnej. Woje zakwasili się w beczynności, ozeżleni byli, pyskowali. Rankiem, gdy miód i piwo wyszumiały z głowy, Czcibor coraz trudniej się śmiał, coraz rzadziej trząśł się mu wielki brzuch. Żle było w drużynach. Wymyślali na Odę, że przez spory a gadki ni wypraw, ni łowów. Upał co dnia był większy. W ciasnym grodzie parzyło, by w łaźni, śmierdziało. iMrowie ludzi dusiło się po szopach i kleciach, pod częstokołem i w przełazach. Na błonia nawet nie puszczają. Wszystko Oda. Bolko by wnet polecał, ale mu nijak wilczycy z małymi ostawić.

Czciborowi chmurzyła się czerwona gęba. Nie lubił tych układów, a Oda źle grę prowadzi. Najwierniejsi z jej wojów, Odylen i Przybywoj ze swymi dziesiątkami - wybranymi, pewnymi śpią z księżycami miast namawiać drużyny. A Bolkowi wszędy są - piją, bają, gdaczą. Bolko miłość ma. A co dzień minie - gorzej.

Oda bladła i zacinała się w sobie. Nie ustępowała, ale miru zdobyć nie umiała, nie wiedziała jak. Przestała ufać nawet swoim, dziewczki oddaliła, zostawiła sobie tylko jedną służebną, Annę, którą z Kalby przywiozła. Naradzała się ino z Arnulfem a Hugonem. Polscy woje sapali gniewnie, obrażeni zacinali się. Dawne władcy chodzili samopas, koso na siebie patrzyli, nienawidzili się wzajem. "Jakże iść razem wilkom a rysiom?" - mawiał osepiony Czcibor. Było coraz goręcej.

Dopiero po którejś nocy - nikt nie wiedział, że tejże nocy Oda dotknęła drżącego miecza Bolesławowego księżna ożyła... Ledwie świt budził Bruno wybitniejszych stronników na wiec samych swoich, pewnych zupełnie. Przecierali oczy, spluwali. Szli pojedynczo w wielką sień Mieszkowego dworu, gdzie stary ksiądz umarł. Zasiadali wokół ławy, ręce wspierali na mieczach sterczących spomiędzy rozstawionych kolan, pogardliwie ozierali się na siebie. Mało tu było takich, co się nie nienawidzili wzajem; ale łączyła ich większa nienawiść, wspólna - ku Lestkowicom, ku Bolkowi.

Oda z twarzą ciasno owiniętą, z rękoma na kolanach, z głową schyloną, milczała. Gadał Czcibor, jako drzewiej wraz z Mieszka wojowali, jak bili wrogów, jak umierający ziemię podzielił, jak przed Bolkiem ostrzegał. Że nie ugłaskasz wilka gołą ręką. Sierść mu się jeży na karku, w pysku piana. Nie chodzić w jednym stadzie wilkowi i łanion. Że trza ubić wilka lub wygnać. Że przysięgali. - Wszystko stare gadki, nic nowego, wiele to razy im bajano?

Kiwali ponuro głowami, pomrukiwali, ale rady nie mieli. Wielkie łapy oparte na mieczach, łby kudłate, wąsiska niżej brody; szłomy pobok; pasy nabijane złotymi lub srebrnymi blaszkami, kółkami. Brwi nasepione, miny groźne, wszyscy czują krzywdę, wszyscy nienawidzą. Hugo niedbale rozwała się na ławie, Arnulf wodzi wokół ubawionym wzrokiem, Hodo i Ludolf siedzą sztywno, dumni, pogardliwi. Władcy: Wojbor, Świrad, trzech braci Turów - Władyboj zwany Piskorzem, Zbygniew i Zabój - łypią dokoła oczami, gniewni, niepewni, pomieszani.

Gdy wszyscy milczą, Oda podnosi głowę. Mówi cicho, bezdźwięcznie, ale głos jej wibruje pod pułapem, bije w serca. Mąż mój i pan, Mieszka Lestkowic, zawżdy pił z kruży, którą czestnik napoczał, zawżdy bał się i w oczy patrzył. Wiem dobrze, że kędy miecz nie dotrze, kruz dotrze. Wicie i wy.

Milczenie jeszcze głębsze. Brzęczą muchy. Przez okno - ni powiewu. Oczy wbili w Odę - urzeczeni, przerażeni. Że baje tak wszem, w biały dzień, powiek nie spuści. Co za białka! Lek w sercu: a jeśli Bolko dosłyszysz? Wahają się. Przybywoj wybucha:

- Nie godzi się, pani...

Hugo leniwie się doń obraca:

- Onegdaj chciałeś uderzać na Bolka z wojami. Uderz no, a rozbijem czaszę.

Przybywoj zacina zęby, patrzy zły. Warczy:

- Sulilem... ano, tak. Tyś nie zwolił. Nynie drużyna nie nasza, Bolkowa... Nynie późno... - zęby mu zgrzytają.

- To i milcz.

Wąsacz kurczy się, łapie za jelce, zbliża się wolno do Hugona. Niemcy się podrywają. Krzyczą:

- Na Boga! Nie ustąpić! Dość! - trzech braci Turów wystawiło ostrza mieczów, oczami łypią, zaraz bitka tu buchnie.

W szczęk wpada głośny okrzyk Ody. Cichną, zwracają się ku niej. Oda wstała, pierś jej faluje:

- Przecze miecze obracacie na siebie. Przybywoju, weźmiecie po Bolku obie drużyny jako wojewoda.

Przybywoj kłoni głowę, wraca na miejsce. Hugo uśmiecha się, mruży do Amulfa:

- To się godzi.

Ale już myśl utkwiała, już się godzą. Rozprawiają z cicha, porywczo, z czerwienią w oczach. Gdy się uda, rzeźba nieuchronna. Już im się pali do bitki, do końca, do władztwa. Układają się, Hugo długo prawi, słuchają.

Czcibor milczy, nie przeczy, nie potwierdza. Czcibor jest tłusty, czerwony, z wielkim brzuchem, lubi dziewczki, piwo, wojnę, spokój. Tyle go brat namęczył, niespokojny był brat, wiecznie mu było mało. Teraz truchło się już rozsypuje. Czcibor niczego nie pragnie - ni księstwa, ni władzy-pragnie ostać przy Pomorzu, siedzieć w Kołobrzegu, bić Normanów i pić piwo przy ogniu. Lubił Bolka - tak, a teraz jest przeciw niemu: tyle waru robi Bolko, wołę ojca łamie, na Odę nastaje. Chcą go struć, lelum. Poruszyło się serce Czcibora. Powiódł wzrokiem, słucha, Hugo wciąż prawi:

- Bajał nam Czcibor tylko co, jako Bolko jest wilk, jest gid, jest zakała. Bajał Czcibor, jako...

Prawdać, bajał dopiero co, tak chciała wdowa po bracie. Prawda.

Hugo prawi:

- Bajał Czycbor, jako z wojami gadał, przeciągnął ich Bolesław k'sobie Odzie na zgubę, nam na zgubę.

Prawda, bajał i to, tak było. Bolko nastaje na Ode, może wygrać: cóż to za war tegdy będzie, co narobi ten kur podsmalony, maćiwoda!... A jeśli nie stanie go, Oda Czycborowi da Świętopełka, jemu to Mieszka Pomorze ostawił. Wola brata święta. Czycbor dziewczki lubił, a syna nie miał - niechże będzie Świętopełk: nim dorośnie, wicie to lat cichych jak woda, hej! Każdy będzie miał dział, wiadomo, Bolko jest miły chłop, walny woj, ale wilk, ale gid, zakała. Hugo wciąż mówił:

- Oda ujedna się z Bolkiem, ustąpi. Po ujednaniu gody, a po godach...

Uderzył jelca miecza o stół. Oda zwróciła się do Czycbora:

- A wy co powiecie, dziewierzu? Czycbor zwiesił dłonie. Rzekł niechętnie:

- Wasza rada, rzecz wasza - i wyszedł.

Wyszli wszyscy. Oda przeszła do swej świetlicy. Czoło pali, w ustach sucho, nogi zimne. Chodzi z kąta w kąt. Zawołała Arnulfa, ma poszukać trucizny u kupców - sama pójdzie do wiedźmy pod gród. Tam dostanie na pewno. Arnulf przerażony - jął odmawiać. Nie ustępowała. Trzykroć przychodził, trzykroć gnała go precz. W końcu podszczyry przez Arnulfa - przyszedł Hugo, niespokojny, podniecony. Siadł jak zwykle niedbale, ale kręcił się, nie mógł usiedzieć. Oda wciąż była w ruchu, Hugona strach dławił. Mówił bez nadziei:

- Nie można tak, pani, niebezpiecznie. Nie wychodźcie z grodu. Zobaczą, doniosą. Takie rzeczy trza po cichu... Poślijcie zaufanego.

Podeszła doń. Obie ręce podniosła do głowy - palce miała długie, suche - ścisnęła skronie. Hugo powściągnął nagły strach, nagłą chęć zerwania się z ławy - wytrzymał jej długie spojrzenie. Cienkie wargi wykrzywiły się doń - bez uśmiechu. Powiedziała głucho:

- Zaufanego? Chyba ciebie. - Szybko przesunął przed nosem otwartą dłonią w gwałtownym przeczeniu.

Roześmiała się na to bez dźwięku. Znów ruszyła w swe nieustanne wędrowanie, goniona przez monotonny głos:

- Nie ukryje się... baba wygada. Głów nie uniesiemy. Zaraz hyr pójdzie po drużynach, tarczownicy załupią po szczytach, hej ho! jaki hałas, jaki gwar. Ja to znam. Nie zatkniecie jej gęby.

- Przeplacę.

- Co przeplaciecie? Babi ozór?

- Przeplacę.

- Ejże. Nie znam takiego bogactwa.

- Ja znam - zacięła wargi wszystkich przepłacę. Nawet ciebie...

Hugo plasnął dłonią po kolanach. Zbladł.

- Mnie? Mnie chcecie przepłacić? Mnie nie trza... jestem wasz.

- Mój? Niedawno radzono mi - głos jej się rwał - że nikt... nikt... bez zapłaty.

- Któż ów doradca? Psi syn!

- Bolesław! - odwróciła się ku przeciwległej ścianie, gdzie wisiał krzyż. Pod nim klęcznik. Szybkim krokiem podeszła do klęcznika, klękała przed krzyżem, pochyliła głowę: ramiona zapadły, czoło dotknęło oparcia. Hugo powstał, wahał się, zmarszczył się, skrzywił. Zrobił kilka kroków - niepewnie, bez zwykłego niedbalstwa - stanął tuż za nią, pochylił się, oparł lewą ręką o klęcznik. Spytał miękko:

- Boicie się?

Oda podniosła twarz ukrytą w dłoniach, przez które dotarł go - niby przez ścianę - głos daleki, ale silny:

- Nie.

- Więc co, pani? Co wam jest?

Nagle odrzuciła głowę do tyłu, patrzyła mu prosto w oczy. Hugo stał pochylony - bez ruchu. Miał przed sobą twarz obróconą, inną zupełnie, nieznaną, obcą. W dole czoło-bardzo białe z miedzianą brodą spadających włosów, para oczu dziwnych, od spodu ujętych w dwa kielichy brwi, wykrojonych prostą linią u góry, owalnych z dołu, patrzących spoza złotawych rzęs zimno, niby oczy rusałki. Cienki nos z dziureczkami do góry, nad nim szramy warg - zawsze zacięte. Chłód przebiegł Hugonowi po plecach, jakby się wąż prześliznął, na widok tej martwej twarzy-niesamowitej. Ale wzroku oderwać nie mógł. Stał zdrętwiały w tym przegięciu nad twarzą niby wynurzoną z zielonej tafli wodnej. Aż w rusałczanych oczach błysnął błędny ogień - złotawy i wyzywający. Hugo - niespodzianie - uchwycił tuż koło uszu tę głowę - bezsilną na bezwładnej łodydze szyi, pochylił się jeszcze bardziej i - czując na końcu brody chłodne dotknięcie nosa - przyłgął ustami do warg, do zimnych warg rusałki. Znów wąż przesunął się mu od krzyża między łopatkami do karku, a strach ścisnął serce. Wyprostował się i puścił głowę gwałtownie, aż opadła. Lecz razem ze strachem poniosła go radość. Nareszcie! Oda z wolna uniosła się z klęczek, poprawiła włosy - nie miała podwinki na głowie. Zrobiła dwa kroki ku Hugonowi, stanęła tuż. Podniosła rękę, myślał, że go uderzy, lecz się nie cofnęła. Czekał. Położyła mu dłoń na ramieniu i - z oczyma przesłoniętymi powiekami - szepnęła:

- Pójdiesz po ziele do wiedźmy?

- Pójdę.

Podniosła powieki i spojrzała mu w oczy - jeszcze u niej takiego spojrzenia nie widział: tyle gniewu

i wzgardy, i szyderstwa. Rąbnęła krótko:

- Nie pójdziesz.

- Pani? - jęknął. Ugiął się pod jej dłonią - małą, o długich palcach.

- Nie trzeba cię przepłacać? Och! Nie pójdziesz... - sapała bardzo szybko.-Nie !t.. - głos rósł do krzyku. - Myślałam, że ty... że jeden... tamtych znam - ciemny rumieniec przepłynął przez szyję, policzki i czoło. - Że ty jeden... Przepłacę? Ach, przepłacę was wszystkich. Psy!

Zdjęła rękę i cofnęła się, nim się nie oparła biodrem o klęcznik. Chłodno patrzyła na Hugona, który stał kanciasty, zmieszany, niby woj w kozuchu przed panią. Oda krzyknęła dziko, ale już szloch ją dusił za gardło:

- Wyjdź!...

Gdy drzwi się za Hugonem zamknęły, żal opadł, został gniew. Wysoko sięga Hugobekart, syn pogańskiego woja i nałożnicy. Ale go przepłaciła, przepłaciła - prawdę rzekł jej Bolesław w nocy, gdy z mieczem w ręce szydził z jej osamotnienia.

9.

Ostatni promień słońca - czerwony i chłodny - wepchnął się do izby, liliowiejąc w smudze pełgającego dymu. Jarek się odchylił od nie dojezionej misy, powstał, przeciągnął się, wyszedł na dwór. Białowas siorbiąc jęczmiankę krzyknął za nim:

- Kaj?

Chłopiec nie odwrócił głowy. Lebioda plasnęła dłońmi, spoglądała w milczeniu na męża. Białowas jadł nie podnosząc kudłów. Gdy kaszy nie stało, przechylił miskę, wychłptał polewkę. Obu rękoma trzasnął miską o stół, mocno, w złości. Oczy mu gniewnie błyskały spod spadającej do brwi czupryny.

- Urzekła dziewczka, tfu!

- Suka - syknęła Lebioda. Porwała się, by lecieć za synem. Ale Białowas wrzasnął:

- Wracaj!

- Lelum! Zeżre mi chłopca.

- Nie uradzisz. Nie twoja moc.

Jęknęła nie odchodząc od drzwi. Skądś, z głęboka wydarło się jej zawodzenie. Dosłyszała wściekły okrzyk Białowasa:

- Cichaj! Biedę sprowadzisz, wszyscy poginiem. Latawica posłysz na staje.

Jarek szedł wzdłuż olszyny nad rzeką coraz wolniej, coraz niechętniej. Nawieży nań nałożyła dziewczka, biegał do niej kiej pies. Z żarem, ze wstrętem, z gorącem w kościach, w lędźwiach, z ssaniem w dołku. Przeklinał. Nie oderwie się od niej, przepadło. Nienawidził jej. Od pierwszego dnia, przy jeziorku. Gdy wspomniał jakby ogień przeleciał mu po skórze, przyspieszył kroku.

Kiedyś zapytał, trzymając jej twarz w obu dłoniach, patrząc w zielonkawę czy bure oczy: "Czemuś to mnie wzięła, nie innego?" Śmiała się, oczy się jej zwęziły w dwie szparki: co się kryło za tymi oczyma, za rym śmiechem? Jakby studnia bez dna, nachylisz się - aż ci się we łbie mąci: co tam? Jarek patrzy! w szpary półotwartych oczu, chuć mieszała się mu ze wstrętem. Puścił twarz, odchylił się, ramię zarzucił pod głowę, spojrzął w splątane gałęzie brzozy. Ona nie spuszczała zeń wzroku, wciąż się śmiała. Jak wtedy- nad jeziorkiem. Poszedł wówczas po smołę dla ojca - miał w boru trzy zacięte sosny. Było południe, upał, dusiło od ziół i żywicy. Chłopiec wymachiwał ramionami, deptał jagody. Śpieszył. Ujrzała go, gdy wychynał z gęstwy - wprost na jeziorko. Myślała o kąpieli, stopą próbowała wody: jak grzana. Udał się jej, gdy tak stał na tamtym brzegu, gdy patrzył - może to jego oczy urzeczony, może ten dziw na czerwonej gębie? Zaśmiała się, a jemu na ten śmiech strach przebiegi między łopatkami. Szerokie, wilgotne wargi, zęby białe, duże. Oczy - od tych oczu szedł strach: śmiałe, wielkie, świecące, niedziewczyńskie. Ręką skinęła - nie sromała się. Naraz poczuł, że upał, że duszno; sam nie wiedział, kiedy obiegnął jeziorko. Stał obok, ale nie chwycił jej. Dławiło go, w uszach szum. Ułamała gałąź, wskazała wodę. W brunatnej głębi dojrzał ją i siebie, stojących

podle, dziewczka płasko plasnęła gałęzią po jego odbiciu, zmaciła je. Wzięła go czaremgusem - na wiek. Obrócił głowę - aż nagle żar buchnął mu kłębem od brzucha - porwał ją na ręce, poniósł przez las.

Odtąd nie zaznał spokoju. Zbrzydła mu wnet jej gorącość, jej pieszczoty, a biegał do niej. Nie odszedł. Nawet wtedy, gdy wiedział już, że wieszczycza, siódma córa, latawica; że z zębami się urodziła; że z boginkami gada; że w Kupałę kwiatem zakwita. Bał się, gdy ją ścisnął, zimny strach mroził mu w krzyżu. A nie odchodził, nienawidził, przeklinał i biegał - nie rozerwać mu już pęt, nie jego wola.

- Słyszysz? Cichaj! - znów krzyknął Białowąs. Lebioda stłumiła szloch, spojrzęła za synem - drzewa go już zakryły. Szedł szparko, już pchany przez czar, już niepomy i chciwy. Niedaleczko było. Widział ciemną masę grodu, rozrzucone podgrodzie, chaty i kłecie zapływające mrokiem; smugi dymu sączące się w rozświetlone niebo; długie drażki studzienne niby szyje żurawi; krzywe linie płotów chruścianych, płaskiełaty grząd, smugi zagonów; baby z kubłami na łąkach; mężczyzn gwarzących na przyzbach. Z brzoza marna kłec, przed nią - ona. Już biegł.

Przystanął zrozpaczony. Śmiała się. Zęby błyskały w pomroce. Jadła kluski z lebiodą - siadł podle, jadł razem. Patrzyli na kraj, płaski, objęty puszczą. Milczeli. Otarła wierzchem dłoni usta, objął ją.

- Chodź! - Poszła.

Leżeli mało-wiele, całowali się. Nagle ona podniosła głowę: usłyszeli tętent paru koni, powolny, niechętny...

- Do mnie - mruknęła, powstała, narzuciła chustę na barki, wyszła przed kłec. Jarek okrył się skórą, wiedział: często miała gości i w dzień, i w nocy - wieszczycza. Konie stanęły, słyszał: wiążą je do węgła. Głos babi, cienki, mocny. Weszli. Wróżka pochyliła się nad paleniskiem, dmuchała w żar. Łuczywo zapłonęło nagłym, wielkim płomieniem. Jarek spojrzęł przez szparę, zmartwiał: wielka pani, z gębą owiniętą, w wysokim kłobuku, zakręcona w płaszcz; za nią rycerz w zbroicy. Chłopak zasunął skórę, bał się.

- Masz ziele? - spytała Oda.

- Mam.

- Zabija prędko?

- Wraz - mówiła śmiało, zęby błyskały z między warg. - W miodzie trza warzyć abo w piwie - wybrała ze skrzyni kobiałkę startego proszku, odsypała garść. Oda stała nieruchomo, jak czarne widmo z białą plamą twarzy: błyski łuczywa migwały po zbroi towarzysza. Dziewka spytała:

- Na jednego? Na bolej?

- Na jednego. Bolej nie trza. Chyba na tysiąc.

- Bierzcie.

Wtedy Oda odchyliła płaszcz, ściągnęła z ręki naramiennik spleciony z cienkich złotych drucików. Wróżka wyciągnęła dłoń. Oda dając jej ozdobę odwróciła głowę i powiedziała do towarzysza po niemiecku:

- Zabij.

Arnulf podniósł rękę do szyi. Z obrączki łańcucha wyjął mizerykordię, zrobił krok naprzód, jednym ruchem wbił wiedźmie ostrze tuż u nasady szyi, kierując w dół. Dziewczyna zwała się bez jęku. Oda, patrząc wciąż w płomień łuczywa, powiedziała martwym głosem:

- Zabierz klejnot. Lepiej nie zostawiać znaku.

Arnulf cofnął się.

- Nie, pani - czuć było lęk w jego tonie - nie tknę czarownicy.

- No to ja... - Oda parsknęła wzgardą. Przyklękła, bez bojaźni próbowała rozchylić martwe palce, zaciśnięte na plecionce. Szamotała się chwilę. Arnulf dotknął ostrożnie jej pleców.

- Chodźcie, pani.

Powstała od razu, z pośpiechem. Wyszli. Słysząc było tupot koni. Łuczywo się dopalało, węgle syczały wpadając do garnka z wodą. Jarek leżał pod skórą w szalonej, duszącej radości. Czekał. Gdy cisza zaległa zupełna, rozniecił światło. Z łuczywem w dłoni patrzył na przechylone ciało, na obnażone pod chustą piersi, na twarz z błyskającymi zębami. W odrzuconej ręce klejnot - oznaka jego wolności. Jarek nie bał się dotknięcia wiedźmy, schylił się, odgiął sztywniejące palce, wyrwał złotą obręcz. Jeszcze raz z nienawiścią rzucił okiem na trupa. Zniszczyć go, by nie wrócił zjawą-upiorem. Podniecony rozejrzał się dokoła, porwał łuczywo.

- Daj naramiennik. Odniosę do grodu - usłyszał za sobą szept. Obrócił się: przed nim stał mały, czarny człowiek z wyciągniętą ręką. Odruchowo podał mu klejnot.

Zefrid wsunął go w szeroki rękaw szaty i wyszedł spiesznie. Nie zrobił stu kroków, gdy za nim buchnął płomień. Nic go to nie obeszło. Cień jego, wydłużony pokraccie, pomykał w krwawej poświacie, skacząc po pochyłości. Zefrid zaciskał w garści plecionkę i przyśpieszał kroku - tej nocy powie biskupowi o tajemnicach księstwa więcej niżli w ciągu lat nieustannego szepiegowania.

10.

Nie tak już jest jak za Mieszki.

Nie tak.

Kraj już nie jest ten sam.

Czarne dumki tłukły się po głowie Wojbora z tą wyrazistością rozpaczy, jaką może mieć tylko starość, która wie, co znaczy żegnać przeszłość - na zawsze. Osłupiałym wzrokiem rozglądał się dokoła - kraj już nie był ten sam jak w on czas, gdy z Czechami bił Ziemomysła, a potem z Ziemomysłem Czechów, kiedy z Mieszka pod Kaliszem wojował, kiedy wodził liczną drużynę za sobą. Nie ten kraj - lelum! Nie ten.

I gród był nie ten, nie ów gród Poznana, onże Poznań. Inny, obcy. Wojbor wiedział wprzód: Orczyca była przeciw Wiślicy, Wiślica - przeciw Kaliszowi, Giecz - przeciw Poznaniowi. Mieszka wystawił gród nad brodem przeciw Orczycy. Sprawa była tak prosta: spalić gród Ledarga, zaorać i drzewni czas wróci. Nynie pojął: przeciw Orczycy był nie tylko gród Ledarga; i Poznań, i Giecz, i Wrocław, i Kraków - najdalsze grody - wszystkie przeciw Orczycy.

Jakże to?

Życie przeżył zaryty w puszczy, mając tylko Ledarga przed nieulekłym okiem. I dalekiego Mieszkę. Zmarł Mieszka, zabije Ledarga i znów Orczyca będzie czołem ziemi. Teraz widział: zrodziło się, wyrosło coś ponad Mieszkę a Ledarga, jakby wielka sieć owijająca kraj. Sieć, co omotała ziemię i gwiazdy.

Coś, co nowe było, niepojęte i obce.

Co?

Wojbor chodził po przełazach grodu: patrzył. Patrzył i nie pojmował. Był drzewiej Poznań grodem Poznana, Poznanowi służył. Czyżże nynie? Komu służy? Jakiemu rodowi?

Nowy był gród, inny. Nie prosty, jakby się tu nakładały na siebie miłość, nienawiść, dążenia, wola, namiętności Mieszki i Ody, i Czcibora, i Bolka, i Kyryi Krysti, i sług jego, i drużyny, i starosty, i kupców, i podgrodowych, i Niemców, i Jomsborga, całej ziemi, innych ziem, innych grodów, księstwa. Jakże to?

Wojbor stał przed wrotami grodu. Wrota były czerwone, dwuskrzydłe, obite brązem, brąz błyszczał. Nad wrotami tęga, kwadratowa wieża, końce bierwion wypuszczone na krzyż, wieża rogata, rogi barwione, żółte. Dwa wąskie otwory do miotania kamieni, wokół czerwona obręcz. Częstokół? - kaj tam częstokół. Ściana z wielgachnych pni, kładzionych na krzyż, jeden przy drugim, gęsto; na sześć kroków grubości. Dopiero górą - widział to kto? - ostrokolik - niski, do pól piersi wojowi. Na ścianie stróża.

Wojbor dotknął starczą ręką nowych wrót. Zadumał się starczą myślą: czy wejść? Bo wiedział: za

nowymi wrotami nowy świat. Co zrobi w nim człowiek stary?

Wracać by za butwiejący częstokół Orczycy i zbutwieć tam wraz z dworzyszczem: niechże ściany, podgryzione od spodu przez pleśń, przez czerw, przez wiek, zwałą się mu na głowę.

Na stosie przegniłych pni żółcić się będą końskie czerepy, czaszki żrebców, które szły w rubież - drzewiej.

Na znak!

Stary Wojbor stał przed czerwonymi, nowymi wrotami. Nie myślał, nie umiał myśleć - myśli mu same chodziły po głowie.

Czy wejść?

Czyżże ten gród? Wewnątrz gęstwa budowli ledwo przejść.

W prawo od wrót dom Mieszki - nynie Ody, z trzemem, w trzemie skarb. W głębi drugi dom Mieszki, nynie Bolka, także z trzemem - w trzemie broń. W lewo dom biskupa a jego sług. W głębi gościny dom; ze wszystkich ziem, ze wszystkich księstw tu goście żyli u księdza Mieszki; nynie Czycibora dom. Naprzeciw druga gospoda - dla kupców z dalekich stron. Na wprost bramy cztery szopy - długie, ciężkie, nieruchawe: jedna dla stróży grodowej, wtóra dla Mieszkowej drużyny, trzecia dla fiołkowych (nynie obie drużyny w jedno złączone), czwarta dla jomsborczyków; teraz śpią w niej Czyciborowi Pomorcy.

Wojbor podnosi wzrok, widzi: nowy znak.

Wszędy trzemy, wieże, piętrzą. Drzewiej jeden tylko trzem mógł być nad grodem, jak jeden starosta w rodzie; jeden skarbiec, jedna zbrojownia. Teraz w grodzie trzemy, trzemy w środku wielka wieża, z krótkich bali od pnia, same odziomki, grube, że chłop nie obejmie. Wysoka na trzy piętrzą. W górze strzały w wiążkach, niżej topory a miecze, a szczyty, a szłomy, a łyże kościane, w dole przyodziewa dla wojów. Ale równie wielka wieża nad cyrkwią Kyryi Krysti. Na niej trzy dzwony, prawia: srebrne.

W Orczycy Wojbor czynił, jak chciał. Tu sam nie wie, kto za niego robi kroki; kto idzie za niego; kto duma za niego. Czyli związał go już nowy świat?

W grodzie ciasnota: domów, przejść, przełazów. Ściana przy ścianie tuż: ledwo tchniesz. Kiej w puszczy. Belki wspierają się o siebie - jakby czekały społem - na co? Ślepe kąty, głuche zaułki, bez okien, bez drzwi - w końcu kupy gnoju. Ledwo się wokół częstokołu przeciśniesz. Węgły cię łapią za przyodziewę, potracają, gniotą cię, gromadzą; zabiegają drogę; bokiem dom się rozsiada, nawala; wnętrza patrzy ci w twarz, wieża zwisa nad głową. Obejrzyj się, stary władko - tu włada tobą gród.

Ciasnota. Gęstwa budowli.

I - gorsza! - ciasnota ludzi. W wąskich przesmykach, wadołach* niszach - wszędy są. Woje. Nie dawne woje, co z ziemią wojowali, od ziemi szli z zamulonymi łapami - za młot, za maczugę, za

topór, i na chasę! Odbiją - znowu J k'ziemi. Teraz siedzą tu - nie zwoływani, zawsze gotowi, i stworzeni do jednego: do bitki. Dokąd ich ksiądz powiedzie, tam pójda.

Woje. Goście. Nie dawne goście, co - z rzadka - z Dadźbogiem przez próg przechodzili, dłonią go uczciwszy, pokłon dziadom oddawszy. Obcy, niemi. Zbrojni, głowa zadarta, by sobiepany, by im gród, im ksiądz, im ziemia. Nie pojdziesz, o czym gwarzą, ni miodu się z nimi nie napijesz, ni przyjmiesz ich u siebie. Sameś gość.

Woje. Goście. Świątki. Biskupowa gromada. Obcy znak wisi na piersi. Oczy bystre, chodzące. Stróża dumek, stróża czynów. Ktoś jest? Co myślisz? Co bajesz? Krześcijaninęś, czyli drzewo na opał?

Woje, goście, świątki, białki. Baby nie zamknięte w komorze, śmiało chodzące. Sama Oda, jaż bronić mają, ona białka a pani za małych, za księżyców. Jej słuchają - białki! - woje a biskup, a Bolko. Lado, jakież to świat?

Woje. Goście. Świątki. Biskupowa gromada. Obcy znak. Niewołni. A przecie nawet klejmowanemu nie dasz pałką po łbie, bo cię wnet komornik za rękę: co księdza człeka bijesz? Jego prawo.

- Wojbor, syn Stojgniewa? Z Orczycy? - Śmieje się prosto w gębę. Wąsy mu jeno latają. - Nie lza! - Odszedł.

Wojbor Orczyk, syn Stojgniewa, nie rozdziakał mu czaszki za ten śmiech.

Jakże to?

Myśli się tłuką, mieszają w ciasnocie. Potracane wciąż przez domy, przez ludzi, przez ciżbę. Przychodzą niespodziane i straszne, jak powódź. Lecz ani ich przytrzymać w tej gęstwie. Wojbor tłucze się między ścianami, dumki jego tłuką się w gęstwie.

Dwóch wojów spotkało się zniecka. Ściskają się, bija po udach, śmieją się. Odwróc głowę - bitka, ramię w tył, grzbiet wygięty, biodra skręcone - jeden ruch, bęc! grzywacz leży, z gęby krew. Trzech tarczowników przy ścianie, żarty, czerwone pyski rozśmieszona. Mały świątek, czarny, zły, przemyka się, łypie wkoło, widzi: człek kawał mięsa w gębę tka - dziś nie lza, postny dzień. Świątek ma rączkę małą, złą - kiwnął: już komorniki lecą, łowią, wloką. Człek był prostak, nie woj, nie z drużyny - judzą, śmieją się, idą kupą. Kupiec kobierczyk rozesłał, na kobierczyku broń, ozdoby - tyle mieczów na nim, a on, nogi złożywszy na krzyż, siedzi spokojnie, towar daje, d[^]ięgi liczy, wiązki skórek; chłopak podle ciemnoskóry, prawie czarny, tylko mu oczy błyskają, worek trzyma, wybiera, wkłada: błyszczący zielona materia, żółci się złoto, świeci stal. Allach akbar - obcy człek, obca broń, obcy bóg. Niemiec się przepycha w zbroicy, człeczek z gębą chomika - nosek, oczki, wąsy - przypadł, szepnął, zawrócili, poszli spiesznie. Trąby huczą, gwałt. Bose nogi tup tup tup - gęstwa, mrowie, duszno, tchu brak. Stare serce - zagubione w ciżbie grodu - tłucze się gęsto, gęsto, jak ulewa.

Wojbor stoi przed czerwonymi wrotami, wie dobrze: wejść nie może, nie wejdzie, nie zdoła.

Ma dwóch synów. Ale ci nie rozjaśnią myśli, nie rozepchną ciżby. Wojbor wzrok ma ostry, widzi:

Nielub zapomniał puszczy, zapomniał dumy. Oczy mu wyłażą kiej dynie, wyskakują niby dwie strzały z łuku... Usta spieczone, w twarzy złość, w sercu zawiść. Cóż Orczyca? - kupa pni zżartych u spodu przez pleśń, przez czerw, przez wiek. Kupa gnoju - Orczyca. Aż mu się serce rwie: poprzez czerwone wrota wejść w nowy świat.

Nielub - durny otrok, głupi chłop, niedojda. Chce mu się - nie! nie wprowadzi Orczyków przez czerwone wrota w nowy świat.

Więc czemuż ma oczy jak dwie dynie? czemuż wyskakują jak dwie strzały? Wojbor patrzy na Nieluba: złość, zawód, wzgarda.

Ale Wojbor - stary, zżarty przez czerw i pleśń - pojmuje Nieluba. Lecz patrzy i nie pojmuje Stojgniewa. Patrzy - i złość mu, i zawód, i wzgarda.

Stojgniew jest z tego świata, zza czerwonych wrót. Co mu tam przejść? Wojbor przypomniał sobie, jak to Stojgniew wrócił do domu - w on czas nie pojął go, czemu obcy? Stojgniew wrócił z nowego świata.

Wrócił - dufny, tupiąc mocno skórzniemi, stukając mieczem - po nowemu schylił się do kolan ojca, po nowemu siadł-rozwalił się, po nowemu wodził wzrokiem po pustych kątach. Wojbor widział to wtedy, nie pojmował. Bajał o Czechach i Ziemomyśle - niby groch w ścianę, niby słowem miecz. Syn powrócił w swoje kąty, ale kąty go nie przyjęły, czy on kątów odnaleźć nie umiał. Tłukł się obcy. A nynie...

Patrzy na Stojgniewa - znów nie pojmuje: Stojgniew - jak on, jak Nielub - nie wchodzi przez czerwone wrota.

Stary Wojbor by chciał. Ale jemu iść z Odą, z białką, z otrokami, chociaż wie już, że przegra. Niechby Stojgniew szedł z Bolkiem - przeciw swoim, przeciw ojcu, rodowi, jak Przemko - może by uratował Orczyków. Wojbora nic nie uratuje! Nieluba. Ale Stojgniew mógłby ród...

Orczycę wybudować od nowa. Wrota pokraścić - na czerwono. Zatrząsał się na tę myśl stary Wojbor. Ale i na myśl, że Stojgniew tego nie robi.

Patrzy na synów - widzi; nie uratują rodu.

Przed częstokołem Poznania, przed wrotami łacha. Szeroka. Woda w onej łasze czarna, pełna śmieci, strużyn, zielska. Śmierdzi by zgniły staw. Wojbor patrzy w czarną wodę: woda jest bez dna, bez dna.

Nie przejść Orczykom przez czarną wodę za czerwone wrota.

Stary Wojbor stał i patrzył. Nie myślał, nie umiał myśleć - myśli mu same chodziły po głowie.

Słońce tego rana weszło w otoku mgły. Był to dzień spotkań i doniosłych układów.

Oda patrzyła bez zmrużenia powiek prosto w twarz Ungera. Oblicze biskupa zdało się tajemnicze i nieprzeniknione, jakby okryte ciemną chmurą. Oda wiedziała: biskup przyszedł do niej z celem wyraźnym i ostatecznym, a rozprawiał o Chrystusie i Kościele Bożym.

Za nim Zefrid zwinął się w kłębuszek. Było to coś nowego: zwykle Zefrid gadał zdania puste jak pluskanie deszczu, gdy Ungerowi spadały z warg samotne wyrazy - ważne i mocne. Dzisiaj obaj byli pozbawieni zwykłej swej mocy - jałowego gadulstwa i milczącej godności. Oda wodziła wzrokiem po jednym... po drugim - pod żebrami odczuwała pulsowanie gniewu, miarkowanego przez niepokój.

Za oknem brzęczał gwar grodu. Unger urwał nagle nie dokończony wywód, odwrócił głowę, spojrzął w okno twardym, uroczystym wejrzeniem. Jednocześnie Zefrid rozwinął się z kłębka, szyję wyciągnął, patrzył: teraz nastąpi uderzenie. Oda i biskup siedzieli naprzeciw siebie po dwu stronach stołu - księżna wyciągnięta w strunę, z ramionami opadniętymi, z dłońmi na kolanach, zaciśniętymi w piąstkę. Biskup piersią dotykał stołu, łokcie oparł na desce, dłonie rozłożył płasko. Patrzył w okno, jak gdyby czekał znaku.

Zefrid czuł dygocącą radość, pełne nasycenie życia, jakby rozcinał zębami miąższ owocu, a sok zalewał mu gardło: oto staje się. Patrzył, widział: siedzą oboje jak martwi, a w pogwarze grodu, w brzęczeniu nic nie znaczących słów dołaja się z całej mocy. Czujność obojga jak łuk - napięta; oddech równy, a jednak o cień szybszy, oczy spokojne, lecz nazbyt spokojne, głos ściszony, bo hamujący wybuch. Układna cisza śmiertelnej gry. Zefridowi dech zapiera z niecierpliwości: zaraz biskup zerwie ciszę.

Unger z wolna odwrócił głowę od okna, powoli sięgnął ręką w zanadrze - pod żarłocznym wejrzeniem Zefrida błysnęło złoto - wyciągnięta dłoń podawała Odzie splatany z drutu naramiennik. Surowe wargi szepnęły:

- Weźcie to, pani. Surowe oczy wbiły się w twarz księżnej.

Przez chwilę miała spuszczone powieki, patrząc na klejnot - Zefrid dostrzegł na błękitnawych powiekach ciemniejszą siatkę żyłek. Podniosła wzrok. Cień uśmiechu osiadł jej na oczach, na policzkach, koło uszu; lecz nie na ustach. Wargi pozostały nieubłagane i zimne, gdy odpowiadała również szepem:

- Dzięki wam, panie.

Palcami ujęła obręcz, kiść jej zwisała, jakby klejnot ważył tyle, co nie spełnione nadzieje, co zawiedziona wiara.

Jej wzrok, jej uśmiech, jej podzięką sprawiły zachnięcie się Ungera. Szybko obrócił się do Zefrida, a kapelan dojrzał we wzroku biskupa bezradność i zniechęcenie. Choć chciał być tylko świadkiem tej ostatecznej rozgrywki, zrozumiał rozkaz czy prośbę.

- Znalazłem, pani, tę obręcz w dziwnych okolicznościach... Bardzo dziwnych - dodał z naciskiem pod wpływem wzroku Ungera. Tamten pobiegł spojrzeniem ku Odzie w gorączkowym oczekiwaniu.

Oda - z tymże niezrozumiałym uśmiechem - ważyła w palcach na zwisającej kiści bujającą się ozdobę; złote druciki błyskały i gasły.

Unger już nie zniósł tej ciszy, tego milczenia, które sam narzucił. Wybuchnął:

- Kapelan mój słyszał waszą rozmowę z... ze służką diabła. Zefrid wcisnął głowę w ramiona. Oda odmierzała obojętne słowa pytania:

- Czego więc chcecie ode mnie, panie - uśmiech znikł jej z twarzy, a naramiennik przestał się nagle bujać na palcu.

Ta obojętność była ponad siły biskupa.

- Pójdę z tą wieścią do Bolesława - wrzasnął na cały głos. Chciał się zerwać; zbyt głęboko wepchnięty pod stół zydel, na którym siedział, nie puścił. Biskup szarpał się chwilę. Oda wyciągnęła rękę z obręczą:

- Weźcie więc i ten znak, Bolko wam łatwiej uwierzy. Słowa te przygwoździły Ungera do zydel. Meł w ustach obelgi:

- Mniszka... mniszka z Kalby... nierządnic... trucicielka...

- Umówmy się - Zefrid widział, że znów musi się wtrącić do gry, którą niecierpliwość Ungera zepsuła.

Oda odpowiedziała pełną gotowością:

- Umówmy się.

Ale Unger już nie mógł powstrzymać gniewu i obrazy. Począł mówić pełnym głosem, jakby przemawiał od ołtarza, w płaszczu, z krzyżem w dłoni:

- Chciałem, pani, przyjść do was, pokazać znak waszej zbrodni, waszych zamysłów i zmusić was do ugody, do ugody z Bolesławem! - Zefrid spoglądał na biskupa z przerażeniem: jakże to? Wszystkie zamysły zdradzić, cały plan tak kunsztownie obmyślanego pośrednictwa, które by dało biskupowi sąd i zwierzchnictwo nad obojgiem, wprost bez osłonek wywalać? Nie zważając na godność, mocno, ostrzegawczo targnął Ungera za szatę. Ale ten toczył się dalej:

- Chciałem wymusić na was pod strachem przed Bogiem i pasierbem, żebyście się zrzekli części praw waszych. Bolka nakłoniłbym, by dał wam, co ojciec naznaczył, byle bez drużyny. Klątwę bym rzucił. Klątwę, pojmujecie? - Oda nie patrzyła na rozognioną twarz biskupa, jeno na jego ręce, latające po stole, malujące niespokojnym rozcapierzeniem palców całe jego wzburzenie. - Ale wy... zatwardziałość wasza... w zbrodni... w grzechu...! - udało mu się wreszcie wyrwać zydel spod siedzenia, podniósł się nad Odą jak wisząca chmura gniewu. Oda nie wstała. Rozłożywszy płasko

ręce na stole, jak wprzód biskup, ozwała się, niby wyrabując słowa z kamienia :

- Czy wiecie, Ungerze, że onegdaj... w nocy dotknęłam ręką miecza Bolesławowego.

Biskup pochylił się nagle - brzuchem, piersią - zwalił się na stół, opierając się na łokciach, leżąc prawie, twarz zbliżył tuż do twarzy Ody.

- Jakże? jakże to?

Zefrid szybko wyminął go, przechylił się także (jakby równy obojgu) i słuchał:

- Przyszedł do mnie... w nocy... z mieczem w ręce. Dotykałam jego miecza.

- Przynosił groźbę?

- Przynosił śmierć.

- Jakżeście... - szczęki biskupowi się zwały - jakżeście go utrzymali?

- Śmiechem - odpowiedziała Oda. Biskup się obruszył:

- Nie! Bolka nie można utrzymać. Zwłaszcza śmiechem - patrzył z bliska w twarz Ody i znów dojrzał w jej oczach uśmiech, ten sam z początku rozmowy, gdy jej podawał naramiennik: uśmiech bez warg. Wyprostował się. Zwątpił o wszystkim - niepojęta siła Ody mogła powstrzymać moc Bolesława - nawet śmiechem. Ogarnęła go niechęć, obojętność, nuda.

- Chodźmy, Zefridzie. - Zawrócili.

Oda spoglądała na odchodzące plecy, ale mimo zwycięstwa - cóż z tego, że Unger teraz nie pójdzie do Bolesława, że nie wie, które z nich na które nastaje? - w oczach jej nie było uśmiechu: było znużenie.

Na częstokole głowa przy głowie - Pomorcy obok grodowych, pancerni z tarczownikami, nad głowami włócznie stróży: wszyscy pospołu. Patrzą na błonia, gdzie obok siebie idą Bolko z Czciborem, obaj wielcy i tężcy, Bolko wyższy, Czcibor grubszy. Idą z wolna - tu i tam - tam i z powrotem - gwarzą. Wszyscy czują: nie jest to pogwarka o łowach. Wiedzą: tuż, tuż, a wybuchnie bitka - krótka, bezwzględna, skuteczna - nawet we śnie nie odkładają broni. I czują jeszcze: od tego, co tamci dwaj bają, zależeć będzie, kto i kiedy uderzy. Głowy powytykali spomiędzy zaostzonych słupów, wyciągnęli szyje, patrzą.

Od błon widać tylko te głowy bez ciał. Głowy myślą: Bolko kłóci się z Czciborem o dział, o Pomorze.

A oni w tej chwili rozprawiali o łowach.

Czcibor ujął bratańca pod ramię:

- Trza nam się wybrać pospołu z sieciami do boru. Dawnom z tobą nie chodził - ściska ramię i czuje, jak mu napływa w serce dawna słabość do chłopca. Przeklętnica Oda!

Bolko myśli:

- Po toś mię tu wywiódł z dala od ludzkich oczu? Po to mię włóczysz, byśmy się na zwierza zmówili?
- odwraca z lekka twarz ku stryjcowi: - Wyruszym rychło, niech no Wszebor sieci zgotuje.

Może i ruszyć? Niechże się to ciasto w grodzie przekwasi, niechże wyleci z dzieży. Wabi szumiąca puszcza... szybki tętent między drzewami... okrzyki roztopione w chłodzie poranka... skurcz całego ciała... rzut... ryk byka... hałas przepływający podle, z obu stron, tający w listowiu. Być samemu w puszczy, łado!

Staął, ramię uwolnił, patrzy wprost w nos Czciborowi. Aaa - tak? Chcesz mię wywabić w puszcze-samotnego. A tam...?

Tam będą już twoi Pomorcy i ludzie Ody.

Widzi ich: Ledarg o wielkim łbie. Ruchliwa gęba Przybywoja. Odylen. Hugo. Arnulf. Sztynni by dwa pnie, Ludolf i Hodo. Oba Wilki z nasepionymi brwiami, trójka Turów z bronią znaczoną strzałą przeciętą na krzyż. Stary Wojbor z cieniemmarą Sto j gniewem.

Któż tam jeszcze?

Może być każdy - każdy bez wyjątku; ledwo widoczna zmarszczka koło warg zarysowuje się czarnym rowkiem - Bolko wzrok podnosi na Czcibora i - z przyjaznym uśmiechem:

- Weźmiem wojów, wielu, zrobim wielkie łowy z naganianiem.

Widać: Czcibor się miesza. Oczy Bolka zwężają się w dwie szparki: nie w srnak Czciborowi wielu wojów - widać to.

Czcibor snuje dumki:

“Przeklętnica Oda, plugawica. Jakże mu to powiedzieć...

owo trucie. Ostrzec?”

Nad częstokołem głowy bez ciał myślą:

“Czcibor nie chce ustąpić Pomorza”.

Bolkowi nasepieni, ściskają zęby. Pomorcom uśmiech na gębach. Patrzą.

Czcibor ręce założył na brzuch. Wargi skrzywił: “U więdzmy była po jad. Jakżeby rzec o tym... nie lza... taki rwetes będzie, taki gwałt.”

Czcibor chce spokoju. - Spokoju i Pomorza.

Bolko patrzy na skrzywione wargi: "Myśli mię omotać siecią. Chce mej zguby," Twarz Czcibora wyrównywa się w tłustym uśmiechu: powie wszystko. Bierze znowu Bolka pod ramię.

Głowy między palami myślą: "Czcibor ustępuje." Pomorcy nasępieni, Bolkowym śmiech.

- Mam ci rzec... ty się strzeż Ody.

Patrzą: chodzi spokojnie stryj z bratańcem. I nagle widzą: Bolko odstąpił na krok, pięścią macha, tupie nogami. W gniewie. Czcibor ręce rozłożył, nogi rozkraczył, nie przeczy, słucha:

- Co mi Oda? Tak ją nogami bym zdeptał, gadzinę. Tak jej rudą głowę... w błoto... nogami. Tyle że mnie się nie godzi. Ale niechże nie wlecze za długo, niech nie przewleka.

Dech zataili, szyje wyciągają, już im gniew chodzi po krzyżach. Pomorcom i grodowym - na siebie. Bolko przyskoczył do stryja, za brzuch porwał, trzęsie.

- Wy za Odą się nie ujmuje, słyszycie? Bo chcecie mój stryk, chocia macie swoich wszawych oszczepników, ja wam...

Nie słyszą, ale już widzą, już się im mięśnie napinają, sapią głośno jednym rytmem, jednym tchem. Na błoni Bolko krzyczy niedosłyszalne w grodzie słowa:

- Syna nie macie... Siedzielibyście do śmierci na Pomorzu, jako was ociec osadził. Co mnie? Muszę tam kogoś osadzić, lepiej was niżli cudzego. Ale jeśli wy z Odą na głowę moją nastajecie, ja...

Widać dobrze: Bolko rękoma machnął, splunął, puścił Czciborowy brzuch. Rzucił go samego by prostego woja i szerokim krokiem biegł ku grodowi... Woje chwycili za miecze, za topory, co kto miał.

Czcibor szedł wolno - gruby, czerwony - jakież wiatr z tego Bolka. Nie dał mu nawet rzec. Ano! Na Pomorzu by ostawił, może być, przecież kogoś musi mieć na Pomorzu. Czcibor rękę miał twardą, choć lubił piwo i dziewczki. Pomorcy o tym wiedzieli. Bardzo o Kyryi Krysti nie dbał - i to wiedzieli. Bitny był - o tym wiedzieli najlepiej. Więc byli mu wierni. Po cóż by Bolko miał go zrzucić? Ostałby się. I przy Bolku, i przy Odzie. Po co mu w war rękę sunąć? Tu gwałt, rwetes, niepokój - wraz się chwycą za karki. Co mu tam...

Oda czy Bolko.

Chwyciła go gwałtowna tęskność za świetlicą, za szumiącą ciszą morza, za nałożnicami - obiema. A tu...

Podniósł głowę, przyspieszył kroku: skąd ten zamęt? Po zębach częstokołu skakał głos Bolesława uciszający bitkę: Pomorcy wzięli się już za łby z grodowymi.

Bruno był przerażony jak zwykle, więcej niż zwykle. Pod surowym wzrokiem księżny przeżegnał się.

Wyszeptał czując się winny:

- Bolko był u księżyców.

Twarz Ody zzieleniała, księżna powstała, siadła, głosem trzęsącym się zapytała:

- Bolko? Czego chciał?

Ten widoczny niepokój jeszcze bardziej przestraszył Brunona. Przeżegnał się po raz drugi, zaczął się bić w pierś:

- Mea culpa, mea culpa, mea culpa...

Suchym szponem chwyciła go za ramię: poczuł dotkliwy ból.

- Czego chciał?

- Nie wiem. Niczego nie chciał.

- Głupiś, Brunonie.

Uczony mąż przeżegnał się znowu, pochylił głowę. Czemuż... czemuż wysłano go z cichego klasztoru, gdzie pracowicie iluminował księgi. Westchnął, podniósł oczy, dojrzał barbarzyńskie belki, prawie nie ociosane. Jak księżyce, synowie Ody. Trzebaż jej było iść za barbarzyńskiego księcia północy? Nie lepiej by w Kalbie chorągwie kościelne haftować? W cichej, dalekiej Kalbie.

A tutaj? Tutaj zmarły książę długo nie chciał się zgodzić na naukę synów. "Chłopcom koń przystoi a miecz, na wojów ich chowam, nie na mnichów." Ledwo Oda przeparała Brunona jako piastuna. I co z tego?

Rozhukani księżyce nakleili tego dnia pigułkę z mokrej gliny na wygolonej głowie uczonego. Bruno miał trzcinę poświęconą w kościele, lecz nie użył tej trzciny - wiedział, jak smutnie kończyły się wszelkie próby jej użycia. Zwój pergaminu leżał nie tknięty. Twarde słowa łaciny twardo się odbijały od twardych serc. Jeszcze najmłodszy chętnie słuchał o aniołach, chętnie oglądał tęczowe skrzydła na żółtym pergaminie psalterza. Miał bardzo wielkie oczy - Bruno lubił te oczy, okrągłe jak u sowy-gdy uczony bąjał dzrwydziweńka o dalekich klasztorach, do których tęsknił. Bruno sobie mówił, nie tym oczom, swoją zaspokajał tęsknotę. Ale starsi!... Szerocy, rozrośnięci, krągłe lby, kraśne gęby, ruchliwa gwałtowność, rechot śmiechu - miecz, koń, łowy, wojna: to im po głowie chodziło. Po niemiecku mówili źle, po łacinie źle, piguły lepili na głowie piastuna - pożał się Boże, co za piastun! Teraz stali i bili się po udach ze śmiechu na widok Brunona zgarniającego czerwoną maź z czerepa i perorującego długo - nudnie - po niemiecku.

Nagle zmilkli. Drzwi otworzyły się gniewnie, w progu stał Bolesław. Patrzył na braci.

Bruno schylił się raz i drugi, tamten stał i patrzył. Jakby nigdy nie widział tych źrebaków. Oczy mu zaszyły zadumą.

Było księstwo i była ta trójka. Były woje rogate i były nieletnie otroki. Była rubież na wschodzie, będzie rubież na południu, północy, zachodzie i były nadzieje Ody, ambicje Ody. Było księstwo, wielkie księstwo, i byli dziedzice: władcy czterech księstw małych.

Bolesław wodził dłonią po czubie lasów, a drzewa się mu przesmykały między palcami.

Najmłodszy Lestek spoglądał okrągłymi oczyma, Świętopełk gębę rozwarł, Mieszka głowę opuścił, wargi zaciął, okiem tyle co błyskał. Bolko podszedł doń szybkim, niecierpliwym krokiem, chwycił chłopca za brodę, zadarł do góry, zajrzał mu wprost w serce.

- Boisz się mnie? - spytał Bolesław.

- Nie! - wrzasnął otrok - ty się mnie bój! Bolesław puścił brodę. Stał jeszcze chwilę - każą mu bać się nielatka. Wigor mu chodził po kościach. Było księstwo wielkie i byli dziedzice: władcy czterech księstw małych.

Bo stary Mieszka kochał Odę o drobnych dłoniach. I synów jej kochał.

Bolesław ruszył ramionami, jakby z bark zrzucał ciężar zbyt ciężki, a dokuczliwy.

Oda przyjęła pasierba z pełnym przepychem. Ściany kazała okryć makatami, na toku kobierce, lawy wyścielone. Wokół sieni zasiedli wszyscy dostojnicy, dotąd jej wierni: serca biły im mocno, ale twarze mieli spokojne i zamknięte. Oda siedziała na wysokim stołku z oparciem. W tym zamkniętym kręgu - swoim a obcym - stanął Bolesław; był bez miecza, na szyi tylko świeciła mu mizerykordia. Wszedł swobodnie, rzucił wzrokiem dokoła, roześmiał się w głos: miejsca dlań nie przygotowano. Zbliżył się do pierwszego woja - był to Ledarg - klepnął go po ramieniu i zawołał:

- Posuń się, bracie, chcę spocząć między drugami.

Ledarg - czerwony, wzruszony - sunął się w bok gwałtownie, aż wjechał z rozpędu na Wilka; Wilk na Zaboję Tura; Zabój na Hugona. Zafalowała ława jak długa; Nielub, siedział na końcu, wstał. Bolko usiadł, nogi rozstawił, dłońmi plasnął o kolana, raz jeszcze wzrokiem obiegnął izbę - od twarzy do twarzy - i spytał wesoło:

- Wzywaliście mię, pani, więc przyszedłem. Nie wiedziałem, że tylu tu będzie towarzyszków moich i ojca... Ale miło mi z nimi.

Oda siedziała nieruchomo, z głuchym poczuciem: nie udało się. Nie udało się uroczyste pojednanie, które obmyślili tak dokładnie. Wahala się chwilę - spodziewała się, że Bolko, nie znalazłszy miejsca dla siebie, buchnie gniewem; wtedy miała mu swego ustąpić i gestem tym ugłaskać zwierza. Tymczasem Bolko, wciąż z dłońmi na kolanach, pytał drwiąco:

- Wzywaliście, przyszedłem. Czegóż ode mnie chce wdowa po ojcu?

Oda chwilę tylko patrzyła w szydliwe oczy pasierba: zerwała się i szła ku niemu, nagle uległa i słaba - prawa białka. Setka oczu spoglądała zdumiona: głowa skłoniona, oczy w ziem, dłonie splecione niżej piersi, stan pochylony. - Taż to Oda? - dziwowali się. Zdumiał się i Bolko.

Oda podeszła doń i z nagłą osunęła się mu do nóg. Głowę skłoniła, czołem dotknęła pasierbowego kolana, wąskie jej plecy drżały. Z twarzą ukrytą mówiła głośno, dobitnie:

- Winnam przed tobą, Bolesławie... Raiłeś mi: ugodźmy się; rzekłam: powiem później. Gorzkie dumki wdowinę. Cóżem ja? kokosz. Opatrz synów, weź ich za braci, ja odjadę. Z Kalby przyszłam do twego ojca. Skoro ojciec odszedł, odejdę i ja: w Kalbie mi miejsce. Ale nie daj braci na poniewierkę: oni prawi dziedzice i Mieszki syny.

Bolko - zdumiony, zaskoczony - rozejrzał się: krąg gładów się nie poruszył, szary, chłodny, a przecie w każdym trzepotało płochliwie: chytra liszka. Bolko poczuł nagłe uniesienie triumfu; dopiero co prawił Wszeborowi: Oda sama padnie na kolana. W dzikiej radości porwał macochę, by ją dźwignąć. Lecz zaledwie ujął ją pod pachy, zaledwie dotknął tego ciała - uległego i węzowatego - wróciła doń chłodna nieufność: między nimi na śmierć, na śmierć. Stał trzymając nieprzejednaną białkę (głowa spuszczone, oczy w ziem, dłonie splecione pod piersiami) i od uchwytu spływała mu w serce dawna nienawiść i nowe obrzydzenie. Brwi zmarszczył. Nie popuszczając bezwładnego zewłoka wygłosił kłamstwo:

- Ujednam się z wami, pani. Księżyców opatrzę i was, po co wam do Kalby jechać?

A ona wciąż z głową spuszczoną, cicho:

- Pojadę.

Wówczas krąg gładów poruszył się, ożył; powstali sztywnie, równo, jak jeden, sztywnie stuk uczynili bronią, sztywnie krzyknęli chórem:

- Sława! Sława Bolkowi i Odzie!

A Hugo dodał głosem sztywnym i martwym:

- Radujemy się.

A Wojbor równie martwym:

- Ujednaliśwa się.

Ludolf i Hodo - Niemce - sztywni kiej dwa pnie:

- Razem nynie Bolko i Oda.

Stukali bronią głucho, tępo. Martwy krąg gładów, nie umieli udawać jak Oda. Bolko powiódł znów wzrokiem dokoła, zrozumiał: i z nimi na śmierć, na śmierć. Napotkał spojrzenie Stojgniewa, nagle lodowata, nienawistna wściekłość spędziła mu krew do serca: aż zbladł.

Stali przez kamienną chwilę bez ruchu - Bolko nie popuszczał Ody, bał się, że bezwładne ciało runie jak snop.

W tę ciszę znieruchomienia pędem wpadł Stanko, gębę miał pełną wieści, krztusił się. Na widok zaczarowanego kręgu martwoty zamarł i on. Oczy wszystkich powoli odeszły od Bolka i Ody, zawisły mu na drgających ustach. Wargi Bolesława nie poruszyły się prawie, gdy rozkazywał:

- Mów.

Słowa buchnęły:

- Stryk wasz, Czcibor, wziął wojów pomorskich i uszedł. Krąg zafalował - wieść była nagła, nieoczekiwana, straszliwa.

- Kaj?

- A kaj? K'sobie. Na północ - Stanko machnął ręką.

Bolesław - z dłońmi pełnymi Ody - po raz ostatni obejrzał się po izbie. Złożył macochę na ławie, ruszył ku drzwiom. Zrozumieli wszyscy wspólnym stuknięciem serca: zaczynało się. Bolko był już przy drzwiach, gdy dobiegł go okrzyk Ody donośny i rozpaczliwy.

- Przecześnieśmy się ujednali. Czy chcesz nynie na nas nastawać ?

Bolesław odwrócił się, stał już na progu. Powiedział z uśmiechem, choć wejrzenie miał groźne:

- Nie.

Psy się gryzły pod stołem. Bolesław, podpity już, kopnął je nogą, porwał z misy kość całkiem nie ogryziona, machnął ją w warczące kłębowisko, biesiadników opryskując tłuszczem. Hugo, siedzący obok, zrobił to samo. Przybywoj rechotał objawszy Brunona, uczony mnich skurczył się zgarbiony, przerażony. Odylen milczkiem pchał w gębę kawały mięsa, sos ściekał mu po brodzie. Pili już gęsto.

Topacz, o łbie szerokim, oczach okrągłych, położył się piersią na stole, ręce wyciągnął w całą długość, prześmiewał się z Zadory:

- Słysz, Zadora, zatkniesz się. Kością zatkniesz się. Wilk, daj mu w kark.

Zadora czekał.

Na końcu stołu śmiech, Nieczuj już gadki bajał. Ucichło, słuchali go:

- Wiecie: Lewart. Mówiłem mu: nie bierz białki od Nagodziców. Wszystkie białki Nagodziców ciepłe, lepkie, ale nie strzymają bez męża. Bo się im ckni. Pojedziesz na wyprawę abo do księdza, wiera, nie strzyma w komorze. Zimno w komorze bez chłopca.

Ledarg trzasnął pięścią w stół.

- A wždy pojechał tyli świat do Nagodziców.

- Pojechał, wziął. Przeszło mało-wiele wiosen, już dwóch chłopców mieli, wkoło hyr: nie wiada: Lewarta, czyli Działosza. Lewart zły, Gierałowi łeb rozszczepił. Boleszczyca pobił. Latoś śpi z nią w kleci na sianie, jako że w komorze gorąc, muchy. Plecionkę odchyłili dla wiatru, w nocy przylaźł wół do siana, zre. Białka we śnie łap za woli róg, szepcze: Lewart, miły mój.

Wokół stołu ryk, śmiech, klaskanie. Bolesław aż na stół się położył, pięści w boki, rechocze, w dołku ściska. Przybywoj Brunona w kark; hy hy hy i ho ho ho. Bruno oczy spuścił, żegna się.

Wypili w koło. Nieczuj krużą w stół:

- Słuchajta. Lewart nie śpi, słucha: miło mu. Aż tu białka ręką przewiodła, namacała drugi róg. Rozebrało ją całkiem, szepce: Działosz, i ty tu? I tyś...

Poniektórzy aż z miejsc powstali. Zataczali się w ryku, brali się za ramiona, śmiali się sobie w pierś, śluzę poszły z oczu. Wycierali kułakami, do miodu i znowu w śmiech. To ci białce wół narobił rogami. A ona myślała... ha ha ha! Hu hu hu!

Widać: już się popili, białogłowom nie słuchać tego, czas odejść. Emmilda wstała pierwsza, Oda za nią, wychodziły dostojnie - każda do siebie. Wstał i Unger - jemu godność księdza Jezu Krysta nie zwoliła być przy końcu popijawy. Teraz gadki będą coraz soczystsze, pieśni sprośne, wymysły; rechot, klątwy - białkom i świętkom nie miejsce na końcu biesiady. Wychodząc Unger spojrzał znacząco na Bolka, ale ksiądz miał gębę czerwona, oczy pijane. Unger nasepił się, wyszedł chmurny.

Za uczującymi stali młodszy, którzy nie jedli, nie pili, wezwani dla większej okazałości. Wszyscy - rzecz niezwykła - byli z bronią, chociaż bez mieczów. Nalewali miód, piwo, podsuwali misy, ręczniki dla otarcia palców, służyli. Stojgniew stał tuż za Bolesławem. Był trzeźwy. W świetle łuczywa widział płową czuprynę Mieszkowica, szerokie bary - w serce zapadł mu kawał lodu, wszystkie myśli i czucia ściała w ciężki, kamienny chłód: Stojgniew wiedział, po co ta uczta. I godził się. Godził się! W oczach miał pochyloną palisadę Orczycy z żółtymi czaszkami na szczycie, złote kosy Latorosłki, czarną koronę puszczy. Godził się, łado! Jakby Nieuniknione szło ku niemu stupudowym krokiem.

Bolko pił, śmiał się, hałasował śpiewał z innymi:

Przez bród, przez zasiek, przez częstokół - buch!

Na miecz, na topór, na sulice - bęc!...

W pewnej chwili, całkiem zniecka, obrócił się i - podając pełny róg Stojgniewowi, rzekł:

- Pij i ty. Z nami.

Mimo śmiechu latającego po twarzy oczy jego były złe.

- Ksze - nie śmiał go zwać Bolesławem - ksze, pić z wami.

- Piłeś z nami. Pomnij, Gniewek.

- Pomnę - odpowiedziały usta; nie serce.

Bolko przyłączył się ze śmiechem do pieśni:

Jechał woj na koniu, na wronym, dziewczkę zoczył,

Lelum, lelurn, lado, ach!

Kosy splatała i rozplatała,

Lelum, lelum, lado, ach!

W tejże chwili Hugo wziął stojący obok niego na lawie róg pełny miodu, postawił przed sobą. Stojgniew dojrzał to. Oddech mu rósł, serce biło na całą izbę. Teraz! Poszukał spojrzeniem ojca - Wojbor siedział zgarbiony, ponury; poszukał brata - Nielub stał w drugim kącie, oczy jego były szydliwe. Hugo zwrócił się do Bolesława:

- Piję do was, ksze.

Nie podniósł rogu do ust, podsunął do Bolka. Bolesławowi dymiło już z czuba. Wziął róg, trzymał, śpiewał. Piosnka była sprośna, wojacka. Unger nie lubił tych piosenek, kazał się po nich pletnią bić: mało go tam słuchano. Bolesław śpiewał, ale w miarę pieśni twarz mu się ściała, chłodziła.

Skończył, wyciągnął róg do Hugona:

- Przepij do mnie.

- Już przepiłem - krzyknął Hugo.

- Mało przepiłeś.

- Wiecie, jako obraza jest dawać dwa razy przepijać. Bolesław wstał, nie kiwał się na nogach. Na izbę padła nagle cisza, jak kamień. W ciszy zadudnił głos Bolka:

- Pij!

Hugo wstał również - i on miał twarz ściągniętą. Bolesław powoli opuszczał rękę, ale w ostatniej chwili łomotnął rogiem o stół: miód wyplusnął czarną strugą. Cały krąg wokół stołu poruszył się, wielu porwało się na nogi. Stojgniew patrzył z lodem w sercu, w ręce trzymał toporek, jak mu kazano, na wypadek. Bolko nie mógł już mówić, charczał z wściekłości:

- Jad... jad... ścierwo... bękart.

Hugo pochylił łeb, sięgnął ręką, Bolesław odbił i za gardło. W tejże chwili Odylen przeskoczył ławę, przesunął się za pomieszczonym rzędem, z tyłu pochwycił Bolesława, łokcie przycisnął mu do boku. Bolesław szarpnął, obaj zwałili się na ławę, Odylen pod spodem. Hugo już miał mizerykordię w garści, nagiął się, zamachnął ramieniem. Stojgniew poczuł, jak nim coś szarpnęło wewnątrz, z góry w dół, od gardła do brzucha. Nie myślał. Na ukos, bez górnego zamachu puścił topór Hugonowi w kark. Tamten się zwałił Bolkowi na pierś. Stojgniew czuł: rozwiązało się, pękły nawieży. Przeciął je. Radość, radość! Obrócił się, Ledarg leci na Bolka - Ledargowi w łeb. Bolesław strącił Hugona, Niemiec padł pyskiem w dół. Bolko do ściany, do mieczów, tam już kupa. Odchylił się, nogę zadarł, nogą w stół - runął z trzaskiem - pod nogi kupie. Zamęt, wrzask, skowyt psów - gryzą. Odylen się podnosi, za nogi Bolka, ten go lewą pięścią w gębę, w nos, potem w skroń: Odylen zwałił się. Wszebor, Nieczuj, Zadora zwarli się z Ludolfem a Hodonem. Półmrok, łuczywa gasną. Ale już pode drzwiami krzyki: drużyna, wiedzie Odrzykoń starszy. - Bolesław! Bolesław! - Stojgniew, Bolko, Nieczuj, Wszebor, Zadora wyją odzew: - Bolesław! - Oda! Oda! - krzyków mniej, mało, nic. Wylatują z sieni, na dwór, pod ściany. Gdzie nasi, gdzie zmówieni, gdzie Odowi? - Oda! Oda! - nikły krzyk, tyletyle. W całym grodzie rum, biją się po przełazach, po szopach, na okólniku, w ciemnościach - jak to widział w ostatniej godzinie życia Mieszka otwartymi ku śmierci oczyma.

13.

Nad grodem dzwon uderzył, szedł nad wrzaskiem, nad bójką, nad ćmą. Unger wyskoczył za próg z Zefridem, za nim świątki, poniektórzy z bronią, co kto miał. U progu Zbygniew, Pieczyrak z dziesiątką warują w ciemku.

- Wracaj, ksze, do dom, nie chodź!

- Kto przykazał?

- Bolko przykazał. Unger cofnął się.

Kapelan krzesał ogień, palił latarnię. Przysunął się jak kula cienia, jak czarny duch - usłużny, zawsze gotowy. Unger się wzdrygnął.

- Kiedyś powiedział Bolkowi?

Zefridowi cienie skakały po czarnej twarzy. Mruknął, oczy latały mu na boki:

- Przed godami... Rzekłem mu: ksze, wy się miodu strzeżcie. Wiecie to: różny miód warzą.

Unger patrzył nieruchomo poza krąg światła.

- Szaty kościelne daj. Uroczyste. Najdostojniejsze. Zefrid znosił szaty. Głowę miał odchyłoną, nasłuchiwał nieustających wrzasków w całym grodzie.

- Płaszcz daj.

Zefrid poruszał się cicho. Jak kot.

- Złoty łańcuch z krzyżem - dawał się odziewać by wyrzeźbiony z pnia bożek pogański. Odgłos dzwonu mieszał się z wyciem tłuszczy.

- Dzwon bije. Kto przykazał?

Zefrid był nieodmiennie ruchliwy.

- Pewnikiem Bolko.

- Kościoła już sięga ręką. Wcześniej. Słuchaj no, Zefrid!

Mały kapelan znieruchomiał, podniósł twarz. Unger musnął go spojrzeniem, nie zdała mu się ta usłużność, ta gotowość - czy nie za wiele ufał temu słudze. Gdy płaszcz zapinał, głowę odwrócił, słuchał: łomot, chrzest, bójka tuż za ścianą.

- Orzy! Orzy! Kiszki sprujem! Juchę spuścim! - Łomot, łomot o ścianę biskupiego domu. Dzwonu już nie dosłyszysz.

- Coś rzekł? Co przykazywał drużynie?

- Bolko? Kazał Odrzykoniowi mieć wojów gotowych. Zbrojni siedzieli w szopie, słuchali. Wypadli na pierwszy wrzask.

- Niceś więcej Bolkowi nie mówił? Sam pojął?

- Abo głupi jest? Odzie ufać? Ujednaniu?

Unger zaciął wargi - prawda jest. A na uczcie miał gębę wesołą, śmiał się, śpiewał. Unger już się bał, a nuż nie wie... Chytrek. Jak ojciec - podniósł wargi, od ust do brody przebiegły wzgardliwe zmarszczki.

- Zefrid! Bierz światło. Idziemy. Trza być na miejscu, ktokolwiek wygra tej nocy.

Wiedział: Bolko wygra.

Ledwo wyszli, otoczyła ich kotłująca się ciemność. Tupot nóg gromady, zajadły - gonią kogoś. Stuk, wrzask - dogonili. Dzwon znowu słyhać. Od wrót wrzask. Jomsborg! Jomsborg! Latarnia uniesiona wysoko ręką Zefrida rzucała żółty krąg - niepewny i migotliwy. Na skraju światła stanęła pilnująca dziesiątka.

- Nie lza! Nie lza iść! - głosy zawzięte, złe. Twarze wojów ledwo migają, czerwone, podniecone. Nie lza! Ksiądz wzbronil! Unger już pewny siebie, w szatach, stanął, zerwał krzyż, rękę wyciągnął:

- Kto zabroni? Kto zabieży drogę Jezu Krystu?

Wahania, cofają się. Biskup stoi w kręgu światła, z mieniącym się krzyżem w wyciągniętej dłoni; jak posąg. Woła na cały głos:

- Nie strzymacie Jezu Krysta! Wiedźcie do Bolesława! - Rozstępują się, wiodą.

Przed starym domem Mieszki dwa stosy. W czerwonej poświacie skroś dymów stoi Bolko. Z mieczem. Nie rzucił się do walki, mała bitka, nie wojna, nie rubież: tam ksiądz musi iść pierwszy. Krwawy dym zwija się mglistą spiralą. Biskup zbliża się godnie, wolnym krokiem, w pełnym świetle. Krzyż w wyciągniętej ręce. Bolko patrzy ponad blaskiem ogniska - podniecony, nie widzi nic, nie czuje: gotuje mu się we wnętrzu. Uszy pełne przebiegających wrzasków wygnieść robactwo w grodzie. Biskup staje przed nim w pełnej godności Kościoła Bożego. Mówi:

- Pozdrawiam was, ksze, imieniem Jezusa Chrystusa. Widać: Bolko nie słyszy. Ale przemaga się, odpowiada dorzecznie:

- I was pozdrawiam, Ungerze.

- Pomnijcie, że Kościół jest przy was w noc waszego zwycięstwa.

Bolko obraca ku niemu spojrzenie: w źrenicach krew.

- Chytrze Zefrid gadał... na obie strony. Nie wiedzieliście to, że ja będę księdzem po tej nocy?

- Eee hej! Boruta! Toporem! Bij! - nagły wir zamętu tuż poza ścianą światła, szczęk, kwik, zwarli się. Bolesław nie odwrócił głowy:

- Nie wiedzieliście?

Unger przeżegnał kotłującą się ciemność.

- Wiedziałem.

Bolesław podskoczył, łapą za spięcie płaszcza, szarpnął.

- Wiedzieliście, ej! jad... jad... - krzyczał nad ogień, nad bitwę psie nasienie! Żona ojca, zaduszę, zaduszę wilczycę.

- Przysięgaliście na Chrystusa - głos biskupa był surowy.

- Dotrzymałbym klątwy - palce rozwierał, ścisnął w pięść - aleć... - nagły tupot nóg, nadbiegł Budziwoj.

- Oda z synami uszła.

Milczenie. Trzask gałęzi w ogniu. Dalekie wrzaski. Dzwon.

- Uszła?

Budziwoj dech łapał. Na mieczu, dłoni, ramionach - krew. Skinął głowa.

- Ze szczeniętami?

Znów tylko kiwnięcie głową.

Głos Bolka był spokojny, bardzo cichy:

- Ejże! Skórę by wam drzeć z karku... na ćwierci rwać. Ejże! - Budziwoj milczał, łapał dech.

- Jak było?

- Skoro tylko z godowania wróciła, synów wysłała przodem. Kiedym przyszedł, dom był pusty. Przy wrotach miała swoich, otworzyli, uszli razem.

- Kaj?

- Do jomsborczyków.

Nagła fala gniewu, źrenice znów pełne krwi. Ryczy, aż gród się trzęsie:

- Sto pancernych, dwie ście toporników wraz! Sam powiodę - Budziwoj przepadł w ciemności.

Wciąż dzwon, wciąż ćma, wciąż wrzask. Wszędy, wkoło. Unger kładzie dłoń na karku Bolkowym:

- Nie wychodzić wam z grodu, ksze.

- Czemu tak?

Nacisk biskupiej ręki. Głos jak dzwon:

- Oda to złość. A gród: księstwo.

Nagły skurcz twarzy, ramiona Bolka opadają.

- Dobrze- szepcze, głos ma słaby, tyle że się nie trzęsie - dobrze, Ungerze! Budziwoj powiedzie.

Weszli do sieni.

Psy były tej nocy gonitw i krótkich utarczek niespokojne i podniecone. Snuły się wokół ścian, warczą, błyskając kłami, podnosząc nieufne pyski. Ogień na palenisku ledwo pełgał, oczy psów połyskiwały złym, zielonkawym światłem.

Unger wszedł do sieni tuż za Bolkiem, stanął w progu. Obojętnie spoglądał na wywrócony stół, skorupy podeptanych dzbanów, rozrzucone rogi, misy, czary; półogryzione kości, poplamione płótno. Trup Hugona leżał twarzą na ziemi, złocista mizerykordia w zaciśniętej pięści, rudy łeb, prawa noga w górze zahaczona o ławę. Ludolf i Hodo zrabani, pyski przecięte, sztywni, milczący; gaiki oczu wywalone, białe, zdumione. Ledarg przyplaszczony na brzuchu, z rozrzuconymi ramionami, jakby z rozpaczą obejmował ziemię. Odylen, żywy, skrępowany, oparty o ścianę, mrugał oczyma - gęba spuchnięta, nieruchoma. Nieczuj skulony w kącie, głowa opadła między kolana, niby zadumany nad nieobjętą tajemnicą życia i walki. Topacz wyciągnięty na wznak, łeb odwalił na ławę, patrzy białymi oczyma w pułap; prawa dłoń odrąbana całkiem, ze zwisłego kikuta wolno spływały krople; psy okrwawionymi pyskami chłeptały czarną posokę. Śmierdziało surowizną, piwem, pobojobiskiem.

Unger zatrzymał się na progu, brwi podniósł, obejrzał się - ale Zefrida nie było, ostał na dworze. Spytał niespodzianie:

- Bolesławie, wieszli, co to jest księstwo?

Nagie stężenie twarzy, nagłe napięcie mięśni na ramionach na karku - Bolesław oburącz podniósł miecz, wbił sztorcem w ławę wprost przed twarzą biskupa. Oczy mu się iskrzyły.

- Nie - odparł biskup - nie to.

- Nie to?!

- Nie tylko - patrzył w twarz Bolkowi ponad rękojeścią miecza. Odylen pod ścianą przestał mrugać, szyję wyciągnął.

- Czego chcecie?

- Mógłbyś cały wiek mieczem na kraju księstwa rąbać, i co? Pieczyngi także z chasą chodzą a Prusy, a Jaćwież, a Sorby. Patrz: czyliż to księstwa? Czechy księstwo, Węgry księstwo, ty także księstwo buduj. Nie tylko mieczem. Ojciec twój to pojmował, przez pół, byle jak. Ale już mu dumki po głowie chodziły, że chobrym być nie wszystko, nie koniec.

Niecierpliwość latała po twarzy Bolesława.

- Mówcie, czego chcecie?

- Księstwem jest taki kraj, iż ma dwóch władków - ponad mieczem patrzył śmiało w pociemniałe oblicze Mieszkowica - nie tylko księdza, ale i Chrystusa. Ojciec wasz znak Chrystusa do kraju tego wwiódł. Wasza rzecz znak ten ustalić wszędy.

I dalej zadumany, jakby sobie tylko, ścianom, trupom, rozrzuconym po sieni:

- Wszędy, dokąd dotrze wasz miecz, Bolesławie.

Wrzawa na dworze nie ustała jeszcze całkiem, Bolko był podniecony, nie słuchał biskupa, słuchał ścichających głosów bitki, ręką machnął:

- Za wolę w Pułtusk dziesięć głów zdjąłem. Co dzisiaj puste gadki bajać?

Unger nastroił się.

- Ale nawet w drużynie waszej na mnie, biskupa waszego, nastają.

Bolesław skoczył, w głosie jego czuć gniew:

- Do drużyny wam nic. Wiera, nie tkniecie jej. Głos biskupa był twardy:

- A jakbym klątwę rzucił?

Twarcz Bolesława zrobiła się taka zła, aż zmaląła.

- Ejże, Ungerze! Ejże!

Nagły żal ścisnął serce Ungera - może szkoda, że nie dla Ody szalę przechylał. Jeszcze Bolko nie pobił, nie zwyciężył, a okoniem staje. Wszystko to zdradne rady małego Zefrida. Pohamował się. Głos jego zbył srogości, brzmiał powagą:

- A wiesz, Bolesławie, co to jest krzyż?

Bolko głowę odwrócił z nagłą, jakby teraz dopiero usłyszał, jakby poczuł. Krzyż? Spojrzał na pierś Ungera, na krzyż błyszczący kamieniami. Powiedział cicho, z naciskiem:

- Wiem.

Prawie niedostrzegalne politowanie skrzywiło wargi Ungera.

- Jeśli wiesz...

Zza ścian doszło ich wycie, nagłe, niespodziewane, wycie wściekłości i dziczy. Unger zachnął się. Bolko się poderwał ostro, skoczył, od drzwi już krzyknął:

- Co dziś gadki wieść kiej baby... Słyszycie? Jutro spierać się będziem, nynie... - wrócił spiesznym krokiem, wyrwał miecz z ławy. Miecz! Unger spojrział, zrozumiał: nie w czas zaczął. Bolko już wypadł, jeszcze susy jego dudniły, biskupem owładnęło zniechęcenie. I złość - nie na siebie, na Zefrida. Wszedł, by go wołać.

Kapelana przy ogniu nie było. Unger zatrzymał się, siadł na progu, by prosty woj po ciężkim dniu pełnym kurzu i krwi. Głowę zwiesił. Ogniska się tliły, połyskiwały jeno dwie kupy węgla, jak dwie piekielne tarcze. Z mroku od wrót dochodzi jazgot, ujadanie. Co się dzieje? Zefrida nie ma.

Czekał długo, chłód dokuczał. Rzucił chrust na węgle, gałęzie strzeliły w górę prostymi słupami ognia. Unger zdał się sam sobie mały, błahy - kupa śmieci na progu barbarzyńskiego księcia północy. Ręce wtulił w szerokie rękawy. Zgarbił się, drzemał, czekał. W końcu przyszedł Zefrid.

- Co tam?

Zefrid był podniecony, przejęty. Ręce jego fruwały. Pod wrotami gwałt. Przybiegł goniec od Budziwoja: Jomsborg uszedł z Odą i Mieszka. Na zachód, ku swoim czy ku marchii? Budziwoj goni za nimi.

- A młodszy? - Unger pytał z zapartym tchem. Zefrid był uroczysty.

- Obu młodszych księżyców Budziwoj ujął. Bolesławem gniew miota: obu kazał oślepić, skoro tylko ich przywiodą.

- Oślepić?

- Kara za grzech i zdradę.

- Przysięgał przecie. Przysięgał na Chrystusa. Zefrid podniósł ramiona, głowę schował:

- Gniew nim miota - rzekł krótko.

Unger już nie był mały ni błahy. I nim gniew miotał. Powstał. Ozwał się głucho:

- Trza nam do Emmildy. Nie zwolę. Nie godzi się. Zefrid podniósł się ociężale. Przez chwilę patrzyli na siebie, w milczeniu, szczerze. Przejrzeli się, biskup zrozumiał: stracił Zefrida. Na zawsze. Śni o czymś większym niżli dożywotnie kapelaństwo biskupie. Dlatego grał przeciw Odzie, dlatego nastawiał Ungera, by ten wspierał Bolka. Wszystko gra.

Wolno ruszył do domu Bolesława - do Emnildy. Zefrid szedł za nim ulegle, milcząco, jak zwykle. W pewnej chwili stanęli obaj, nasłuchiwali, jakby im czegoś zbrakło: nad grodem wisiała czarna, martwa cisza.

Poznań był w ręku Bolesława.

Przybywoj opadł zziębnięty. Wokół krze - leszczyna, wilcza jagoda. Krzyki ucichły. Nie na długo. Przybywoj widzi: za rzeką na wzgórzu stoi człek, przyodziewa łśni mu w słońcu, pilnuje, by zbieg nie wrócił przez wodę; pod lasem drugi. Inni odeszli, powiadomili sąsiednie opole - zaraz ci wpadną na ślad. Pójdą śladem z krzykiem, ławą, nagonką. Wnet.

Przybywoj wie: już nie będzie uciekał. Da się wziąć. Bez obrony.

Bo i nie ma czym. Miecz rzucił dawno, topór, sakwę. By prędzej biec, jakby można ująć przeznaczaniu. Póki krzyk, póki tupot, poty biegł. Teraz położył się, ramiona zarzucił pod głowę, trawa łaskocze mu policzki, pachnie, giezło paruje, schnie. Zbieg patrzy w niebo.

Patrzy chciwie: niedługo będzie patrzył. Obłoki całkiem białe, świecące, krągłe niby jeziora leśne; brzegi lamowane światłem. Niżej gałęzie krzów - leszczyna, wilcza jagoda. Liście ledwo co drżą. Przybywoj oddycha ciężko: tyle przebiegi. Unosił więcej niż życie - unosił oczy. Nie doniesie już oczu do Czechów, nie zaciągnie się do czeskiego księcia, jak to dumał, nie wróci pomścić Odylena, któremu już oczy wydarto. Do krwawych jam na twarzy nie zabłądzi już biały obłok ni drżące liście leszczyny - w krwawych jamach na dnie zatają się dwie krople ciemności, wleją się w głowę, napęlnią ją - po wszystkie dni. Wokół krze...

Kiedy wymknął się z grodu w ową noc porażki i przekleństw, był silny jeszcze i dufny, miał miecz za pasem, topór w garści: topór był okrwawiony. Serce przepęlniał mu gniew, męski gniew, gotów na zemstę, żyjący zemstą. Konia nie znalazł. Szedł ciężkim, łomoczącym krokiem, wsłuchiwał się w ten krok z lubością - tyle było w nim siły. Dumne czucia szamotały się w piersi: podjudzi Czechy a Węgry, wróci z drużyną czeską, drużyną węgierską. Przetratuje cały kraj, Bolko się zamknie w Poznaniu, oblega Poznań, Bolka wyciągnie za łeb, wylupi mu ślepią, żeby żył w przekleństwie mroku - aż po daleką śmierć. Śmiał się, gdy tak szedł. W pierwszej chacie łomotłomot! w drzwi, kazał sobie żarcia dać w sakwę, smarda po karku bił: smard kurczył się we dwoje, baby poganiał. Przybywoj poszedł dalej.

Długą miał drogę do Czech - może lepiej ku Weletom? Ee ta! konia sobie po drodze każe dać, równy jest Biesom a Orczykom, a Jastrzębcom, samym Lestkowicom. Konia każe dać, wojów skrzyknie, z drużyną do Czechów przybędzie. Byle dalej od Poznania.

Niedaleczko odszedł od Poznania. Noc była wietrzna, księżyc wypadł zza czarnych obłoków, świecił biało, obłoki go naganiały, srebrzył ich czarne brzegi. Potem księżyc zbladł, obłoki pojaśniały, wschód zapłynął krwią - świtało. Przybywoj szedł polem, depta! zboże. Później droga biegła między krze, widać - poręba, stara, wypalona polana, nynie leży odłogiem. Szedł szybko. Usłyszał za sobą - z lewa - psy. Gonia. Wczesne łowy - uśmiechnął się, nie przystanął. Przed nim leżał goły pagór, niby rozplaszczony dłonią stóg. Ostawił zarośla, wszedł na odkrytą przestrzeń. Był w połowie pagórka- psy grały! - gdy usłyszał. Przystanął, odwrócił się, zdumiony. - Za kim to ślad?

W zaroślach rósł krzyk:

- Nastojcie! Nastojcie! - Psy wyły.

Przybywoj stał, patrzył: zawsze ciekawy taki gon. Za kim to? Psy. Krzyk zbliżał się. Ogarnął już pół pagórka, sięgał Przybywoj owych stóp.

- Nastojcie! Nastojcie! jakby fala powodzi zalewała krainę.

Przybywoj nagle zbladł. Przestraszył się.

- Może to za mną ślad?

Krzyk go już obejmował.

- Nastojcie!

Poczuł gniew. Jakże to? Wściekłość wzburzyła mu serce - jak śmia! Porwał miecz, z łbem spuszczone - wolno - zstępował z pagórka.

Wtedy zobaczył ich - goniących śladem. Krze się ruszyły - najpierw wypadła sfora psów - prosto na niego. Za psami czereda - wielka kupa - biegną, w rękach pałki, topory, maczugi, rogatyny. Włosy zmierzwione, gęby rozwarte, dyszą wrzaskiem, szybko, w biegu. Nie słysząc już zawołania "nastojcie!", zasapany tylko krzyk, krótki, prostacki:

- Oooo! o! o!

Przybywoj odwrócił się, pobiegł. Pod górę. Psy dognały, pchnął jednego, drugiego mieczem, skręciły się w warczący kłębek, gryzły się między sobą, Przybywoj biegł dalej. Silny był, ostro biegał. Odsądził się od goniących, dosięgnął szczytu pagórka i - w dół! ile sił w nogach. Jeszcze nie był znużony, jeszcze myślał:

"Pies Bolko. Już zdążył opola powiadomić.

Las niedaleczko. Nie zgonią.

Poznań? Co w Poznaniu? Czyżby wszystkich pobił w Poznaniu?

A Oda? Co z Odą? Durna białka, trza było od razu Bolka bić.

Las blisko, zmylą w lesie, nie zgonią.

Odylenowi pewno już oczy wydarli.

Trza było ku Weletom, nie Czechom, bliżej.

Kto powiadomił Bolka? Unger? A Stojgniew, psie nasienie, Hugona ubił. Gdybyż nie Stojgniew...

- Ostają z tyłu, ostają. Żeby konia skąd, żeby konia...

Puchałę wysłał, ścierwo. A ten poszedł, churlęga.

Ketl niepewny, wždy może lepiej było do Ketla uciekać... do Jomsborga.

Jako tam Bolko puszy się, wydziwia. Wrócim z Czechami, obaczym.

Wraz słońce wzejdzie.

Las blisko".

I jeszcze czuł:

Gniew: już Bolko zdążył puścić ślad.

Radość: pędzi jak koń, jak ptak, jak wilk.

Ponizenie: woja smardy gonią, kupa, opole. Z psami.

Otucha: las blisko, w lesie zgubią ślad.

Rozpacz: a gdyby tak z mieczem na nich wpaść?

Wściekłość: rąbać, rwać, bić, kości łamać.

Strach: złapią, Bolko oczy wydrze, oczy wydrze!

Znużenie: tchu brak.

Złość: miecz przeszkadza. Dynda się koło nóg. Suchość w ustach.

Żal: czemuż zrazu nie uderzyli na Bolka? W oczach czerwone płatki.

Obrzydliwość: jeśli nie zgubią śladu, zaszczują na śmierć.

Wzgarda: ucieka, nie po wojacku to, po smardowemu, po babsku.

Nogi mdleją. Tchu brak, tchu brak.

Odsądził się. Wpadł w las. Struga skakała po kamieniach.

Przypadł, pił, pił, pił bez końca, myślał:

Jakże to? Przecie Bolko jeszcze kraju nie ma w garści, a puścił ślad. Czemu słuchają go? Mogłaby Oda poszczuć śladem na Bolka, mógłby Przybowoj. A nie mogli. Jak się stało? Dlaczego księstwo samo w łapy lezie Bolkowi? Co opola wiedzą o swarach między Bolkiem i braćmi? Wczoraj jeszcze kłanialiby się w pas Przybywojowi. A dziś...

- Nastojcie! Nastojcie!

Ostro oderwał się od strugi, od myśli. Już są na szczycie pagórka. Niecierpliwą ręką sięgnął do

sakwy, wyjął kawałek suszonego mięsa, dwa podpłomyki i pobiegł. Jadł w biegu. Zgubią, nie zgubią. Nie zgubili. Uciekał.

Odtąd już biegł a biegł. Opole podawało go sąsiedniemu, tamto dalszemu, z ręki do ręki. Takie było prawo - zbrodnia gonić, na ślad, na oko, abo złapać, abo wygnać z granic opola; nie wygnają, kara na całą gromadę. Więc pędzili gromadą. Nie pytali, kim jest ów zbrodzień, za co go łowią, z czyjego nakazu. Wiedzieli: abo ubić, abo wygnać, abo do grodu dostawić. I na wrzask "nastojcie!" gromadzili się ludkowie z opoli sąsiednich, już czekali, czyhali, kiej na zwierza. Na Przybywoja.

Juści - nie znali jego imienia, nie wiedzieli, kto zacz. Gnali.

- Nastojcie! Nastojcie!

Sakwę rzucił tegoż dnia w południe, gdy biegł lasem pod górę, między rude pnie sosen. Topór stracił wieczorem, kiedy skakał z gliniastego urwiska wprost w wodę. Prześladowcy byli już tuż, o dziesięć kroków, patrzyli znad wiszaru, jak płynął rozpluskując wodę - woda w dole była zielona, czarna, krople srebrne, dziw. Krzyczeli, by ostrzec tamtych, z tamtego brzegu. Przybywoj przedzierał się nadbrzeżnymi zaroślami, kluczył. Już nie myślał, nie czuł - nawet zmęczenia. Nadpływała noc - czarna, mglista, może zgubią w ciemności. Zgubili. Już nie biegł, szedł, ale bez łomotu, bez tupotu, włókł się. Nad ranem wytropili, rzucił dyndający się, przeszkadzający miecz - na czar, na urok, żeby przeciąć ślad. Nie przeciął, znaleźli. Pobiegł, gnali z krzykiem - wciąż nowi, wciąż świeży, wypoczęci, nienawistni. Rzeczka - granicę opola przebrnął w bród, napił się z dłoni, biegnąc - opadł zziajany. Wokół krze - leszczyna, wilcza jagoda.

Leżał z ramionami pod głową, trawa łaskocze mu policzki, pachnie, giezio paruje, schnie. Obłoki białe, białe, lamowane światłem. Niżej gałęzie krzów, liście ledwo co drżą. Nogi, ręce - bezwładne, w skroniach stuka, cała twarz w ogniu. Cisza.

Cisza... A z dala - już! Okrzyk daleki, ledwo słysząc. Ale zbieg wie, co krzyczą.

- Nastojcie!

Nie ruszy się, nie pobiegnie; zmiędzy krzów - leszczyny, wilczej jagody - z trawy, która łaskocze w policzki, pachnie. Może miną.

Nie minęli, psy wytropiły. Wzięli go, nie bronił się. Związali, złożyli na podwodę, dostawili do grodu. Wóz skakał, terkotał, woły ciągnęły wolno, pyskami chwytaly liście przydrożnych drzew. Przybywoj nie czuł ni żalu, ni gniewu, ni wściekłości. Patrzył na białe obłoki. Patrzył chciwie.

Grododzierzca Bogusław nie poznał go. Wsadził w jamę, posłał do Poznania po nakaz. Nakaz przyszedł po tygodniu: wydrzeć oczy. Wydarli.

Łaziebniki otrzymali rozkaz: napalić we wszystkich łaźniach wzdłuż Warty. Klecie łaźiebne stały gęsto, ukryte między wierzbami. Od rana proste dymy szły w niebo :- jak sygnały księżęcego gniewu. Nad rzeką ruch, baby wodę noszą do cebrów, chłopcy chrust. Łaziebniki poganiają.

Dzisiaj ich dzień.

- Ej ty, Bzdycz, jak kamienie? gorące? Bzdycz siedział w kucki, spluwał przez zęby. - Miotły macie?

- Dwa dziesiątki nagotowane, miętkie, brzozowe.

Bzdycz podsunął się. Szepnął:

- Różgi macie?

- Kazali. Przygotowalim.

- Ostre?

- Bez liści. Widać, siec będą.

- Słyszałeś, co nocką w grodzie było? Bitka.

- Po całej rzece gwałt szedł.

Bzdycz się mocniej pochylił, obejrzał, splunął:

- Mołwią, Oda uszła z jomsborskimi zbójami.

- Krwawa suka. Teraz tam głowy tną.

- Nie żal. Niech tną.

- Różgami będą bić po łaźniach.

- Ostrymi.

- Bez liści.

- Niechaj biją. Nam co? Byle kamienie trzymały gorąco.

- Mówią, kamieniami palić będą.

- Niechaj palą. Nam co?

Pod wieczór prowadzili do łaźni Odowych wojów. Bez broni, pod strażą. Kazali rozdziawać się, rozdzielali się. Myć się, parzyć - oczy im ze zdziwienia wyłaziły - obyczaj nowy, łaźnia przed

kaźnią. Strach mroził trzewia, pośladki mieli chłodne mimo pary. Kamienie były napalone, ani dotknąć. Łaziebniki leli wodę, para buchała, gęsta, ciało potniało, parowało, skóra czerwieniała. Wnet też Bolesław przyszedł, za nim komornik książęcy i wyrostki z tłumokami, z jukami; aż się uginali pod ciężarem. Bolesław zrzucił płaszcz, suknię, giezło - goły wszedł do pierwszej łaźni. Wrzasnął:

- Ogień sycić. Łuczywo! - po głosie czuć: gniewny. Zamigotały czerwone smołaki.

- Różgi!

Bzdycz podał pęk, sam przestraszony, blady. Woje stali goli, kupą, milcząc, spoglądając spode łba. Książę zwrócił się do pierwszego:

- Ty, Sułek, słysz. Tobie Oda złoty pierścień dała, wiem. A ówże ryży bękart dał nóż włoski. Żebyście ich wspierali; żebyście przeciw mnie, księdzu waszemu i panu, zęby szczerzyli, smardzikom, braci mojej, księstwo dali. Gdzież ona Oda a księżyce? Kto tu ksiądz? Kto pan? Żebyś wiedział. Obróć się.

Sułek, zdumiony, nastroszony, obrócił się.

- Nachyl!

Nachylił się.

Bolesław bił go różgami po karku, mocno, z rozmachu. Plecy Sułka spłynęły krwią. - Byś wiedział, kto tu ksiądz, kto pan.

- Ty, Stanko, słysz. Pyskowałeś, topór ostrzyłeś. Obróć się.

Bił Stanka różgami. Bzdyczowi oczy wylaziły, gdy patrzył, łuczywo drżało w ręce.

- Ciebie, Czuwaj, trza by pachółkom dać. Aleście wszyscy woje, ojцова drużyna, nynie moja drużyna. Nikt was tknąć nie śmie, chyba ja. Ja, ksiądz, godności waszej, godności rodowej nie pokalam. Byście pamiętali ten dzień, to bicie, tę krew. Byście wiedzieli, komu służycie.

Bił Czuwają różgami mocno, z rozmachu, z książęcego gniewu.

- Słysz, Wiodek, tobie by głowę zdjąć trza. Oczy wydrzeć. Aliści żal mi cię, żal woja dobrego, co Niemców bił, a trza było Prusów, to Prusów bił, a trza było Czechów albo Rusków, albo Pieczyngów, bił Czechów, Rusków, Pieczyngów. Mnie ciebie żal, ty gnojku, ty poczwaro, ty smardzie. To żebyś w durny łeb wbił, kogo słuchać, masz! i masz! i masz! a potem będziesz znowu ze mną bił i Rusków, i Pieczyngów, i Czechów, i Niemców, na kogo was powiodę. Ażebyście wybili z głupich łbów, że jest kto inny nad wami, inny pan, inny ksiądz, inny wojewoda, krom mnie. Może Oda, co do Jomsborga zemknęła, masz Odę! masz! masz! Abo Odylen, co krwawymi łzami płacze, masz Odylena! masz! Abo Przybywoj, nynie śladem gnany z opola do opola, masz! Nie żałując ręki, żebyś wiedział, żebyś czuł, żebyś odtąd durny nie był, masz! i masz! i masz!

Zaczynali rozumieć, bunt opadał, gniew opadał, ból opadał. Bo wiedzieli: Mieszka by głowy zdjął. Wiedzieli: Oda by głowy zdjęła. Wiedzieli: każdy by głowy zdjął, byle mógł. A Bolko różgą siecze i do drużyny wraca. Walny ksiądz Bolko.

- Wyjść przed łaźnię.

Przestraszyli się, wyszli. Widzą - komornik ksiązący już juki rozładował, a tam broń a szaty, a czary, a łańcuchy. Bolko schyla się, daje każdemu dar wedle winy, zasługi, godności.

- Ty, Sułek, masz, i Stanko, i Czuwaj, i Włodek, macie, trzymajcie i pomnijcie ten dzień i karę, i ból, i łaskę. - Pogroził pięścią, obtarł się i - goły - poszedł do drugiej łaźni.

Popatrzyli na siebie, na dary, na pełne ręce - osłupiali, zmartwiali - aż zawrzasnę w jeden krzyk, jedno zawołanie, jedną radość - na sławę Bolkowi, wielkiemu księdzu.

Straży nie było już. Odziewali się śpiesząc, odzienie leciało im z rąk, i biegli do grodu prędko, ile ducha, ile sił.

Przed czwartą łaźnią na Bolka czekał Stojgniew. Rozebrany. Bolesław zdziwił się.

- Co, Gniewek?

Stojgniew schylił się do Belkowych kolan.

- Proszę was, Bolesławie, bym mógł karę wziąć za ojca. Ksiązę nachmurzył się.

- Dobrze - rzeki krótko i wszedł do środka.

W łaźni był tylko Wojbor, Nielub, łaźiebnik - innych Stojgniew wyrzucił, nie chciał, by widzieli karę, poniżenie Orczyków. Wojbor goły, cłudy, brzuch miał wpadnięty, głowę wdusił w ramiona, patrzył ponuro. Nielub stał za nim, ręce w bok, głowa do góry, uśmiechał się, unikał wzroku brata. Bolesław patrzył na obu w zamyśleniu. Wreszcie rzekł cicho:

- Wielki to ród Orczyca, wiem ci, cały kraj wie. Nie Orczykom walczyć z Lestkowicami, im iść razem, jako pierwszym, jako wielmożom. Nie gnić Orczykom w puszczy, tutaj jest nowy świat.

Wojbor kiwał głową - pojął już przecie: tutaj jest nowy świat. Za czerwonymi wrotami. Nagle podniósł głowę: prawda to - Orczykom nie gnić w puszczy.

Bolko ciągnął:

- Nie miałem was różgą bić, Wojborze. Bo Orczyki wielki ród, a wy stary. Miałem was liśćmi bić, jak zawsze w łaźni, na znak. Boście Orczyk, bo stary, bo Stojgniew mój przyjaciel, towarzysz i drug, starosta w mojej drużynie. Stojgniew prosił, by wziąć za was karę. Dobrze. Ale jego będę bił różgą, nie liśćmi, onże walny woj, niech strzyma. Trzymaj, Gniewek!

Wziął różgi z rąk łaźiebника, uderzył mocno, z całych sił. Raz jeden - na znak. Potem objął go,

ucałował w policzek, w drugi policzek, zaśmiał się, stuknął w kark. Popatrzyli na się - pod dawnemu.

- A Nieluba będę mocno bił. I długo. Trza mu różgą głupotę wytrząść. Pochyl się, Nielub!

Wojbor patrzył, nie przeciwił się - nie poznawał siebie stary Wojbor z Orczycy. Ale wiedział już - Stojgniew wprowadził Orczyków za czerwone wrota - w nowy świat.

Wielka sień starego domu Mieszki zastawiona była stołami. Czterdzieści długachnych stołów postawiono na dworze przed domem. Paliły się beczki ze smołą. Na stosach obracały się pieczenie, na michach leżał chleb, sól, w cebrach piwo i miód. Bolko wydawał wielką ucztę dla wojów, dla stróży grodowej, dla wszystkich gości. Dźwięczały gęśle, grzmiały rogi, huczał bęben. Nad stołami, nad grodem, nad krajem leciała pieśń.

Gęby były wesołe. Dotychczas jakby nie byli pewni jeszcze- czy to już koniec? Teraz pieśń, piwo, śmiech - wszystko krzychało: koniec, koniec!

Żaden nie pomyślał: a może to początek?

Nawet Bolko.

A przecie to był początek.

Nie myśleli, jedli, grzebali paluchami w misach, wybierali kęsy co tłustsze, co miększe, solili, moczyli w sosie. Kości trzaskały w zębach. Zagryzali słonymi suszkami. Nalewali do rogów piwo, pili, czkali, odbijali powietrzem. Podrzucali łokcie sąsiadom, gdy ci przechylali czarę, wylewali na gębę, szyję, przyodziewę. Rechotali. Walili się otwartymi dłońmi po ramionach, po karkach, obejmowali się, całowali. Rzucali w siebie kawałkami mięsa, zasuwali za kołnierz ogryzione kości, gwizdali jak ptaki, piali kiej kury, Boruta gdakał, Zbygniew szczekał by pies. Weselili się na całego, w pełni, po pijanemu.

Że to już koniec.

Przede wszystkim zaś gadali o niedawnej bitce, gdzie który był, co robił, kogo ubił. Jak w ciemności swój na swego wpadł. Jak Przybywoj wrywał, ledwo gaci nie pogubił. Jak Stojgniew Hugona ubił. Jak u Ody kiecki fruwały. Jak księżyce zamoczyły się ze strachu. Jak Wszebor do słupa przed wrotami w ciemności wołał: "Rzuć miecz, rzuć miecz, bo ci pysk rozwalę". Jak Bolko w łaźni siekł. Jak Miękosz kulał się po okólniku. Jak ten i ów, i tamten, i jenż. Ileż to śmieszności w tę noc było.

Ryczeli.

Trząś się od wesołości gród.

Bolesław poglądał chwilami zdziwiony na Emnildę. Zwykle wychodziła wcześniej, nynie pijatyka w pełni, a ona siedzi. I Unger. Nie krzywi się na sprośne pieśni a gadki. Inne białki przed Emnildą nie wstaną, siedzą, ale już gęby mają czerwone, języki wojom się rozwiązały, plotą, nie baczą na niewieści srom. Bolesławowi wesoło, ale tych dwoje jakby go hamuje, jakby nie daje się rozbrykać

do woli, do końca. Nie przywykł.

W pewnej chwili pochyła się do ucha Emnildy:

- Nie idziesz?

- Dumki mi się snują...

- Jakież to dumki?

Emnilda - nie bacząc na cały stół - ręką pierś męża pieści, czule, z żalem. Bolko dziwi się:

- Co ci to?

Emnilda szepce cicho, że nikt prócz Bolka nie słyszy:

- O młodszych synach Ody dumam. Coś ich kazał oślepić. Chmiel w jednej chwili uleciał z głowy Bolesława.

... Co ci otrocзки zawiniły? Miecza nie uniesie dłoń niedolatka, zmowy nie zrobią usta.

Bolko wpatruje się w nią okropnymi oczyma, krągłymi ze złości.

- A przecież ślubował...

Mąż nie panuje już nad wzburzeniem:

- Przy godowaniu mówisz mi to, wypominasz, kiedym wesół.

- Tylim skrzatom oczy wydrzeć.

Bolko zrywa się błądy z wściekłości, nogami tupie. Wokół cisza, tylko z dworu wrzask dochodzi. Szalona białka z księżnej. Unger się podnosi, podchodzi powoli, godnie, dłoń kładzie na ramieniu Bolka.

- Azali nie chcielibyście, panie, oczu księżycom wrócić?

- Chciałbym, nie chciałbym, nie ma mocy na to.

- W mocy Bożej jest wszystko - mówi Unger i prostuje się dumnie.

Wargi Bolkowi drżą - taki gniewny.

- Ano! zróbcie tak. Nie bronię.

W tejże chwili Emnilda pada na kolana przed mężem.

Wokół cisza. Czeka ją.

- Jużem zrobiła to - Emnilda jąka się ze strachu.

Bolko patrzy na nią zdumiony.

- Zrobiłaś to? - powtarza, nie rozumie.

- Wzbroniałam kaleczyć. Zabrałam obu.

- Co?!

Emnilda głową dotyka mężowych kolan.

- Gdzie są? - nie wyczytasz z głosu: rad, czy gniewny.

Krąg wokół stołu zataił oddech. Unger stoi bez ruchu, tylko mu grdyka chodzi.

Od Belkowych kolan szept:

- W mojej komorze. Zamknijęci.

Jakby mu chmiel znów w głowę wrócił. Bolko zatacza się z powrotem na ławę, rozwala się. I nagle:

- Ha ha ha ha ha ha!

Aż się zanosi od śmiechu. Głowę podparł rękoma, śmieje się w stół. Krąg się poruszył wokół stołu, odetchnął: ksiądz niegniewny, rad. Unger z wolna, godnie, dostojnym krokiem wrócił na swoje miejsce. Ale i on się śmieje.

- Chytra liszka - Bolesław podniósł głowę, spojrział wkoło z niepokojem. Ale widzi, kiwają głowami, uśmiechają się, radzi. I on rad - jakże rad!

- Przebaczysz mi, panie?

Chmiel znów huczy mu w głowie, ciąga po kościach, gdy patrzy na przypadłą do kolan żonę, taką niemocną, taką uległą, a przeciwiącą się woli mężowej w rzeczach księstwa. Ciąga go po kościach.

- W łaźni by cię trza siec - uchwycił ją pod pachy, poderwał w górę, posadził z rozmachem pobok, jęknęła. - Mądrą białkę mam. Widzita?

Puszy się.

Krąg wkoło krzyczy na cześć, na sławę pani. Bolesław puszy się, och, jakże rad! - widać. Emnilda pieści go białą ręką, całuje, nie bacząc na biskupa, na wojów, na srom.

Bolko gładzi ją po plecach. Krzyczy:

- Przywieść otroków. Niechże zobaczą. - Skoczyli.

- Widzita, jako mię przechytrzyła.

Unger nie traci pory, by ich pouczyć.

- Zawszy białka przechytrzy chłopa, na dobro abo na zło. Toć i kmięcia Bożego, Adama, białka zwiódła społem z diabłem. Jabłko mu dała. "Skąd ? - pyta ją Adam, zły aże strach- możeś u Pana Boga skradła?" - A onać go pieści i całuje, i pry: "zjedz". - Zjadł Boży kmięc jabłko. Przychodzi Pan Bóg, na drzewo patrzy: nie ma jabłka; bo policzone miał one jabłka. Zgniewał się Pan Bóg i precz pognał z rajy Adama, i nic mu nie dał wziąć ze sobą z jedzenia abo ochędóstwa, jeno ona białkę, Ewę. Z nią spłodził Adam synów, jednego przezwał Kain, wtórego Abel...

Wprowadzili otroczków: mali, zasmarkani, pośladkami trzęsą. Wszebor ich popycha, stanęli przed księciem. Starszy przestraszył się, głośno w bek, piąstki wepchnął w oczy, gębula otwarta, krzyczy; za nim młodszy, rozmazali się obaj. Woje wkoło w śmiech, Bolko jednego, drugiego pod brodę, patrzy, śmieje się.

- Uszło wam, radem, radem.

Emnilda objęła obu, przytuliła, gębule otarła, żalą się do niej na strach, na opuszczenie, na sieroctwo. Raz jeszcze dziękuje mężowi - tylko spojrzeniem, tylko uśmiechem. Nie czeka już: wzięła chłopców za ręce, wyszła. Za nią inne białki. Na ostatku Unger. Wesołość - nie hamowana już, prosta, wojacka - zalała się.

W pewnej chwili Bolko woła:

- Wszebor, gdzieżeś?

- Tutki.

Stół prześmiewa się - Wszebor się spił, kiwa się, głowę kłoni, sen go morzy. Wodzi wokół oczyma - oczy durne, pijane.

- Zaraz spod stołu krzyczeć będzie: tutki, a hu!

- Ejże, Wszebor!

- Co cię ta stumaniło?

Bolko ryczy przez stół:

- Chodźcie do mnie, piastunie!

Wszebor idzie - kiwając się - między stołami, któryś nogę podstawił - stary się przewalił. - Ho ho ho! - schyleni, zaglądną pod stół. Karabska się, kręci, nie może wstać. Krztusi ostatnie powiedziane słowo:

- Tutki... tutki...

- Ha ha ha! - ryczy się.

- Pomóżcie mu, nie dojdzie - Bolko wstał, sam kiwa się lekko na nogach. Wzięli starego pod ramiona, przywlekli. Bolko doń przepija z wielkiej czarę, ciężkiej, złotej, kamieniami sadzonej. Ale Wszebor ledwo utrzymuje czarę. Pomagają mu, wypił.

- To weź sobie czarę, piastunie. Byś pomnił dzisiejszy dzień.

Przed nim wielka, złota stągiew. Wziął ją w ręce.

- Stojgniew!

- Hooo ho!

- Łap!

Rzucił przez stół, Stojgniew złapał.

- Dobrze, nie pijanyś. Przemko!

Ciskał ku nim wszystko, co stało na stole, co było przed nim.

- Odrzykoń!

Rzucił róg nabijany złotem.

- Boruta!

Misę od ciemnych Arabów przywiezioną.

- Pieczyrak!

Konew srebrną z wąską szyją, z dwoma uchami, z Bizancjum.

Coraz szybciej to szło, coraz był zapalczywszy. Oni łapali ze śmiechem.

- Taczała!

- Wojbor!

- Nielub!

- Zadora!

- Dzierżyk!

- Dobrosz Ostoja!

- Bies!

- Herman!

- Jasza!

Zrywał ręczniki, miętosił, ciskał wśród śmiechu i wrzawy, narzuty. Stali już wszyscy, czekali, rycieli. Nie stało sprzętów na stole, skoczył ku ścianie, zdzierał makaty, broń. Wciąż rzucał.

- Radgost!

- Świrad!

- Gniewosz!

- Stanko!

- Starykoń!

- Czuwaj!

Gdy ściany były gołe, zerwał płaszcz, zmiął, rzucił. Łącuch z szyi. Nóż. Pas. Pierścień. Wszystko, co miał na sobie cennego.

- Byście pamiętali. Wszyscy. Że już koniec.

W tejże chwili rum powstał u drzwi - przepychał się woj w pełnej zbroi, zakurzony, zdrożony. Bolko oczy nań podniósł, wargi ściągnął.

- Budziwoj!

- Z pościgu.

- Co tam?

- Uszli. Pięćdziesięciu konnych przewiozło Odę przez Odrę, uszli ku Niemcom. Reszta nabrała na Warcie łodzi i poszli z prądem. Do Jomsborga.

- A... Jomsborg?

Budziwoj ręce rozłożył.

- A no... trza będzie ji spytać. Siadaj, Budziwoj, jedz, pij. Zbierzem wojów z grodów, z Lednicy, z Nakła, z Kruszewicy, pójdziem pytać. I Czycibórowi na Pomorzu się pokłonim.

W sieni stała wielka cisza. Powiódł wzrokiem po setce wlepionych weń oczu.

- Koniec będzie, gdy rozdepczem gniazdo jomsborskie.

Uczynili wielki krzyk-przez pułap pod gwiazdy. Komornik już wynosił nowe naczynia do picia, nalewali skwapliwie.

CZEŚĆ PIĄTA

Skarby i potwory

1.

- Zbóje jomsborscy muszą wybierać: z nami idą, czy przeciw nam? - wykrzyknęła drużyna. Wybuchł gwałt, oszczepami walili po tarczach. Kupili się do Bolesława i wygrażali pięściami.

Wyprawa na północ została postanowiona.

Stojgniew ściągał wojów z Kostrzyna, Lubusza, Międzyrzecza, Santoka, miał ruszyć wprost na Białogród i Kołobrzeg. Bolko szedł na Gniezdno, z Gniezdna skręcił na północ. Przeprawili się przez Noteć, Nakło zostawiając na prawo. Tamten brzeg był błotnisty, zarośnięty szuwarem, splątanym zielskiem wodnym. Czarne błoto ciągnęło za nogi, jeźdźcy prowadzili konie za powody, konie się zapadały, grzęzły, ludzie ratowali się społem. Bolko sapał, kłął. Nad gęstwą widniały tylko ostre dzioby szłomów i łby końskie. Zielska chwyciły za kolana, raz po raz wpadał któryś w lepkie błoto. Przewodnik krzyczał, że wnet trafią na starą groblę. Klęli słysząc jego wrzask. Paćkali się, wściekłość przeciw Jomsborgowi mieszała się z płynnym bagnem. Wreszcie przewodnik odnalazł zwalone w trzęsawisko kłody. Pnie ugrzęzły głęboko, były oślizie, ani stanąć. Wyłazili na nie jak glisty, ci, co byli dalej, wrzeszczeli, by podać im włócznie. Konie ślizgały się, zapadały, kaleczyły nogi, strachały się, biły kopytami. W końcu przebrnęli bajoro, przeliczyli się, dziesiętnicy okrzykiwali dziesiątki. Trzy konie zostały w bagnie i dwóch ludzi.

Palcami zbierali błotną maź z przyodziewy. Bolesław patrzył na szuwary - widniała w nich wygnieciona przed chwilą droga - na gród, broniący brodu z tamtej strony rzeki. Twarz miał czerwoną z wysilenia i umazaną na czarno jak wszyscy. Sapał gniewnie, milcząc zeszedł znowu na brzeg bajora.

- Kto narzuca! tu tych pni? - zapytał przewodnika. Tamten zgarniał garściami błoto z piersi i bioder, nim zaschło. Podniósł kudłaty łeb, powiedział z namysłem:

- Pomorcy narzucali, chodzili tędy z chąsą i wracali z łupem.

- Pomnisz?

Skrzywił się.

- Ja nie pomnę, ale ociec mi bajał. A ów gród stawiał ociec wasz, żeby przeprawę bronić. Ja tu dyle ciągałem, to i pomnę - potarł garściami ramiona, zgarbił się.

- A później?

- Później Mieszka wyprawił się z drużyną, pobił Pomorców. Grobla była niepotrzebna, szła głębiej w błoto.

- Nynie to jeden kraj - powiedział Bolko twardo - ale grobla musi być.

Stał i patrzył. Na drugim brzegu stróża grodowa, która nie poszła na wyprawę, zebrała się nad rzeką, by oglądać przejście Bolesława. Dotąd jeszcze gapiły się kupy wojów, ostrza oszczepów błyskały jak płomyki. Bolko powtórzył w zamyśleniu:

- Grobla musi być. A rąk nie ma, wyprawę trza będzie znów wieść.

Zabłoconą ręką przeciągnął po twarzy, nagły gniew go poniósł, zakrzyknął:

- ...a nie zechcą jomsborczyki ze mną iść. będą tu pnie na groblę ciągać.

I z miejsca powiódł drużynę na północ.

Weszli w bór czarny, gęsty. Ongis był tu przesiek, przewodnik pokazywał stare nacięcia na drzewach, teraz zarosło wszystko, przedzierali się z trudem. Dziesiątka z toporami szła przodem, cięła gąszcz. Trzaskały krze, szeleściły liście. Czasem pnie tak zawały drogę, że kupą rąbali, inaczej by konie nie przeszły. Wdzierali się w puszcę. Nie było czasu na pieśni i odpoczynek, Bolko popędzał, ich samych gnała ślepa nienawiść do Jomsborga. Tu, tam puszcza się rozlewała w trzęsawisko, szli za przewodnikiem rozsypanym łańcuchem, macali grunt oszczepami. Podmokła łąka zmieniała się w topiel bez dna, wracali, okrążali, kluczyli. Na suchych wydmach odpoczywali, wyciągali z sakw suszone mięso, rwali je zębami w pośpiechu i gorączce. Szli wciąż dalej na północ, puszcza się nie kończyła. Rude drzewa połyskiwały w mroku.

Nigdzie nie widzieli takiej mnogości jezior. Małe jeziorka leśne z czarną wodą, w których gniły setki zwalonych przez burzę drzew, patrząc w niebo jak czarne oczy ziemi; duże, obłe tafle, szare i senne, o błotnistych, zarośniętych brzegach, które okrążali z mozołem, przeskakując wesołe strumienie leśne; inne dzikie i poszarpane, z wysokimi półwyspami, szumiącymi czubami sosen, usiane wyspami; gliniaste urwiska spadały ostro czerwonymi uskokami. Z nadbrzeżnych płycizn zrywały się stada żurawi. Bieleły łabędzie, kołowały gęsi i kaczki. Dziki był kraj, pusty, bezludny. Śpieszyli. Do ludzi, do bitki.

Przyszła do nich nagle, nic spodziewali się jej tak rychło. Wieczór spływał, słońce zarzyło się między sosnami jak węgle na palenisku. Szli dalej, gdyż przewodnik zapewniał że wnet trafią na szeroką polanę, tam spoczną. Ścieżka była wąska, z mozołem się przedzierali jeden za drugim, odchylali gałęzie, puszczały je ze śmiechem na gęby tych, co szli z tyłu. Przelatywały gadki, przekpinki. Ścieżka się rozszerzała w wąską gardziel, przed nimi migotała już złota przestrzeń wolna od drzew, oczy mieli pełne czerwonych skier zachodzącego słońca; patrzyli wyżej, na obłoki, które jak krwawy dym pożaru kłębiły się po niebie.

- To już ostami nocleg, w południe dojdziecie do morza - zakrzyknął przewodnik, wesoło machnął ręką. W tejże chwili skurczył się, stęknął, zwinął się, przekręcił, padł na ziemię. Jednocześnie rozciągnięta w długiego węża drużyna usłyszała krzyk Bolesława, który wydobył miecz, popędził konia. Rzucili się biegiem, bezładną ciżbą, krzycząc i tłocząc się. Nagle koń Bolesławowy zarył się nozdrzami w ziemię, zad wyjechał mu w górę, kopyta załomotały - Bolko przeleciał przez łeb rumaka, padł gębą na czarne jagody.

Strzały leciały gęsto, ale już większość drużyny wysypała się z lasu. Bolko się zerwał, pędził wielkimi susami, nic nie widział, oślepiało go słońce; za nim gnała ze zgiełkiem drużyna. Napastnicy zawrócili od razu, pierzchnęli, konni puścili się za nimi. Zbygniew podał wierzchowca Bolesławowi. Zapadał zmierzch, na niebie gorzały krwawe smugi. Przelecieli przez polanę, spieszyli się, rozsypali się po chaszczach, wyławiali Pomorców. Wielu umknęło, kilkunastu ujęto. W głębi

lasu słyhać było wrzaski i trzask gałęzi. Na polanie zachrypiał róg. Drużyna wracała w rozsypce, po dwóch, po trzech, wiedli jeńców, zgiełkliwie rozprawiali o napadzie.

Na środku polany gorzało już kilka stosów. Bolko zasiadł na wilczej skórze, drużyna widziała: dławiał go gniew. Szturchali się łokciami, pomrukiwali:

- Bacz. Aże ji trzęsie w złości.
- Nie dziwota. Psie ich macie!
- Toć jego kraj. A napadły ji.
- Konia ubiły.
- A gębą w ziemię wyrznąć miło to? Przed drużyną.
- Pobilim gadów.
- Niewolnych wzielim. Mało tego. Jeszcze im łby weźmie, obaczycie.

Zerknął milczkiem na Bolka: nożem dźgał w mech, gęsto, od pasji. Podniósł głowę, zawołał:

- Ej!

Rzucili się doń kupą. Nie wstał, patrzył na nich spode łba. Spytał bardzo spokojnie:

- A co, drużyna? A?... Łajno psie!

Zerwał się wrzask, łomotanie. Błyskały miecze, odwracali się do szumiącej puszczy, sypali przekleństwami. Bolko wstał, czerwony od ognia długo patrzył na północ. Wciąż milczał i nagle zamilkła drużyna. Nie pojmowali go, czekali. Powiedzie ich zaraz a bo co? Bolko zachrapał w ciszy mściwym szeptem:

- Odpowiesz już mi, stryku Czycborze. Czekać, porachuję się.

Odzew drużyny zerwał się nagle i zamilkł. Bolko siadł, wyciągnął mięso, podpłomyki, powiedział z pełną gębą:

- Jedzcie.

Zaczęli się rozłazić. Bolko podsunął mięso Budziwojowi. Spytał:

- Wielu jeńców?

- Siedemnaście.

- Dobrze. Rankiem odeślę ich nad Noteć, niechże groblę naprawią. Chcę wrócić suchą nogą. Wszebor powiedzie, nos mu w bitce rozbili, ciężko iść staremu.

- A jomsborczyki?

- O wa! Nie zbraknie roboty. Wiele jeszcze trudu, nim kraj mój będzie jak cesarski. Teraz spać.

Zaczęli się układać. Bolesław wyciągnął się na skórze, głowę oparł na tarczy. Patrzył w górę na rozgwieżdżone niebo, czarne i srebrne jak płaszcz, który mu kiedyś cesarz darował w Kwedlinburgu. Gwiazdy błyszczały jak garść monet rzuconych hojną ręką. Bez ładu i składu rozsypane po niebie, grupkami po dwie i trzy, drobne i wielkie. Niektóre świeciły jak księżęta wśród swojej drużyny. Bolko, który zawsze obojętnie spoglądał w niebo, niespodziewanie zainteresował się srebrzystym wzorem czarnego stropu.

Drobiazg rozsypany mu nad głową świeci nad nędznymi grodami Pomorców. Tamta, jasno błyszcząca, to gwiazda dumnego Jomsborga Bolesław gniewnie ścisnął pięście. Wpatrzył się z natężeniem we wraź gwiazdę, błyskało krwawo i błękitno. A potem ją szukać innych gwiazd, gwiazd jasnych gwiazd jego głównych grodów - Krakowa, Poznania Wrocławia i Gniezdna. Odnalazł je, wszystkie lśniły wspaniale" jak klejnoty w cesarskiej koronie. Ciepła fala krwi napłynęła Bolesławowi do piersi - wielka duma ze swoich grodów i swej ziemi. Jakiż władca prócz cesarza może się z nim porównać, któremu nad głową błyszczy tak wspaniały płaszcz gwiazdami tkany. Przebiegał myślą od grodu do grodu, od Słezan do Polan, Mazowszan i tych wszystkich drobnych plemion, nad którymi władzę sprawował. Aż przybiegł myślą nad Noteć i szukał na niebie szlaku swej ostatniej wędrówki. Błotnista rzeka płynęła przez niebo czarna, bagienna, niedostępna. Tuż przecie Gniezdno i Poznań, Międzyrzecz i Kostrzyn. A nim do grodów tych dojdiesz, po pas trzeba w bagnie brodzić i konie można potracić, i ludzi. Wspomniał swój wjazd do Kwedlinburga i chór dzwonów głoszących chwałę cesarską. Ów gród, świątynie, zamek. Spojrzał w niebo, zdało mu się nagle, że gwiazdy zbladły, jakby mgłą przesłonięte. Napłynęła doń ostra tęsknota, nagła niecierpliwość, zerwał się. Dumął chwilę. Wstał, siedł między chrapiącą drużyną. Odnalazł Wszeborę, piastun chrapał głośno, stękał przez sen. Bolko schylił się, począł go budzić, trząść. Wszebor siadł od razu, z nawyku, sapnął ciężko, mamrotał:

- Napad? Co jest? Napad? - ręką w ciemności macał za bronią. Bolko krzyknął w gorączce:

- Bierzcie jeńców, nad Noteć idźcie, nad Noteć! Drogę dobrą do grodu w błotach wiedźcie. Grodowych zapędźcie, opolnych. Żywo!

- Zdumiał chłop mruknął Wszebor, ale zaczął się zbierać. Okrzykiwał śpiących.

Bolko wrócił na swoje miejsce, legł. Spojrzał w niebo, zdziwił się: gwiazdy świecące nad Notecią zdały się jarzyć mocniej niż wprzód.

2.

W migotliwej poświacie płomienia Bolko słuchał monotonnego głosu Czcibora i równego szumu morza. Dom Czcibora nie przypominał słowiańskiego dworzyszczca - stawiany był na wzór normański. Miast sieni miał wielką izbicę, jeż zwano tu hallą. Ściany wybite skórą, pełne broni. Dla Czcibora podwyższenie drewniane od zachodniej strony, na podwyższeniu nasłano kobierców. W środku trzy paleniska, ogromne, na wielkie smoliste kłody; teraz paliło się jedno.

W migotliwej poświacie płomienia Czycbor gadał, nie wiadomo- do Bolka? do płomienia? do siebie?

- Tak ono zawżdy. Szumi. Dzień i noc. Przedtem i mnie był dziw, nynie już nie słyszę. A kiedym tu przyjechał, kiej ociec twój oddał mi Pomorze we władztwo, nie mogłem strzymać. Ten szum, wiesz. Legniesz nocą, ni tobie do snu, ni do dziewczki. Słuchasz. Ot, gada cościk, wiatr szumi i ono szumi. Nie mogłem strzymać, w on czas był dla mnie tu obcy kraj; nynie już nic to, nynie już mi się cknii bez Pomorza. Choćby - jakem do cię przyjechał do Poznania, wiera, ckniiło się. A z początku: idziesz brzegiem, słońce, piasek, babie żebro drze za nogi, sosny pochylone pod wiatrem, rybitwy wrzeszczą, a wełny idą a idą, biją a biją, rozplaskują się, ciągiem jednako, jednako... Nudno. Tęskność pod gardło podchodzi: wrócić by k'swoim. Nynie nie to, nie to.

Tak to było, kiedy i Bolko ujrzał je - ono morze - raz pierwszy. Już z dala, w boru, usłyszeli szum. Chmury zawaliły niebo, morze było czarne, złe. Ciemne ławy warczały w biegu, przewalały się białą pianą. Jechali brzegiem po ubitym piasku, woda raz wraz zalewała koniom kopyta, konie były niespokojne, strachały się. Milczeli - ni gadek, ni pieśni. Ozierali się wokół - niepewni, czekali nowej bitki, bali się zasadzki, nie wiedzieli, jak walczyć tutaj - u tego morza. Spotykali osady rybackie - nędzne klecie - śmierdziało rybą, zgnilizną, wodą, morzem. Pękate, czarne łodzie, wyciągnięte daleko na brzeg, uwiązane do pali, niby głębinowe potwory; brunatne sieci rozwieszzone na tykach; chłopcy ponure, milkliwe, swojacką mową gwarzące, a ledwo się z nimi rozmówisz. Przechodzili przez te wsie cicho, bez zwykłego rabunku, byle prędzej, byle do Kołobrzegu. Nachmurzone oczy patrzyły za nimi ze złością, usta były zacięte, fale wciąż biły o brzeg. Obrzdzenie ogarniało wojów i wewnętrzny niepokój.

W końcu stanęli u kraszonych wrót Kołobrzegu, odetchnęli teraz będzie porządna bitka. Nareszcie. Ozierali gród-mocny, przysadzisty, pękaty - oczami rwali już go, rozbijali, łamali. Nic z tego. Z bramy wyszedł Czycbor z zieloną gałęzią w jednej ręce, z czaszą w drugiej - rozśmieszony, gadający, dobroduszny. Nie przestraszył się ponurego wzroku Bolka, nie bał się zdrady. Powitał bratańca, jak pana, jak gospodzina. Bolko miękł, ale nie ufał.

- Nie minęły trzy dni, jakem rozbił twych wojów, co napadli na mnie, konia mi ubili.

- Napadli? Na cię? Przykazałem wszystkim cicho siedzieć. Wyłapię ich, tobie oddam.

Bolko się roześmiał:

- Wielu ubiłem, inszych połapałem po krzaczach.

- To im głowy tnij.

- Abo to mi nie trza ludzi? Nynie groblę przez Noteć wiodą.

Czycbor dłońmi uderzył po udach.

- Groblę wiodą? Przez Noteć? Dobrze to, droga będzie. A dotąd kraj ten odcięty był od świata puszcza i błotem.

Bolko spojrział na stryjca z podziwem, z niepokojem: niepokój jego rósł, gdyż nieufność tajała.

- A konia tobie dam. Takiego źrebca i u Niemców nie uwidzisz.

Czcibor stał w półkołu wojów, dyszących złością za napad i za poprzednie podmawianie na rzecz Ody (nienawidzili Ody jak moru, mimo że przecie wielu z nich niedawno gotowych było się bić za nią z Bolkiem) - spokojny, gruby, śmiejący się całą gębą.

- Pij ze mną, Bolko - wypił połowę i podał czaszę.

Bolesław się zawahał, spojrział w twarz stryja i - wypił duszkiem.

- Piję z wami, stryju Czciborze rzekł uroczyście; śpieszyło mu się do jomsborczyków. - Myślę, że mi zatrutego miodu nie podacie, jak Oda i Hugo.

- Chciałem cię ostrzec, pomnisz, w ów dzień pode gro. Nie słuchałeś.

Bolesław przypomniał i raptem objął Czcibora za szyję. Tamten sapał.

- Chodźcie do grodu. Na godowanie, ale bez jadu. Chodźcie. Stojgniew już w grodzie.

- Przejednaliście ji? Jakże?

- Jak i ciebie. Skórom mu otwarł wrota, to i wszedł. Abo to mus wojowi przez ostrokół leżać? - wziął Bolesława pod ramię, powiodł ku rozwartym wrotom. Zagrały rogi.

Odtąd płynęły dnie a dnie. Bolko chodził po brzegu, patrzył na niepojęte morze, siadywał w halli, słuchał szumu, słuchał gadek Czcibora - i tak w koło. Woje patrzyli nań z zadziwieniem - na co czeka? Sam nie wiedział. Nazywało się to, że czeka na łodzie.

Czcibor powtarzał w kółko:

- Bez łodzi nie weźmiesz Jomsborga. Tu mam dwanaście łodzi, w Kamieniu osiemnaście, w Gdańsku piętnaście, w Chabrowie i Słupsku po siedem, w Stawnie trzy. Tego mało będzie na Jomsborg, weźmiem od rybaków. Trza je zwlec tutaj, mamy czas.

Bolko brwi marszczył, niecierpliwił się. Czcibor się śmiał.

- Nie możesz usnąć spokojnie, to białkę ci przyślę. Brataniec przeciągnął się.

- Nie chcę.

- Nie chcesz? Abo cię nie znam? Mołwię ci: białki ci brak.

- Ostawiłem doma Emmildę.

Czcibor ryczał.

- Jakiemuż chłopu jedna białka starczy! Ociec twój w twoich leciech gorący był, a rzał kiej żrebiec. Dopiero mać twoja zniewoliła ji wszystkie dziewczki wen pędzić; twarda białka twoja mać była. - Czcibor zadumał się, ongiś nie lubił Dobrawy, ale wolałby z Dobrawą gadać niżli z Odą. - Ociec twój nie zrazu je napędził, dopiero jakieś ty się narodził. Wszystkie Lestkowice białki lubili... A ot i ja...

Powiódł okiem po halli pustej, jednym ogniskiem nie doświetlonej.

- Bacz, jak tu spać samemu? Małżona stara, nynie w Gańsku siedzi, przed Jezu Krystem się modli a krzyż całuje. A tu widzisz: szeroko, pusto, ciemno. Morze nocami wyje. W wieczór woje wyjdą, ławy opuścieją, ogień przygaśnie: jak iść do pustego łoża. Słysz: nynie dwie mam. Jedną Eryk swijski, twój swak, mi przysłał, onaż od Weletów z świętego grodu Retry porwał: jak kocica, raz słodka, raz parska; zębami, by chwyciła, dopiero jak ją plasnę raz, drugi, cichnie, ulega. Druga, pomorska córka, ochotna, biała, wesoła. Kiej dla mnie zrodzona.

Bolko nie słuchał monotonnego głosu, słuchał szumu zza ścian.

- Co tam gadasz: jedna białka. A jakże twój sąsiad kijowski, Włodzimir, miał żon pięć, a papaszeli bez liku: trzy sta w Wyszogrodzie, trzy sta w Białogrodzie, dwie ście w Brzostowie, a w Kijowie, a w Nowogrodzie. To ci chłop był, cóż ja: dwie mam, kiej oczu, a żona stara. Chcesz, przyślę ci dziewczkę.

- Nie chcę.

Rankami chodził po pustym brzegu, sam albo ze Stojgniewem, milczeli, jakoś nie było o czym gadać. Zamyślił na Puszca morze popłynąć z rybakami ryby tam żyły cudaczne, w kraju takich nie uwidzisz. Kiepsko wypadła ta pławba - leżał całą noc na dziobie łodzi, głowa na zewnątrz, rzygał: kiedy zrzucił wieczkę, blwał żółcią. W gębie było gorzko, huśtanie wyciągało mu wątpia, chciał godnie siedzieć, nie mógł. Rybacy prześmiewali się z cicha. Wyszedłszy rankiem na brzeg zatoczył się, dokuszył do gospody, zwałił się na posłanie, spał cały dzień. Wieczorem przy uczcie normańskiego skalda słuchał; nie podobał mu się ten śpiew: pieśni mało, w struny skald ledwo czasem uderzy, słowa niezrozumiałe - doma miał lepszych pieśniarzy. Woje ziewali całą gębą, dopiero miód i piwo wzbudziły gwar wojacki. Potem zostali sami z Czciborem.

Polubił te puste wieczory, puste dukania stryja, pusty szum za ścianami. Miód mu szumiał w głowie. Gadali o Normanach.

- O Olafie synu Trygwy już dziś pieśniarze bają, jenż najslawniejszy jest woj na morzach - wzrok Czcibora wybiegał daleko za ściany halli, za częstokół grodu - siewca postrachu w krajach Swijów a Dunów, a Prusów, a Angłów, a Franków. Słyszałeś o Olafie synu Trygwy?

- Słyszałem - odpowiedział leniwie Bolesław. - Ale gadajcie.

Ojca jego, Trygwę, własny lud ubił, srogi konung był Trygwa. Mać uszła z tyli synaczkim do Swijów. Ale i u Swijów życia była niepewna. Tegdy do krewniaka uciekła na Ruś. Nie dojechała do Waregów, napadły na nich w drodze Esty, wzięły w jeństwo. Lata szły, nim go wuj Wareg wykupił.

Tam ci rósł, mieczem robił, na wyprawy chodził. Drużynę własną skrzyknął, ciągnęło go na morze, do łodzi. Po całym naszym brzegu rozbijał a rabował. A drugi taki był Swend, iże od Dunów przez Haralda został wygnany. We dwóch do Brytów pływali, których kraj bogaty na wyspie leży; tamok wiele złupili dobra. A wszystko na morzu, na wodzie, w dzień słońce ich wiedzie, nocą gwiazdy. Morze to ci droga odkryta, wszędy nią zajedziesz, morzem a rzekami. Kaj to Normanów nie ma...

Doleli kubków, wypili, Bolko czuł, że mu tęskrica po kościach chodzi. Ciasno mu w halli stryjowej, nudno. Może prawie gada Czycbor, że mu białki brak. Przymknąwszy oczy słuchał dziejów białowłosego Olafa.

- Mołwię, że jest prawie dzielny ksiądz, walny woj, onże konung Olaf. Po górach skacze kiej koza; oszczep weń rzuć, on ci w locie ji ułowi i wraz cię tymże oszczepem przebije; w pancerzu po morzu pływa; za łodzią po końcach wiosel nad wodą biega, trzy noże podrzucając w górę i łapiąc jeden po drugim. A mocny, a bystrooki. Walny woj!

Bolesław przeciągnął ramiona: zapewne, białki mu brak. Czycbor dukał:

- W Nordwegu panuje nynie Haakon, stary grzyb, srogi a sprośny. Łby ścina o byle co, żony wojom odejmuje, córki porywa, żeby spać z nimi; wielki hyr idzie po całej ziemi w onym Nordwegu. Posłyszał o Haakonie Olaf, zgniwał się i krzyczy do drużyny: "Odbierzem moje dziedzictwo, ziemię Trygwy, ubijemHaakona!" Drużyna w krzyk i do łodzi. Nie dopłynęli do Nordwegu, dopłynęli jeno do Jomsborga. Tu...

Czycbor urwał, rzucił szybkie, ukośne spojrzenie na bratańca: siedzi senny. Nie poznasz, że miota nim niepokój - dziwny, mdły, łaskotliwy.

- Powiadajcie - mruknął sennym głosem Bolesław.

- W Jomsborgu mieli w on czas jarla obierać. Jarlem Sigwald chciał ostać, także prawy Wiking, dziki a mężny. Olaf przyplłynął z drużyną, trzy dni, trzy noce. drużyna stała pod ostrokołem, Olafa puścili do środka. Mołwi im: "Obierzcie mnie jarlem, drużynę wam swoją do bractwa dam, nikt nas nie zmoże, łupu nie zbraknie". Sigwald skoczył na wał, nuże krzyczeć, że Olaf obcy, że Kyryi Krysti uznaje.

- Uznaje - Bolko zwrócił na stryja zdziwione spojrzenie.

- Słysz - Czycbor zdał się sam pełen zadziwienia - bają, że śmiał się z bogów, że im groził, że Tora na młoty wyzywał. Aż ujrzał kajś na szczycie wizerunek Jezu Krysta, spytał, kto by to był? za co go do krzyża przybili? Powiedzieli mu. Zaśmiał się, ale szczyt od kupców kupił. Jakoś na wyprawę poszedł, rozbili ji, musiał uchodzić. Wezwał Jezu Krysta w pomoc. I wieszli? oślepli ścigający, a Olaf syn Trygwy uszedł pogoni. Odtąd krzyż na łańcuchu nosi i jawnie go czci.

- Sigwald za krzyż go wyzywał?

- Wyzwał. Ale Olaf zaklął się, jako krzyża Jomsborgowi nie narzuci. Bają, nie strzymał klątwy, poniektórych przeciągnął, ale niewielu. A z Sigwaldem gryzą się kiej dwa psy. Sigwald ma swoich

drugów, Olaf swoich i... drużynę. Wielka nieprzyjaźń trwa między nimi. Pójdzie pod włos Olafowi, jeszcze się pożrą.

Bolesław poderwał się nagle, pokręcił się po halli.

- Stryju! - zaciął się - Stryju! Prawiliście mi... - zaciął się znów, ścichł, usiadł. Czcibor się zaśmiał.

- A widzisz - rzekł. Po czym zaczął bająć innym tonem, oczy miał krotochwilne:

- Z Nordwegu dziewczkę jedną mam. Pokazać ci? Bolesław mruknął zniechęcony:

- Co mi tam.

- Nie chcesz? - stryj nie spuszczał rozśmieszonego wzroku z bratańca, aż zaczął wrzeszczeć na cały dom:

- Gunhilda, hu! Gunhilda, ej!

Odtąd służyła im wieczorami dziewczka z Nordwegu. Była twarda jak orzech, szybka, oczy miała błękitnebłękitne, biegające, wesołe. Bardzo udała się Bolkowi. Mówiła rzadko, gdyż Bolko jej nie rozumiał, ale głos miała miły, niski, matowy. Czcibora bawiło okropnie, że Bolko wodził za nią oczyma, lecz o nic stryja nie prosił.

Któregoś wieczora Gunhilda się nie zjawiła. Bolko był zły, nie mógł znieść Czciborowego dukania. Powiedział zniecierpliwiony :

- Rankiem ruszę na Jomsborg.

Czcibor swoje:

- Czekaaj, Jomsborga bez łodzi nie weźmiesz. A po chwili:

- Białki chcesz.

- Nie chcę.

Wchodząc tej nocy do swej gospody usłyszał w ciemności ruch.

Cicho wyjął mizerykordię.

- Kto tu?

Usłyszał miły, matowy głos:

- Gunhilda.

Nie napędził jej.

Morze szumiało za ścianami. Szły noce i dni. Woje dziwili się, niecierpliwili się. Nazywało się to, że czekają na łodzie.

Bolka wciąż dławilo we wnętrzu.

Obudził się - zza okna kapała szarzysta. Było duszno. Bolesław stał, patrzył, chwilę na Gunhildę, spała na wznak, tylko głowę pochyliła na ramię, oddychała otwartymi ustami, okrągłymi jak u ryby. Wolnym krokiem podszedł do okna, wysadził głowę na chłód. Przed nim było ono -

Morze.

Grzywacze szły do brzegu jak rozpędzone ławy wojów na bitkę. Szumiało. Niebo ledwo szarzało, pokryte było chmurami. Pachniało wilgocią, zimnem, dałą.

Chociaż miał białkę, niepokój trząś Bolesławem.

I w ten szary poranek pojął. Morze. Droga, co wszędzie wiedzie, jak bajął Czcibor. Wspomniał, jak pobił w głębi kraju drużynę Gorma wiele lat przedtem. Lice go paliły. Wspomniał walnego woja Olafa syna Trygwy. I Swenda. I Haralda. I wszystkich tych wojów normańskich, którzy morzem chodzili po łup, po sławę, po bogactwo. A on?

A on rzygał, gdy się wyprawił na ryby.

Wsparł się rękami w wyręb okienny, patrzył na nieustający napad grzywaczy. I myśli, rozpierzchłe w wichrowaty niepokój, zaczęły się skupiać, zbierać w jeden punkt, w jedną gwiazdę.

Jomsborg.

Dotąd Jomsborg był tylko wrażym gniazdem, pełnym potworów i skarbów, które trzeba było rozduścić nogą, rozwalić. Aleć nie - Jomsborg to morze, to droga, która wszędzie wiedzie. Mieszka, ojciec jego, zmusił jomsborczyków, by mu przysłali drużynę. On - Bolko - zmusi zbójów jomsborskich, by mu służyli inaczej.

Na morzu! Na owej drodze normańskiej. Pojął.

Na wodzie będzie miał swoją drużynę.

Wolno odszedł od okna. Znów patrzył na Gunhildę - zdała mu się nagle wstrętna z tymi otwartymi jak u ryby ustami. Począł się szybko odziewać, niecierpliwie, byle jak. Wyskoczył, biegi do Stojgniewa, wpadł na śpiącego, szarpał go za ramiona.

- Bij w tarcze. Nie będziem czekać na Czciborowe łodzie. Łodzie najdziem w Jomsborgu.

3.

Do Kamienia szli brzegiem morza, był to jeszcze kraj Czciborowy. W przodku szli pomorscy oszczepnicy, pięć set chłopów przybranych w kozuchy bez rękawów, szłomy mieli skórzane, także krągłe, niewielkie szczyty; sulice związane w pęk dyndały im na plecach. Wiódł ich Radbor.

Za Pomorcami Stojgniew wiódł dawną drużynę Bolkową. Odrzykoń pancernych Mieszki. Tarczownicy poznańscy z czerwonymi szczytami szli na końcu. Bolko jechał z Czciborem; pił, że wloką się, że łażą, pełzną. Czcibor kiwał głową.

- Jeszcze stać będziem pod Jomsborgiem.

Morze bez ustanku zalewało płaski brzeg.

W Kamieniu odbyli radę - był na niej Bolko, Czcibor, Stojgniew, Radbor, Odrzykoń, Budziwoj, Zadora. Uradzili minąć Jomsborg, iść na południe, na Wołyń. Niedaleczko było. Gród był tyle co ogrodzony, byle jak - jomsborczycy nie zezwalali kupcom tęgich wałów wznieść. Sami ustawili podle niewielczutki gródek dla obrony, obsadzili go stróża - pięćdziesięciu wojami. Gródek błyszczał w słońcu, stał na półwyspie, dostęp doń był trudny, z jednej strony.

Jak przyszli, nie czekając, nie sprawiwszy się, skoczyli, wzięli go od jednego zamachu. Na ostrokół pierwszy wskoczył Stojgniew, drugi Radbor. Darli się nań pomieszani, kupą, dziką chasą, bez drabin, bez klonie, jeden po drugim, po karkach i ramionach. Normanów wyrąbano do nogi. Gdy Bolko z Budziwojem wdarli się od północy, broniło się zaledwie kilku z załogi. Wpadli na nich z tyłu, docięli. Woje ryczeli, by iść na Jomsborg, mało mieli tej bitki, ledwo co zasmakowali.

Obok stał Wołyń - miasto zasobne i bogate, nadgniłym częstokołem ledwo obronne. Nim skończyła się bitka, wyszli kupcy z Wołynia bez broni, z rękami pełnymi darów. Dzień był chłodny, chmury goniły się po niebie, wiatr szarpał. Wojom oczy wyłaziły na wierzch, gdy patrzyli na gród i jego bogactwo. Bolko powiedział im: "Nie tknąć niczego bez mego zezwolenia, ni jednego człeka nie ubić, żadnej chałupy nie złupić". - Dusiła ich złość i chciwość. Ale wiedzieli - już Mieszka chronił kupców: mało to łbów zleciało za napady na kupieckie obozy. Bolko z Czciborem czekał na procesję przed broną gródka, spryskany jomsborską juchą, dysząc ciężko. Kupcy przynieśli, kto co miał. Ozdoby cięte w jantarze, białe jak wosk, czerwone jak miód. Ozdoby ze złota, ze srebra, z kamieni, z mosiądzu, z kryształu. Miecze normańskie i niemieckie, i włoskie, miecze arabskie. Mizerykordie sprowadzane od Franków, pozłociste, cienkie by ość. Noże weneckie. Szczyty nabijane kością, złotem, miedzią, rogiem, skórą; kraszone i nabijane wycinanymi z metalu wzorami. Kolczugi, pancerze, zbroje, napierśniki, nabrzuszniki, naramienniki, nagolenniki; szłomy krągłe i płaskie, szłomy kiej przewrócone czółna z grzebieniami z barwionych piór, nizanych lśniącymi kamieniami; wysokie i ostre szłomy Waregów z kopicami na uszy; szłomy z przyłbicą, z dziobem, z ostrogą; pióropusze pawie i strusie; szłomy ze skrzydłami orłów i jastrzębi po bokach, z mordami zwierzęcymi, ze smokami, z kłami dzików i niedźwiedzi; z rogami turów. Rzędy końskie złotem nabijane. Łuki w tułach i strzały w łubiach, o ostrzach z kości i żelaza. Topory bojowe. Sukna z Flandrii i Florencji, szkła arabskie, bizantyjskie, włoskie. Skóry i futra - sobole, bobrowe, wilcze, niedźwiedzie czarne, brunatne i białe, tygrysie w czerwone pręgi, lwie płowe by piasek, ze straszną głową o ogromnych kłach i zielonych oczach, panterze w pstre łaty. Ryby złotawe, krągłe płastugi,

muszle dziwacznie pokręcone. Kruże i konwie, czary, rogi, misy, talerze - ze złota, srebra, cyny, szkła, porcelany, drzewa. Kwiaty włożone do wody i rozkwitające cudownie. Wonności z Bizancjum i Wschodu. Drzewo sandałowe i heban. Niewolników i niewolnice, klejmowanych na czole, policzkach, plecach i piersiach albo czystych - bez klejma.

Świat jest bogaty i wielki. U stóp szumiącej, dzikiej puszczy świat składa swoje bogactwa.

Bolko patrzył na skarby złożone u swych stóp, zniesione z całego świata. Serca wojów za nim były mocną, zdziwioną chciwością. Widzieli złożone u stóp Bolka miecze, szłomy i srebrne konwie. Zgarnąć te wszystkie bogactwa - złupić Wołyn, Bolesława też mdliło w dołku - jakby się objadł. Poprzez szłomy i konwie patrzył w dalekie kraje - ledwo słyszał o nich. Bizancjum - Boży gród. Roma - drugi Boży gród. Bagdad płonący w słońcu i Damaszek drzemiący w pustyni na skrzyżowaniu dróg. Daleka Kordowa i Toledo, gdzie innego boga czczą klękając na owczych skórach. Burgundia owinięta latoroślą i mgliste miasta flandryjskie. Łupiona co rok przez Normanów Anglia. Dzwoniące spiżowymi dzwonami wielkie miasta cesarstwa. Nowogród, największa stacja handlu woskiem i skórami. BirkaBrzozów, omywana chłodnymi wodami morza. Kijów, otoczony normańskimi mieczami. A dalej Boży gród - Bizancjum...

Zamknięte koło świata. A drogi doń wiodą z Wołynia, z ujścia Odry, strzeżonego przez zbójów jomsborskich.

Nie ruszą woje Bolkowe Wołynia - nie tkną nic 2 nagromadzonych skarbów, jednego człeka nie ubiją, nie złupią żadnej chałupy.

Jeno na straży grodu nie będzie boleć stać Jomsborg. Będzie stała drużyna Bolkowa.

Książę stał i patrzył ponad darami złożonymi u jego stóp. Wiatr pędził po niebie czarne chmury.

4.

Bolesław siedział z rękoma wspartymi na rozstawionych kolanach, rozglądał się, słuchał:

- Trzy sta wołów w rok.
- Tysiąc miar owsa w rok.
- Dwie ście łodzi siana w rok.

Rynek był kwadratowy - kiej u Niemców. Z prawa kościół niewielki, drewniany; z lewa okazały dom z kamienia. Kramy w dwa krągłe rzędy. Przed kramami kałuże, w kałużach paćkają się wieprze. Na wprost rzeka, przy brzegu pomost, u pomostu uwiązane łodzie - długie, przody i tyły zadarte, czarne; na dziobach posągi, pióra, głowy potworów. Dalej szary nurt Odry. Monotonne głosy szemrzą:

- Słoniny pięć set kadek.
- Wieprzów bitych dwie ście w rok.
- Mięsa wędzonego...
- Serów...
- Pszona...

Bolesław pokazuje ręką na kamienny budynek:

- A ten dom? Co w nim?
- Rathaus - odpowiadają głosy.
- Hm! - dziwi się Bolesław. Wyliczenie nie ustaje.
- Piwa tysiąc cebrów.
- Miodu pięć set łagwi.
- Wina dobrego pięćdziesiąt beczek.

Bolesław znowu przerywa:

- A łodzie te? Wasze?
- W prawo nasze. Dalej trzy jomsborczyków, wszystkie z czerwonymi piórami. A one kupców oboych: Fryzów, Swijów, Dunów, Czyciborowe dwie, Prusów, Estów, siedem z Birki. Gościnne.

Bolesław wstał.

- Łodzi mi trza. Czycibor prawi: bez łodzi nie wezmę Jomsborga.

Kupcy kiwają głowami, Bolesław powiódł wzrokiem po czeredzie, spojrział uważnie: wszystkie oczy wlepione weń, czujne, chytre. Poczłł rosnącą we wnętrzu nieufność. Supłł przez zęby:

- Słuchajcie, kupcy. Dary daliście, przyjąłem.

Milczą, spoglądają czujnie. Bolesław tupnął w podesłany kobierczyk.

- Ale gród mój. Zdobyyczny. Sam mogłem wziąć.

Gęby nie drgnęły. Czujni, nadęci. Gromada zewsząd zbierana - obieżyświaty. Zasiędziałe Normany. Poduczone Pomorcy. Sasy. Bawary. Franki. Żyd z Kórdowy i Żyd z Antiochii. Cięmnolicy Arab z głową okręconą chustką. Kijowiany i Nowogrodzianie. Bezwały kupiec z Bizancjum, tłusty, białogęby. Zbieranina. Každy inny, a oczy u wszystkich jednakie: czujne przenikliwą chytrnością.

Bolesław nie pojmuje: jakże to? Jeszcze zwlekają. On ma kupę wojów, oni niezbrojni, stado utuczonych wieprzów. A nie ustępują.

- Skarżycie się na dań coroczną Jomsborgowi głos Bolesława kipi złością. Starosta wołyński podchwytuje ostatnie słowa, dalej momocze swoje:

- Jagieł trzy sta miar w rok.

- Dość - Bolko bije pięścią o poręcz krzesła - wezmę Jomsborg, nie będziecie tyle dani składać. Ale łodzie muszą mieć.

- Gościnnie - mruczy starosta kupców. - Weźmiem je, nikt nie przyjedzie tu. Nynie czas miru, nie lza łodzi siłą brać; nawet Jomsborg nie bierze.

- Mir? - dziwi się Bolesław. Myny jeszcze bardziej nadęte.

- Kupiecki mir.

- Ja wam dam mir. Czekaście! - złość go dusi. Porwał się, przeszedł skroś ciżbę, poszedł ku brzegowi łodzie oglądać. Za nim kupcy - wolno, dostojnie, z powagą. Nie wszyscy. Starosta ze złotym łańcuchem pociągnął Czycibora. Szepnął:

- Chodźcie ze mną, panie.

Czycibor obrócił ku niemu wielki brzuch.

- Kaj?

- Mam ci pokazać wam dar. Dla was. Chodźcie. Czycibor zawahał się. Spojrział ku brzegowi - Bolesław stoi na pomoście, macha w gniewie rękoma. Kupcy kiwają głowami, wskazują palcami na północ - ku morzu - na południe. Wiatr łuszczy siwą płaskość rzeki w drobne, czarniawe zmarszczki.

Łodzie kiwają się sennie.

- Dobrze - decyduje się Czcibor i obraca brzuch ku ratuszowi. Ciapka ciężko po kałużach, opryskuje kupieckiego starostę. Tamten nie zważa, lebiocze:

- Brankę mam dla was... nie tkniętą... młodziutką - mlaska wargami, dłońmi maca w powietrzu okrągłe, miękko - piętnaście wiosen. Lepsza niż latoś wam posłałem, prawie kotka, ciepła i miękka.

Czcibor niesie ciężko wielki brzuch, czuje, jak mu miło łaskocze pod żebrami.

- Skąd?

- Z daleka. Saraceny ją porwały, prawią od sycylijskich Normanów. Tu przywiózł ją godny kupiec Achmed ben Jakub. Będziecie radzi.

I zaraz tymże rozmlaskanym tonem:

- Umówcie Bolesława, Czciborze. Łodzie gościnne, jak je brać? Nynie mir u nas, Jomsborg puścił. Zatrzymacie, sparciejemy tu, nikt złamanego miecza nie przywiezie. Bogaty Wołyń nynie... weźmiecie łodzie, co nam ostanie? głodem mrzeć. A tak co rok wam świeżą dziewczkę...

Brzuch Czcibora zatrzymał się nagle.

- Wy co?

Starosta robi zdziwioną minę.

- Ja...

- Wy mnie... przeciw Bolkowi... za dziewczkę! Ścierwo kupieckie ! Wen! - głos z wielkiego brzucha dudni na cały plac. Starosta kurczy się, kłoni głowę.

- Przyślę ją na noc do waszej komory.

- Ubiję sukę. - Starosta dłonie rozkłada. Brzuch Czcibora znów się obraca ku rzece. Teraz tam kupcy machają rękami, gdaczą jeden przez drugiego. Bolko ręce założył za plecy, głowę pochylił jak byk, słucha. Czcibor wola na cały plac:

- Radbor! Raaadbor!

Wojewoda leci do księcia przez błoto. Czcibor zasapany, czerwony, wrzeszczy z daleka:

- Wziąć to kupieckie ścierwo! W dyby! Abo... obaczym jeszcze - i grożąc kupieckiemu staroście pięścią: Ty tu przeciw Bolkowi nie judź! Przywłoka!

Zamaszystym krokiem poszedł ku pomostowi.

Tegoż dnia pojechali samotrzeć ze Stojgniewem oglądać gród jombsorski. Drogi od Wołynia do jombsorskiego gniazda nie było, wszystko dowożono łodziami, zimą - po lodzie, na saniach. Brzegiem ciągnęło się trzęsawisko, drzewa nie rosły, krzewy tylko - karłowata brzezina, olsza, nastroszone kępy wikliny. Musieli objeżdżać wielkim hakiem, przedzierać się przez las. Mżył deszcz. Mokre gałęzie biły po twarzach, konie się strachały. Czcibor sapał i zrzędził:

- Mołwię mu, czekaj, głuchy czy durny? Podjechalibyśmy łodziami z drużyną. Nie, pcha się w las, jakby mu w zadek jesiorę wsadzili. Trza czekać na lodzie.

Bolesław nie odwracając głowy mruknął przez zęby:

- Łodzie są w Wołyniu.

- Mało, mówię ci. A takż... - Czcibor skorzystał z rozszerzenia ścieżki, dogonił Bolesława, położył mu dłoń na barku - niechaj ich.

Bolko odwrócił głowę.

- Co wam?

- Ej! Dopiero co starosta kupców dawał mi dziewczkę, iżbym namawiał cię, byś nie brał łodzi.

- Miejcie sobie ona dziewczkę - roześmiał się.

- Rzekłem, iż ubiję, kiej mi przyśle. Starostę kazałem w dyby brać. Ale ty bacz: Wołyń potrzebny tobie, wielki gród kupiecki. A zgwałcisz mir, odtąd nikt tu nie przyjedzie. Psa nie przygnasz.

- A ładna aby? młoda? - głos Bolka drgał drwiną.

- Rób, co chcesz! - krzyknął ozeźlony stryj. Brzegiem puszczy objeżdżali bajoro. Konie chrapały, gdy miały wchodzić w płaskie, zielone rozlewisko, pyski spuszczały do wody, ostrożnie stawiały kopyta. Bolesław się niecierpliwił, targał powody.

- Bacz, utopisz się. Grząsko.

- Nie bójcie się. Stojgniew!

- Hej! - głos Stojgniewa rozpylony w gęstej mżawce.

- Bajali mi, Ludbor ubity?

- Iii - Stojgniew nacisnął Czciborowego konia, przepchał się między krze, wychynał mokry od rosy - Ludbor polazł między kramy. Tam przełaz wąskiwąziutki. Siedzą kupce, obce, niewołyńskie, prawią: Duny. Spojrzysz, nie poznasz, kupiec czy woj. Na łbie rogi, pas skórzany, godny, nabijany złotem, za pasem miecz szeroki, krótki. Cały kram pełen dobra, prawią z Anglii. Topory na długich trzonkach, gibkie, uchwytny. Ludbor za topór, pomacał, poźrał, machnął raz, machnął wtóry raz... poszedł z toporem. Kupiec za nim, wrzesz czy, nie wyrozumiesz. Ich tam kupa była w tym przełazie. Woje lecą

do mnie, ryczą: "Ubili Ludbora". - "Gdzie?" - "A w przełazie." My między kramy z mieczami, a tam Ludbor w kącie, zaparł się, nogi rozstawił, odbija się. Bok mu już przebili, on nic, odbija się. My na nich, jednego, drugiego przez łeb, rozsypali się. Ludbor stoi ciągle w kącie, spluwa, ryczy: "Dobry topór, nada się". Zabrałem mu topór, a ji, jakieś kazał, w dyby. Ledwom utrzymał wojów, chcieli kupców roznieść, kramy grabić.

Bolko wprowadził konia w olszynę, przedarł się siłagwałtem, wylazł mokry, dumał długo.

- Trza rychlej do Wołynia po łodzie.

- Nie strzymacie wojów w grodzie. Tyle dobra...

- Nie strzymam, isto. Prędzej na Jomsborg trza iść.

W tejże chwili, jak odzew, zabrzmiał z drugiej strony bas Czciwora:

- Przyjdzem, obaczysz.

- Łajno tam!

- Obaczysz.

Drogę przegrodził las, zagubili w nim jakiegokolwiek ścieżynki. Zleźli z koni, prowadzili za powody w gęstym poszyciu. Źle było iść, ale niedługo było tego, bór się skończył nagle, wycięty niedawno. Krągłe kikuty pni złociły się, jeszcze nie szerniały. Dalej - na rzece - ciemniała wielka, rozłożysta masa: Jomsborg; Bolko dyszał szybko, gdy patrzył.

Gród rozparł się w kolanie rzeki, z trzech stron oblany wodą. Z czwartej rozkopano wąski przesmyk albo Odra wiosną przerwała ławę piasku - na sto kroków szeroka lacha zieleniła się między grodową palisadą - wysoką, mocną a ładem. Paliszczka spadały wprost w wodę, z dołu umocnione belkami w krzyż, gałęziami, darniną. Ostre końce sterczały nad wodą - nie podejdiesz tędy. A jeszcze: między dwoma trzemami wisiał pomost, wychodzący poza palisadę, z pomostu można razić oblegających wprost z góry: na pomoście ostrokolik do piersi wojowi.

- Tęgo zmocowane - mruknął Bolesław. - Obaczym z tamtej strony.

Ruszyli końmi brzegiem wyrąbanej puszczy, nie spuszczać wzroku z grodu, omotanego ukośnymi strugami dżdzu. Wszędy woda broni podejścia, brzegi grząskie. Potężna palisada ciągnie się wokół. Jak ją ugryźć? Bolko wodzi ponurym wzrokiem, aż staje - dycha szybko w zdumieniu.

W rzekę wybiega ostrokół szerokim, śmiałym łukiem, woda kłębi się pod nim, bije w pale, pieni się, wciąż odrzucana i wciąż nacierająca. W ostrokole - w środku odrzanego nurtu - potężny łuk kamienny, wyrastający z wody, w nim szerokie wrota, czarno malowane, z wielkimi pękami czerwonych piór po obu skrzydłach - sławna żelazna brama zbójów jomsborskich. Nad nią z tęgich bierwion sześcienna, ciężka wieża dla kuszników broniących podejścia. Za wrotami, za ostrokolem cicha przystań dla krasnapiórnych łodzi: rzeka włączona w obręb grodu.

Patrzą wszyscy trzej - urzeczeni i pokorni - na to zbójce gniazdo pod poszarpanymi zwałami chmur. Ulewa pluszcze po wodzie, wybija krągłe bąble, zalewa gród. Prawdę bajali pieśniarze o niezdobytym grodzie Wikingów jomsborskich.

- Co rzekniesz? - spytał przez deszcz Czcibor.

- A wam śmiech, że jest po waszemu.

- Głupiś!

- Abo nie.

Bolko spojrział raz jeszcze na krępą masę grodu i płaski wybiegający ostrokół - daleko w wodę.

- Trza rychlej na Wołyń po łodzie.

- Tam... tam... patrzcie! - Stojgniew krzyczał, jakby byli od niego o staję. Ręką wskazywał w górę rzeki.

Bolesław spojrział, z ust się mu zerwały przekleństwa: wszystkie łodzie gościnne - Dunów, Fryzów, Swijów, Estów, kupców z Birki, szły chyba prądem w dół - ku morzu.

- Uszli - burknął Bolko; w głosie kipiał mu gniew. - Dostanaż kupcy! - Ostro zawrócił konia, skoczył z miejsca rysią. Czcibor ruszył powodami.

- Bolesławieeeee! Bolesłaaawie! - huczał jego bas przez deszcz.

Wrota Jomsborga nie otwały się - chytre zbóje przepuścili łodzie idące ku morzu. Nie dziwota, że Bolko bił ostrogami konia w ślepej, rozdzierającej wściekłości.

Nie miał łodzi.

5.

Wiatr ustał. Miesiąc wypłynął zza czarnych, sfałdowanych chmur, wysrebrzył ciche rozlewisko Odry. W czarnej głuszy puszczy głośno padały rzadkie krople, zbierające się wolno na kiściach. Z daleka od czasu do czasu buczał bak. Ryby pluskały w sitowiu:

W jomsborskim gnieździe szamotała się pośpieszna krzątanka. Czarne cienie nosiły pęki chrustu, zwały je na środek u płaskiego brzegu rzeki. Pochrapywał róg, zwołujący wojów. Rogate, zbrojne postacie gromadziły się w krąg, zasiadały w półkolem wykopanych w ziemi ławach.

Gardlany głos nakazał w ciemności:

- Zapalaj.

Sypnęły się iskry niby snopy padających gwiazd. Zatlila się hubka. Błysnął płomyk. Widać było przez mrok wydęte dmuchaniem usta, rozniecając ogień. Miesiąc się znów skrył za chmury. Cma zasnuła na chwilę gród, aż strzelił poprzez gałęzie słup ognia, oświetlił czarną, spokojną wodę, długie czółna z piórami, daleki zarys ostrokołu i krąg rogatych wojowników. Nagie miecze łyskały czerwienią.

W środku stał wysoki młodzieniec, białe włosy spadały w kędziorach spod szłomu.

- Jarl wasz, Olaf syn Trygwy, woła: knijcie się na prawa Jomsborga.

Zamigotał krąg rogatych postaci. Z dzikich gardzieli ozwał się krzyk:

- Klniemy się na prawa Jomsborga.

- Ooo! - zawołał jarl - knijcie się, że nie przyjmiecie do bractwa, kto by nie skończył piętnastu wiosen życia.

- Ooo! - odpowiedział chór, twardo wybijając rytm - klniemy się, że nie przyjmiemy do bractwa, kto by nie skończył piętnastu wiosen życia.

- ...ani kto więcej ma niżli pięćdziesiąt.

- Ooo! kto więcej ma niżli pięćdziesiąt.

- Ani takiego smarda, taki gnój, takiego płocha, który by hańbił się ucieczką przed kimkolwiek równym albo nieco wyższym siłą i orężem.

- Ooo! - ryczał podniecony chór - ...przed równym albo nieco wyższym siłą i orężem.

- Każdy musi mścić zgon drugiego, jak brata.

- ...jak brata - toczył się łoskot z gardzieli daleko za ostrokół, po cichych wodach Dziewiny.

- Nie lza donosić ani siać kłótni w bractwie.
- Ooo! - klął się tłum.
- A co by zaszło nowego, trza od razu donieść jarlowi.
- ...od razu!
- A kto by zabił ojca albo brata, albo krewnego innego, z drużyny, a to się odkryje, gdy został przyjęty do bractwa, odłoży nienawiść i zemstę, a sąd zostawi jarlowi.
- Odłoży nienawiść i zemstę!
- I żadnej białki nie wolno wwieść poza ostrokół Jomsborga, a w bractwie mogą być tylko bezzenni.
- ...żadnej białki!
- Nikomu zaś nie wolno być poza grodem dłużej niżli trzy dni, chyba by jarl zezwolił.
- Nikomu! - powtórzył krąg.
- Łup wojenny i zdobycz mają być dzielone między wszystkich po rzuceniu żrebi.
- Między wszystkich!
- I nie wolno obrażać drugiego łajaniem, a gdy wybuchnie kłótnia, nie wolno się mieszać do niej obraźliwymi słowy.
- Ooo! Nie wolno się mieszać obraźliwymi słowy.
- Nikt nie może być przyjęty do Jomsborga dla bogactw albo pokrewieństwa czy przyjaźni. Ooo! Ci są tylko godni Jomsborga, którzy imię swe przesławiają dzielnością i męstwem.
- Ooo! - biegło po całej Odrze do morza.
- Kto zaś prawa te złamie albo przekroczy, z największą hańbą precz będzie wygnany z drużyny.
- Precz! Ooo! Ooo! O! - głosy ginęły w czarnej ciemni, porwane przez odpływające od brzegu grzywacze.
- Siadajcie, Wikingowie jomsborscy, a radźcie w kręgu, jako że pies, gid, churlęga, Bolesław, syn Mieszki, a Czycbor, syn Ziemomysła, zebrali wszawych wojowników i chcą napaść na gród nasz, na Jomsborg.

Wycie wściekłości skłębiło się nad ogniskiem. Bajał już nam o tym Ketl, dobry woj, którego Jomsborg Mieszce na pomoc wysłał. Wiecie, jako to Ketla wygnał Bolesław z grodu z dobrymi wojami jomsborskimi, jak pohańbił go i jego wojów, i całe bractwo, cały Jomsborg.

- Śmierć mu! - krzyknął Ulf Krzywogęby. - Śmierć, śmierć! - falowało w tłumie.

- A nynie Bolesław z Czсібorem przyszli w wielkiej sile, Wołyń zagarnęli jak swój, braci naszych wycięli, gród wzięli. Zali ostawim to bez pomsty?

Krąg się załamał, wyskoczyli z ław, jedni biegli ku Olafowi, trzęśli mieczami, całe kupy pchały się do łodzi, sta! dzwoniła, oddechy szybkie, gęby czerwone. Wyzwiska leciały na Bolka:

- Wieprz tłusty.

- Smród!

- Kuropłoch.

Z boku rozległy się okrzyki:

- Ehej! Ketl! Ketl! Na ręce Ketla!

- Dobry woj!

- Prawy Wiking!

Porwą go, niosą przed jarla. Białowłosy Olaf zrywa łańcuch z szyi, narzuca na Ketla. Krzyk rośnie.

- Eeej!

Znów się zebrali do kupy, ciasną, kotłującą się kupą. Już nie mogli usiedzieć w kręgu. Sigwald pierwszy krzyknął:

- Na łodzie! Odbijem Wołyń!

Krzyk rósł:

- Na łodzie! Łoodzie!

- Ehej! - wrzasnął znów Olaf Trygwason-Szszsz...

- Słuchajcie jarla! Słuchać Olafa!

Tłum zafalował, ścichł. Olaf wspiał się na grzbiet wału, wyrastał nad tłum. Krzyknął:

- Będziem tutaj czekać Bolesława. Z ostrokołu odpór damy.

Sigwald miał twarz zjedzoną przez ospę; gdy wpadał w złość, cętki mu siniały - zwali go Rabogęby. Obie wargi przeciął mu miecz angielski, seplenił. Teraz dławiło go. Spotkali się z Olafem oczyma, dawna, długo strzymywana nienawiść buchnęła krwią na twarz Trygwasona. Cętkowany pysk Sigwalda wykrzywił się koso, Wiking zwrócił się do tłumy, zawołał :

- Gdzie są silni wojownicy Jomsborga? Gdzie słabe są Bolesławowe żabojady? Na wodzie, na łodziach! Otworzymy bramy grodu, wypadniem, wytniem fiołkowych. Popłynie Odra krwią... ku morzu! Na łodzie! Na Wołyń!

Tłum krzyczał. Z krzyku wyrastało z wolna nad wszystko jedno słowo, twardo wybijane setką ust:

- Ło...dzie! Ło...dzie! Ło...dzie!

- Jarl! Jarl! - wołali Waregowie ruscy i Norwedzy, przybyli z Olafem.

- Ło...dzie!

Olaf stał na wale nad falującym tłumem. Nie widział go, widział nienawistnego Sigwalda, zacieklego, nieubłaganego wroga. Złożył obie dłonie przy ustach, zawył przeraźliwym kogucim głosem:

- Aaaaaao! Aaaaaao!

Dreszcz przebiegł przez tłum, spojrzeli w górę. Sigwald nastroszył się, przykurczył, błysnął zębami - zęby miał ostre, drapieżne. Olaf uderzył rękoma po udach, zakrzyknął:

- Tak nakazuję wam ja, Olaf syn Trygwy, wasz jarl. Bolesław ma dwakroć tyle wojów co my. A jeszcze Czycborowych pięć set oszczepników. Niechże się drą z wody na wał, niechże się drą. Nie stanie noga Bolka za ostrokolem Jomsborga.

Zamilkł, słuchał odzewu. Nie odpowiedzieli krzykiem, ale zamilkli, wahali się. Sigwald czuł - jeśli ustąpi, przegrał. Zadarł pysk ku górze, rzucił straszną obelgę w twarz jarlowi:

- Boisz się, Olafie Trygwasonie!

Olaf skoczył z wału równymi nogami, zwałił Sigwalda. Leżącego kopał w brzuch, w pierś.

- Kto tu jarl? Boję się? Kto jarl?

- Ty - charknął z ziemi Sigwald Rabogęby - od trzech lat. Jamć jomsborczyk od dwudziestu pięciu. Tyś przywłoka, obcy, taki jak Bolko.

Olaf odskoczył, patrzył na leżącego wroga. Od trzech lat trwała między nimi walka. Od trzech lat judził Sigwald przeciw Olafowi. Teraz przyszła chwila - Olaf odwrócił się do wojów:

- Dopieroście przysięgali. Obraliście mnie jarlem. Czym uciekał kiedy przed kim równym czy silniejszym?

- Nieceeee...

- Obraził mię, waszego jarla, złym słowem. Winien z hańbą być wygnany z drużyny.

Milczenie odpowiedziało Olafowi, Sigwald się podniósł tymczasem, przepchał się przez tłum, w milczeniu podszedł do jarła i pięścią wyrznął go w twarz. Obaj porwali się do mieczów - ledwo ich rozdzielono.

Znowu miesiąc wychynał zza czarnych chmur, buczał bąk, pluskały ryby. Brzegiem Dziewiny, w górę rzeki, przedzierał się przez zarośla Sigwald. Zgrzytał zębami i - gdzie rzedła gęstwa - biegł w ciemności. Był wygnańcem z własnej drużyny - dążył wprost ku Wołyniowi, do Belkowego obozu.

Przybył do Wołynia o świcie.

6.

Świętek siedział zgarbiony na kamieniu, łokcie oparł o kolana, próbował zagrać na rożku. Dwa tony popiskiwały śpiewnie, trzeciego wydobyć nie umiał. W pewnej chwili padł nań cień, Świętek podniósł głowę, ujrzał Borutę. W drużynie nie lubili Boruty za zgryźliwość i prześmieszki - woj przybył do Poznania jeszcze za Mieszki z ziemi Chrobatów, każdy dlań smard i purchawa, tylko Gdale były możliwym rodem. Teraz stał rozkraczony, ręce założył do tyłu. Przyglądał się chwilę usiłowaniam Świętka.

- Nie idzie ci. Daj, zagram.

Świętek nie odrzekł słowa, dalej piskał na rożku - wciąż dwoma tylko tonami.

- Jakbyś wieprzka ciągał za ogon, tak też by grał - wycedził Boru ta.

Świętek grał dalej.

- Toto myśli, że byle dmuchać, a zagra. Tak samo i zadek myśli.

- Boruta, mołwię ci, odejdz.

Boruta stał, gębę mu wykrzywił zły uśmiech, kosił zjadliwie zmrużone oczy. Grzejący się podle w słońcu Dzierżyk - w gaciach jeno, bez giezła - mruknął:

- Nie wiesz, jak kierz? kiej się przypnie, nie oderwiesz.

- Com ci? Szkodzę?

- Nii - odparł leniwie Dzierżyk. Leżał na plecach, słońce się lubym żarem czerwieniło mu w zamkniętych powiekach. Czuł zapach przegniłego szlamu rzecznoego, słyszał szelest wody, ocierającej się o brzeg.

- Dzierżyk! - doleciało go z dala.

- Auu! - odkrzyknął nie otwierając oczu.

- A pójdź no tu.

- Co?

- Tak...

Podniósł się, siedział chwilę, spoglądając na spokojny nurt wody. Krzaki przybrzeżne były wycięte do cna na szalasy. Jeno trzy koślawe wierzby rozpierały się tuż u wody. Rzeka się wyginała spokojnym zakrętem, gdzie dochodziła do samego brzegu puszcza. Tamten brzeg był płaski, bezdrzewny, błotnisty. Szeroka ława piachu wyłaniała się z wody niedaleczko - w środku strugi. Już się go chwyciło parę krzaków łoziny.

Obozowali poza Wołyniem trzy dni. W Wołyniu ostała jeno setka wojów na stróży pod Zadorą. Na płaskim brzegu Odry roіło się obozowisko. Rozrzucone wszędy stały szałas y uwite z krzów nadbrzeżnych. Na ogniskach piekło się mięso. Woje, rozwaleni kupkami, śpiewali, bawili się w zabijankę, spali, naprawiali broń i przyodziewę. Na szałasach leżały płótna uprane w rzece. O trzy sta kroków wyżej, gdzie brzeg był połogi i piaszczysty, kąpała się gromada golców i wygrzewała w słońcu. Upał doskwierał.

Przemko macha! ręką na Dzierzka. Ten ścierał sobie piach z pleców, szedł wolno.

- Co, Przemko?

- Iii - odparł Przemko - jeno mi ckni się tutki. Chodź, pójdziemy obaczyć, jak drabiny wiążą do napadu. Trzy starczowników zapędzili.

- Kaj?

- A no, w lesie. Ony pobrały topory i poszły. Łyko aż zza rzeki zwieźli.

- Zza rzeki? Tu lip nie ma?

- Mało.

- Jeno się przydzieję.

Poszli razem. Po drodze Przemko gadał:

- Wlecze się ta wyprawa kiej smolą. Pierwej w Kołobrzegu czekalim, potem w Kamieniu. Przyszlim pod Wołyń, dumalim: zacznie się. W Wołyniu siedzielim, nynie tu. Co tu robić? Do puszczy Bolko iść nie zwolił, parciej em w czekaniu.

- Ej, bardzo ci spieszno. Pewność za Jemiołką tążysz?

- Co mi tam. Stary Tur zapał się, ni do przodu, ni w tył. Co mam tążyć. Za miesiącem nie tążę.

- Głupiś, Przemko.

- Tobie dobrze. Tyś nie z takiego rodu, ciebie nie odszczepili.

Dzierzyk zatrzymał się nagle, pobladł.

- Ty co?

- Ii - Przemko nie dostrzegł zaciskających się Dzierzykowych pięści - stary Tur stracha się ze Świradem zdrzeć.

- Pójdź do Bolka.

- Pewno, że pójdę. Lado!

Przy Dzierżykowym namiocie zebrała się kupa. Narzekają. Włodek, siedząc na trawie, wymachiwał rękoma:

- Gród, wiadomo, winien iść w podział. Bolko nie dał, kupce mu drożsi niżli drużyna. Jak bralim co, bitka gotowa. Toć Ludborowi bok przebili, Zająca rozszczepili. Nie tak, bracia, jak trza. Czegóż to nie było w onym Wołyniu! Zbogacielibyśmy zrazu. A z Jomsborgiem nie wiada, jak będzie. Bolko bajał: łodzi trza. A one łodzie puścił i spłynęły. Teraz posłał Czycibor po swoje, ale nadejdą nieprędko.

- Licha tam nadejdą.

- Abo je jomsborczyki przechwyca. Im z morza łacno'.

- Niałacno. Wszystkich Czyciborowych oszczepników posłali łodzi strzec.

- To przejdą do Jomsborga z łodziami. Wiecie: Pomorcy psie to nasienie.

- Nie przejdą.

- Takiś mędrek.

- O wa!

Ze szczeciniastej zamieci na gębie Dobrosza Ostoi zacharkotało:

- Durniście, synkowie. Pomorcom Jomsborg pierwszy wróg. Sami nie mogli go zmóc, ale nie przejdą do zbójów.

- To tamci wyskoczą z grodu łodziami i pobiją Czyciborowych. - Jeż wsadził łapę za pazuchę, drapał się po piersi i pod pachami.

- Nie wyskoczą. Odra w morze trzema strugami spływa.

- Lelum! Trzema strugami?

- Jako żywo - Dobrosz wielki i mały palec lewej ręki przegiął pod dłoń, trzy środkowe rozstawił, niby widły; prawą chwycił po kolei za palce:

- Ot, ta z prawa zwie się Dziewina. Tu i Jomsborg leży, i my nynie. Woda w niej, prawią, zielona.

Wyciągnęli głowy ku rzece, nieustannie sunącej w leniwej niezmienności ku morzu, parę głosów potwierdziło:

- Prawdać jest. A ino. Zielona.

- To od liści - burknął Jeź.
- Zdumiał chłop, od jakich liści?
- W wodzie rosna.
- Co nam do tego: od liści, azali nie. Gadaj, Dobrosz.
- A druga struga, ponoć biała zawsze, środkiem płynie. Trzecia zaś w lewo daleko od Jomsborga.
- Iii - zahuczał krąg - abo wodą kajś Normanom daleko. Głupie bajanie. Prawią przy tym, tamta struga w wirach, skały tam albo wodnica łodzie wywraca. Ciągła kipiela tam, bają.
- Już Pomorcy wiedzą, jak łodzie wieść. To ich kraj.
- Abo jomsborski.
- Ejże, synkowie, nie prześmiewajcie się z wodnicy - Jeź wyprostował swe długie piszczele, uchwycił rękoma niżej kolan, mówił wolno, słowa przeciągał - wiecie, jak z moim bratem było? Starszy brat był, nie pomnę dobrze, ledwom się karabskał pod progiem w on czas. Ale żeby któremu się przygodziło, co jemu się przygodziło...

Padły zniecierpliwione okrzyki:

- Gadajże jako człowiek. - Ciągniesz by pijawka. - Co się mu przygodziło?
- Nasz stan nad płem był. Walne pło. Starzy mówili: pomału pływać po ple, ręki w wodę nie sadzić, po zachodzie schodzić: wodnica po sitowiu pluska. Brat nic. Popłynął z dwoma jeszcze, wzięli niewódwłokę, zarzucili. Rano było, płaska mgła szła, słońce tyle co krasi wschód. A woda pluska, pluska, szeleści o deski, wabi.
- Gadajże, Jeź!
- Poczekali małowiele i ciągną niewód: ciężko idzie. Co, ryby tyle, abo zielsko? Trzech ich było, nie byle chłopów, napięli się, ciągną. Pomału, pomału, woda ciurka ze sznura, pluskplusk, zresztą cicho na ple, mgła się sunie, wiatr nie powieje, jak to przed samym wschodem. Woda gęsta kiej śmietana.
- Co z gęby maślnicę robisz?

Jeź potoczył wzrokiem wkoło, powieki miał czerwone, ciekące, jakowaś choroba je toczyła, i snuł dalej:

- Ciągną niewód, już się zszedł u łodzi. Aż tu kiedy nie pluchnie cosik żółtego nad wodą, jak nie załomocze z sieci, ledwo sznur utrzymali. Pry któryś: "Baczie, bo łódź przewróci". "Dobrze, że nie porwała sieci" ciągiem myślą, że to ryba. Brat przysiadł na dziobie, schylił się, by spojrzeć, co ułowili, rękę w wodę wsadził. Aż tu czuje, że go coś niżej łokcia chwyciło, ciągnie. Kiedy wrzaśnie... Tamci rzucili sznur, ułapali brata, ciągną w drugą stronę. Spojrzą, a tu nad wodą twarz

sina, włosy zielone, mokre, oczy kiej kawałki jantaru. Zębami chwyciła rękę, nie puszcza. Wrzasnęli obaj, targnęli, wyrwali brata: aże na dno się potoczył z rozpędu. A tamta plusnęła jeno...

- ...i poszła?

- Poszła - potwierdził Jeż. - Ale brat mój już nie wydobrzył. Błady był, siniał, krwią blwał. Kajs w wieczór, miesiąc nad wodą stał wielki, czerwony, krągły kiej tarcza, powiódł brat na pło konia poić. A miał pięknego źrebca, rusy cały a chybki, a mocny. Słyszysz ociec: koń pod progiem tupie, rży. "Damże ja mu, takiemu synowi", mruczy ociec i wychodzi. Zapędził konia, woła, patrzy tu, patrzy tam, brata nie ma. Poszedł w końcu na pio, spojrzysz, a tu w płytkiej wodzie, ot! do kolan, coś leży. Schylił się, a to brat na brzuchu w wodzie leży.

- Wciągnęła ji, lelum!

- A wciągnęła. Gębę miał siną i całą w szlamie. Zimny już był.

- Widzieliście...

- To i tu - mruczał swoje Jeż - kiej gadają, w lewej strudze kipieli ciąglą, pewno wodnice tam żywią. A kiej żywią wodnice, nie obaczycie już tych łodzi.

- Tfu! na wodę urok.

- Odrzekajcie się, odrzekajcie, obaczycie.

- Chodźmy - pociągnął Przemka Dzierżyk - jeszcze co nas tu chwyci.

- Tfu!

W lesie huczały topory. Tarczownicy spuszczały młode świerki, na udo grubości, chędożyli z gałęzi, obcinali wierzchowinę. Oczyszczone pniaki znosili w stos, pachnący żywicą, jedliną, przemoczoną korą. Tu łykiem wiązano drabiny, tego, na krzyż, raz i drugi. Dalej gotowano brzozowe osęki - cały dyl czysty, jeno u odziemka kilka krótkich kikutów, niby palców zakrzywionych i sękatych. Budziwoj każdy drąg brał w rękę, oglądał, zrzędził:

- Jakoście tu rąbali, mówiłem: na dłoń do gałęzi, nie bliżej. Ścierwa gnijące. Nie wiesz to jeden z drugim, jak przysposabiać osęki? Toć taki kołek łódź ma na prądzie utrzymać. A ten kiej wół...

- Utrzyma - Raczek wyprostował krzyż, potarł rękawem czerwoną, spotniałą gębę; na Budziwoja spojrziała para oczu naśmieszliwych, młodych.

- Teraz tak bajesz, a na prądzie...

Raczek porwał drąg, założył za pień, targnął. Sęk trzasnął, odszczepił się w mig. Raczek aż siadł.

- Widzisz. Teraz inoś zadek posiniaczył. A tam? I zaczepki nie będzie, prąd będzie niósł podle wału, a z góry kamienie, smoła, kłody. Tegdy chybko trza, gdzieś zahaczył, tam i stój. Dopiero drabinę

przystawisz i na wał skoczysz. Zaleci ci taki syn jomsborczyk, ty go toporem w zęby.

- Uuu! - ryczeli tarczownicy.

- A nie strzymasz łodzi, puści, jako nynie, drabina w wodę, ty w wodę, łódź wywrócisz. Wtedy płyn, zębami za dąb gryź.

Drapali się w głowy.

Pod świerkami stary Jelec siedział, podśpiewywał zachrypłym, zasmarkanym głosem:

U onego woja

łuk palony,

szczyt kraszony,

sulica ostraaaa...a!

- Lelum polelum - podchwycił chór.

A u onej dziewczki

liczko białe,

gęba kraśna,

kosa plecionaaaa...a!

- Lelum polelum! Lelum polelum! - odpowiadały głosy.

Dzierżyk zobaczył Gza, drącego łyko w pasy. Ostawił Przemka przy Budziwoju, podszedł do kmicia.

- Cał!

- Cał, Dzierżyk! - wyprostował się Giez, uśmiech okrasił mu gębę, klepnął Dzierżka po plecach - gdzieżeś się zaplątał? Dawnom cię nie widział.

- Długo tego darcia? Przyjdź wieczorem, pogwarzym.

- Zaraz pójdę.

- Wolno ci?

- Nie obaczy - zezem obejrzał się na Budziwoja - nasz setnik gdzieś się zapodział.

U obozowiska nagła ruchawka. Bolko idzie między szałasami, wypatruje. Szczęki się mu ruszają,

jakby żuł. Podeszli doń gromadą.

- Prędko ruszyc, ksze?

Stanął, przez oczy mu przeleciało coś jakby skra.

- Chcielibyście?

- Och!

Dzierżyk z Gzem biegiem, Giez łeb wsunął przez tłum między ramiona. Słuchali.

- Na łodzie czekamy. Pomorcy poszli, nie ma ich.

- Oby poropieli.

- A bez łodzi nie ma jak?

- Nie podejdiesz.

- Tako się umocnili, ścierwy?

- Obaczycie.

Jarowit, przezywany Wilczur, ozwał się z tłumy:

- Nie można to kłodziny w jeden płet spoić i tak dopłynąć?

Bolko namyślał się chwilę.

- Nieporęcznie płet wieść. Woda poniesie, ty wiosiem dziabniesz, to ci się cały płet przekręci. Czólnem lepiej.

- Ale nie ma ich.

- Będą.

- Chcielibyśmy prędzej.

- Usiedzicie. A gdzie to Zdeb?

- Na tamtym końcu.

- Wołajcie.

Polecieli, przylazł Zdeb, kiwał się na boki, na długiej szyi wyciągnął rozczochrany łeb. Pytająco spojrział na Bolka.

- Weź swoją dziesiątkę i dziesięciu tarczowników. Pójdiesz brzegiem puszczy, ku Jomsborgowi, a bacz, bo tam trzęsawisko. Legniecie cicho na skraju, będziecie patrzeć. A będzie jaki ruch w grodzie albo łódź jaka wypłynie czy wróci, dasz mnie znać.

- Pójdę brzegiem ku Jomsborgowi - powtórz! głuchym basem Zdeb - tam legnę na skraju puszczy, będę baczył. A będzie jaki ruch w grodzie albo łódź jaka wypłynie czy wróci, dam wam znać.

Bolesław kiwnął głową. Zdeb pobiegł. Nad obozem latał kruk wielkim, cichym kręgiem. Siadł na świerku, na samym wierzchołku. Bolko spojrział ku niemu, zaśmiał się, zwrócił się do drużyny:

- Kupce w Wołynie dali mi tęgi łuk, z dalekich stron przywieziony, palony, srebrem kuty. Walny luk. A w dodatek strzał ze sto z orłowymi piórami. Kto mi onego kruka ściągnie, łuk i strzały dostanie.

Biegli wszyscy do namiotów po łuki i strzały, a potem pod świerk. Na wyprzódki. Bolko się klepał po udach, śmiał się. Rozpoczęła się zabawa.

Łuk wziął Nielub Wojborowic.

Tego wieczora słońce się wcześniej schowało za czarne bryły chmur. Na wschodzie wisiał długi obłok, z dołu obcięty równą linią, od góry pogarbiony w błękitniejące, ciemne kłęby. Pod obłok zasuwiał się czerwony, wielki księżyc. Odra cicha i popielata szeleściła sennie szarą wodą. Woje się już układali, cisza wisiała nad szałasami. Ktoś jeszcze śpiewał sennie:

A na onej górze, na zielonej,

rosła jodła wysoka...

Krzyk dobiegł od rzeki. Nie dosłyszeli.

A pod jodłą, popod zieloną...

Krzyk rósł. Już się zerwali, już biegli. Nad brzegiem stał Bolko, półodziany, patrzył na ciemną wodę. Księżyc całkiem skrył się za obłok, ściemniało. Thukły się bezładne głosy:

- Co tam?

- Nie widzicie?

- Wždy ciemno.

- Może Jomsborg?

- Jomsborg! Jomsborg!

- Zbóje jada.

- Orzy! Orzy!

- Gdzie Bolko?

- Nad brzegiem.

- Czemu w wodę pchasz!

- Ej, bo cię rąbnę.

- Zatknij pysk.

- Słyszycie? Plusk. Płyną k'nam.

- Ony niechybnie.

Nagle ktoś z dołu rzeki począł krzyczeć:

- Łodzie! Łodzie jadą!

- Jakie łodzie? - wrzasnął Bolko.

- Pomorcy łodzie wiodą.

Zaczerniały na rzece nierówną, ciemną masą. Szły kupą bezładną, ale już słuch rozróżniał rytmiczny plusk zanurzanych wiosł.

- O hej! - rozległo się z rzeki.

- O hej! - odpowiedział Bolko.

- Ooo hej! - ryczał tłum na brzegu.

Woje słyszeli, jak Bolesław mówił do Odrzykonii - w głosie czuć było niecierpliwość:

- Jutro jak świt trąb w rogi. Do wieczora rozdepczem Jomsborg.

Podniecony, niespokojny gwar biegł nad obozowiskiem, nad brzegami, nad wodą.

Księżyc wysunął się zza obłoku zmalaty, srebrny, odbił się w rzece. Skończyło się czekanie - łodzie przyszły.

7.

Jeszcze byli przy brzegu, już krzyczeli. Czółna odbijały jedno za drugim.

- Prędeż, prędeż - poganiał Bolko - wszyscy razem. Róóówno!

Wiosła gorączkowo biły w wodę, ale statki posuwały się wolno, pędzone niewprawnymi dłońmi, ciężkie, przepełnione ryczącym ludem. Przybrali się jak zwykle do boju, pancerni w zbroje i szłomy, tarczownicy w kozuchy, szłomy, szczyty. Mieli uderzyć z czterech stron - od bramy tarczownicy pod Budziwojem, dalej Bolko, po nim - już na samym prądzie - Stojgniew, z końca - pod prąd - Radbor z Ponjorcami. Czcibor sapał w łodzi Bolesława, spluwał co chwila.

- Prędeż, prędeż, róóówno!- wołał Bolko.

Mgła siadała już, płaska, szara by pleśń wodna. Do piersi brodzili w mgłę, tylko głowy sterczały a ramiona. Słońce wzeszło, Jomsborg przed nimi zalewał się czerwienią, błyszczał milczący, złowrogi. Łodzie gibały się, zagarniały wodę, ludzie się rzucali z rozmachem w przeciwną stronę, zwiększali kołysanie. Nie mogli się obrócić, swobodniej ruszyć - gęsta, skłębiona masa, wieloreki, wielogłowy potwór.

- Róóówno!

Ale już się rozleźli. Tarczownicy mieli dotrzeć niemal do tamtego brzegu, lecz porwał ich prąd i niósł wprost na żelazną bramę. Bolko stał na swej łodzi, oczy przysłonił, patrzył czujnie na początek ataku.

- Wiosła rzuć, za drabiny, drabiny! - wołał nad mgłą, ale go z odległości nie słyszeli. Już byli niedaleko - dochodził od nich jeno głuchy wrzask, roztopiony i mętny. Gdy byli sto kroków, kusznicy z wieży nad bramą zaczęli szyc do nich gęsto, szybko, raz po raz. Widać było dobrze, jak wychylali się z okien w skórzanych szłomach, gołymi ramionami składali się szybko, spuszczaali łuk, potem równym ruchem nad głową oddawali kusze siedzącym głębiej; od razu dostawali inne, napięte.

Groty szły gęsto, jak chlupot dżdżu pluskały po wodzie.

Pierwszy zwałił się barczysty chłop na dziobie trzeciej łodzi. Machnął rękoma i pluchnął przez dziób, wybijając wysoko wodę; woda błysnęła zielono i biało. Po nim spadł drugi z tejże łodzi, jednocześnie jeden z wiosłarzy przechylił się nad wiosłem, zgiął się w kabłąk, drąg wyleciał mu z rąk, zaczął o inne, łódź wnet się odwróciła bokiem, przechyliła. Prąd niósł szybko, kusznicy bili już z bliska. Ciała chlupały w wodę, rozбивały ją w drobne bryzgi. Mgła spłynęła, widać było dobrze, nie byli daleko. Nagle Czcibor klasnął po kolanie krzyknął:

- Budziwoj padł. Tam tam, w piątej łodzi!

- Widzę-powiedział zduszonym głosem Bolko.-Dureń, źle wiódł.

- Ty byś nie lepiej powiódł - burknął Czcibor.

Ale Budziwoj upadł wskutek chybotnięcia się łodzi. Tarczownik stojący podle pośliznął się, potoczył się na dno, pociągnął go za sobą. Budziwoj zerwał się zaraz, obrócił się plecami do grodu, krzyczał do swoich:

- Szczyty! Szczytami się okryć! S/czy...ta...mi!!! Wyciągnęli krągłe tarcze nad głowy, przed się, szczyt o szczyt, okryli się niby łuską.

- Dobrze - mruknął Bolko. Od łodzi szedł krzyk coraz większy.

- Drabiny biorą. Zaraz dojdą - wołał Czcibor wstając w podnieceniu i opadając na ławkę przy każdym zakolebaniu się łodzi.

- Doszli! - krzyknął z sąsiedniego czółna Odrzykoń.

Ale sami byli już niedaleko, podpływali ukosem. Widzieli, jak jomsborczycy biegli z bronią po wale za ostrokołem, równo z łodziami; twarze mieli obrócone ku rzece, gęby otwarte, ale krzyk nie dochodził. Biegnać nie mogli strzelać, osiemnaście łodzi było już tuż u ścian. Przed oczami migwały wojom grubachne bierwiona, brunatne, zielone od śliskiego rzecznoego śluzu. Prąd, odparty przez ostrokół na głębie, sunął wartko, rozbijając się w drobne bryzgi o nierówności bierwion. Pachniało rzecznoą zgnilizną.

- Osęki! - krzyknął Bolesław.

Wioślarze uderzyli o wodę ostatni raz, boki czółen otarły się z głuchym trzaskiem o pnie. Woje już nie ryczeli, pochrapywali tylko, sapali. Setka drągów zaopatrzona w sęki próżno sunęła po śliskiej powierzchni, setka dłoni, paluchów próżno usiłowała namacać jakiś występ, gałąź, szczelinę, by chwycić, by się zatrzymać. Spływali.

- Trzymać, trzymać! - ryczał Bolesław, zadzierając głowę w górę ku zębataemu szczytowi palisady, szybko sunącemu do tyłu.

- Trzymać! - powtarzali dziesiętnicy w każdej łodzi. Nie uchwycisz, spływali.

Wreszcie Zadora z pierwszej łódki stanął jedną nogą na dziobie, drugą na bocznej desce, w rękę trzymał topór, zamachnął się, rąbnął. Stęknął pień, ostrze wlało w drzewo, Zadora przechylił się, napiął, nie puścił. Wraz dwadzieścia rąk uchwyciło się ścian, wbijali topory, zahaczali drągi. Na łódź Zadory wpadła z rozpędu następna, oderwała ją od ściany, zepchnęła. Ale za chwilę zatrzymali ją znowu. Łodzie wjeżdżały jedna na drugą, cisnęły, lecz coraz to któryś wbijał topór w ścianę - przywarli się, nie puścili.

- Drabiny! - doleciał ich głos Bolka. Już stawiali je bez nakazu; nim postawili, nim trzymający rozkraczyli się dobrze, ułapali za szczeble, woje darli się w górę, jeden przez drugiego, gęstą, lepłą ławą. Jomsborczycy w nich oszczepami, mieczami. Taczała wspiał się pierwszy, nad nim Wiking szeroki, płowy, gały wytrzeszczone, gęba rozwarta; na łańcuszku u piersi dynda się złoty młotek Tora - tu i tam. Oszczepem pchnął, Taczała toporem odbił, za drzewce targnął. Wiking się przechylił, przeważył, ręce rozkrzyżował, runął w dół, bokiem się odbił od drabiny, od łodzi, fiknął kozła,

chlupnął głową w wodę; nie wypłynął. Taczała obu pięściami za pale ostrokołu, zgiął się, by skoczyć, leżąc do środka, wtedy go - przechylnego - rąbnął rogaty jomsborczyk w kark, tuż u nasady szyi. Taczała nie wydał głosu, bokiem zwał się na pnących się za nim wojów, stoczyli się jednym kłębem do łodzi, drabina z płaskim chlupotem plasnęła po wodzie, łódź chybotnęła się silnie, wiosłarze nie utrzymali - spłynęła z prądem; porzuconą drabinę nurt okręcił, poniósł na środek rzeki.

- Stejn! Stejn! - ryczeli na ostrokole.

Bolko, nim ustawili drabinę, skoczył na szczeble, stopa się mu obsunęła, padł na kolana, podciągnął się obu ramionami, karabskał się chyżo, szczeble mu się plątały pod nogami. Nim dolazł, dwu Wikingów wtoczyło na szczyt palisady szary, masywny głaz - pchnęli, zerwał się, leciał. Trzask, we wszystkie strony prysnęły złote drzazgi jedliny, bok drabiny przełamał się w pół, szczeble ukosem zawisły w powietrzu, jak ostrza piły, woje się z nich sypali niby gruszki. Czólno wolnowolno się przegięło, szeroką, płaską wypukliną chynęła zielonawa woda do środka, napełniła pół łodzi. Bolesławowi mignęły nierówno jadące w górę bierwiona częstokołu, uderzył twarzą w wodę, toń się rozwarła natychmiast, porwała go, ciągnęła, wsysała w głębię. W oczach' białe skry, czarno, czerwono, próbował machnąć rękoma, pancerz włókł na dno niby kamień przywieszony u piersi. Machnął drugi raz ręką, zachłysnął się, złapał po omacku coś twardego, otworzył oczy: zielono, zielono, złote smugi, miga, błyska, brunatne marszczące się cienie. Kurczowo zacisnął dłoń na twardziźnie, zachwiała się, poszła w górę - uczepionego za wiosło, wbite wprzód w dno dla utrzymania łodzi, wyciągnięto księcia. Chwyciło go dziesięć garści, jak rybę przerzuciło przez bok czólno, mokrą gębą padł w miękki, drgający brzuch Czсібora, zwałonego na dno, podnoszącego się na łokciach, próżno usiłującego powstać; stryj jęknął pod uderzeniem, łódź była pełna wody, deski śliskie. W tejże chwili drugi kamień pluchnął między częstokołem a łodzią, nie trafił, ale fala odepchnęła czólno, prąd je porwał - druga łódź spływała z nurtem.

Bolko teraz dopiero podniósł głowę, po pas klęczał w wodzie. Widział: u ostrokołu nierówny, wahający się pomost łodzi, drabiny się chyboczą, ludzie kłębią się na nich, drą, spychani dzidami, rąbani mieczem a toporem. Jasza jest już u szczytu, bije się, nie może puścić niepewnych szczebli, skoczyć za ostrokół. Rąbie toporem, tuż niżej Gniewosz tka na ślepo oszczepem. Na Jaszę nawaliło się trzech, mignęła mu w oczach jedna twarz - jasna, jasna - oczy na wierzchu jak u ryby, zęby wyszczerzone; tuż podle wtóry z siwą brodą, długą po pas, charczę, pluje. Jasza ciął, rybiooki odskoczył, topór przeciął powietrze, z rozmachu spadł na siwobrodego, nisko, u łokcia; przeciął mięśnie, kość, poszedł głębiej, ześliznął się po blaszkach pasa, spadł na kłęb, niżej jeszcze, werznął się w udo. Siwy Wiking zachwiał się, padł, Jasza pochylił się od rozmachu, brzuchem wpadł między ostrza palisady, przystrzeмиło go. Trzeci Wiking unosił okrągły, gładko w nurcie rzeczonym otoczony kamień; puścił go, zwał się ciężarem ciała i zbroicy na wbitego między pale Jaszę. Porwał go za gacie na pośladku, by wyrwać ze szczeliny, cisnąc w dół - w tejże chwili pchnął go z bliska Gniewosz oszczepem prosto w twarz; sam zachwiał się, złapał za nogi Jaszy, oszczep upuścił, podciągnął się, chwycił za jelce miecza - poczuł straszny cios w głowę, w gębie gorącą strugę krwi, powoli zaczął się odchyłać do tyłu, coraz szybciej, ręce mu zwisły jakby luźno przyczepione na sznurkach, dyndały się - spadł. Rybiooki w duszącym szaleństwie na oślep rąbał przewieszane przez palisadę martwe już ciało Jaszy.

Jomsborczycy biegli wzdłuż ostrokołu, gdzie gęstwa była największa. W szesnastu miejscach darli

się Bolkowi na palisadę, nie mogli się wdrzeć, nie mieli pod nogami twardego gruntu. Raz po raz chwyтали równowagę, machali rękami. Drabiny się usuwały, w dole wioślarze natężali wszystkie siły, by utrzymać się śliskich ścian.

- Stejn! Stejn! - znowu krzyki na ostrokole. Zaczęły się walić kamienie, kłody, bierwiona. Bolko klęczy bez ruchu, odniosło go już daleko, patrzy tępo, uparcie, bez czucia: drabiny pękają, idą w drzazgi, ludzie się walą zbitą masą, rozbijają łby, łamią nogi, ręce, kręgosłupy, lecą w wodę. Wypluski coraz wyższe, coraz częstsze. Toną. Panczerze nie dają pływać, żelazo ciągnie na dno. Kamienie biją już nie w drabiny, w same czółna, przebijają dna, odrywają deski, miętoszą stłoczoną masę ciał, łodzie się zanurzają, zagłębiają po brzegi. Gęsty krzyk szamocze się nad wodą - tuż u podnóża częstokołu.

Odrzykoń wydobywa się spod ciał. Krzyczy na całe gardło: Odpływać! Wraz odpływać!

Z góry wycie Jomsborga.

Z szesnastu pozostałych łodzi odpływa dziewięć. Razem z nimi płyną deski, szczyty, potrzaskane drabiny, wiązki strzał. Jednocześnie Bolko widzi: i z góry rzeki płyną łodzie. Ktoś krzyknął:

- Tarczownicy! Ledwo połowa ich, ledwo połowa! Lelum!

Bolko oczyma liczył łodzie - dziewięć i osiem. Z trzydziestu dwu.

Później dowiedział się: Stojgniew był ze swoimi na ostrokole, ale wyparto ich. Więcej niżli połowa ludzi zatonęła.

Czciborowi pod prąd nie zdołali nawet drabin przystawić, spędzili ich kusznicy.

Do wieczora zbierali się do kupy. Ci, co patrzyli na walkę z brzegu, gdyż czółen dla wszystkich nie starczyło, przyjęli powracających głuchym, niewesołym milczeniem. Odciągnęli ku Wołyniowi.

Był już zmrok.

8.

Bolesław powiódł wzrokiem po radzie. Czcibor sapał głośno, czerwony, nasepiony. Budziwoj kosił się, zły na Stojgniewa, z którym przemówił się dopiero co. Odrzykoń tarł łysinę, widać- żadnej rady nie miał. Radbor nadał się; ozeźlony był, bo mu rzekli przed chwilą, że wcale do wału nie doszedł, że Pomorcy pełne mieli gacie ze strachu, że 'wydzierali z prądem kiej czajki. Omal do bójki nie doszło, dopiero Czcibor pięścią huknął, swary uciszył. Nasepili się jeszcze więcej, milczeli. Bolko patrzył na jednego, na drugiego, już go gniew chwycił.

- W drużynach się swarzą - mruknął Czcibor.

- Iii - przeciągnął Bolko, choć wiedział, że stryk prawdę gada. Tej nocy tłukł się bezmyślnie po obozowisku - nie poznany przez nikogo, samotny - takiej nocy nie usiedzieć w namiocie. Czarne chmury zawałyły niebo. Obóz był ciemny, nie płonęło ani jedno ognisko. Ale się do późna unosił nad

nimi gwar bezsenne podniecenia i gorzkiego poczucia klęski.

Pojedyncze głosy wyły z ośmy z nagą szczerością nieudawania.

- Zapchaj dziurę pajęczyną.

- Mądryś. Idźże, szukaj w ćmie.

- Za dnia by...

- Było mu się tłuc między drzewami za pajakiem. Leżał i wył.

- To cię bolało?

- Łaskotało, psiamać. Miło było.

- A teraz...?

- Teraz nic... zdrętwiało.

- Zalej ranę.

- Idź...

- Przeciw jadowi dobrze.

- Myślisz... jad?

- Co wiesz o jomsborczykach. Zbóje, przeklętniki! Nie puchnie ci?

- Nie urzeknij. Puchnie.

- O łado!

- Łońskiego roku zranił Witosława woj z Ketlowej grzędzi. Całe ciało mu kiła zżarła.

- Na psa...

- Nie lelejaj...

- Prawie, tak było. Cała drużyna widziała.

- Ee! Dobrze, żeś do wody nie wleciał. Nynałbyś się nynie na dnie.

- A ty nie nynałbyś się.

- Iii...

- Stał na brzegu, ino brodę zwiesił nad wodę, kiej kozieł.

- Co prześmiewasz się?

- Nie prześmiewam się. Żal patrzeć było, jak was tamok bili.

- Pewno, że żal.

Żal... Nie żal, tępa, bezsilna wściekłość podłazi pod gardło. Co teraz? Do Poznania wracać? Drugi raz łodzie u ostrokołu topić? Głodem gród brać? Nie ustrzeżesz, łodziami wszystko dowiozą. Jakby w odpowiedzi, usłyszał Bolesław chrapliwy szept spod rozłożystej lipy:

- Co ta pojmujecie, gnojki...

- Abo co?

- Rankiem Bolko znowu was pogna na wodę.

- Nie pogna.

- Nie zwojować nam Jomsborga. Gdzieś z boku bezosobowy głos chrapnął:

- Durnyście. Nie, Jomsborga nam nie zwojować, wody nie zwojować. By nie woda, kłaki by ostały z Jomsborga.

Obok ponury szept:

- Jakże na drabiny leżć, kiej ci się pod nogami kolebie a kolebie. Jużem za ostrokół chwycił, łódź odjechała, razem my z drabiną w wodę ciapnęli.

- Stojgniewowi byli na ostrokole - syknął gęsty bas z głębi.

- Ponoć byli.

- Nie ponoć. Sam byłem. Wparli my się w ścianę, z dziesiątek nas było. Co który podejdzie, nogami się nakryje. Poszli raz na nas kupą, poszli drugi raz, my w nich toporami, Stojgniew Ketla mieczem ubił.

- Ketla...?

- Tego, iż w Poznaniu był?

- Ano. Wychyli się Stojgniew za ostrokół, krzyczy: "Tędy, tędy, woje, drabin więcej, tędy leżć!" A o! poleziesz tam. Czółna się zjechały, przeskakuj z łodzi w łódź - nie przeskoczysz. Dopiero tamci kamieniami w łodzie: połamali, potopili, spłynęły czółna. Ledwośmy się skarabskali z ostrokołu.

- Gadałem z Odrzykoniem; pry: "Poty będziemy trykać w Jomsborg, aż go weźmiem".
- Niechże sam tryka.
- Nie siądziem już w czółna.
- Psia jego mać.
- Odrzyłęb. Łysacz parszywy.
- Nie wziąć ostrokołu z wody.

Lipa ledwo co szumiała czarną ćmą. Woje ucichli. Któryś przeciągnął się, ziewnął:

- Spać będziem, abo co? Głos z lewa chrapnął:
- Obaczycie. Nynie rozbieży się drużyna.
- Mieszka walny ksiądz był. On ci pobił Jomsborg.
- Bo wywlóklł ji z grodu. W puszczy pobił.
- Na ziemi. Tam pod nogami było twardo.
- Nie kolebało się. Bas próbował przeczyć:
- Nie powiadajcie na Bolka. Jeszcze powiedzie was...
- Na utratę - zaszczekał skowyczący szept.
- Na topiel.
- W wodę cię wlula. Obaczysz.
- Nie wojacka to rzecz na wodzie bić.
- Jeszcze cię topielica ułapi.
- Abo sarn topielicą ostaniesz, jak cię Bolko pod Jomsborg będzie tkał.

Bolesław nie wytrzymał tych szeptów pod czarną lipą. Chciał im coś rzec, w głos krzyczeć, prawym wojewodą być. Paplały mu się jakieś słowa po głowie, jakieś myśli. Zrobił parę kroków ku lipie.

- Ej wy, drużyna... - zaczął niepewnie; urwał. Dobiegł go zduszony szept: "Bolko!" i ostry tupot ciężkich stóp, rozbiegających się na wsze strony. Niepewny, zrobił jeszcze krok, oparł się o szurpaty pień, zapatrzył się w ciemność. Wiedział: przegrał tego dnia nie Jomsborg, przegrał mir u drużyny - przegrał księstwo i imię swoje. "Bez czółen nie weźmiesz Jomsborga" - mawiał wciąż Czcibor. I z

czołnami nie wziął. Nie weźmie.

Teraz rada patrzy nań ponurym spojrzeniem spode łba, milczy. Bolko stuknął! pięścią, krzyknął:

- Radźcie.

Poruszyli głowami, milcząc uparcie. Stojgniew ostrzem miecza dłubie w próchnie wierzby. Odra szeleści nieustannym nurtem. Radbor mruknął:

- Nic nie uradzisz. Trza do dom wracać.

Bolesław powiedział spokojnie, niskim, zduszonym szeptem:

- Nie odejdzem od Jomsborga... aż go weźmiem... aż go rozdawim... nie lza odchodzić.

- Topielce nie odejdą - mruknął Radbor, słyszeli go. Bolesław przygryzał powietrze, jak koń; zuchwy mu latały. Stojgniew zwrócił nań śmiałe oczy.

- Rozwalim ostrokół na wodzie, weźmiem Jomsborg. Inaczej nie.

- Kto ta rozwali ostrokół? Jak? - głęboki śmiech zagulgotał gdzieś w gardzieli Radbora. Budziwoj ruszał wargami, Odrzykoń tarł łysinę.

- Jak myślicie, stryku? - zwrócił się Bolko do Czcibora. Czcibor sapał.

- Wołajcie Sigwalda - krzyknął Bolko.

Poruszyli się, jakby Sigwald miał sposób pewny do łatwego zwycięstwa. Czekali niecierpliwie. Gdy przyszedł twardym, kołyszącym się krokiem Normana, Bolko rąbnął mu prosto w raba gębę:

- Radź!

Tamten patrzył pełnymi drwiny oczyma. Śmiech mu latał po gębie. Wolno cedził z jawną przekpinką:

- Widziałem, jakeście się darli na ostrokół, jak chlupaliście w wodę. Nie wasza moc. Nie weźmiecie grodu.

Skrzywił się. Walczyła w nim duma z rodzimego domu, pogarda dla Belkowej drużyny ze złością na Trygwasona, który trafnie przewidział klęskę Belkowych u ścian Jomsborga. Bolko zdusił w sobie gniew.

- Słysz, Sigwald - zaczął, zaciął się, spojrzął po towarzyszach - chodźże, odejdzem na stronę. Mam ci coś rzec. - Sigwald skinął głową; przez wargi znów się mu przewinał uśmiech.

Odeszli ku rzece - obaj wielcy, rozrośnięci, sękaci - płaskim brzegiem między wierzbami.

Czcibor przewodził ich wzrokiem, kiwał głową. Stojgniew zwrócił się gwałtownie do towarzyszy:

- Zali prawdę mniemacie, że nie weźmiem Jomsborga? Odrzykoniowi zamamlało coś w gębie, Budziwoj zerwał się, ni stąd ni zowąd zatupał nogami, zawrzęszczał:

- Co pytacie? Co wciąż pytacie? Nie widzieliście, psia...! Setkę bez mała tarczowników ubili, sucze ich dzieci! A ci tu wydziwiają: nie podejść nam do ostrokołu. Gady, gady, gniłki - dech mu zaparło, sapał, wysapał się, siadł i spokojnie już:

- Wždyż każdy jedno widzi: trza odejść. Nie rozumiecie to?

- Rozumiemy - wybuchnął Stojgniew - ale i to rozumiemy, że nynie Bolesławowi nie odejść od Jomsborga. Nie odejść! Odejdzie: wróci Oda, wróci Mieszka, wrócą Niemce Odowi z onym Arnulfem, padło! ścierwo! Zaraz wszytocy z zębami na Bolka. A pomnijcie, Puchała z drużyną jest, grodowi, Jomsborg pomoc da, tegdy...

Zaciął się, spojrzął po obecnych. Radbor mruknął:

- Nie trza było pod Jomsborg iść.

- Ale poszli - krzyknął Stojgniew - poszli, poszli... Lelum, to ci białki w zbroicy a z mieczami.

- Bacz - warknął Budziwoj - starym wojom to gadasz.

- Jam był na ostrokole, a wy... - trzasnął dłonią po pośladku. Budziwojowi oczy uciekły w tył głowy, wasy się zjeżyły, chwycił za miecz.

- Chcesz bitki? - charknął.

- Nie chcę - wrzasnął Stojgniew - kuropłochy! - odwrócił się, odszedł. Tamci sapali, zgrzytali zębami, klęli.

- Młokosy s... sysun... kichacz... smród...

Nie pognali za nim. Spojrzeli ku Bolkowi, ku rzece. Bolesław stał rozkraczony, palec przyłożył do piersi Sigwalda, mówił:

- Sigwald. Mus mi gród wziąć. Mus, słyszysz? Przysłuż się, prosz, co chcesz. Olafa napędzę, ciebie jarlem zrobię. Jarlem Jomsborga. Słyszysz? Posłuż jeno. Radź.

Rabogęby się nie rozchmurzył, w oczach miał groźny tuman, wargi zacięte.

- Nie rozwalisz ostrokołu na wodzie, nie weźmiesz Jomsborga.

- Jakże rozwalić ostrokół? Jaki sposób?

- Nie ma sposobu. Wracaj do Poznania, Bolesławie. Bolesław strzepnął kciącą dłoni.

Powiedział:

- Nie wrócę.

Zdał sobie sprawę: istotnie nie wróci. Sigwaldowi wydał się nagle ten rozrośnięty mężczyzna niedorosłym chłopcem, bezradnym i zagubionym w krętych ścieżynach powikłań wojny, do której nie dorósł, zadań, którym nie sprostał. Poczł gryzącą pogardę. I żal, że stanął po stronie niedowarzonego wyrostka; żal wyrodził się w gniew, targnął Sigwaldem; uświadomił sobie hańbę wygnania i samotność; ostrą tęsknotę za jomsborską wspólnotą. Nie wrócić mu ze zwycięzcą do Jomsborga, nie zostać obrońcą grzędzi. Zatrzęsła Normanem gwałtowna chęć pognębienia Bolesława, zemsty za własną głupotę i porywczosć. Czyli można zestawić Olafa z Bolkiem; męża z wyrostkiem; wodza z chłopcem? Gdy mówił, głos miał zduszony, wydzierający się gdzieś z głębi brzucha, naśmieszliwy i pełen pogardy:

- Warchlę, kiedy je psy przytrzymują za uszy, takż kwiczy.

Stojący przed nim otrok nie wybuchnął; zmilczał; oczy się mu schowały, z piersi wydobył się charkot. Sigwald nie spuszczał srogię spojrzenia z ogromnego wyrostka:

- A nie gadaj, że nie wrócisz. Lepiej ci doma siedzieć, do boru chodzić, niżli pod Jomsborg wojów wieść.

Bolko zacisnął pięści, przyskoczył do Wikinga, obu pięściami uderzył go w pierś, krzyknął cienko, jak kogut, po chłopięcemu:

- Rozdepczę Jomsborg! Rozdepczę! Rozdepczę! Sigwald się nie zasłonił od ciosu.

- Ano - powiedział nie spuszcżając wzroku.

Wtedy Bolko się odwrócił i poszedł ciężkim, rozbitym krokiem. Czciwor, który nie spuszczał zeń oczu, stęknął, wstał, podszedł doń, objął go prawą ręką, jakby Bolka ugodził cios włócznią. Spytał sapiąc:

- Co rzekł ci Sigwald?

Bolko podniósł nań bezradne oczy:

- Nie macie nijakiej rady, stryju?

- Jutro obaczym - mruknął Czciwor i nasępił się.

Bolko uparł się, nie kazał związać obozowiska, nie zatrąbił w rogi na odwrót. Pojechał ze Stojgniewem ku Jomsborgowi, paśł oczy do wieczora widokiem nie zdobytej twierdzy. Nic nie gadali do siebie, Stojgniew leżał na plecach, patrzył w niebo; po niebie leniwo snuły się białe obłoki. Nad wieczorem Bolko odwiązał konia, z lewą ręką wspartą na końskim karku zwrócił się do podnoszącego się Stojgniewa:

- Co, Gniewek? Rzucić Jomsborg? Jak radzisz?

- Nie-odciał krótko Stojgniew, próbował się uśmiechnąć, nie dał rady drewnianym mięśniom twarzy. Spotkali się wejrzeniem. Milczkiem siedli na koń, pojechali stępa podle siebie.

Noc Bolesław przełaził po zaoboziu, gryzł paznokcie, zacinał się. Rankiem podciągnął drużynę pod Jomsborg. Pomorców ostawił na tym brzegu, z resztą się przeprawił na jomsborską stronę, otoczył gród. Jomsborczycy - na złość pewno, bez potrzeby - otworzyli wrota, wypuścili trzydzieści łodzi, pływali środkiem rzeki. Z obu brzegów woje krzyczeli, wściekli z bezsilności, wymyślali, klęli, pluli w stronę czerwonopiórych łodzi, rzucali w nurt końskim kałem. Nocą spuścił Bolko wszystkie łodzie w dół rzeki, obsadził pancernymi, kazał pilnować wody. Drużyna niechętnie wsiadała w czółna. Rankiem się znów ukazali zbóje jomsborscy, natarli na drużynę Belkową, nie zdołali jej rozbić ni zatopić żadnej łódki, ale zepchnęli je ku brzegowi. Stąd sypnęły się na nich strzały, oszczepy, ludzi ogarniała wściekłość, że nie mogą wroga dosięgnąć, poniekąd skakali do wody, brodzili do kolan, do pasa, wymachiwali pięściami i bronią. Zadora, który na pokaz ciskał toporem, nie wytrzymał, rzucił. Topór wbił się w bok łodzi jomsborskiej, przedziurawił, Wikingi wyrwali go, woda zaczęła wciekać do środka. Wylewali ją szłomami, wiosłowali szybko ku wrotom, przeprowadzał ich ryk radości i śmiechu. Ale inne łodzie nie spłynęły, aż wieczorem; do Pomorców na tamten brzeg trzeba było przeprawiać się aż pod Wołyniem. Kiedy Śniat spróbował przepłynąć małym czółnem tuż za zakrętem, Jomsborczycy dojrżeli go, dogнали, zarabali u samego brzegu. Pięć łodzi wyprawili ku morzu, Bolkowi nie potrafili ich zatrzymać.

W trzy dni później wczesnym rankiem łodzie przemknęły się z powrotem do grodu, ciężko wyladowane. Bolko znów zebrał radę, nie pytał już jej o zdanie. Wiedział: cała drużyna, pancerni, tarczownicy, Czyciborowi Pomorcy, wszyscy dziesiętnicy i setnicy mieli jedno na myśli - wracać. Bolko powiódł gniewnym wzrokiem po milczących gębach, powiedział sucho i twardo, słowa wyrąbywał z trudem, nie laży mu przez gardło:

- Zbóje jomsborscy żarcie przywieźli do grodu. Za mało obsadzilim gród, lepiej obsadzim. Trza pilnować.

- Na wodzie nie upilnujesz - mruknął Czycibor - zawsze przejdą.

- Na wodzie nie bić się nam z Jomsborgiem. Pobiją- Budziwoj rzucał słowa ciężko, niby kamienie.

- Woje nie chcą w czółna siadać - supłał Radbor.

Twarz Bolesława schudła przez ten tydzień, nos się mu wyciągnął, oczy stwardniały. Zaciął zęby,

powtórzył z uporem:

- Nie lza jomsborczyków ku morzu puszczać.

Czcibor pochylił się do bratańca, powiedział miękko:

- Nie zdołasz, Bolko. Na ziemi pobilibyśmy Wikingów, na wodzie oni pobiją. Woje burzą się, Jomsborg zawsze rzeką ku morzu przejdzie.

Bolko napiął mięśnie ramion, zdawało się: zerwie się, ale siedział, natężony niby napięty łuk, który zamarł, wciąż nie spuszczać grotu i wciąż nim grożący. Zaciekle jego usta wywazały słowa:

- Rzeką zawsze przejdzie, prawicie? To mu rzekę zamknem. Przez zaporę nie przejdzie.

Rzekłbyś, strach przewiał przez krąg rady.

- Rzekę zamknem? - głos Odrzykonია był daleki, jakby zagubiony w puszczy.

- Abo to w lesie nie umiecie zasieków ciąć? Czym rzeka dla Jomsborga? Droga. Chodzi tą drogą, kiej chce. Trza mu drogę zawalić, zasiek zrobić. Pni naciągać, kamieni w koryto narzucać, wikliny, gałęzi... Niechże potem górą łodzie przeciąga abo i brzegiem: tam już ji dopadnem.

Milczące przerażenie kręgu przerwał Czcibor:

- Miesiąć trza by zasiek przez rzekę robić. Szeroka.

- Miesiąć będziem robić.

- Chcesz głodem Jomsborg brać?

- Kiedy inakszy nie można, głodem.

- Roku na to mało.

Bolesław prędko oblizał zeschnięte wargi:

- Będziem rok siedzieć.

- Jakże to? Bolko!

- Nie odstąpię Jomsborga.

- Lelum! - jakby jęk z gardzieli Odrzykonია.

- Co jeść będziem? Już mięso się kończy. A zima? Jak zimą?

- Łowy nakażę, zwierza nie brak. Kupcom z Wołynia weźmiem. A zimą? Zimą po łodzie podejdziem do Jomsborga.

- Rok... - stęknął Radbor.

- Słuchajcie mię - Bolko już nie wytrzymał napięcia, zerwał się, krzyczał - wezwał was na wiec, na krąg, na radę. Onegdaj mówiłem wam: radźcie. Milczeliście isto kiej woły. Nynie ja rzekę: nie odstąpić nam od Jomsborga, aż weźmiem ji abo szejniem. Miesiąc trza abo trzy? Będziem siedzieć trzy i pięć, i rok. Wasza rzecz sposób wynaleźć: póki nie macie innego sposobu, groblę będziem na Dzewinie stawiać, do morza zbójów nie puścim. Nie gadajcie nic, abo...

Żuchwy mu na policzkach latały.

Rozeszli się nachmurzeni, ale już ich jakaś twardość zaczęła ogarniać, zła, nienawistna zaciętość. Przekłęte zbójce gniazdo! Ostro zabrali się do Belkowych nakazów. Wnet hyr poszedł po drużynach: Bolko zasię będzie na rzece kłaść, nie pójdą zbójce do morza. Szczęki się zaciskały w srogim gniewie. Tegoż dnia jeszcze Czibor wysłał Niegosza do Kołobrzegu po dwie ście niewolnych, Bolko Zadore do Wołynia, w którym wprzód Zadora stróża stał, po woły, by kloce na brzeg wołami ciągać. Tymczasem tarczownikom nakazano w borze drzewa ciąć, Pomorcom - kamienie ponad brzegiem rwać. Nim woły przysły, otrzebione pnie nawiązywano na powrozy, po dziesięciu ludzi wkładało ramiona w pętle, wlokło po płaskim żwirowisku nadbrzeża. Przystawali, ocierali pot, sapali; potem znów w przygiętym napięciu, krok za krokiem odciskali się do przodu, pień podskakiwał, zacinał się; wtedy klęli.

W czas odpoczynku śpiewali ochrypłymi basami:

Chodziłim na Czechów,

bijałim Czechów,

braliłim złote dzięgi a skóry, a rogi,

piliłim w istbicach,

w istbicach a komorach

księdza czeskiego,

księdza silnego.

Spaliłim z dziewczkami,

z dziewczkami krasnymi

księdza czeskiego,

księdza silnego.

Pieśń się urywała, szumiała puszcza nad głowami. Chudy, z kaczą gębą Bień rozpoczynał cienko, po babsku:

Chodził na Niemców... Basy wnet podchwytywały:

bijał Niemców,

bralim ostre miecze a szłomy, a szczyty...

Wiatr niósł pieśń po Odrze na tamten brzeg, ku Pomorcom:

Chodził na Rusków,

bijał Rusków...

Wieczorami przy ogniskach Bolesław słyszał często pieśń o swoim ojcu. Pojedynczy głos zawodził:

Walny był ksiądz, onże Mieszka, siłę miał, biegał, skakał i pływał.

Jak grzmot huczał potwierdzający przyśpiew, ostre klaskanie w dłonie:

Lado! Lado! Lado!

I znów głos zawodzący:

Kogo napadł on, Mieszka, ten legi, zawsze bijał wrogów swych Mieszka.

I znów grzmot:

Lado! Lado! Lado!

I znów niby wyrzut:

Jak nam nynie bez Mieszki, kto powiedzie nas, kto pogromi wroga.

I pełne żalu:

Lelum! Lelum! Lelum!

Niby gorycz sącząca się do duszy:

Ejże, sami już my nynie, jako ptak, jako zwierz, jako pień.

I potwierdzenie:

Lelum! Lelum! Lelum!

Bolesław zaciskał pięści i usta. Myślał:

“Wezmę Jomsborg. Rozdepczę. Gadzina!”

Ale to wzięcie było za górami. Chodził pilnować leśnej roboty. Nie wytrzymał pilnowania. Wprzągnął się w pętlę, ciągał zrąbane pnie. Nawalał się wraz z dziesiątką do przodu, ciągnął z oczyma wlepionymi w wydeptane czarne ślady, w koleiny wyżłobione w torfowisku przez przeciągane bierwiona, w stłamszoną nogami trawę, w szaropstre przybrzeżne kamyki. Kłody wrzucali w wodę za wbite w dno rzeki koły, wciskali kamieniami w głąb, budowali potworny płot przez całą szerokość Dziewiny. Wolno robota szła, ciężka była, ludzie sarkali. Tarczownicy chodzili ozeżleni, swarzyli się lada o co. Bolko kilkakroć pytał radę:

- Znaleźliście sposób?

Milcząc przeczyli głowami.

- Szukajcie. Kto znajdzie, temu kłobuk złota nasypię, drugi jantaru. Powiedzcie Sigwaldowi, może się ułakomi.

- Uhm...

- A brzegów dobrze pilnujecie? By na nie ubezpieczonych nie napadli.

- Pilnujem. Nie napadną.

O to pilnowanie najbardziej byli rozeżleni tarczownicy. Że niby pancerni brzuchy w słońcu nad brzegiem grzeją, na wodę patrzą, do boru na zwierza chodzą, a oni muszą las trzebić, kłody ciągać. Do uwijającego się tu tam Bolesława dochodziły strzępy wojowych narzekania:

- Nogi już mi gniją od tej wody a tego błocka.

- Nie odgniją, nie bój się.

- Odrzykoń ze swymi, bacz, suche miejsce wybrał.

- Abo to im wola zadki moczyć.

- Nie zbudujem tej grobli. Woda uniesie.

- Drugą będziesz budował.

- Niechże pancerni budują...

- Sucze synki.

Kiedy pod wieczór Dzierżyk przyszedł między tarczowników szukać Gza, wraz posypały się za nim przycinki:

- Sysun! Sysuńczyk!

- Dawnoś cycać przestał?

- W pancerzu dobrze pływać? Ee?

- Baba kraszona.

Dzierżyk nie zważał. Gorączkowo wypytywał o Gza, śpieszyło mu się, znalazł go leżącego na brzuchu, pijącego wodę z potoku. Trzepnął go po ramieniu:

- Cał!

Giez się podniósł na rękach, spojrział krzywo, nie uśmiechnął się, nie oddał pozdrowienia. Zamamrotał pod nosem, znowu położył się, by pić; giezło przylgnęło mu całkiem do spotniałych pleców. Dzierżyk krzyknął:

- Giez! Co ci?

- Tyś pancerny, wielmoża, co do smardów przychodzisz?

- Giez! - w głosie Dzierżka zadrgał żal. Giez się podniósł, klęcząc patrzył w górę na chłopca. Tyś mię do drużyny przywiódł. Pomnisz? A teraz?...

- Teraz mnie pnie ciągać, tobie wody strzec a bić się - nie mógł przełknąć goryczy; ale już mu śmiech latał koło oczu; lubił smardzika.

- Pójdź. Mam ci coś rzec.

Gdy szli przez długie, liliowe cienie od drzew, ugodzili się. Giez opowiadał z niejaką dumą:

- Bolko ciąga ze mną w jednej dziesiątce.

- To co pyskujesz?

Zasiedli z dala od obozowiska. Słońce jeszcze nie zaszło, ugrzęzło między drzewami, świeciło przypaloną żółcią. Chłodna niebieskość ciągnęła od rzeki. Niebo było jasne, przejrzyste, sączyło złotawym światłem. Od Gza niesło gęstym, spracowanym potem. Ocierając twarz gwarzył:

- Nie wiada, jako będzie. Mołwią, że Bolko nie chce ustąpić, ale grodu nam nie ugryźć. Złość! Nie mogę patrzeć na te ich żółte brody, mgło mi.

Dzierżykowi nie siedziało się z podniecenia:

- Pomnisz, jako to zbóje napadli Ślizniów nad rzeką?

- Co nie mam pomnić? Śliznie, jak baby, bić się nie chcieli. Jeno Kuternoga, pomnisz Kuternogę...

- Pomnę.

- Jeno on staruch był wojem, a my z tobą. Pomnisz, jak my łodzie spalili?

- Pomnę. Kiej nas tera pobili u ostrokołu, ciągiem mi tamte łodzie chodzą po głowie, a chodzą. Aż mi złość...

- U nas bają, nie rozbijem ostrokołu, nie weźmiem grodu. A jak rozbić? Ani podejść. To mołwię ci, jakeśmy podpływali do żelaznych wrót, plaskali po nas grotami kiej piaskiem.

- Po co do ostrokołu podchodzić? - krzyknął zduszonym głosem Dzierżyk. Giez spojrzał nań zdumiony.

- Jak to?

- Po co podchodzić? Pomnisz, jakeśmy łodzie spalili: chrustem a smołą. A ostrokół z czego? Nie z drzewa to? Byle go chrustem obłożyć, smołą polać, spłonie.

Giez splunął.

- Głupiś, Dzierżyk. Jakże to, w wodę chrust będziesz kłaść, smołę lać? Koń cię w brzuch kopnął, że momoczesz?

- A po co w wodę? Słyszałeś, jako Jarowit Bolkowi sulił kłodziny w płety spoić* dopiero na nich płynąć. A nie można by na płet chrustu nawalić, smołą polać, a na ostrokół z prądem puścić.

- Hę - powiedział Giez, prędko wstał. Chwilę patrzyli na siebie, milcząc, sapiąc tylko. - Dzierżyk - rzekł Giez. - Do Bolesława nam, do Bolesława.

Gdy się zbliżali do Belkowego namiotu, ujrzeli przed nim Zadorę. Bolko wrzeszczał ponad sosny:

- ...nie chcą bolej wołów dać? Mołwią, że nie mają? Ja im... Poślę im na dzień tarczowników, najdą się woły, nie bój się... - dojrzał Gza i Dzierzka:

- Wy z czym?

- Przynieśliśmy wam sposób, Bolesławie, jak rozbić ostrokół Jomsborga - powiedział Dzierżyk; głos mu się rwał.

Bolko stał chwilę bez ruchu, w oczach mu jeno migotało - w migocie tym dojrzał Giez błysk pancerza, który dostanie w nagrodę. Serce mu stukało, jakby to koń leciał przez polany, przez łągi. Wiedział: rankiem będzie już w pierwszej secinie książęcej. Gęba się mu rozszerzyła uśmiechem, gdy zaczynał mówić na rozkaz Bolkowy:

- Kiej jomsborczyki napadli na Śliźniową gromadę, ja a Dzierżyk...

Bolesław słuchał z namarszczoną brwią, w milczeniu.

Po trzydziestu latach - i więcej - opowiadano jeszcze o tym wspaniałym ataku. Nie tylko nad płaskim wybrzeżem Pomorza, obmywanym rozplywającą się falą, ale i w szumiących puszczech wzdłuż Odry, na górnym i średnim Śląsku, w ziemi Dziadoszan i Lubuszan, po jasnych nadwartańskich polanach, na żyznych namulach kujawskich, wzdłuż całego roztocza po obu brzegach Wisły po Sandomierz i Kraków. Dzierżyk rzucił już dawno swą nadmorską stróżę, szeroko rozsiadł się w nadanej włóści nie opodal Soboty. Wiechowaty szary wąs okalał mu usta, zwisał z obu stron brody. Oczy patrzyły wesoło, siwe i świecące. Miał młodą białkę od Nagodziców - drugą, po Dobrachnie, od Odrzykoniam. Tamta, przezywana dla swej wesołości Sikorką, dała mu jedenastu synów, ni jednej córki; ta sypała córkami kiej gruszka. Dworzec był rozrosły, tęgi, rozbudowany - zawsze otwarty. Gęsto, szeroko zjeżdżali doń goście - przednie rody - dla pogwarki, rady, snębienia, zjazdów opolnych, łowów. Dzierżyk sadzał gości w godnym kącie, czcił, poił piwem i miodem. Bystre oczy zamyślały się pod siwiejącymi brwiami o dawnych czasach. Bajał wolno, z namysłem, zapatrzony w wielką przeszłość.

- Jakem przyszedł do Bolka z ona radą, zrazu stał milczkiem, patrzył na nas, mrugał oczyma. A był ze mną pewien woj, onże Giez, zarąbany później przez Niemców. Walny woj, ze Śliźniowego rodu. Bolko, jak stał, tak obłąpił nas, mnie i Gza, i krzyczy wraz: "Proście, czego chcecie." Tegdy Giez rzecze: "Weźmij mnie do drużyny, Bolesławie, daj zbroicę, a miecz, a konia". "Dam - wrzeszczy na to Bolesław - wraz dam. I ty czego byś chciał, Dzierżyk? Złota abo jantaru, abo konia dobrego?" "Ja mołwię tegdy Bolesławowi - jać nie chcę ni konia - mołwię - ni złota, ni jantaru. Ja - mołwię - konia a zbroicę mam, a złoto najdę w onym grodzie". "Czegóż chcesz?" - pyta Bolko, a oczy mu latają, latają. "Abyś mię tu nad morzem ostawił na włodarstwie - mołwię - na łodziach chcę pływać, po morzu łupić jako Wiking."

Oczy Dzierżka uciekły w on drzewny czas, nad Dzięwinę, gdy był stał tak przed zdziwionym wzrokiem Bolesława. Bolko milczał, uśmiechał się, patrzył. Aż znowu porwał Dzierżka w twardy uścisk, wołając:

- Dostaniesz włodarstwo i łodzie, niech jeno weźmiem Jomsborg. - I śmiał się.

Dzierżyk siedział teraz przed gośćmi zamilkły, ręce złożył na stole, patrzył w ona godzinę największego swego triumfu. Nie dał takiej rady Bolkowi ni Czycibor, ni Budziwoj, ni Stojgniew, ni Radbor. Ej, to się waliły drzewa na pęty, a ciągały łodzie smołę z Wołynia, a zbierali woje chrust i żywiczne gałęzie. Latały gadki po obozie:

Spalim Jomsborg.

- Niechże leją wodę Wikingi na ogień, ejże; nie zaleją płomienia, nie ugaszą.

- Słyszeliście, Giez za ona radę pancernym ostał.

- Ty byś takoz ostał, nie bój się.

- Chciałbyś.

- Trza człeczny łeb nosić, nie barani. Trykać rogami baran umie, radzić nie umie.

- Twój urn na róg z piwem starczy.

Budziwoj krzyknął przez gęstwę: Rąbać, psia... nie swarzyć się! Bacz, zachód blisko.

Rąbali, złote wióry strzelały na chłopca wysoko.

A potem przyszedł ranek siwy, siny, zamglony. Czterdzieści trzy płety na dziesięć kroków długie, na dziesięć szerokie stały uwiązane u brzegu, wysoko nałożone chrustem, oblane lepko ściekającą smołą. Pancerni ładowali się w czołna, tym razem chętnie, ochoczo, bez szemrania. Nie podnieśli zrazu wielkiego krzyku. Milczkiem popychali płety drągami nie na główny prąd, lecz w lewo od żelaznej bramy, gdzie woda, ściśnięta z dwu stron palisadą, pieniała się i kipiała - w miejscu. Gdy podeszli na półtora sta kroków, Bolko krzyknął: Zapalaj!

Siedzący na każdym pleczie woj z gorejącą pochodnią przytykał ją szybko tu, tam, ówdzie; w środku i z brzegów; potem skakali kolejno do łodzi, jak żaby, umazani smołą, z ogniem w oczach. Gęsty, czarny dym owinął połogo czterdzieści trzy kupy chrustu, zwijał się, rozplaszczając nad rzeką, aż poprzez kłębiące się siwo płaty wyslizgały się długie, żółte języki, biegały drżące na strony, łączyły się, buchnęły czerwona, wysoko tryskającą łuną ognia: dym szeszał jak zdmuchnięty. Wszystkie czołna zawyły wielkim rykiem - podziwu i grozy - i zamilkły: stłoczeni na ostrokole Wikingowie, wpatrzeni szeroko rozwartymi oczami na walącą wprost na nich pożogę, nie wydali głosu; wiatr nie powiał, ptak nie zakwilił. Szare obłoki sennie sunęły po niskim niebie. Tylko ogień wył na cichym nurcie Dziewiny, syczała woda pod padającymi węglami. Blokowi wparli wiosła, oniemiałi patrzyli na atak huczącego pożaru.

Płety doszły.

Pierwszy uderzył w palisadę, okręcił się, przechylił, trysnął garścią rozsypanych skier. Zaczął spływać, powstrzymał go wtóry, płonące wyspy dopływały jedna za drugą - po wodzie szedł tępy stuk uderzeń, jakby młotem o dąb puszczański. Wstęga ognia opasła Jomsborg, zwijała się w kącie między bramą a biegnącą w bok palisadą, ogień lizał wilgotne słupy, huczał, podnosił się w górę, przez piłowaty grzbiet przepelzał na tamtą stronę. Jomsborczycy cofali się tyłem, jair przed Puszcza wrogiem, jak przed płomienistym smokiem, osłaniając twarz tarczami od żaru; skowyt, niby biały dym, zwijał się nad Jomsborgiem.

Cała południowa ściana grodu płonęła jednym ogniem.

Trzydzieści lat - i więcej - szły gadki po całym kraju o tym ogniście ataku. Dzierżyk przerywał opowieść, a milczący goście ze wspartymi na rękach głowami wsłuchiwali się w ów dawny huk pożaru - z podziwem, zgrozą, lękiem.

Po godzinie plusnął w wodę przepalony u dołu pierwszy słup palisady; zasyczał rozpaczliwie i zgasał w obłoku pary, niezdolny już dać odporu napastnikom. Za nim padały inne. Zwęglone kikuty leniwy prąd wewnątrz portu niósł wolnymi obrotami pod czerwonopióre łodzie, do których nikt już nie wsiadał. Jomsborczycy - z trwożną rozpaczą - kupili się na pomostach dla odparcia wrogów; głos

białowłosego Olafa nie zaganiał ich jak dotąd, gromki by trąba; zda się, pożar ostrokołu zwęglił mu oczy, jak owe czarne słupy, błakające się tu tam po zatoce. Na gromki krzyk ruszającej drużyny Bolesława odpowiedział jak echo odzew jomsborski - miękki, zwiotczały, bez wiary.

Szczerbata palisada nie stanowiła już żadnej przeszkody. Łagodnie kiwające się łodzie z dumnymi pióropuszami nie zdały się w tej chwili na nic.

Dzierżyk - po trzydziestu latach - odczuwał jeszcze ów wstrząs zapału, z jakim się darli na półzwęglony pomost, parząc ręce, biegnąc po dymiących dylach i każdym krokiem krzesząc snopy iskier. Biegli tuż nad zielonkawą wodą długim wężem, z huczącym do chmur krzykiem:

- Bolesław! Bolesław!

Starli się w wąskim przejściu, owiani zapachem spalenizny - tępe i metaliczne uderzenia, rzadki krzyk - parli już w ciszy. Trupy zaczęły pluskać w wodę, miecze trzaskały, sulice miękko wcinały się w ciała, topory głucho stukały, dzwoniły zbroje, łomotały tarcze. Nad ciszą wody biegł pstrokaty jazgot pomieszanych odgłosów rąbania, uderzeń, krzyków, plusku. Powoli zrywał się, unosił, rósł ryk Belkowych.

Ryk zwycięstwa.

Jomsborczycy skryli się za wewnętrzny ostrokół grodu; ledwo zdążyli spuścić bronę. Przez kraty widzieli bezładne kupy Belkowych, śpiewających, huczących, kłębiących się po całym nadrzeczu. W rozjuszeniu, w szaleństwie zwycięzcy zaczynali już rąbać łodzie jomsborskie, póki nie wstrzymał ich gromki krzyk Bolesława: książę kazał ściąć tylko wszystkie pióropusze i powrzucić w wodę, łodzie ostawił.

Sigwald siedział w kucki na pomoście, nad brzegiem rzeki. Miecz mu sterczał między kolanami, oparty płasko na prawym udzie; rękojeść tuż pod ręką. Sigwald głowę zwiesił, patrzył na zwęglone belki pomostu. Pożar nie zdołał ich zeżreć, nawilgłe wodą paliły się, póki palił się chrust i smoła. Przed dwudziestu pięciu laty Sigwald ciosał z towarzyszami bierwiona na ten pomost. Drzewo było jędrne, twardo odskakiwały długie szczapy. Furczały siekiery w mocnych garściach. Teraz Sigwald patrzy na czarny, nierówno pokarbowany - w poprzek - węgiel; czarne okruszyny mienia się tęczą w zachodzącym słońcu; sęk się wypiera gwiaździstym popękaniem mocno osadzony w drewnie, związany żywią ze splątanymi włóknami pnia. Sigwald końcem miecza odłupuje kawałki węgla, dogrzebuje się do zdrowej tkanki - nie wszystko jeszcze przepadło. Trzeba ratować Jomsborg.

Zmęczonymi oczyma - szyderstwo z nich uleciało niby spłoszony ptak - spogląda na senną roztocz Dziewiny; skądś dolatuje krzyk żab. Po czarnych kikutach ostrokołu skacze pliszka, kiwa ogonkiem. Bolka wciąż nie ma. Trzeba ratować Jomsborg.

Jomsborg! Ale nie Olafa Trygwasona. Ten niech szczeźnie. Niechaj go Bolko rozedrże. Niech...

Sigwald obraca głowę - obojętny, pohańbiony Sigwald. Za nim, na wewnętrznym pomoście, szeroko wjeżdżającym w zamkniętą ostrokołem wodę, rozłożyła się Bolkowa drużyna. Hałasuje. Za ostrokołem, za żelaznymi wrotami! Dalej skupieni na kłaczku wyspy odrzańskiej czekają nierównej walki wolni zbóje jomsborscy. I białowłosey Olaf... Sigwald kuca na brzegu, cierpliwie, bez znużenia czeka na powrót Bolkowy, na ratowanie Jomsborga... Woda drobniutką falą pluska o słupy pomostu; pliszka skacze po czarnych niedopałkach; nad wodą poszarpany krzyk mew.

Słońce wisi nieruchomo ogromne, szkarłatne, palące się nieugaszonym pożarem. Dreszcz przebiega po plecach Sigwalda na wspomnienie tego ranka, gdy z brzegu patrzył na atak. Uśmiech z wolna spęłzał mu z twarzy, zmazywany okrutną ręką nieszczęścia. Czyliż istnieje większa gorycz nad widok triumfu pogardzanych? lub większa rozpacz nad rozpacz straconej dumy? Sigwald zapamiętał się w nieświadomym rozpamiętywaniu niewiarygodnej klęski.

Nie dostrzegł, że słońce dotarło wreszcie do czarnej gęstwy puszczy i osunęło się za nią od razu; pliszka poderwała się ostro, uleciała; żaby zmiłkły z nagła. Dopiero drgnął usłyszawszy nienawistny szept:

- Sigwald.

Bolesław stał teraz u pomostu na wodzie, jakby czarodziej, jakby w tym dniu nic dlań nie było niemożliwego. Wiking porwał się, ujrzał wtedy, że Bolko stoi w małej łodzi, którą przed chwilą spłynął z góry rzeki. Wygramolił się niezdarnie, umazał sobie dłonie spalenizną na czarno. Sigwald próżno szukał w jego spojrzeniu owego chłopiństwa, z którego się naigrawał przed paru tygodniami. Bolesław klepnął jomsborczyka czarną ręką.

- Rankiem uderzę na Jomsborg. Nie stanie zbójów jomsborskich.

Sigwald zżuł drewnianą suchość w ustach, przełknął powietrze. Odpowiedział obojętnie:

- Albo twojej drużyny nie stanie.

Bolko się roześmiał, urwał śmiech, spojrzał zadumany:

- Mogłeś zostać jarlem Jomsborga, Sigwaldzie. Nynie topielcom będziesz jarlował: jutro z jomsborskiej grzędzi ostanieś żywy ty jeden.

Sigwald spojrzał wzdłuż czarnego pomostu, z którego tuówdzie sterczały nie dopalone pniaki, i dreszcz przebiegł przez jego ciało od głowy do stóp, niby przez drzewo pod zamaszystym ciosem siekiery. Dojrzał siebie, jak się tłucze samotny pod czerniejącą oponą nocy, przetkaną rzadkimi gwiazdami, po czarnym spalenisku. Trupy jomsborskie porozrzucone w nieładzie, w rozpacz, w obłąkaniu, obdarte ze zbroi i broni na znak pohańbienia i klęski. I on - samotny jarl pobitego grodu - spogląda w srebrną wodę, odbijając jasność dnia, który już zeszedł. Sigwald był twardym wojem, nie marnującym czasu na dumki; widział dotąd jedynie to, czego mógł dotknąć i co zrębać mieczem. A teraz widzi siebie - wyraźnie, namacalnie - błakającego się po martwych popieliskach. Tfu! urok, czar... Rozdwoili go zaklęciem czy odebrali odeń wiecznego towarzysza - cień, który błędził teraz z dala od niego, równie samotny i niemy.

Przemógł się, przemówił, ale głos miał chrapliwy, jak z zepsutego rogu:

- Bolesławie!

Tamten drugi Sigwald na końcu pomostu obrócił się nagle, jakby słuchał - znieruchomiły - zachrypniętego rogu.

- Bolesławie - mówił Sigwald zerkając na swój cień, cień rogatego jomsborczyka - masz siłę wielką, jakiej nigdy nie zebrał twój ojciec, Mieszka. Ale czy nie utracisz jej, rozbitej mieczami Jomsborga - głos Sigwalda mocniał, tężał, gubił z każdym słowem niepewne, chrapliwe tony. - Przecież wiesz, jak jest mężny jomsborczyk; jak nigdy nie idzie w jeństwo; jak bije każdego wroga - drugi Sigwald zdawał się potakiwać, kiwał głową - nie bądźże dumy, Bolesławie, przed bitką. Ostrokół spaliłeś złą, podstępna chytrą, ale nie uniesiesz kości z czarnego pomostu.

Z dala, zza ogrodzenia, od zamkniętych Wikingów dobiegło granie wielu rogów przeciągłe i żalodne. Wszyscy trzej - Bolesław, Sigwald i daleki cień Sigwalda na końcu pomostu - znieruchomieli, nasłuchiwali.

- Co to? - wykrzyknął Bolko.

- Wikingów zwołują na krąg - zawołał Sigwald, a w głosie zabrzmiał mu triumf - będą radzić tam, jak cię zniszczyć, Bolesławie. Nie ujdiesz.

Rogi wyły długo, głos się ich snuł by smugi dymu po całym nadrzeczu. Bolko wstrząsnął się jakby od chłodu.

- Wiesz dobrze, że nie ty mówisz do mnie, Sigwaldzie. Że mówi do mnie twój strach.

Sigwald przysunął się doń zdradliwym, prędkim ruchem, zaczął mu szeptać w ucho:

- Po co ci łamać Jomsborg? Albo źle mieć stróżę nad rzeką? Albo nie służyli jomsborczyki wiernie twemu ojcu, wielkiemu Mieszce? Albo nie zdadzą ci się łodzie czerwonopióre, które pójną bez strachu, gdziebyś je posłał? Czy się nie lepiej ugodzić z Jomsborgiem, miast położyć u ostrokołu połowę drużyny czy więcej?
- Ugodzić się? - powtórzył Bolesław i zamyślił się. Przez szybko napływającą od puszczy ciemność starał się przejrzeć twarz Sigwalda; twarz ta już była zamazana, nieprzenikniona. - Ugodzić się? Jak pojmujesz?
- Uczyń mię jarlem Jomsborga - w uszach zabrzmiał Bolkowi głos pełen wyrywającej się z najgłębszego utajenia namiętności - uczyni jarlem, a będę ci wierny kiej pies. Wiesz, że Jomsborg, komu zaprzysiągł, wiernie służy.
- Jużeście mię zdradzili raz. Dla Ody.
- To Olaf - tchnął Sigwald nienawistne imię.
- Olaf? - Bolko potarł czoło, jakby w najgłębszym zamyśleniu.
- Ubij Olafa albo wygnaj - krzyknął Sigwald, a od dalekiego jego cienia, znikającego niemal całkiem w ciemności, dobiegło coś niby sieknięcie. - Olaf w Jomsborgu, JomsSorg jest przeciw tobie.
- Dobrze - powiedział prędko Bolesław, nagle zdecydowany - uczynię cię jarlem Jomsborga, jeśli...
- zdawał się namyślać, Sigwald czekał z zatajonym tchem - jeśli Olafa wygnacie; oddam jego łodzie, by mógł jechać.
- Lepiej ubić- stęknął Sigwald. Bolko ruszył niecierpliwie ręką:
- To wasza rzecz, ty słuchaj mojej woli. Ja ci będę jarlem najwyższym Jomsborga, ty jeno moim wojewodą.
- Dobrze - rzekł Sigwald, byle szybciej dobić układu, byle zniszczyć widmo własnej samotności, tłukące się po pomoście.
- A w zakład wierności dacie mi drużynę, jako mój ociec miał.
- Wszystko?
- Czekaj. A w Jomsborgu ostawię dwie setki wojów z mojej drużyny z wtórym wojewodą. Któremu dacie miejsce za ostrokołem a spyżę, a łodzie. I to będzie wtóra moja drużyna nad morzem.
- Abyśmy się nie buntowali - przeleciało przez głowę Sigwalda, a wnet potem, że byle jeno sposobność: ujrzał zwały trupów z porąbanymi głowami, pomordowanych zniecka, we śnie albo na uczcie. Za nimi huczała nieznośnie gęstwa wojowników Belkowych, nienawiść napłynęła Sigwaldowi do gardła, że ledwo wydusił:
- Dobrze.

- Ziemi moich ni brzegów łupić wam nie lza. I Wołyń będzie mój, nie wasz.

Sigwald już nie mógł mówić. Skinął głową.

- Jakże im powiesz o mojej woli? - spytał Bolesław, odwrócił się i nie czekając odpowiedzi odszedł.

Dobiegł go szept - nie wiadomo - pełen bólu czy radości:

- Pójdę, powiem im wolę twoją. Jutro Jomsborg będzie mój i twój.

- Mój... i twój powtórzyła ciemność głosem Bolka, z mocnym naciskiem na pierwszym słowie.

Sigwald patrzył na nią chwilę, czuł zamęt w głowie, w rękach, nogach, w cichym powietrzu nad głową, w ledwo pluszczącej fali. - Ugodził się z Bolesławem, uratował Jomsborg. Nie myślał, że zaprzedał go w jeństwo; że złamał główne prawo jomsborskie; że oddał się w ręce polańskiego księcia. Rozpierała go radość, nie zdołał jej utrzymać, rwała się zeń, podniósł obie ręce, zawył aż do morza:

- Haaa o! Haaa o! Oooooo!

I w tejże chwili ujrzał znowu swój cień, który się wyłonił z ciemności i stał przed nim. Drgnął, poczuł chłód na karku, w krzyżu, cień się odezwał zduszonym głosem:

Sigwald.

- Ktoś?...

- Ulf. Wykradłem się z Jomsborga. Po ciebie. Wracaj. Wikingowie już nie chcą mieć jarlem Olafa, buntują się.

- Nie chcą?

- Chcą ciebie.

Białowłosey Olaf leżał na skórze niedźwiedziej, w pełnej zbroi, z mieczem, z toporem. Słuchał pieśni ukochanego skalda i przyjaciela. Starzec u nóg Olafa przykucnął, w lutnię uderzał, śpiewał, zapatrzony w gęsty mrok halli:

...Morza nie będę opiewał, białej wściekłości fali ni przewracanych czółen ani zwycięskich łodzi...

...ani wichru opiewał nie będę, co drze morze oszalałymi zębami...

...ni potworów, które ramię męża zabija, które się przewalają na falach, na morzu czarnym i złym...

...ani łodzi szybko biegich, co się nie boją ni mórza, ni fal, ni burzy, ni białej martwej ciszy...

...ani lądów dalekich i chłodnych, lodów srebrnych, pływających w pianie, ani lądów zielonych i słonecznych, ni spalonych na czerwono i czarno, ani szlaków odległych, do których biegnie tęsknota Wikinga...

...nie będę opiewał morza ni lądów, ni wichrów, ni słońca, ni gwiazd...

Mocnym akordem uderzył Hallfred Siwobrody w lutnię. Zahuczały w czarnej izbie złote kaskady dźwięków. Mocnym głosem zaśpiewał skald Hallfred:

...Sławę będę opiewał. Sławę. Ooo! Sławę!

Olaf siadł gwałtownie, ręką machnął - prędko, prędko - niecierpliwie.

- Nie śpiewaj o sławie, Hallfredzie. Nie śpiewaj o sławie - głos jego był niby jęk.

...Jakże mam ci nie śpiewać o sławie, Olafie synu Trygwy, - śpiewał skald - kiedyś ty najślawniejszy ze wszystkich jarłów a konungów od Griinlandu po Kijów i Carogród.

Olaf wybuchnął namiętnie:

- Nie śpiewaj mi o sławie. Sławę utopiłem u ostrokołu Jomsborga. Wszystko już dla mnie skończone, spłonęła moje sława wraz z ostrokołem.

Hallfred dłonią uciszył struny, po to, by w nie uderzyć. Mocnym głosem podniósł pieśń:

...O młodości! Czemuś uleciała ode mnie, ptaku srebrnoskrzydły, tęczo zanurzona w morzu, pieśni przebrzmiała i daleka! O! Młodości! Wieleż siły masz i mocy, wieleż odwagi i męstwa, gdy się nie boisz mówić o końcu, gdy śmiało głosisz kraniec. Czemuż starość, oglądając w czystym źródle swą siwiznę i zmarszczki, swą zwiotczałość i swoją nicość, wciąż się ludzi nadzieją i czeka. O młodości, silna jesteś w rozpacz, potężna w poniżeniu, wielka w klęsce, ty najpiękniejsza kochanko Wikinga, ty zwycięska i nieugięta, ty srebrzystoskrzydła, tęczowa, pieśniana. O, młodości! Dla ciebie nie ma końca, jeno początek, nie ma klęski, jeno zwycięstwo, nie ma upadku, jeno wielkość, jak wypuszczona z łuku strzała... nad obłoki... pod gwiazdy.

Olaf nie przerywał skaldowi, ręce zarzucił pod głowę, patrzył w ciemność, słuchał.

Młodości, która się nie boisz niczego. Ni śmierci w furkoczających grotach, w błysku miecza, w głuchym uderzeniu topora. Ni jutra, które wyzywasz do boju, które jest dla cię wspaniałe i sławne. Ni samotności, którą umiesz wypełnić - ty jedna. ...Dlaczego się więc boisz tylko sławy, która płynie do ciebie wzburzeniem mórz i szczękiem bitew? Dlaczego się boisz tej oblubienicy każdego męża, każdego Wikinga i woja?

Przerwał, wsłuchał się w brzęk strun, wsłuchał się w milczenie Olafa. A gdy nie dobiegł go już protest ni skarga, zaczął szybszym rytmem, namiętnie i gorąco:

...Wysokie są i strome czarne skały Nordwegu.

...U stóp ich morze błękitne, zielone i chłodne.

...Na czole ich lodowiec krwawy, biały i zły.

...Kryją one ciche doliny, kraj bogów i mężnych Wikingów.

...Piękny jest kraj Nordwegu, wspaniały i potężny.

...Lecz czemuż płacze kraj Nordwegu, czemu wyrzeka i na co czeka?

...Stary Haakon go łupi i gniecie ciężką, żelazną stopą.

...Morduje mężów zbrojnych skrytobójczo, nie jak konung i woj.

...Porywa ich żony i córki, hańbi je swym owrzodzonym ciałem.

...Kocha pokój i ciszę, nie czyni wypraw zbójceckich miękki starzec lubieżny i gnuśny.

...Po kim płacze piękny kraj Nordwegu?

...Gdzież jest Olaf, syn Trygwy, najślawniejszy Wiking Normanów?

...Zali zapomniał o dzieciństwie ojcowym, zali złamał miecz i zatopił swe czółno?

...Zali woli daleką śmierć miast królowania i chwały?

...Zali zginął pogromca Haakona, oswobodziciel i zbawca?

...Powiedźcie wiatry, które wszędy wiejecie, kruki, co docieracie krańca świata, pieśni, która idziesz ponad lądami i morzem.

...Zanieście mu wieść, że czeka go Nordweg, królestwo i sława. Ooo!

Olaf leżał bez ruchu, ale sapał, jakby już w złości. Hallfred więcej nie dodał ni słowa, czekał, słuchał. Olaf usta otworzył, zamknął, jak ryba. W tejże chwili zagrały rogi na wieży grodowej. Jarl

porwał się.

- Na krąg wołają rogi wojów. Na krąg. Tam mi sława i śmierć! - zawołał. Hallfred dłonie położył na ledwo dźwięczących strunach, zgasił je.

Zaraz po zachodzie słońca chmury zasnuły niebo. Ogromny płomień ogniska oświecał ponure twarze Wikingów, milcząco, niemo siedzących w kręgu. Gdy przyszedł Olaf, powitały go nieufne, nieprzyjazne spojrzenia. Setki oczu chciały mu się wpiły w twarz: ani śladu wahań czy przygnębienia. Głos mu nie zadrgał, gdy podniósł dłoń i zawołał:

- Ooo! Klnijcie się na wierność jarlowi Jomsborga. Leniwo, niepewnie poruszyli się, by wykonać przysięgę.

Lecz w tejże chwili z góry zabrzmiał donośny krzyk, pełen gniewu i szyderstwa:

- Kto tu jest jarlem Jomsborga? Ten, co dopuścił do spalenia ostrokołu, do przełamania żelaznych wrót?

Poderwali się, wszystkie głowy zadarły się w górę. Przez twarz Olafa przeleciał skurcz, wargi mu się zwały, łopatkami kurczowo rozsuwały się i zsuwały. Na szczycie ostrokołu, jak skomroch, z nogami wpartymi między zęby palisady, stał wojownik w rogatym hełmie. Migot ognia błyskał mu na pancerzu, ledwo rozświetlał twarz. Przez tłum przeleciał szept zdumiony i niepewny:

Sigwald! Sigwald! Wrócił!

Rabogęby krzyczał wskazując dłonią na Olafa:

- Patrzcie, to jest ten, co zwolił na spalenie ostrokołu. Co oddał Jomsborg na zagładę. To on! Com wam mówił: uderzyć w łodziach na Bolesława. Nie czekać go, bić, nynie wzdęte trupy niosłaby Dziewina do morza. Kto winien kłęsce? Kto zaprzepaścił gród wolnych Wikingów? On!

- Drużyna! Do mnie! - rozległ się krzyk Olafa. Pół kręgu sypnęło się do wodza. Ktoś chlusnął kubłem wody w ogień, gęsty dym buchnął w czerni białymi kłębami. Sigwald, na nic niebaczny, skoczył z ostrokołu. Gród napęłnił szczęk mieczów i wrzaski.

Krwawo się odrąbując cofnął się Olaf z drużyną do głównej halli. Stamtąd wiódł układy z Sigwaldem.

Nazajutrz ledwo świt odpływała drużyna białowłosego Olafa syna Trygwy, na osiemnastu statkach w dół - ku morzu. W samo południe otworzył Sigwald Bolesławowi wrota Jomsborga. Drużyna wchodziła milczkiem, nastroszona, z gotową bronią.

13.

Był żółty dzień wczesnej jesieni. Kraj leżał senny, zasnuty pajęczyną. Bolko zostawił drużynę Odrzykoniowi, który miał ją wieść do Poznania. Czibor odciągnął z Pomorcami do Kołobrzegu. Bolko samotrzeć ze Stojgniewem a Zadorą wyskoczył naprzód, pędził przez błękitne pola pod chłodnym spojrzeniem słońca. Przed nim rozciągał się jego kraj, jego władztwo - uśpiony kraj, oddychający wolnym, głębokim westchnieniem. Rozpędzone konie tratowały go w niepohamowanym pędzie. Bolko się zasapał od jazdy, patrzył daleko przed siebie na granatową puszcę, myślał o księstwie. Nie wiedział, czym jest księstwo.

A księstwem była drużyna dyrdająca za nim wolno, z pogwarkami.

I Dzierżyk, schodzący nad brzeg morza, słuchający szumu grzywaczy i krzyku mew.

I stare władyki, możne rody, stróże i woje, osadniki i smardy.

I więźnie po jamach, niewolni, rataje i wyrobniki.

Polany wyrąbane w puszczy, jak oka patrzące w niebo i mateczniki pełne skrzypu konarów, trzasku gałęzi i ryku zwierza.

Góry i rzeki, bajora i pła.

Znak Jezu Krysta i głos srebrnych dzwonów, i śpiew świątków.

Wszystko to było księstwem.

Bolko pędził pochylony, patrzył nad błękitnymi polami w daleką, granatową puszcę. Patrzył w księstwo.

Drużyna wracała rozlazła, bez porządku, kupami. Śmiali się, gadali, śpiewali pieśni. Jak zwykle. Prześmiewali się z Jomsborga. Złościli się, że puścili Olafa. Że Sigwald ostał. Drużyna jomsborczyków szła razem, zbita, w ponurym milczeniu. Leciały za nią docinki:

- Eej... w jeństwo was wzięlim.

- Orać będziecie po polanach. Skóry skrobać. Drwa rąbać.

- Ostrokół dobrze się palił, co? Ejże, Dzierżyk da wam, czekajcie. Połowę łodzi zabrał, czaszki turze zatknę u przodu, hu, hu!

- Wilki!

- Psy, nie wilki.

- Zające.

- HUUU! HU!

Lubusza Ślizień szedł znużony, mokre gieżło przylepie mu do pleców, czuł chłód, oczyma wodził po polanie, był rad: wszystko zebrali z pola, zboże sypało tego lata. Błękitnawy przedwieczór pachniał już jesienią. Dobek szedł podług milczący, spoglądał koso na brata. W pewnej chwili mruknął:

- Rok już, jak siedzę bez białki. Czas słać po Boguchę.

Lubusza potarł dłonią potylicę.

- Posłem. Roboty skończone. Nie taż, Dobek.

Weszli w obejście. Czerniały kałuże, zieleniał rozdeptany nawóz. Kuwacz odjarzmił woły, czekały cierpliwie, machały ogonami. Zdjął jarzma, uderzył dłonią po łopatce bliższego, wół spuścił łeb, odszedł wolnym krokiem. Kuwacz założył jarzma na kark, ruszył do kleci. Lubusza krzyknął za nim:

- Zobacz no! Z lewa grądział pęknięta abo co?

- Orałeś to?

- Pod lasem.

Wszedł do chaty. Dobracha się podniosła, najmłodszy synał kusztykał do ojca, szeroko rozstawił nogi, kiwał się na boki. Ostatnich parę kroków zrobił prędko, śmiało roztworzył ramiona, z bezzębnym śmiechem chwycił ojca za kolana. Lubusza podniósł malca, sapnął do Dobruchy:

- Daj no piwa.

Wypił kubek, rozejrzał się, wyszedł z małym przed chatę, siadł w progu. Żarek próbował łuk, strzelał do wrony. Lubusza krzyknął gniewnie:

- Co wydziwiasz?

- Abo co?

- Woły nie wygnane. Gnoj podrzuć. Chybko. Żarek niechętnie odniósł łuk, mrużąc pod nosem. Woły lażyły po obejściu, pały się tu tam, powolne i leniwe. Żarek ułamał więc, machnął, zakrzyknął:

- Aa, małe! Oo!

Zamilkł nagle, oczy mu wylazły. Lubusza wstał. Mały u jego nóg zaskrzeczał. Lubusza zawołał:

- Żarek, co tam?

- Konny... Ociec, konny. Woj. Oo!

Woj wjeżdżał już w obejście. Lubusza zbladł, poznał go z jednego rzutu oka, choć tamten zmienił się,

konny i zbrojny. - "Giez, lelum, Giez!" - Gość zeskokczył z konia, szedł ciężkim krokiem. Lubusza czekał u drzwi, oparł się plecami o ścianę, ustać nie mógł.

- Bywajcie w zdrowiu! - zahuczał Giez.

- Wróciłeś? - głos Lubuszy łamał się: stryj starostą był w rodzie, a nynie woj, pancerny. - Ostaniesz?

Giez zaśmiał się szeroko.

- Iii... Tak to swojaka witacie? Przejazdem jeno, spod Jomsborga. Pogoszczę dzień, dwa, odjadę.

Lubusza odetchnął. Już się sypali Śliźnie Gza witać, wieść rozeszła się po polanie.

Bonum est confidere in Domino, quam confidere in hominibus. Bonitum est sperare in Domino, quam sperare in principibus.

Unger podniósł oczy od psalterza, spojrział na Zefrida. Kapelan pochylił głowę, odpowiedział cicho na nieme zapytanie :

- Był wysłannik od Bolesława.

Unger odsunął się z zydlem, krzyknął niemal:

- Czemuż milczysz?

Zefrid schylił jeszcze niżej głowę, ale w jego oczach ujrzał Unger ten sam obcy błysk, który był dostrzegł przy ognisku po ucieczce Ody. W głosie kapelana czuć było odcień wyższości, gdy wolno cedził słowa:

- Bolko donosi... - przerwał, cieszył się swą przewagą nad Ungerem puścili czterdzieści trzy płety na jomsborski ostrokół - Unger pochylił się, zdało się, że mu oczy wyłazą z niecierpliwości - czterdzieści trzy płety zawałone chrustem i smołą... spalili ostrokół jomsborski Zefrid uderzył rękoma po kolanach, zaśmiał się głośno, jazgotliwie - spalili!

- Spalili? - powtórzył tępo Unger, nie wierzył.

- Spalili! - wykrzyknął czarny kapelan. - Posłaniec pry, że rankiem nie stanie Jomsborga.

Unger patrzył jeszcze chwilę na Zefrida, przysunął zydla, wziął psalterz, zaczął znowu:

- Baniem est... - przerwał, mruknął z ulgą:

- Bałem się... myślałem, że Bolka pobili już.

Zefrid nastroszył się. Śmiech się mu przewinał przez gębę.

- Kogo? - spytał, przekpinka zadrżała mu w głosie.- Księdza?

Pępek szarpnął, wyciągnął długą, lśniącą rybę; rzucił ją w trawie. Ukląkł, złapał rybę za brzuch, uniósł w obu dłoniach, przygarnął, kciukiem pocisnął grzbiet, ugięło się miętko. Stary mruknął: - Tłusta. - Obejrzał się bacznie, księżęcego włodarza nie było widać, odniósł rybę w olszynę, schował w gąszczu. Łaził po brzegu, narwał liści babki, dwa wielkie łopiany. Wciąż się oglądał, głowę schylał nisko, patrzył sponad kościstego ramienia. Wrócił do olszyny, podniósł rybę, raz jeszcze zważył ją w dłoniach - żółtawą, srebrzystą, nakrapianą; raz jeszcze nacisnął kark. Kawałkiem krzemienia rozpruł brzuch, wyrwał wnętrzności, rzucił je w rzekę, chwilę spoglądał za nimi. Plusnęło, kręgi poszły po wodzie, mruknął znowu: - Wzięta - wyjrzał z gęstwy, szybko, uważnie zbadał oba brzegi. Pusto. Podreptał po liście, okładał rybę babką, warstwę po warstwie, szybko i wprawnie, owinał w łopiany. Pochylony, przemknął się do wygasającego ogniska, rozgrzebał żar, włożył zawiniętą rybę, przysypał popiołem, roześmiał się; zaświeciły krzywe, żółte zęby.

Podniósł się, dźwignął znużone ramiona. Podeszedł do brzegu i przejrzał wędy. Na paru były ryby, zdjął je z haczyka, jak zawsze zważył w dłoni, cisnął do kosza; ryby w koszu pluskały gęsto. Założył przynętę i rzucił w wodę. Chyłkiem wrócił do ognia, przysiadł na piętach, ciągał nosem, kiwał się do przodu. Czekał.

Rozgarnął dłońmi popiół, wyjął rybę. Zapachniało łechtliwie, smacznie. Oberwał liście, ściągnął skórę wraz z łuską. Ręce mu się śpieszyły. Wciąż siedząc na piętach, począł żreć tłuste, słodkie mięso. Mlaskał. Smakowitość rozlała mu się po gębie. Przetyk rozkoszował się łykaniem. Szczęśliwymi oczyma spoglądał na rzekę, na pola, na postrzępione kłecie rybaków. Uśmiechał się otłuszczonymi wargami, mamrotał pod nosem. Sytość się rozlewała po ciele.

W tym czasie płonął ostrokół Jomsborga.

Od czasu gdy Woj bór wrócił z Poznania do Orczycy, pochylił się widocznie, zgarbił się, dolna warga mu zwisała, jeszcze bardziej był zły i opryskliwy. Zrazu zabrał się do roboty, chodził w pole, krzyczał na ludzi. Lecz coraz się częściej zamyślał, stawał, nie widział, jak ludzie przysiadają, ociągają się w pracy. Suchą ręką gładził ciężkie kłosa, przelewały się mu między palcami, łuszczył ziarna, niósł miękkie, słodkie, mleczne do ust, żuł powoli. Stękał, marszczył się, krzywił. Wracił wcześniej przed zachodem, zasiadał na ławie, łokcie opierał na kolanach, głowę zwieszał, kaszłał, splotwał. Nie podejść wtedy do niego - krzyczał, bił, zwymyślał Latorosłkę, niewidomą siostrę, pachółków. Omijali go z daleka.

Wciąż myślał o synach, o Bolku, o kraszonych wrotach Poznania.

I o Orczycy.

Latorosłka nie mogła wytrzymać niepokoju, odważyła się, zapytała o braci. Zaczął jej bajać o Stojgniewie, wychwalać go, sławić. Jak przednim jest wojem, Hugona ubił, starostą jest w drużynie, drugim księdza. Prawy Orczyk! Wykrzykiwał urwane zdania suchym, skrzekliwym głosem. Latorosłka dziwiła się, radowała, wyjąkała w końcu:

- A Nielub?

- Nielub? - Stary się zamyślił, raptem poczerwieniał, posypały się wymysły, klątwy. Dureń, otrok,

niezguła, churlęga, smród, gnój. Pienił się, grdyka mu skakała, zasapał się, rozkaszał, tchu mu brakło, zaczął pluć, pluł krwią. Latorosłka stała przerażona, zdumiona.

- Kaj jest?

- Stojgniew... - imię to zabrzczało płonąca dumą - Stojgniew wziął młokosysa do drużyny. Nynie obaj pod Jomsborg poszli.

- Pod Jomsborg?

- Pobić zbójów - aż nagle:

- Ca ci to? Co pytasz? Widzisz ją, dziewczka! Wen! Wen, mołwią! - Uciekła.

Gdy zwieźli zboże, wciąż chodził na pola. Za nim wybiegał Wygraj, ulubiony ogromny pies o burej sierści, gonił zajęce i straszył kuropatwy. Wojbor stawał, godzinami patrzył na Ledargowy gród, szukał dawnej nienawiści - znikła. Ostała gorycz, bezradność, starość. Przypomnił, jak zginął Ledarg, widział to: Stojgniew go ubił. Walny chłop - Stojgniew. Patrzył na palisadę, na wieżę, zamyślał się. Patykiem rysował na piasku krzyż, patrzył nań zdumiony, zacierał ręką. Potem - pochylony, zgarbiony, stary - wracał do domu, siadał na ławie, łokcie opierał na kolanach, głowę zwieszał. Omijali go wtedy.

Pod koniec lata położył się na tejże ławie pod kożuchem, chrypiał, kaszłał, coraz częściej pluł flegmą i krwią. Nie wstał już. Wciąż był zły, opryskliwy. Czekał na synów, spoglądał na drzwi, krzyczał na córkę:

- Latorosłka! Wyjrzyj no. Kto jedzie?

Wyglądała, odpowiadała:

- Nikogutko. Ni cienia.

- Tupało cościk?

- Żrebce w zagrodzie.

Cichł, czekał. Szły gorące dni, trzęsące noce.

Tego dnia z rana był zwawszy, spróbował wstać, nie zdołał. Tylko nogi spuścił. Legł, nikogo nie było, nie starczyło mu sił, by nogi wciągnąć. Oczy zasłonił ramieniem, leżał. Dzień był ciepły, nie trzęsło go. Żrebce tupotały na dworze, gdzieś daleko śpiewała Latorosłka. W pewnej chwili Wygraj zaniepokoił się, szczeknął krótko, podszedł wilczym krokiem do Wojbora, obwąchał zwisające nogi. Znow szczeknął, zakręcił się, przednimi łapami wspiał się na ławę, długim, wilgotnym pyskiem obwąchał pierś, twarz leżącego, i zawył.

Latorosłka weszła cichym krokiem, na głowie miała wianek, w ręku trawy, kwiaty. Ujrzała wyciągniętego Wygrają - ogon wciśnięty - ojca z nogami zwieszonymi, z ramieniem przykrywającym

twarz. Nagły strach ją przejął. Szybkim krokiem podszła, spojrzała, kwiaty się jej wysunęły z rąk, opadły - do stóp zewłoka starego Wojbora, syna Stojgniewa z Orczycy.

Był wieczór już, gdy kupcy się zatrzymali na chwilę - wozy stanęły, przewodnik powiódł wzrokiem po lesistych górach, ręką machnął, zawołał:

- Tam już Czechy. Śpieszajcie.

- Ooo! - zawołali poganiacze na woły.

- Słyszeliście ? - spytał Gomuła.

Czterech Szreniawitów - Łebacz, Czarny, Koza, Gomuła - szli jeden za drugim, ręce mieli przywiązane do długiego drąga, drąg sterczał z wozu; na wozie leżał Ulęgałka, bok mu się jeszcze nie zgoił, otrok był związany. Kupce otrzymali ich od Bolka za napad, wiedli teraz na sprzedanie.

- Słyszeliście? - powtórzył Gomuła odwracając głowę: na rzęsach miał łzy.

Odwrócili wszyscy głowy, ile im drąg pozwalał, Ulęgałka podniósł się na łokciach. Milczkiem zegnali kraj, gardła mieli pełne łez, w dołku ścisłała gorycz i opuszczenie.

- Już my na obczyźnie, bracia - stęknął Ulęgałka i rozplakał się w głos.

- Cichaj! - syknął Gomuła. Szli jeden za drugim, potykając się i objając nogi.

- A co tam Smołucha robi? Ckni się babie bez nas - suchym gardłem powiedział Czarny.

Nic nie odrzekli. Góry szumiały czarną zielenią świerków, pachniały wilgocią, mchem, obczyzną.

Smołucha siedziała na lawie, swawolnie machała grubymi łydkami. Powiedziała niecierpliwie:

- Mamer, pójdziem na posłanie.

Mamer miał lat czterdzieści, był szeroki, mocny, spokojny. Spotkała go była w lesie, jak drzewa znaczył, przywabiła do Szreniawy, zamieszkał z nią. Przysunęła się doń, szepnęła:

- Późno już. Pójdziem.

Głowę zwiesił, medytował, począł mówić swym cichym, nudnym mamlaniem:

- Bacz, jakie to mądre bydlę? Wół? co wół? trawy pożre i wszystko. Toż koń a krowa, a świnia. Pczoła nie to, inakszy. Bacz, jaki dom sobie w barci robi a ochędoży, a pierzgą opatrzy. Bacz na piast miodu: wieleż tam istbic a komór. Mądre bydlę, pczoła, pomnij, Smołucha: pczoła to bydlę Dadźboga - podniósł na Smołuchę zadumane oczy - Dadźboga, mołwie.

- Słysz, Mamer, pójdziem - coraz szybciej wierzgała nogami.

- To ci bydlę, ma urn, żaden człowiek nie ma ryli umu. Najdzie toto miód, do barci smyk! ledwo przez ul wejdzie, już płąsa po piastach, a bżyczy, zwołuje. To kupą za nią lecą, a ona je wiezie. Baczyłaś to, Smołucha?

Chlasnęła go dłonią po otwartym karku. Obudził się:

- Co ci to?

- Chodź. Mgło mi. Znów się zamyślił.

- Bacz także na pczołę z wiesną. Jaką to bydlę leść ma. Z wiesną pczoła...

Smołucha oparła się rękoma o stół, ukryła w dłoniach twarz, buchnęła płaczem.

Nadzy ludzie naciągali sznur, z hukiem puszczała obuch, pień szedł głębiej i głębiej w błoto. Inni, pochyleni, dźwigali w koszach ziemię, znosili nacięte gałęzie, kamienie. Wszystko zwałali między pnie, zasypywali ziemią. Od puszczy do samego brzegu Noteci ciągnęła się równa, sucha grobla, opadała wprost w bród. Wszebor patrzył na dokonaną robotę, okręcił się, patrzył na gród na tamtym brzegu: gród błyszczał w słońcu jak wtedy, gdy szli z Bolkiem na Jomsborg. Nynie grobla gotowa, a Jomsborg...

Wszebor wzdrygnął się, potarł kark, mruknął:

- Tyle czasu nie wraca. A jeśli ubili ji... Odwrócił się do pracujących, rozwarł pysk:

- Nuże! Co się gmeracie kiej glisty? Ja wam... - pogroził pięścią. Ludzie zaczęli się zwijać jeszcze prędzej.

Tegoż dnia na podgórzu dął wiatr, deszcz zacinał.

Ciemna linia horyzontu ostro odcinała ziemię od nieba. Ciężkie chmury zwisały nad ziemią, groziły. Rozwichrzone, wielopalczaste, ruchliwe, sięgały spoza wzgórze. Wiatr gonił je, bił ku dołowi, wtlaczał w dolinę. Czarne stada łopotały szerokimi skrzydłami. Zwały chmur legły na drodze wichru. A on porwał je na strzępy, szedł zwycięski i mocny. Gęstymi strugami chlastał z ukosa ziemię.

Po pochyłości kroczy oracz, powoli, z mazołem rżnie glebę. Deszcz przylepił mu płótno do karku, bije mu w twarz, zalewa oczy. Twarde żwirry hamują jego krok, głębokie wykroty czyhają na upadek, zadziory karczów rwą mu odzienie i ciało. A on całym ciężarem nawala się na sochę, twardo, uparcie walczy z ziemią.

Nie wie, że wywalcza księstwo. Jest rataj. Smard.

Bolesław leciał samotrzeć przez kraj otwarty jak dwie dłonie wyciągnięte do jutra. Utkwił oczy w daleką, granatową puszcę, gnał ku swemu przeznaczeniu. Myślał o swojej sławie i swojej wielkości.

Nie wiedział, że śpieszy do wielkości uspiętego kraju, który się przed nim rozciągał - błękitny pod

żółtym okiem słońca - który dla tej jedynie wielkości pozwalał mu się tratować kopytami jego rozpędzonego wierzchowca.

Był rok 992 po narodzeniu Chrystusa.

Pisane w Kolonii Wileńskiej w latach 1940-1941